1874



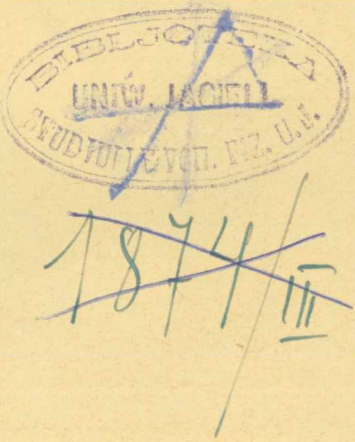
V7! 378396
xx 00 3012605

Biblioteka Gł AWF w Krakowie

1800068097

52793

OD PALANTA DO OLIMPJADY





J. Kurowski

BIBLIOTEKA
UNIW. JAGIELL.

JANUSZ KUSOCIŃSKI

OD PALANTA DO OLIMPJADY

Moje wspomnienia sportowe

NAKŁAD
MAZOWIECKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ
1933

BIBLIOTEKA UNIW. JAGIELL.

919

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone

Drukarnia Literacka, Warszawa, Nowy Świat 22.

796.42/.43(438)(091):796.071.2(438):929-051A

Matce
mojej
poświęcam

TREŚĆ

Str.

Zamiast przedmowy 1

Wstęp 2

Część I.

Najmłodsze lata i pierwsze kroki na bieżni . . 7

Część II.

Po szczeblach do sławy 25

Część III.

Olimpiada 240



Drużyna piłkarska „Sarmaty", klubu, w którym grałem w piłkę nożną oraz stawiałem pierwsze kroki na bieżni.



Reprezentacja Polski na międzynarodowych igrzyskach robotniczych w Pradze czeskiej. Był to mój pierwszy wyjazd zagranicę.

ZAMIAST PRZEDMOWY

Uzyskawszy zgodę na druk w „Nowinach Codziennych" pamiętników Janusza Kusocińskiego, mistrza tegorocznej Olimpjady, chluby naszej lekkiej atletyki, odwiedziliśmy go w jego mieszkaniu w Łazienkach Królewskich.

„Kusy" jak wiadomo jest z zawodu ogrodnikiem. To też po przyjeździe z Olimpjady powrócił do zajęć i zamieszkał w ustronnym dworku, który na jego powitanie umajono zielenią i kwiatani.

Jeszcze ma w uszach gwar wielotysięcznych tłumów, jeszcze słyszy burzę oklasków i wiwatów, szalejącą nad areną w Los Angeles — jeszcze nie ochłonął z wrażeń, których miał tak wiele. Żyje jak „chłopiec z bajki", któremu dobra wróżka dała talizman powodzenia.

— Doprawdy — wydaje mi się, że przeżywam szalony, wesoły sen — powiada „Kusy". — Powróciłem wprawdzie w kształt ogrodnika, pełniącego służbę w łazienkowskim parku, w Warszawie — ale każdy dzień przynosi mi nową niespodziankę, jakby życie stało się jednem świętem.

Rozmawiamy z mistrzem świata w jego pustelni, ukrytej w cieniu starych, drzew, między któremi snują się przy księżycu widma dworku króla Stasia.

Tak niedawno temu arena wielka jak miasto — mrowie ludzkie i ten głuchy grzmot oklasków wstrząsający niebem, i zawrotne uczucie triumfalnej radości

przy dobieganiu do mety, a potem polska flaga trzepocząca w błękitach, i polski hymn rozlegający się w kraju odalonym od Polski o tyle tysięcy kilometrów.

A teraz — powrót do rzeczywistości.

Jasny pokoik w parterowym dworku, z oknami na przestrzał, przez które sączy się zielonkawa poświata. Szum starych drzew i jazgot gramofonu, powtarzającego ostatni przebój amerykański. Tak jakby w ślad za Kusym przybiegło do Polski wspomnienie Los Angeles i brzęczało mu niby komar nad uchem.

Pokój ładny — bo główną jego cechą jest... ład. Na tapczanie, przykrytym wschodnią narzutą, leży symetrycznie ułożona na poduszce lalka, w stroju maharadży. Lustrzana szafa odbija obrazki, przeważnie fotosy grup sportowych i dyplomy, wiszące na ładnie malowanych ścianach. Nawet na biurku jest porządnie jak u grzecznej pensjonarki — leżą kolekcje piór, ołówków, papieru listowego, ładna sentymentalna główka niewieścia w ramkach, a nad biurkiem — słuchajcie! słuchajcie! — kilka kolorowych obrazków z kotkami bawiącemi się wśród kwiatków..

Zapewne niejeden fanatyk sportu, uczeń pierwszej klasy zapytuje siebie, jak też mieszka Kusy... Oczami duszy widzi dużą salę, której główną ozdobę stanowią hantle i gimnastyczne przyrządy. Pewnie obok łóżka stoi kukła do boksu, na biurku leżą stukilowe kule, a środkiem pokoju biegnie trasa na której trenuje się najszybszy człowiek świata. Taki sztubak widzi Kusego zawsze w pozycji „biegnącej" wpatrującego się tępym wzrokiem w czasomierz.

Tymczasem najszybszy człowiek świata, mistrz Olimpjady mieszka w takim sobie przyjemnym pokoju, w którym doskonaleby się czuła pensjonarka (ta lalka na kanapce, te kotki z kłębami włóczki na, ścianach).

I wyobrażają sobie ludzie jeszcze, że taki zdobywca najwyższego sportowego odznaczenia nawet u siebie w domu nie przestaje być „asem", z którym trudno się porozumieć, bo odmierza słowa czasomierzem, a wy-

wiadów udziela tylko gdy mu na to pozwoli trener, snujący się za nim jak cień.

Tymczasem Kusy pozostał sobą — jest taki sam, jak był dawniej, pełen prostoty, swojski, skromny i zupełnie dostępny. Tyle, że wszystko na nim, od garnituru począwszy, na krawacie skończywszy, jest jakieś takie „jak z igły" i ręce tego ogrodnika szybkobiegacza dziwnie są delikatne i subtelne, niemal jak ręce kobiety. Wogóle Kusy jest pełen sprzeczności. Niepodobny jest do szablonowego, operetkowego typu sportowca o bicepsach potężnych, szczęce trogoltydy i rękach siłacza. Jest raczej drobnego wzrostu, cokolwiek przypomina ptaka, z gatunku drapieżników. Ma wspaniałe sępie oczy, szare, podłużne, bystre — jak oczy lotników i marynarzy, ma brwi gęste, podobne do skrzydełek jaskółczych, no i orli nos, nieco skrzywiony (dlaczego skrzywiony — o tem dowiemy się z pamiętnika). Małe wąskie usta cedzą słowa powoli, niechętnie. Bo Kusy jest nieufny. Nieufność bije mu z tych szarych, zimnych oczów — które jednakże czasami łagodnieją i śmieją się figlarnie.

Teraz naprzykład bywają częściej niż dawniej ufne i łagodne. No, bo zaczęła się w życiu Kusocińskiego dobra faza. Wybiegł przez bramę olimpijskiego stadjonu i znalazł się nagle w królestwie z bajki.

Mały chłopiec, który ścigał się z wyżłami w Ołtarzewie, a któremu rodzice mawiali z ubolewaniem: — łobuzie jeden — nic z ciebie nie wyrośnie! — stał się sławą wszechświatową, bożyszczem tłumów, otaczanym przez reporterów, noszonym na rękach przez entuzjastów sportu.

Jak to się stało...

Jaką to drogą biegł ten „szprync z Ołtarzewa" — jak sam siebie nazywa, że tak szybko wspiął się na szczyty sławy. Wszakże wielu miał rówieśników, niemniej od niego zapalonych do palanta, footbalu i gonitw — a przecież on jeden zdobył tytuł mistrza świata.

Czy może posiadł tajemną wiedzę sportową, wyna-

lazł może własny, niezawodny sposób „biegania", może ma inne, niż zwykli śmiertelnicy — nogi, albo też prowadzi specjalny tryb życia, wyrabiający tężyznę i moc nadludzką?

Takie i tym podobne pytania nasuwają się profanom, dowiadującym się o sportowych wyczynach „Kusego". Każdy — bez wyjątku — chciałby wiedzieć, kiedy obudziła się w nim miłość do sportu. Czy gdy jeszcze był brzdącem niańczonym przez piastunkę, czy też gdy zaczął stawiać pierwsze kroki na ziemi, a może dopiero gdy podrósł, zerwał się z ławy szkolnej i uciekł na stadjon.

Cóż dopiero mówić o młodocianych fanatykach sportu, którzy marzą o laurach i rekordach, ci chcieliby się dowiedzieć, jak należy postępować, aby zostać mistrzem świata.

Zwycięski olimpijczyk nie jest egoistą, chce pomóc młodszym kolegom i podzielić się z nimi własnem doświadczeniem. Zasiadł więc do biurka i napisał historję swego życia.

WSTĘP

Narówni z innemi zdobyczami i wyczynami pracy ludzkiej, we wszystkich objawach naszego życia, społeczeństwa, od czasów neolimpizmu, stawiają wyczyny sportowe.

Duch walki i współzawodnictwa, nurtujący wśród ludzkości, znajdujący w czasach nie tak jeszcze dalekich, upust w walce zbrojnej, w turniejach rycerskich, nie ustał. Zmienił on tylko formy. Zamiast zapasów krwawych, mamy zawody innego rodzaju, nie ustępujące jednak co do emocji i wysiłku poprzednim. Zawody te, jeśli chodzi o udział liczebny walczących oraz ilości widzów, znacznie przewyższyły poprzednie i stanowią jeden z najważniejszych czynników nowoczesnej propagandy.

Mamy państwa o ustalonych już w tym kierunku tradycjach, ale są państwa, które zawdzięczają bardzo dużo wybitnym jednostkom sportowym. Najsławniejszym pośród tych talentów sportowych to Finlandczyk Paavo Nurmi. Niema bodaj człowieka na świecie, w najdalszym jego zakątku, gdzieby imię tego biegacza, a zarazem jego przynależność państwowa, a tem samem Finlandja, nie była znana.

Jest on utożsamieniem nietylko „latających nóg", lecz ogromnej pracy, wybitnej dyscypliny duchowej i silnej woli. Gdyż dla osiągnięcia swych wyników musiał włożyć ogromny, dla laików zupełnie niezrozumiały, zasób pracy.

Nurmi przez szereg lat był bez konkurencji. Od czasu do czasu ukazywali się rywale, którzy na pew-

nych dystansach zdawali się mu dorównywać, ale byli to rywale przemijający. Najgroźniejszym wydawał się Szwed Wide. Zszedł on jednak wobec choroby z bieżni, nie osiągnąwszy tych wyżyn co „milczący Finn".

Oczy całego świata skierowane były na Finlandję, która zdawałaby się jedynie, powołana był wydać z plejady swego świetnego materjału, następcę Nurmiego. Tymczasem ambicja, ogromne zamiłowanie do pracy, silna wola do osiągnięcia wybitnych wyników, wysuwa na następcę Nurmiego młodego Polaka — Janusza Kusocińskiego. Polaka, który poraz pierwszy w biegu długodystansowym, przerywa nić olimpijskich zwycięstw Finlandczyków, i na stadjonie w Los Angeles zmusza 60.000 widzów, składających się z przedstawicieli całego świata, stojąc wysłuchać hymnu narodowego polskiego, w tym czasie kiedy sztandar nasz państwowy, jako zwycięski powiewał nad innemi...

Nietylko to zwycięstwo olimpijskie, lecz i późniejsze triumfy Kusocińskiego nad groźnymi przeciwnikami finladzkimi Lehtinenem i Iso - Hollem stawiają go na czele biegaczów świata. Zupełnie sprawiedliwie pasują go na następcę Nurmiego, wobec dyskwalifikacji ostatniego w prawach amatora, w pojedynku biegowym, bo pokonał go faktycznie, bijąc niektóre jego rekordy światowe.

Droga do sławy i zwycięstwa zazwyczaj jest ciernista. Może o tem coś opowiedzieć Kusociński. Jeśli dzisiaj cieszy się wielką popularnością, to należy mu ona się zasłużenie.

Jeśli wyrażę swój pogląd subjektywny, że może trochę zawcześnie pisze Kusociński swe pamiętniki, to tylko dlatego, że nie pragnąłbym jego karjery sportowej uważać za skończoną. Ma on przed sobą jeszcze wielkie pole do pracy, wiele okazji do rozsławiania polskości.

Wacław Znajdowski

Prezes Polsk. Zw. Lekko-Atletycznego

Warszawa, w grudniu 1932 r.

CZĘŚĆ PIERWSZA

NAJMŁODSZE LATA. PIERWSZE KROKI NA BIEŻNI

Rozdział I.

Dlaczego, w jakim celu piszę pamiętnik?.. takie pytanie mimowoli ciśnie się na usta osobom, zabierającym się do lektury moich wspomnień. Osobiście nigdy nie przypuszczałem, że los narazi mnie na despekt pisania pamiętnika, co ongiś uważałem za bezczelne narzucanie się ludziom i zabieranie drogiego czasu osobistemi zwierzeniami. Los jest złośliwy. Niech kto z was spróbuje pomstować, na sport — zostanie prędzej czy później fanatykiem sportu, niech kto — tak jak ja — wykpiwa „pamiętnikarzy" spowiadających się ludności i kokietujących ją obrazem własnych, nikogo nie obchodzących doznań — a pewnego pięknego poranku będzie musiał napisać pamiętnik.

Będzie musiał... To znaczy, że go zmuszą. Nietylko ludzie lecz i okoliczności. Pamiętnik mój o tyle różni się od publicznego „wywnętrzania się" przed bliźnimi — że jest przedewszystkiem sprawozdaniem z przeżyć człowieka, któremu danem było zostać asem olimpjady. A takie sprawozdanie może się przydać niejednemu nowicjuszowi, który głowi się nad zawiłym problemem osiągnięcia sukcesów, na sportowem polu. Chcę się podzielić doświadczeniem z młodszymi kolegami i z takimi laikami, którym się wydaje, że sportowiec jest człowiekiem z innej ulepionym gliny, pro-

wadzącym dziwaczny tryb życia — wogóle osobnikiem z nieprawdziwego zdarzenia „co nie je i nie pije, a biega i żyje".

Tyle się już pojawiło w ostatnich latach enuncjacyj i wywiadów na temat sportu i taki się szerzy z tej przyczyny zamęt w pojęciach, że warto doprawdy i swoje trzy grosze wtrącić i opowiedzieć własnemi, szczeremi słowami jak wygląda z bliska karjera i tryb życia sportowca, który miał szczęście zdobyć olimpijski laur...

Jestem czystej krwi Polakiem, Mazurem. Urodziłem się 15 stycznia 1907 roku w Warszawie. Ojciec mój był urzędnikiem kolejowym, ale ponad wszystko miłował wieś. Przeniósł się tedy z rodziną do Ołtarzewa. Miałem wówczas pół roku. Oprócz mnie było w domu dwuch braci i trzy siostry. Najstarszy brat ś. p. Zygmunt, prześladowany przez władze rosyjskie za niepodległościową robotę, w roku 1905-tym, wyemigrował do Francji, walczył w szeregach armji francuskiej, podczas wojny światowej i z wycieńczenia umarł w Paryżu. Drugi brat — Tadeusz poszedł jako ochotnik w 1920 na wojnę z bolszewikami i zginął pod Zamościem, jako podoficer 2 pułku szwoleżerów. Pozostały mi tylko dwie siostry — zamężne.

W tym wiejskim ogrodzie w Ołtarzewie przeżyłem wiele lat, bo jeszcze do niedawna tam mieszkałem z rodzicami, którym po odejściu z domu sióstr — zostałem... na pociechę. Słaba to była pociecha i porządnie się dałem we znaki moim staruszkom.

Pamiętam jak przez mgłę, żem jako mały bąk całe dnie spędzał na dworze, żem się wślizgiwał do psiej budy i bawił ze szczeniakami. Później mi nieraz mama opowiadała, że prędzej niż inne dzieci zacząłem chodzić i to odrazu biegiem. Byłem — mówiąc otwarcie — nieznośny smarkacz. Nikt sobie ze mną rady dać nie mógł. A w domu utrzymać nie potrafił nawet ojciec. Zawsze mnie ciągnęła przestrzeń — nienawidziłem zamkniętych mieszkań, tłukłem się w pokojach, jak złapany wróbel.

Mama drżała o mnie, bom potrafił uciec z domu i włóczyć się już za obrębem ogrodu. Lubiałem ścigać się z psami, a miałem dwa ładne wyżły — Boksa i Oriona. Ledwie wylazłem z pieluszek, a już mi się chciało wyścigi urządzać. Przepadałem też za końmi. Gdym miał z osiem lat wskoczyłem na wóz, co stał bez opieki i popędziłem konia, że aż skry z pod kopyt leciały.

— Łobuz jesteś — nic dobrego z ciebie nie wyrośnie — biadała matka. Ojciec także po swojemu dawał mi nauki. Nieraz dosłownie uszy puchły od tych nauk. Ale bo też mój tatuś sportu nie uznaje, gardzi sportowcami, a ponad wszystko ceni wiedzę. Chciał mi wpoić zamiłowanie do nauki — ale łatwiej byłoby nauczyć astronoma skoku o tyczce, aniżeli mnie zmusić do ślęczenia nad tabliczką mnożenia.

Miałem przytem w rodzinie sportowca, który mi przyświecał przykładem i zachęcał do brania rekordów. Był to mój starszy brat, który uczył się u Rontalera, a na noc wracał do domu. Był to mistrz w grze w palanta — ale i ja byłem niezgorszy „palanciarz". Uciekało się z domu na improwizowane boisko, het za ogrodem, gdzie już na nas czekali inni koledzy i rozpoczynał się mecz, wobec którego bledną olimpjady. Co to był za entuzjazm, jaka rzetelność w wymierzaniu kar i nagród, jaki bezinteresowny zapał...

Dziesięcioletni sportsmeni podzielili się na dwie drużyny. Ja byłem „matką" i cieszyłem się dużym posłuchem, chociaż brat mój starszy do niedawna dzierżył prym.

W przerwach wolnych od palanta dokazywałem w stajni ze źrebakami i z psami. A ile wypadków miałem. Trudno zliczyć... Raz zawieźli mnie rodzice do Hrubieszowa, do szwagra, który służył w 2-gim pułku strzelców.

Dużo słyszałem o jednej pułkowej klaczy, która nie daje do siebie przystąpić bez bata. Oczywiście — pierwsza rzecz pobiegłem do stajni. Myślę sobie — starsi się boją konia, bo tchórze — to ja im pokażę,

że ja się nie boję, chociaż mnie mają za nic. Podszedłem do klaczy, a ta mnie zębami za brodę. O mały włos nie odłupała mi dolnej szczęki. Zalałem się krwią — ale nie płakałem, dopiero gdy mnie obstąpili krewni i nuż lamentować, zrobiło mi się strasznie głupio i rozbeczałem się na cały głos.

Blizna od tego końskiego pocałunku została mi na brodzie, na wieczną rzeczy pamiątkę. Zresztą nie był to pierwszy wypadek, w mojem życiu. Miałem szczególne szczęście do takich „katastrofek". Choroby się mnie nie imały, szkarlatyna i odra oszczędziły mnie, nie wiem co to koklusz, ani mums — zato niezliczoną ilość razy obkładano mnie kompresami, bo mnie pogryzł pies, pokopał koń, albo podrapał wierny towarzysz zabaw — czarny kot. Dlatego to matka truchlała, ilekroć wychodziłem z domu i już na wszelki wypadek przygotowywała bandaże i wodę gulardową. A cóż dopiero było, gdym się nauczył grać w piłkę nożną... Wracałem z „meczu" tak obolały i posiniaczony, że wyglądałem jak — wojenny inwalida. I znowu wysłuchiwałem długich litanij na temat sportowych nałogów, marnowanego czasu i fatalnie się zapowiadającej przyszłości.

Szło się wówczas na pociechę do stajni, gdzie stał mój ulubiony koń — Baśka. Właściwie nie mój, ale wychowany przeze mnie. Wystarczyło żem powiedział — Dzień dobry Baśka — zaraz mi grzecznie podawał nogę, na przywitanie.

Marzyłem zawsze o własnym koniu, bardzo rasowym, niezwykle przywiązanym, rozumiejącym każde słowo i jedzącym cukier z ręki. Widziałem siebie siedzącego na owym rumaku, w mundurze ułańskim i wielkiej rogatywce... Ani mi się śniło zostać sportsmenem. Najśmielszem mojem marzeniem była karjera wojskowa. Będę ułanem — myślałem chytrze, gdy mnie ojciec boleśnie molestował i przepowiadał straszną przyszłość. — A jak wrócę do was w rogatywce i z lancą, to mi

wtedy wszystko przebaczycie — snułem dalej dziecinne plany...

Krótko mówiąc — nawet mi przez myśl nie przeszło, że poświęcę się kiedyś zupełnie karjerze sportowej. Piłka nożna, palant i bieganie po polach — to wszystko wiązało się ściśle z mojem życiem, było mi potrzebne jak jedzenie i sen. Stanowiło istotną część mego „ja", nieodłączną ode mnie jak funkcja oddychania. Zawód — to co ojciec nazywał „karjerą" — to było coś oderwanego, o czem marzyłem, jak o czemś dalekiem i niedosięgłem.

— Będę ułanem — powtarzałem sobie z uporem — przechadzając się po ogrodzie, z rękami wciśniętemi w kieszenie. I zaraz słyszę żałosny głos mamy:

— Nie rozpychaj kieszeni, Januszu! Utrapienie z tym chłopakiem. Zobaczysz, że ci zaszyję kieszenie...

Dotrzymało matczysko obietnicy. Pewnego razu przy rannem wstawaniu, zauważyłem, że się stało coś złego. Coś się zmieniło w mojem ubranku. Kurtka jest wyprasowana i czegoś jej brak — spodeńki również są jakieś inne. Przyglądam się — a tu kieszeni ani śladu. Zaszyte i ładnie przyprasowane. A na stole obok łóżka leżą wyjęte z nich drobiazgi, najcenniejsze skarby, których nie byłbym zamienił na górę złota: — tępy kozik, sznurek do latawca, dużo gwoździ, koperta z markami, podkowa — na szczęście, smycz, kilka jabłek dla koni, itd. itd. No i brudna chustka do nosa, którą nietylko się nos wyciera, ale i spotniałą szyję klaczy, jakoteż zabłoconą piłkę nożną.

Czułem się straszliwie upokorzony, tembardziej, że nie miałem gdzie chować chustki, która bądźcodządź przydaje się, gdy się ma katar. Z drugiej strony nie chciałem już martwić matki, która i tak dość miała ze mną kłopotu. Wziąłem na ambit — i chciałem przekonać „starych", że nawet nie zauważyłem zmiany w ubraniu. Myślą, że mi Bóg wie jaką przykrość zrobili — a ja właśnie gwiżdżę na to i nawet się nie upomnę. Lekceważenie — to moja zemsta...

Opowiadam ten błahy napozór szczegół dlatego, że zaszyte kieszenie są bezpośrednią przyczyną tego, że mam krzywy nos... Nie miałem gdzie chować chustki do nosa, to i przestałem jej używać. Zacząłem wycierać nos, wzorując się na wiejskich chłopcach — rękawem prawej ręki. Oczywiście przy tej sposobności wywierałem ucisk na mój nieszczęsny nos od lewej ku prawej stronie — co po jakimś czasie wywołało niespodziewany wynik. Mama zauważyła ze zgrozą, że mam krzywy nos... Nic nie pomogły kompresy, ani woda gulardowa, ani mój własny system, polegający na tarmoszeniu nosem, w przeciwną stronę — delikatna chrząstka zdążyła stwardnieć — to samo zapewne dzieje się z kukiełkami, modelowanemi w miękkim wosku...

Dzieciństwo pomimo licznych zatargów z dorosłymi — wiodłem beztroskie i pełne przygód, które mi pozostawiły niezatarte wspomnienia. Pamiętam naprzykład jak w roku 1915 (miałem wówczas osiem lat) Moskale cofali się do Warszawy. Podczas postoju w Ołtarzewie chcieli nam spalić płot. Oburzyło mnie to do głębi. Zacząłem gasić ogień i odpychać wielkoludów w sołdackich szynelach. Pięści miałem mocne, a taki byłem wojowniczy, że aż rodzice z mej winy mieli przykry zatarg z „naczalstwem". Żołnierze popasali przez szereg dni — podobało mi się życie obozowe, więc po całych dniach nie było mnie w domu. Zakradałem się do obozu i przyglądałem się ciekawie żołnierzom. Polubili mnie i częstowali zupą z kotła. Matka była w rozpaczy — ojciec wymyślał, wreszcie — nie mogąc sobie dać ze mną rady wywieźli mnie do Warszawy i umieścili u stryja.

Biedny stryjaszek miał widocznie pecha — skoro los mu powierzył wychowanie bratanka. W Warszawie miałem więcej pola do popisu, aniżeli w cichym Ołtarzewie. Można ścigać się po jezdni z tramwajami, można stukać w okna parterowych mieszkań, albo wygrywać pobudkę na szyldach sklepików, należących do ob-

cokrajowców. To też stryj zaczął mnie niebawem zamykać na klucz w jednym z pokojów i powierzał pieczę nade mną starej gospodyni.

Wreszcie znudzony śmiertelnie zwrócił gagatka rodzicom. W Ołtarzewie przyjęto mnie z otwartemi ramionami, ale zaraz się dowiedziałem, że postanowiono oddać mnie do szkoły Nawrockiego, przy ul. Marszałkowskiej.

Bardzo to była miła szkoła — można było podczas pauz wymykać się do ogrodu Saskiego i urządzać mecze piłki nożnej. Ojciec ufał, że pobyt w szkole wpłynie zbawiennie na mój charakter, że się ustatkuję i zakocham w książkach — a tymczasem ja się zakochałem w piłce kunsztownie z gałganów zmajstrowanej. Kopaliśmy ją na sali rekreacyjnej, budząc popłoch wśród spokojniejszych uczniów. Później przenieśliśmy się do Saskiego. Podczas pauz pędziło się tam, galopem. Potem trzeba było wracać w tempie przyspieszonem do szkoły.

Przyznaję się ze skruchą, że się uczyłem tylko wtedy, gdym przeczuwał, że będę „wyrwany" przez profesora. No i jakoś nieźle szło. Wierzyłem w swoją gwiazdę. Każdy człowiek ma swoją gwiazdę — tylko niezawsze dobrą...

Niebawem szmaciana piłka przeistoczyła się w prawdziwą piłkę footbalową, a bezładna gromada chłopców podzieliła się na dwie „reprezentacyjne drużyny". Jedna zwała się „Palestyna" druga „Polska". Grywało się zimą i latem — nie odstraszał nas ani śnieg, ani grad, tylko deszcz ulewny powstrzymywał nas od gry.

W tym okresie miałem pierwsze „sportowe" zmartwienie. Buty moje bezlitośnie poturbowane stawały się powodem dramatycznych scen w domu. Normalne kamasze wystarczały mi w najlepszym wypadku, na trzy miesiące i to z wielokrotnemi zmianami zelówek... Rodzice doszli wówczas do wniosku, że sport został wymyślony na złość rodzicom, bo nadszarpuje budżet domowy i wywołuje straszliwy zamęt w domu.

Codziennie wracałem do Ołtarzewa koleją. Oczywiście z rekordowem spóźnieniem. Lubiłem te eskapady. Urwisowałem w pociągu ile wlezie — byłem utrapieniem konduktorów i pasażerów. Ale wkońcu służba kolejowa przywykła do małoletniego pasażera, który podczas jazdy biega sobie po stopniach, z wagonu do wagonu, czepiając się klamek.

Po przybyciu do domu wysłuchiwałem niezmiennie tragicznego monologu mamy, na temat spóźniających się łobuzów. Robiłem żałosny wyraz twarzy i łgałem bezczelnie, tłumacząc spóźnienie długim pobytem w kozie, oczywiście z winy niesprawiedliwego profesora, który się na mnie „czegoś uwziął"... Do meczów footballowych nie przyznawałem się rodzicom, bo niezrozumieliby mej namiętności do sportu. Gotowiby wyrazić się uwłaczająco o piłce nożnej — a jabym tego nie ścierpiał. Miałem już przecież ekipę przyjaciół, kilkunastoletnich „asów", którzy bardziej mi imponowali niż wszyscy razem wzięci, mędrcy greccy.

W cieniu drzew ogrodu Saskiego poznałem przyszłych czołowych graczy Polonji i Warszawianki. Na myśl mi jednak nie przychodziło, że kiedyś spotkamy się na stadjonach polskich. Poznałem tam Domańskiego, Suchorzewskiego, Zadrożnego, Klimkiewicza, Luksemburga, Szenajcha i innych.

Rozdział II.

Podczas pobytu w szkole Nawrockiego przeżyłem pierwsze sercowe dramaty. Byłem jeszcze w porównaniu z kolegami naiwniaczkiem i bardziej mnie absorbowała piłka nożna, aniżeli myśl o płci pięknej. Ale tak się jakoś na moje nieszczęście ułożyły stosunki w szkole, że wieczorami odbywały się tam kursy dla dziewcząt. Pensjonarki siadywały na naszych ławkach i słuchały wykładów. Z początku nic mnie to nie obchodziło — palant i football zasłaniały mi świat, ale raz zauważyłem, że koledzy pisują listy miłosne do

owych panienek. Zazdrość mnie zaczęła dręczyć. Cóż to — mam być gorszy od nich — ani myślę... I ja także podbiję serce jednej z dzierlatek, płomiennemi epistołami.

Żeby ułatwić sobie korespondencję ponumerowaliśmy miejsca na ławkach — bo nie znaliśmy imion ani nazwisk naszych bogdanek, dostrzeżonych tylko przelotnie, u wrót szkoły. Ja na chybił trafił napisałem sążnisty list do panienki numer trzynasty (zawsze miałem predylekcję do tego numeru), że podbiła me serce, jak piłkę footbalową, że chciałbym uprowadzić ją, jak brankę i galopować z nią konno po „kniejach"; post scriptum było namiętne i obcesowe.

Tegoż dnia woźny, sprzątający klasę, zauważył na ławkach znaki kreślone kredą i zaraz pobiegł na skargę do „ciała profesorskiego". Wynikła z tego straszliwa awantura. Nie sprawdzono, którzy chłopcy byli autorami miłosnych listów — ale ławki od tej pory skrupulatnie ścierano i usuwano wszelkie podejrzane kartki. Jednocześnie skończyły się kursy — nasze bogdanki poznikały „jak sen jakiś złoty" a ja opuściłem gimnazjum i zgodnie z wolą rodziców przeszedłem do gimnazjum dla byłych wojskowych.

W owym okresie prześladował mnie pech — złośliwy pech, ten sam, który wywołał chryję w klasie, z powodu „niewinnych" liścików... Podczas egzaminu, który miał mi otworzyć wrota czwartej klasy w wyżej wymienionem gimnazjum — zdałem dobrze z matematyki. a obciąłem się z języków. A gdy spróbowałem szczęścia w gimn. Władysława IV-ego, to jak na złość — ściąłem się z matematyki, a z języków zdałem „śpiewająco". To się nazywa pech...

Co było robić. Oddano mnie do szkoły powszechnej. A to równoznaczyło ze zmarnowaniem całorocznego dorobku. Powtarzało się to samo, co już umiałem na pamięć i co mnie nic nie obchodziło... Żeby tak zamiast matematyki, albo gramatyki kazano mi uczyć się golfa, albo skoku o tyczce — tobym pewnie dniami i nocami

BIBLIOTEKA UNIW. JAGELL. INSTYTUT M. U.

kuł, jak najęty. Ale gramatykę uważałem za mojego osobistego wroga — i sam nie wiem jak to się stało, żem sobie przyswoił tę zawiłą wiedzę.

W szkole powszechnej nudziłem się okropnie, bo nie było gdzie, ani kiedy organizować „olimpjad" palantowo - footballowych. Bardziej mnie tutaj pilnowano, aniżeli u Nawrockiego. Ogarnęła mnie depresja. Dobry humor odzyskiwałem dopiero w powrotnej drodze do domu, tańcząc odbijanego, na stopniach pędzącego pociągu, i upajając się rzeźkiem wiejskiem powietrzem.

— Skoro tak lubisz wieś i „świeże powietrze" — to zrobimy z ciebie ogrodnika — oświadczyli mi pewnego pięknego poranku rodzice — pójdziesz do szkoły ogrodniczej.

Miałem ochotę zapytać ojca: — a czy tam jest boisko? — ale się ugryzłem w język. Próbowałem wprawdzie oponować, ale rodzice zdecydowali, że tak czy owak oddadzą mnie, na dokończenie wykształcenia do Pomologu. Więc i tym razem zamknąłem się w sobie, zaciąłem zęby i bez słowa pomaszerowałem na ogrodnictwo, z taką miną, jakbym szedł do katorgi.

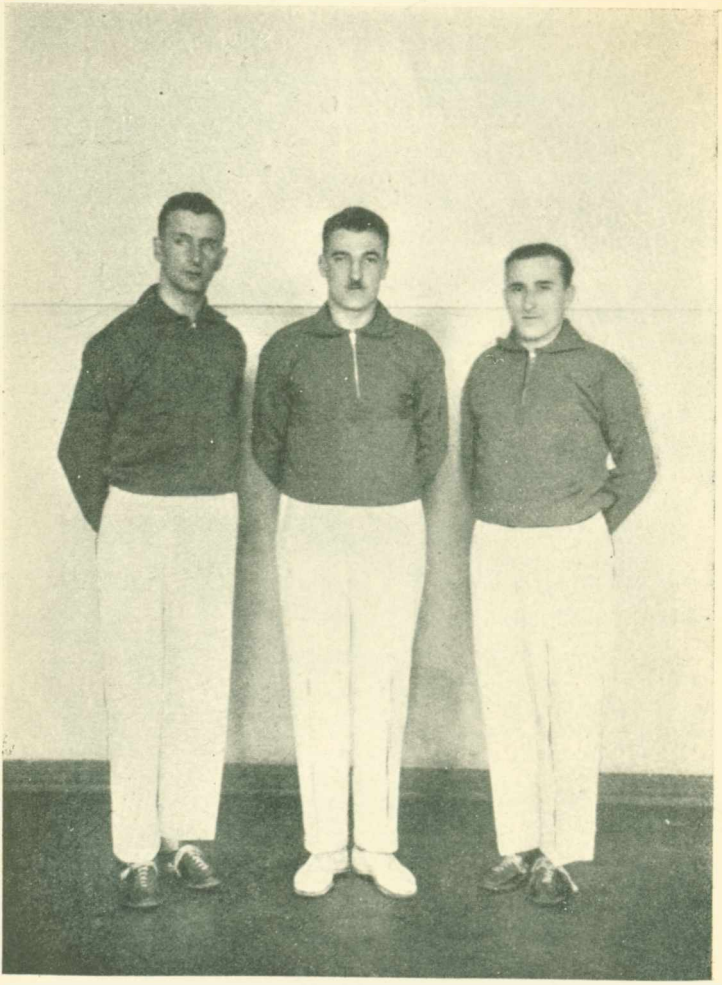
Pocieszyłem się już następnego dnia. Pomolog — czyli państwowa średnia szkoła ogrodnicza — dawała złudzenie wolności. Mogłem jeszcze łatwiej niż przedtem wymykać się na mecze footballowe, nie zwracając uwagi profesorów...

A już w roku 1922-im, kiedy miałem lat piętnaście — zorganizowaliśmy z lepszych graczów, znanych z występów w ogrodzie Raua — klub sportowy „Pretorja". Klub ten istniał bardzo niedługo, jako że nie mieliśmy zdolności organizatorskich... Ale podcas pobytu w Pomologu coraz namiętniej uprawiałem football. Ogród Saski zamieniłem na plac Berberys (zwany dzisiaj placem Starynkiewicza). Należałem do klubu Sparta. O bieganiu nie marzyłem jeszcze — piłka nożna podbiła moje serce do reszty.

W szkole zato miałem same zmartwienia. Na nieszczęście wszyscy koledzy szkolni traktowali naukę se-



Pierwszy mój start z Petkiewiczem w Agrykoli w 1928 roku zaraz po jego przyjeździe do Polski



Personel kierowniczy Ośrodka Wychowania Fizycznego, gdzie zostałem przydzielony w czasie pełnienia służby wojskowej. W środku kpt. Szempliński, kmdt. Ośrodka, wachm. Szelestowski i ja.

rjo i lubili zawód ogrodniczy — ja zaś wstąpiłem do Pomologu ulegając naciskowi rodziców, a już to sami mogło mi odebrać ochotę do pracy.

Nauczyciele mi nieraz mówili: — Gdybyś się tak uczył, jak grasz w piłkę nożną, to byłbyś napewno pierwszym uczniem. I kiwali melancholijnie głowami i spoglądali po sobie porozumiewawczo. A ja myślałem tylko o jednem: — w Ożarowie powstał oto nowy klub sportowy, przezwany Ożarowianką. Muszę tam się zapisać. To dopiero będzie frajda wystąpić w rodzinnych stronach, w roli footbalisty...

Pierwszy mój debiut wypadł podczas meczu Ożarowianki z Józefowianką, o 6 klm. od Ożarowa. Przegraliśmy 8:2, ale te 2 były moją robotą... Jeszcze kilka razy zbłaźniłem się w Ożarowiance, więc zirytowany przeniosłem się do Józefowa, a ztamtąd idąc za namową kolegów — do R. K. S. „Ruch" (B-klasowy). Z początku obiecywano, że będę grał w pierwszej drużynie, lecz gdym się przekonał, że się nie doczekam spełnienia przyrzeczenia, powiedziałem, że nie będę grać w rezerwie B-klasowego klubu. Wolałem grać w C-klasowej, ale zato w pierwszej drużynie. Po długich targach i prośbach uzyskałem zwolnienie i przeniosłem się do klubu, w którym postawiłem pierwsze kroki, na bieżni, to znaczy do „Sarmaty". W klubie tym spotkałem wielu starych kolegów, jeszcze z okresu ogrodu Saskiego. O lekkiej atletyce nie miałem zielonego pojęcia — absorbowały mnie całkowicie mecze o mistrzostwo robotnicze Warszawy.

Football był mi wszystkiem — niewiasty obchodziły mnie tyle co śnieg zeszłoroczny. Nie było czasu na flirty — byłem skryty i nieśmiały, a kobiety lubią tylko... śmiałych. Gwałtownicy zdobywają szturmem niebo i serca kobiet...

Równie mało obchodziła mnie botanika. Zamiast przyglądać się kiełkującej pszenicy, wolałem grać w totka o to, czy wygra „Sarmata", czy też „Skra". Co mnie mogła obchodzić rywalizacja kwiatów — kie-

dy obok mnie wrzała walka takich konkurentów, jak dwa sportowe kluby. Ojciec był na mnie oburzony — a ja tak byłem rozkochany w piłce nożnej, że nie zwracałem uwagi, na niczyje rady i przycinki, tylko się oddawałem z pijackim uporem nałogowi sportu footballowego.

O lekkiej atletyce dowiaduję się z pism fachowych, ale mnie jakoś nie „bierze". Tylko football — i football. Pochłania mnie do tego stopnia, że gdy raz przybyła do Polski na występy drużyna amerykańska, a ja nie miałem pieniędzy na kupno biletu — tom się przedostał do Agrykoli przez płot i śledziłem z ukrycia wspaniałą grę zagranicznych zawodników. Marzeniem mojem było stanąć do reprezentacji piłkarskiej Polski — ale do tej pory marzenie to się nie spełniło.

Jako siedemnastoletni chłopiec należałem do klubu „Sarmata", lecz w 1925-ym posprzeczałem się z kierownikiem sekcji sportowej i oświadczyłem mu, że nie wypisuję się, ale nie będę grać w football. Przestałem brać udział w meczach — zima upłynęła mi bezczynnie, to znaczy, że zajmowałem się tylko studjami ogrodniczemi.

Pewnego razu było święto klubów robotniczych. W związku z tem urządzono bieg sztafet. Byłem wówczas jeszcze tylko footbalistą, poszedłem jednak na mecz przez ciekawość, chcąc się przyjrzeć zawodom. Stałem sobie w tłumie, z rękami w kieszeniach, jako widz. Przyznaję się szczerze, że się mało interesowałem lekką atletyką. Na myśl mi nie przyszło, że wezmę udział w zawodach... Tymczasem w pewnej chwili wśród członków komitetu zrobił się ruch. Okazało się, że jeden z zawodników nie stawił się na zawody. Po chwili poproszono mnie, abym spróbował szczęścia i zastąpił brakującego zawodnika. Powiedziałem sobie — było nie było, raz kozie śmierć — no i pobiegłem. Rezultat był dobry — w biegu 800 m. wygrałem, bijąc drużynę Skry.

Tegoż dnia zachęcony powodzeniem zgodziłem się znowu biec, w sztafetowym biegu 5 × 1000. Wzięliśmy pierwsze miejsce, przed „Skrą".

Jeszcze traktowałem lekko - atletykę po dyletancku. Nie było mowy o racjonalnym treningu, który jest przecie nieodzownym warunkiem zdobycia prężności muskułów i zahartowania organizmu.

Ale jeszcze tego samego roku wziąłem udział w biegu, o mistrzostwo Związku Robotniczych Stowarzyszeń Sportowych, w Rembertowie, Znowu mnie namówiono w ostatniej chwili, żeby tam jechać i wziąć udział w biegu na 3 i pół kilometra, na przełaj. Wygrałem do dobrego zawodnika „Polonji" Szablińskiego. Przyjechał tam z fabryki, nie reprezentując Polonji.

Pędziłem po stadjonie bez pojęcia, na oślep, ale starałem się biec tym samym krokiem co Szabliński, który prowadził. Miał jednak Szabliński dłuższy krok niż ja i uciekł mi o dwadzieścia metrów, doprowadzając mnie do rozpaczy. Jednakże na ostatnich 400 m. przed finiszem dogoniłem i prześcignąłem go. Tym razem brak treningu dał mi się straszliwie we znaki. Błahy napozór fakt obycia się bez pomocy trenera, bez masażu i treningu następnego dnia — odbił się fatalnie na mem zdrowiu. Przez dwa tygodnie nie mogłem wchodzić na schody, tak mnie djabelnie rwały łydki. A byłoby wystarczyło, gdybym po zawodach pobiegał trochę następnego dnia... Laikom wyda się to paradoksem... A jednak...

W dalszym ciągu dzieliłem egzystencję między szkołę ogrodniczą, a mecze sportowe, jednak coraz bardziej serjo myślałem o karjerze sportowej.

W roku 1926-ym stawałem w zawodach o Mistrzostwo Zw. Robotniczego w Marymoncie. Szabliński nie był zgłoszony, biegał poza konkursem — ja również.

Rozdział III.

W 1927-ym otrzymałem zaszczytne miano „robotniczego Freyera". Jak wiadomo Freyer był gwiazdą lekkiej atletyki, stawiano go za wzór początkującym

sportsmenom. Marzyłem o spotkaniu z nim, ale los nie spełnił mego marzenia — ile razy chciałem startować, to Freyer nie mógł brać udziału w zawodach — to znów gdy Freyer był gotów— ja nie mogłem biegać, aż wreszcie śmierć nieubłagana przecięła pasmo jego dni i pozbawiła lekkoatletykę polską wspaniałego „asa". Jak wiadomo Freyer poniósł śmierć w tragicznych okolicznościach, w płonącym domu.

W 1927-ym rozpoczynam niejako nowy okres życia. Usiłuję zbliżyć się do wybitnych zawodników zasięgając od nich rady. Zapoznaję się z zasadami racjonalnego treningu, no i staczam bezkrwawe boje w rodzinnym domu, wiodąc namiętne dyskusje z rodzicami nieubłaganymi wrogami sportu.

— Co ci z tego — mawiała matka, a ojciec dodawał — zdrowie stracisz, nerwy poharatasz i tyle.

W owym okresie zbliżyłem się do Szelestowskiego. Biegłem z nim na trzy kilometry, prowadząc go, Szelestowski próbował pobić rekord polski. Przyszedłem jednak drugi — za nim. (Szelestowski 9 min. 11 sek., a ja 9 min. 20 sek.).

Pozatem stale występowałem na boisku Skry, przy Okopowej, jako „Sarmata". Nie zapomnę jednego biegu w sztafecie olimpijskiej, podczas święta robotniczego, gdy krakowska sztafeta przegrała do Sarmaty. Biegłem wtenczas 800 m. mając do wyrównania 80 m., odrobiłem to i jeszcze na dodatek wygrałem bieg. Czas około 2 minuty i 4 sekundy.

Pierwszy raz owego dnia zrozumiałem jaką podnietą dla zawodnika jest życzliwy stosunek publiczności. Czyż to nie dziwne — że na stadjonie sportowym znikają partyjne swary i osobiste animozje. Wszyscy tworzą jedną rodzinę, połączoną wspólnem umiłowaniem sportu. Osobiści wrogowie stoją ramię przy ramieniu, i zapomniawszy o urazach dzielą się uwagami, na temat zawodników i razem składają ręce do oklasków...

Pamiętam jak dziś rozmowę z jednym z moich przy-

jaciół, niechętnym sportowi. Po powrocie z zawodów spotkałem się z nim, w kawiarni. Jeszcze nie zdążyłem ochłonąć i przejęty byłem jedną tylko myślą — natomiast przyjaciel mój zachowywał zimną krew i przyglądał mi się z życzliwem pobłażaniem.

W pewnej chwili odezwał się w te słowa:

— Wiesz co stary, ja się wcale nie cieszę z tego, żeś dobiegł pierwszy do mety. Zrobią z ciebie sportowca, a sportowiec to najnieszczęśliwsze stworzenie pod słońcem.

Spojrzałem nań zezem i zaśmiałem się śmiechem szatańskim, ale w głębi duszy poczułem coś w rodzaju niepokoju.

— A tak. Będziesz nieszczęśliwy — ciągnął dalej mój przyjaciel — będziesz musiał odmawiać sobie wszystkiego co dodaje uroku życiu — będziesz wieść egzystencję anachorety, jarosza, pijącego tylko wodę i jedzącego kleik na śniadanie. Zamienisz się w automat, w maszynę, w niewolnika. Twoim tyranem będzie trener, który zagląda do talerzy swego pupila, odmierza mu kawę aptecznemi dozami, częstuje winem z kroplomierza i co chwila sadza na wadze, jak niemowlę i sprawdza czy nie przybyło, albo nie ubyło...

— Dajże spokój — przerwałem przyjacielowi kraczesz jak kruk. Ja sobie nie dam w kaszę dmuchać i ani myślę odmawiać sobie przyjemności. Po kiego licha? Rozumiem jeszcze, gdy się ma wzniosły mistyczny cel, dla którego warto znieść najgorsze tortury — ale sport, mój drogi, to eliksir młodości i radości życia. Straciłbym zaufanie do sportu, gdyby w najmniejszym stopniu wpływał na osłabienie radości życia, a czyż taki wyimaginowany przez ciebie automat, niewolnik trenera i djety może być wesoły i zadowolony z życia?

Cała ta rozmowa nie miała zresztą żadnego wpływu na moją dalszą karjerę. Przedewszystkiem dlatego, że jeszcze nie myślałem serjo o poświęceniu się karjerze sportowej. Branie udziału w zawodach było

wyładowywaniem energji, którą każdy z nas w mniejszym lub większym stopniu posiada.

— A ja ci powiadam — krakał od czasu do czasu mój przyjaciel — że jeżeli nie będziesz spełniać dziesięciu przykazań sportowca i nie zamienisz się w głodomora, „prohibicjonistę" i wogóle anachoretę to stracisz formę i zaczniesz przegrywać.

Hjobowe przepowiednie pesymisty narazie się nie sprawdzały.

W roku 1927 - ym wziąłem udział w Biegu naokoło Cytadeli, organizowanym przez 21-y pułk piechoty. W tym wypadku popełniłem grzech śmiertelny, z punktu widzenia sportowców — gdyż biegłem w zwykłych butach. Pomimo to dobiegłem pierwszy, przed Celińskim z Amatorskiego Klubu Sportowego.

Tegoż roku wyjechałem po razpierwszy w życiu, zagranicę. Wprawdzie nie byłem jeszcze racjonalnie trenowany, ale zaryzykowano i wystawiono mnie jako — reprezentanta lekkiej atletyki na wielkie Igrzyska Robotnicze w Pradze.

W biegu na 800 m. przyszedłem trzeci, w biegu na 1500 m. — drugi, za Finem. Do niepowodzenia mogły się przyczynić kiepskie warunki jazdy trzecią klasą, niedobre jedzenie i brak forsy. Dożywialiśmy się knedliczkami i piwem. Byłem zmęczony — a tu na dobitek napiłem się piwa. Ogarnęła mnie senność, zrobiłem się ociężały, no i w rezultacie osiągnąłem gorszy czas niż w Warszawie. Od tego czasu nabrałem wstrętu do piwa i nigdy go do ust nie biorę.

Na tym praskim stadjonie odczułem po raz pierwszy w życiu chęć odnoszenia zwycięstw, na polu sportowem, w barwach polskich. Widok olbrzymiego stadjonu i rozgorączkowanych tłumów wywarł na mnie wrażenie wstrząsające. Ile byłbym dał, żeby zdobyć pierwsze miejsce dla sportu polskiego... Wtedy też uświadomiłem sobie, że nie zdradzę sportu, bo nic nie dałoby mi tyle wewnętrznego zadowolenia i radości.

Jak przepowiadał mój sceptyczny przyjaciel musia-

łem skapitulować na rzecz treningu. Tymczasem warunki w klubie były prymitywne — nie było ani łaźni ani masażysty. Ale „Sarmata" już się stara o trenera i salę gimnastyczną. Przydzielają mnie do grupy Klumberga. Chodzę na trening do gimnazjum im. Mickiewicza. Poznaję tutaj Felka Zubera z „Warszawianki" i kilku zawodników z „Polonji" i „AZS", którzy chcą mnie przeciągnąć do innych klubów. Ale z taką rogatą duszą jak moja trudno było dać sobie radę.

Zostałem w „Sarmacie".

Klumberg imponował mi. Był przecież mistrzem świata. Nie wiedziałem jak z nim mówić. Ale rychło się przekonałem, że as nad asy jest miłym towarzyszem, pełnym prostoty, pozbawionym krzty zawiści, życzliwym dla początkujących sportowców. Najzabawniejsze było to, że nasz trener, który powinien był w pierwszym rzędzie dawać przykład wstrzemięźliwem życiem, lubił zaglądać do butelki i przepadał za gorzką z kropelkami, która ponoć jest trucizną...

Zacny Klumberg zainteresował się mną wziął odemnie czasy na 1500 m. w 4 minuty 24 sekundy i na 800 m. w 2 minuty 6 sekund i obiecał, że mi da trening.

Przez całą zimę uczęszczałem na gimnastykę do Klumberga, który pracuje po fińsku, to znaczy bez zmęczenia, gimnastykując całe ciało bez przyrządów a także z przyrządami (przysiady, wywroty i t. d).

Na wiosnę roku 1928-ego Klumberg opuścił Polskę. Zostałem na lądzie sam — nie mając na pociechę nawet pisanych wskazówek obiecanych przez Klumberga. Nie miałem o to do niego żalu — miał przecie tyle zajęć... Próbowałem jednak robić trening sam, z pamięci.

W marcu spotkałem się po raz pierwszy z czołowymi zawodnikami polskiej atletyki, na 3-im Biegu Narodowym. Przychodzę dziewiąty za Sawarynem, Jaworskim. Tego samego roku biegam w Biegu Magistrackim, przychodzę trzeci za Sarnackim, a drugi za Ko-

walskim, który w ostatniej chwili wskoczył na taśmę i wygrał o pierś.

W roku 1928 biorę po raz pierwszy udział w oficjalnych zawodach, o mistrzostwo Warszawy. No i wygrywam bieg z czasem 16 m. 20 sek. (5000 m.), ale nadwyrężam nogę, wskutek braku masażu. Pokłóciłem się z klubem Sarmata, bo mnie złość wzięła, że w innych klubach zawodnicy mają masażystów a tutaj niema o tem mowy. Nie miałem forsy żeby sobie na własną rękę zafundować masażystę. A tu na domiar złego kierownik sekcji piłki nożnej, Wilczyński obrażony na mnie, bo nie chciałem grywać w football — sprzeciwił się instalowaniu w klubie stałego masażysty.

Później nastąpiła eliminacja i sposobienie się do Olimpjady, która miała się odbyć w Amsterdamie. Liczyłem na to, że wezmę w niej udział, o ile będę miał poniżej 16 m. Tymczasem w lipcu na eliminacji przegrywam bieg do Kowalskiego, grubo powyżej 16 m., gdyż na ostatniem kole chwycił mnie skurcz ścięgna.

Wracam kulejąc do klubu srodze zmartwiony, pocieszając się, że na Olimpjadę i tak nikt nie jedzie z Polski. W klubie dowiaduję się znowu, że mój „przyjacel" W. oświadczył iż póki on jest w klubie, masażysty nie dostanę... Tymczasem znaleźli się dobrzy koledzy, którzy pospieszyli mi na pomoc. Zacności kolega Zuber, którego poznałem w zimie, porozumiał się z kolegą sportowym Buczyńskim i razem mnie masowali, czego im nigdy nie zapomnę... Dużo jeszcze miałem przykrości i kłopotów, ale wreszcie w roku 1928 przeniosłem się na stałe do Warszawianki, gdzie tkwię po dziś dzień.

CZĘŚĆ DRUGA

PO SZCZEBLACH DO SŁAWY

Rozdział I.

Przenosiłem się do Warszawianki z przygodami. Na dwukrotne podanie o zwolnienie nie otrzymałem odpowiedzi. Piszę więc list do warszawskiego okręgowego związku. Jego to interwencji oraz życzliwemu stosunkowi kierownika lekkoatletycznej sekcji Sarmaty, który mi na własną odpowiedzialność dał zwolnienie — mogłem się przeprowadzić do Warszawianki.

W tym też czasie miałem innego rodzaju kłopot, pośrednio związany ze sportem, a bezpośrednio — z kobietami.

Zaznaczam z przykrością, że pomimo młodego wieku zdążyłem przekonać się, iż kobiety ogromnie są wrażliwe, na rozgłos i sławę. Ten sam osobnik, na którego nie będą raczyły patrzeć — stanie się ich ulubieńcem, o ile zdobędzie popularność. Jednem słowem — pewien typ kobiet leci do światła sławy, niby ćmy. Że sobie przy tej sposobności nieraz opalają skrzydełka — to rzecz oczywista. Nieśmiały chłopiec nie umiejący trzech zliczyć, zwany przez niewiasty tumanem, lub fajtłapą, wyda się im królewiczem z bajki, o ile naprzykład wygra los na loterji, albo przybiegnie pierwszy do mety...

W okresie kiedy zaczęto o mnie mówić, jako o sportsmenie — spostrzegłem, że cieszę się większem powodzeniem niż dotychczas, zarówno u młodych jak i u sędziwych niewiast. Otóż jadąc pewnego razu tram-

wajem zauważyłem, że siedząca naprzeciwko dama, osoba niezmiernie otyła i wymalowana, jak lalka — obrzuca mnie namiętnemi spojrzeniami. W pewnej chwili wyjęła z haftowanej w róże torebki jakąś fotografję i zręcznym ruchem pokazała mi ją, poczem szybko schowała do torby. Przez mgnienie oka dostrzegłem własną fizjonomję uwięzioną w czworokąt skórzanej ramki. Tymczasem dama mrużyła omdlewająco oczy i układając wargi w ciup, zdradzała silne zmieszanie.

Wstałem i potrącając pasażerów wypadłem jak z procy, z wagonu.

Nazajutrz nie myślałem już o niemądrem spotkaniu z sędziwą wielbicielką, którą w duchu przezwałem koczkodonem, lecz sama się przypomniała mej pamięci... Późnym wieczorem posłaniec przyniósł mi wiązankę purpurowych róż, z bilecikiem, na którym czerwieniały dwa zdania. „Piszę ci krwią z serdecznego palca — dobranoc". Sentymentalna warjatka nie omieszkała zaadresować takim samym atramentem „słodkiej karteczki". Wyobrażam sobie jakie ztąd wnioski wysnuł stary posłaniec... Patrzał na mnie z wyraźną ironją...

Od tego czasu przez jakieś dwa tygodnie byłem bombardowany kartkami, bukietami, cukierkami. Nazywano mnie „Najdroższym mistrzem", „sokolookim Januszem", dama rozpływała się w zachwytach nad rozmaitemi szczegółami mej zgoła nie greckiej akademji, przyrównywała moje „lotne nogi" do jej lotnych myśli, opowiadała mi o swej duszy i wogóle. Jednem słowem robiła co mogła, żeby mi obrzydzić miłość, kobiety, no i sport — bo przecież nie czemu innemu, tylko właśnie sportowi zawdzięczałem jej afekt.

Kwiaty odsyłałem przez posłańców, którzy zaklinali się, że nie wiedzą gdzie mieszka tajemnicza dama, cukierki rozdawało się łobuzom, bawiącym się na ulicy — gorejąca niewiasta nie zrażała się niczem. Kiedyś podczas zawodów usiłowała wtargnąć na stadjon z wiech-

ciem polnych kwiatów, a wieczorem przysłała płomienną epistołę, w której stawiała mi ultimatum: jeżeli w przeciągu tygodnia nie odpowiem wzajemnością na jej uczucia, to ona zastrzeli mnie i siebie i to na stadjonie, „żeby był rozgłos".

Daję słowo, że zacząłem serjo przemyśliwać o powrocie do ogrodnictwa na całego. Romantyczna jejmość obrzydziła mi nawet sport — bo zrozumiałem na jakie przykrości bywają narażeni popularniejsi zawodnicy.

Na szczęście niebawem rozpoczęły się w cyrku popisy jakiegoś ładnego akrobaty. Dama, której nigdy zresztą nie miałem przykrości poznać osobiście napisała mi długi pożegnalny list, zawiadamiając mnie, że miała wprawdzie zamiar powiesić się z rozpaczy, lecz postanowła powiesić się na szyi sympatycznego młodzieńca, który okazał się subtelniejszym i szlachetniejszym, od wszystkich lekkoatletów razem wziętych.

Wyobrażam sobie, co musiał przeżyć biedny akrobata. Współczuję mu...

Tymczasem nasi pojechali do Amsterdamu. Jakże im zazdrościłem. Nie miałem urazy ani do Malinowskiego, ani do Forysia, Biniakowskiego czy Weissa. Ale, doprawdy, złościło mnie to, że pojechały „słabe" niewiasty bronić barw Polski, gdy ja, kórego marzeniem było skruszyć kopję ze słynnymi długodystansowcami — Finami, musiałem pozostać w kraju. Zresztą chory i psychicznie wyczerpany. Zazdrościłem z całgo serca Konopackiej, Kobielskiej, Breuerównie i Kilosównie, że pojechały do Amsterdamu, że potrafiły zdobyć odpowiednie minimum olimpijskie, a ja zmaltretowany tem wszystkiem, zniechęcony, pozostałem w kraju. Pocieszałem się tylko tem, że żaden z długodystansowców polskich nie wyszedł zwycięsko z eliminacji. Ale cóż, były to raczej pocieszenia człowieka, który i tak nie ma już w danej chwili nic do stracenia, niż zawodnika, który chce poświęcić się karjerze sportowej.

Tęsknota za olimpjadą spędzała mi sen z powiek. Stałem się jeszcze bardziej skryty, bojaźliwy i niedostępny, niż dotychczas. Ogarnęła mnie poprostu apatja. Zastanawiałem się czy wogóle nie skończyć z bieżnią. Rozmyślałem w czasie długich bezsennych nocy nad tem, czyby nie poświęcić się bardziej „niezawodniejszemu" zainteresowaniu.

Zdawało mi się, że wszystkie siły złe uwzięły się na mnie, aby mój zapał, młode siły i chęci podeptać. Byłem w rozterce. Zdawało mi się, że wszyscy odsunęli się ode mnie. Koledzy jakoś inaczej na mnie patrzyli, wyczuwałem w każdym ruchu, w każdem słowie jakąś niechęć i jakby urazę za to, że nie potrafiłem przekroczyć tej nieszczęsnej szesnastki. Zresztą sam byłem zły na siebie. Zwierzałem się ze swych zmartwień rodzicom(nie chciałem mówić o tem z kolegami), ale jak na złość rodzice byli raczej zadowoleni z mych kłopotów i tem doprowadzali mnie do ostatecznej rozpaczy.

— Cóż ci z tego przyjdzie? — starał się uspakajać mnie ojciec. — Ze sportu nic nie będziesz miał. Jak sam widzisz, dotychczas masz tylko zmartwienia i kuracje. Poprostu nie urodziłeś się na sportsmena i daj wszystkiemu spokój. Staraj się myśleć o czem innem. Czy sądzisz, że świat tylko stoi na sporcie?

Wszystkie moje argumenty odbijały się jak groch o ścianę. Tłumaczyłem rodzicom, że przecież nie odrazu Kraków zbudowano, że do wyników, które wyróżniają ludzi z pośród innych, dochodzi się po długiej i usilnej pracy i racjonalnym treningu. Nic nie pomagało. „Staruszkowie" uwzięli się i, pomimo, że od kilku lat przyzwyczajałem ich do myśli o sporcie, — obstawali przy swojem zdaniu.

— Tylko uczciwą pracą — mawiali — można zdobyć szacunek i pozycję w życiu. A sport... owszem, ale w wolnych chwilach i nie zabardzo...

Wobec takiego stanowiska rodziców, spostrzegłem, że jestem odosobniony, że tylko na siebie mogę liczyć i tylko samemu sobie mogę się zwierzać. To pogłę-

biło we mnie nieufność do wszystkich i jednocześnie wytworzyło jakąś bojaźliwość i skrytość. Machnąłem ręką na wszystkie przejawy „życzliwości" i postanowiłem odtąd polegać tylko na sobie.

Dziwią się dziś niektórzy, że jestem skryty i nieufny. Proszę mi wytłumaczyć, proszę mi dać takiego, któryby postąpił inaczej. Bieżnia zaimponowała mi, pierwsze wyniki moje utwierdziły mnie w przekonaniu, że przy odpowiedniej pracy nad sobą będę mógł „coś z siebie wydobyć", tymczasem otoczenie jak najbardziej zniechęcało mnie do wysiłków, paraliżowało moje ambicje i nadzieje na przyszłość. Sądzę, że jestem wytłumaczony.

Dlatego też wziąłem się energicznie do pracy. Wszystkie rady Klumberga zacząłem wprowadzać w czyn. Trenowałem, jak mogłem i jak umiałem. Bieżnia, względnie kryta hala, gorąca łaźnia, masaże i specjalne dożywianie — stały się moją codzienną troską. Nie znaczy to jednak, żebym stał się jakimś pustelnikiem, któryby wyrzekł się przyjemności i życia. „Użycia" — tak.

Rozumowałem: jeżeli mam wyrzec się uroków, które uprzyjemniają i tak smętną dolę człowieka na tym świecie, tylko poto, aby zabłysnąć jako gwiazda lekkoatletyczna to nie warto. Wyrzec się wszystkiego, zostać pustelnikiem i zamienić się w chronometr — nie, nie chcę! Wybrałem drogę pośrednią. To znaczy, powiedziałem sobie: układam program dnia. Dzień dzielę dla siebie i dla sportu. Nie nadużywam go, ale też i nie poświęcam się całkowicie. Rano i przed południem, poza pracą naukową, należę do sportu; wieczór do mnie należy.

W ten sposób mijały dni. Starałem się zapomnieć o niefortunnej dla mnie eliminacji olimpijskiej, ale napróżno. Tęsknota za wyjazdem i... ze skruchą przyznaję się, zazdrość — nie dawały mi spokoju.

Tymczasem wypadki następowały szybko po sobie. Wybrańcy — reprezentanci barw polskich na terenie

międzynarodowym wyjechali do Amsterdamu, ja zaś znalazłem się w „Warszawiance". O perypetjach, jakie musiałem przejść zanim zostałem członkiem tego klubu, już pisałem. Nagrodził mi je pierwszy „występ" w klubie.

Przyjęto mnie nadzwyczaj serdecznie, spotkałem tutaj swoich starych przyjaciół i znajomych jeszcze z lat dziecięcych. Zaopiekowano się mną troskliwie. Mam to do dziś dnia w pamięci i napewno nie zapomnę im tego nigdy.

Już pierwsze dni mego pobytu w klubie utwierdziły mnie w przekonaniu, że tylko w atmosferze, jaką może stworzyć wielki klub sportowy, będzie czuł się dobrze zawodnik, który chce prowadzić racjonalny trening i przygotować się do startu. Znajdzie tam odpowiednie warunki, oparcie i opiekę. Stwierdzam, iż zaopiekowano się mną bardzo serdecznie.

Specjalną uwagę zwrócił na mnie Olek Szenajch, gwiazda lekkoatletyki polskiej, jeden z pierwszych sprinterów i podówczas rekordowiec polski. Przylgnęli do mnie Żuber i Buczyński, którym nie zapomnę pierwszych masaży, podtrzymujących moje mięśnie i ścięgna. Spotkałem tu Zwierza, Forysia, Domańskiego i Sarnackiego, chluby naszego sportu, z którymi tak zawsze marzyłem przestawać i pracować.

Nie zapomnę nigdy naszego spotkania z Krotkieskim, świetnym piłkarzem, któremu mimochcąc zrobiłem kiedyś krzywdę na boisku.

W „Warszawiance" czułem się świetnie. Serdeczny stosunek kolegów klubowych dawał mi nadzieje na przyszłość. Teraz dopiero utwierdzałem się w przekonaniu, że mogę zostać „czemś" i że moje starania nie pójdą na marne.

Rozdział II.

Bez przesady rok 1928 był dla mnie przełomowy. Jak już powiedziałem, w roku tym wstąpiłem do „Warsza-

wianki", gdzie mnie tak serdecznie przyjęto. W tym też roku spotkała mnie bodaj jeszcze większa przyjemność — bowiem ukończyłem szkołę ogrodniczą, miałem „fach", no i dyplom w kieszeni.

A „papierek" ten, o który walczyłem trzy lata, nie przyszedł mi tak łatwo. Nigdy nie miałem specjalnej chęci do nauki, a już w ciągu ostatnich lat mych studjów, szkoła dawała mi się tyle razy we znaki, że dużo silnej woli i hartu musiałem zużyć, aby nie przerwać nauk. Przypuszczam też, że niechęć ta była powodem wielu figlów, jakie płatałem w szkole kolegom i profesorom.

Profesorowie niezbyt mnie lubili, uważali bowiem, że jestem najbardziej psotliwy i gadatliwy ze wszystkich. Dałem się im porządnie we znaki. Powszechną przecież jest tajemnicą, że „ciało profesorskie" nie jest zachwycone, gdy się na lekcjach podpowiada. Ja zaś słynąłem w szkole jako „zawodowy podpowiadacz".

Przypomina mi się tu pewien wypadek, który o mały włos nie pociągnął za sobą smutnej konsekwencji — usunięcia mnie z uczelni. Odbywał się egzamin z chemji. Wykładał nam profesor P., najzacniejszy z ludzi, jakich znałem. Może właśnie dlatego stał się przedmiotem żartów całej klasy, a moich przedewszystkiem.

Zdawał wtedy właśnie jeden z moich kolegów, Kwiatkowski. Biedak nic nie umiał. Podyktowałem mu więc pocichu wzory chemiczne, o które chodziło profesorowi P. Wszystkoby się dobrze skończyło, gdyby nie przyszło do objaśnienia tych wzorów. Kwiatkowski bąkał coś pod nosem, wkońcu zaczął mówić to, co mu na język przyszło, bez żadnego związku ze sprawą.

Oburzyło to tak profesora, że biedak zdenerwował się, obdarzając nieszczęsnego Kwiatkowskiego gromem niezbyt pochlebnych dla niego epitetów. Korzystając z zamieszania zacząłem podpowiadać Kwiatkowskiemu. Sądziłem, że nauczyciel tego nie zauważy. Tymczasem zrobiła się jeszcze większa awantura.

„Wyleciałem" jak z procy za drzwi, gdzie nadomiar złego spotkał mnie przechodzący podówczas korytarzem inspektor.

Tylko wielka skrucha, jaką okazałem i solenne przyrzeczenia, że się to nigdy już w życiu nie powtórzy, uchroniły mnie od „wylania" ze szkoły.

Zły byłem na siebie i wszystkich, przeklinałem na czem świat stoi. Musiałem bowiem zdawać oddzielnie i prof. P. usilnie starał się o to, aby „wszechstronnie" mnie wypytać.

Drugi wypadek szkolny, który utkwił mi w pamięci, był może nawet przykrzejszy w skutkach. Przykrzejszy dlatego, że do dziś dnia noszę jeszcze po nim znaki. Sprawa przedstawiała się napozór bardzo niewinnie.

Bardzo często odbywały się u nas wykłady z przezroczami. W sali gasło światło, ekran jaśniał tysiącem odmian cebulek i kwiatów. Naogół panował półmrok, stwarzając błogą atmosferę do poobiedniej drzemki. Nie potrzeba tu chyba dodawać, że chcieliby z niej skorzystać wszyscy.

Nie wszystkim się to jednak udawało. Belfer bowiem miał swoich pupilów na uwadze. Wprawdzie nigdy nie przerywał swojego wykładu. Monotonny jego głos słychać było przez całą godzinę, dopiero gdy robiło się światło, „śpiący królewicze" wędrowali... do kozy. Oczywiście i ja kilkakrotnie znalazłem się na tej smutnej liście.

Ale przecież na sposoby są sposoby.

Bezpośrednio do klasy przylegał korytarzyk, w którym znajdowała się szafa szkolna dla profesorów oraz improwizowana mała szatnia. Korytarzyk ten miał nie duże okno, które wychodziło na ogród Botaniczny. Wielkie rzeczy zawsze odkrywa się najprostszym sposobem, to samo było i ze mną. Poprostu, gdy na sali gasło światło i gdy już profesor odczytał listę obecności, wymykałem się z zachowaniem wszystkich ostrożności, do korytarza i tam na paltach moich zacnych profesorów „ucinałem" sobie drzemkę.



Zapisuję kandydatów na kurs instruktorów w Ośrodku Wychowania Fizycznego



Urlop wypoczynkowy po wyjściu ze szpitala po pamiętnym wypadku na trójmeczu w Rydze spędziłem jako widz na mistrzostwach lekkoatletycznych Polski w Poznaniu. Na ilustracji drużyna Warszawianki z „kibicami".

Trwałoby to nie wiem jak długo ,gdyby nasz zacny profesor nie interesował się sportem. Trzeba trafu, że poprzedniego dnia brałem udział w zawodach lekkoatletycznych, w których odniosłem zwycięstwo. Nazajutrz odbywała się właśnie lekcja z przeźroczami.

Jak zwykle, tak i wtedy, po odczytaniu listy obecności, wymknąłem się na korytarzyk i wszystkoby się udało, gdyby...

Po skończonym wykładzie profesor chciał mi pogratulować zwycięstwa. Jak mi opowiadali koledzy, zaczął wodzić wzrokiem po sali. Potem wywołał moje nazwisko. Na sali zapanowała konsternacja. Koledzy wiedzieli o tem, ale nic mi nie mogli dopomóc. Przeciwnie, instynktownie obrócili się twarzami w stronę drzwi, prowadzących do korytarza. To wystarczyło, żeby zdradzić moją kryjówkę.

Profesor szybkim krokiem dopadł drzwi, które na całe szczęście ciężko się otwierały. Ja już nie spałem. Przeczuwając coś złego, jednym susem znalazłem się za oknem. Wprawdzie był to parter, ale skok był wyjątkowo nieudany. Zaczepiłem łokciem o wystający gwóźdź, porwałem ubranie i rozraniłem sobie rękę.

Do dziś dnia mam jeszcze na niej ślad.

Leżąc pod oknem, nic mnie nie obchodziło, ani podarte ubranie, ani dotkliwy ból w rękę. Bałem się kompromitacji. Za wszelką cenę nie chciałem, aby widziano moją ucieczkę. Speszony, podnoszę wzrok do góry. I jakież było moje zdziwienie, gdy w oknie ukazała się sylwetka profesora, który z uśmiechniętą twarzą groził mi poważnie palcem.

Na szczęście i ta awantura skończyła się dla mnie pomyślnie. Profesor wprawdzie wyłajał mnie od ostatnich, zbeształ, groził i wymyślał. Ale czuć było w jego uwagach troskliwość rodzicielską i raczej współczucie, niż gniew.

Jak już zaznaczyłem, ten okres mojego życia był dla mnie wyjątkowo ważny: miałem nareszcie to, o co wal-

czyłem przez długie lata: dyplom w kieszeni. Nazawsze znikała troska zmartwień szkolnych.

Pozwólcie, drodzy Czytelnicy, że zajmę Was jeszcze osobistemi sprawami, nie mającemi nic wspólnego... ze sportem. Chcę wreszcie skończyć z przygodami „człowieka niedojrzałego", jakich miałem, niestety, sporo.

A więc przedewszystkiem intrygowała mnie jedna sprawa. Dlaczegóż, u djaska, koledzy moi i przyjaciele mieli powodzenie u kobiet, dlaczego wypisywali sążniste listy miłosne (wiem o tem najlepiej, bo niejednemu musiałem układać rzewne i chwytające za serce epistoły), gdy tymczasem ja, na uboczu, byłem raczej świadkiem i obserwatorem ich przygód. Miało to może i dobre strony, bowiem nauczyłem się patrzeć na ludzi i dziś, wierzcie mi, rzadko się mylę w ocenie napotkanego człowieka.

Jeden rzut oka, kilka zdań zamienionych wystarczy, aby zgłębić tajemnicę mojego rozmówcy. Nie znaczy to, bym był jakimś psychologiem i znał się na tem. Ot, poprostu praktyka, może intuicja, ułatwiają wydanie trafnego sądu o ludziach.

Ale wracajmy do tematu. Zazdroszcząc kolegom ich sukcesów miłosnych, postanowiłem i ja się zakochać. Trudno mi to przychodziło, uczyłem się słodkich min i szarmanckich ukłonów, aby zostać nareszcie przedmiotem, którym może zainteresować się kobieta.

Pamiętam, jak dziś, niedzielne spacery i randki w Pomologu. Ogród ten w niedzielę zazwyczaj był zamknięty dla zwiedzającej publiczności, ale dzięki naszym staraniom zarząd szkoły pozwolił nam w pewnych godzinach otwierać bramę ogrodu, z czego dochód przeznaczany był na Bratnią Pomoc szkoły. Oczywiście tymi i to w pierwszym rzędzie, którzy wspomagali tę szlachetną instytucję, byliśmy my sami, w dodatku skrzywdzeni, gdyż płacić musieliśmy podwójne bilety — za siebie, no i za nasze towarzyszki.

Rywalizacja kwitła na całej linji. Każdy z nas chciał przyjść w niedzielę do Pomologu z najpiękniej-

szą wybranką swojego serca. Nie będę tu rozwodził się nad tem, jakie awantury na tem tle wynikały. Wrodzona dyskrecja na to mi nie pozwala. Stwierdzam tylko, że wesołe chwile przeżywałem podczas tych niedzielnych spacerów.

Wbrew charakterowi, wbrew memu wewnętrznemu „Ja", które nakazywało mi gwizdnąć na całe to towarzystwo, przejść nad niem do porządku dziennego, „wygłupiałem się" w niemożliwy sposób, w lansadach i uśmieszkach nadskakując pensjonarkom.

Przyznam się, że po pewnym czasie odniosło to pewien skutek. Pensjonarki zaczęły łagodniejszem i tem „lepszem" okiem spoglądać na mnie. Zdawało mi się, że podbiłem świat. Trwało to jednak chwilę, bowiem wybranek moich nie interesował wcale sport, nie chciały słuchać o treningach i wyczynach na bieżni — chciały abym im prawił o miłości.

Stwierdziłem, że do tego nie nadaję się zbytnio. Mimo to zapragnąłem zostać donżuanem. Wpadłem na pomysł. Ponieważ sport nie interesuje kobiet, może więc zdołam pozyskać ich względy innym sposobem.

Wymownym nigdy nie byłem. Przeciwnie, raczej nieśmiały i skryty. Dlatego też postanowiłem nauczyć się pięknie tańczyć, taniec bowiem, tak mi się zdawało, powinien stać się magnesem, który przyciągnie do mnie roje wielbicielek.

Stworzyliśmy z kolegami wspólny komplet tańca i zaczęliśmy pilnie uczęszczać na lekcje. Ale i tu znów popełniłem zasadniczy błąd. Nie szły mi wsmak tanga, bluesy i foxtrotty. Zakochałem się w oberku i mazurze. W ferworze zapomniałem, że tańce polskie nie były wówczas modne. Kobiety szalały za murzyńskimi „wydziwiasami", lekceważąc sobie kujawiaka. Ja jednak zapaliłem się na dobre. Zazdrościłem tym, którzy potrafią prowadzić tańce, chciałem za wszelką cenę zostać wodzirejem. Ale cóż, kiedy wrodzona nieśmiałość nie pozwalała mi na jakiś „ryzykowniejszy" występ. Znalazłem pocieszycielkę — w kieliszku. Kil-

ka „większych" znakomicie rozjaśniało moją wyobraźnię, stawałem się, o dziwo, śmiały.

Nigdy nie zapomnę pierwszego mazura, jaki odtańczyłem publicznie. Pochwalić się tu muszę, że wszystkie tajemnice tego tańca posiadałem doskonale, więc też iskry sypały się z pod mych stóp, gdy puściłem się w pląsy. Sam straciłem panowanie nad sobą. Według opowiadania przyjaciela mego, sala cała oniemiała, wszyscy przyglądali się ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

— Jakto, to ten nieśmiały Janusz, który do trzech liczyć nie umie? To on tak tańczy!

— No, no. Musi to być cicha woda, co brzegi rwie— powtarzały ze znaczącą miną mamusie.

Ja tymczasem przeszedłem samego siebie. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że mogłem tak dobrze tańczyć. Dość powiedzieć, że orkiestra cała omdlewała ze zmęczenia, tancerki moje poprostu słaniały się na nogach, a ja, świeży, bez śladów zmęczenia, jak w biegu na 5.000 metrów, byłem pierwszy. W czterech karach, po kolei zastępowałem innych.

Wszystkim się zdawało, że już, już za chwilę upadnę, że przecież nie wytrzymam godzinnego mazura, dowiodłem, że tak nie jest. Pobiłem wtedy swój rekord życiowy, rekord tańca. Tańczyłem półtorej godziny bez przerwy.

Był to mój pierwszy występ taneczny i pierwszy prawdziwy sukces towarzyski. Już w parę minut miałem możność sprawdzić jego skutki. Przedewszystkiem zainteresowały się mną mamusie, które licznie dekorowały sobą ściany sali tanecznej. Zaczęły zaciągać mnie na rozmowy, niezwykle szczodrze darząc komplementami. Później robiły to samo, mniej więcej, i córki.

Przyznam się, że nie byłem zbyt z tego zadowolony. Jeżeli szukałem towarzystwa damskiego, to tylko w tym celu, aby się zabawić. Nigdy w życiu zewnętrzny blichtr nie pociągał mnie. Szukałem ciepła, a nie obłudy. To-

też niezbyt poważnie traktowałem swoje powodzenie, uważając je poprostu jako przejściowe.

Chciałem znaleść kobietę o puszystych blond włosach, dobrym charakterze, milutką, wdzięczną „kotkę" o anielskiej duszy. Chciałem dać się jej poznać, otworzyć przed nią serce. Być zrozumianym i... kochanym. Tymczasem nie mogłem znaleść ideału. Szukałem wszędzie. Wbrew upodobaniom, uczęszczałem dość często na zabawy i wieczorki towarzyskie, ale cóż, ideału, jak nie było, tak i nie było.

W niedzielę i święta chodziliśmy z kolegami na wieczorki taneczne, urządzane w jednej ze szkół tańca w Warszawie przy ul. Chmielnej. Podczas jednego z takich wieczorów poznałem pewną brunetkę (zawsze marzyłem o blondynce!), która, zdawało mi się do pierwszej chwili zawładnęła mem sercem. Tembardziej zaczęła podobać mi się, że była odmienną, od pozostałych. Powinienem był ją bawić, tymczasem ona mnie wciągała w rozmowę i zawsze znalazła tematy interesujące, zaciekawiając i zmuszając do gawędy. Jeszcze teraz dziwię się sobie, że potrafiłem być tak poetyczny i rozmowny.

Po kilku spotkaniach w szkole tańca zbliżyliśmy się o tyle, że ja (o dziwo!) zaproponowałem wybrance randkę. Zgodziła się.

Przyznaję to z przyjemnością, że randki te należały do mych najmilszych chwil w życiu. Zapominałem o wszystkiem, o szkole, gospodarstwie w domu, kolegach, a nawet... i sporcie. Spotykaliśmy się dość często. Urządzaliśmy wycieczki i spacery, lub chodziliśmy do kina albo teatru.

Niema jednak szczęścia bez zmartwień. Zaczęły też one nawiedzać mnie coraz częściej. Przy zadowoleniu i przyjemności, jakie dawały mi te spotkania, wielki dylemat stanął przedemną: skąd wziąć pieniądze? Nie zarabiałem nic, chodziłem jeszcze wtedy do szkoły, miałem tylko to, co dawali mi rodzice. Sumy te, oczywiście, nie mogły wystarczyć, tembardziej, że chcąc

przypodobać się swej pani, potrzebowałem coraz więcej pieniędzy. Chciałem jej imponować prezentami, udawać człowieka niezależnego, któremu wydanie mniejszej lub większej sumy, nie robi różnicy.

Moje tragedje pieniężne rosły niemal z godziny na godzinę. Skąd wziąć pieniędzy? — pytanie to huczało mi po całych dniach i nocach w głowie, pochłaniając mnie niemal całkowicie. Dobrze się jeszcze wszystko układało, kiedy była pogoda. Wysilałem się wtedy na możliwe i niemożliwe argumenty, ażeby dowieść swej wybrance o racjonalności miłego spaceru lub wycieczki. W czasie deszczu traciłem głowę.

Po kilkudniowych takich „cierpieniach moralnych" przyszedł mi genjalny pomysł do głowy.

— Jakto — kombinowałem — uczę się przecież tyle lat, jako tako, choć z trudem wgłębiłem się w arkany fachu ogrodniczego, niema rady, trzeba zacząć myśleć o jakimś zarobku.

Właśnie zbliżała się wiosna. A więc pora roku, którą w ogrodnictwie najbardziej można było wykorzystać. Jednocześnie nastręczały się poważne trudności, bowiem, pomimo skrupulatnych obliczeń i rozmyślań, nie mogłem znaleść ani jednej godziny wolnej, w której mógłbym dorywczo coś zarobić.

Rano, skoro świt (niestety nie zawsze) musiałem wstawać, aby pomóc rodzicom w gospodarstwie, wysłać ludzi w pole, przypilnować. Było to moim codziennym rannym obowiązkiem. W międzyczasie gimnastykowałem się, tak, jak nakazywały przepisy treningu sportowego. Już o 8-ej rano wyjeżdżałem do Warszawy, do szkoły, która najwięcej, jak na złość, zajmowała mi czasu. Wieczorem, oczywiście, nic już robić nie było można, ale nawet gdyby można było, nie chciałbym o tej porze pracować za żadne skarby świata.

Wieczór należał do mnie. Wieczorem przecież spotykałem się ze swą panią.

Myśląc poważnie nad zreorganizowaniem trybu życia, po wielu rozważaniach doszedłem do wniosku, że

jedynym ratunkiem moich zmartwień finansowych, będą „wagary". Nie zaczęsto, ale powiedzmy, tak sobie, dwa razy na tydzień. Nikt nie zauważy, ja tam nie stracę wiele na nauce, a dwa popołudnia będę miał wolne.

Początkowo nawet myśl tę odrzuciłem, uważając ją, jako bezwzględnie szkodliwą. Gdybym jednak nie zdecydował się na to, musiałbym wyrzec się miłych spotkań. Rano uważałem za swój święty obowiązek pomagać przy gospodarstwie rodzicom. O braku pieniędzy mówić im nie chciałem. Nigdybym się na to nie zdecydował, bowiem nie mogłem sprawiać kłopotu swoim „staruszkom", którzy przecież i tak wiele z mego powodu mieli kłopotów i zmartwień.

Decyzja więc zapadła. Pozostawało tylko znaleźć gdzieś zajęcie. Nie było to jednak tak łatwie, jak początkowo myślałem. Nigdzie początkującego, a tembardziej dorywczo pracującego, młodego ogrodnika nie potrzebowano. Nałaziłem się całemi godzinami po ogrodach, wypytując o pracę. Zajęcia musiałem szukać wśród ludzi zupełnie obcych, bo przecież w żadnym wypadku nie chciałem, aby się o tem dowiedzieli rodzice i szkoła.

Maszerowałem więc z ogrodu do ogrodu, bez żadnych wyników.

Zniechęcony i zmęczony, biegłem jednak na randki, które pozwalały mi zapomnieć o wszystkiem. Była już taka chwila, że chciałem zrezygnować i ze szkoły (pal sześć całe ogrodnictwo!) i z pomocy rodziców i ze sportu. Młody i niedoświadczony, nie zdawałem sobie sprawy, że te zawody życiowe, które uważałem za nic do zwalczenia, są niewinną przecież zabawką wobec prawdziwych nieszczęść, jakie nawiedzają nasz padół ziemski i które w późniejszych latach miały również i mnie nie oszczędzić.

Przypadek jednak przyszedł mi z pomocą. Kolega, któremu zwierzyłem się ze zmartwień, dał mi wiadomość o pewnym ogrodzie, którego właściciel nadzwy-

czajny pedant i miłośnik flory, nie mógł sobie dać rady ze szczepieniem drzew, a jednocześnie nie miał zaufania (nauczony widocznie smutnem doświadczeniem) do ogrodników.

Rzuciłem się przyjacielowi na szyję i pobiegłem co sił starczy do owego jegomościa. Staruszek przyjął mnie dość ozięble. Wytłumaczyłem swój cel przybycia, opowiedziałem mu w ciemnych barwach o swoich zmartwieniach (oczywiście nie wszystkich), przedstawiłem fatalne położenie i zaproponowałem mu swą pomoc.

Staruszka snać wzruszyło moje opowiadanie, bo zgodził się, abym mu zaszczepił kilkadziesiąt drzew. Radość mnie rozpierała. Nie wiedziałem, czy mam mu dziękować, czy całować. Do roboty zabrałem się z zapałem. Była to przecież moja pierwsza w życiu praca zarobkowa.

Musiałem zmienić się w usposobieniu i postępować na tyle, że nawet rodzice zwrócili na to uwagę, widząc „Januszka" uśmiechniętego i wesołego. Koledzy również zauważyli we mnie zmiany. — Oho, — szeptali między sobą — Janusz albo wygrał na loterji, albo dostał spadek...

Rzeczywiście, nigdy nie byłem tak wesoły i towarzyski, jak wówczas.

Z pracy swojej wywiązałem się dobrze. Staruszek był zadowolony, ja zachwycony, ale... dyrektor szkoły, zdaje się, najmniej miał powodów do entuzjazmu. Częste moje „wagary" zwróciły uwagę profesorów, rzecz się cała wydała i tylko dzięki temu, że potrafiłem się wytłumaczyć (kochana moja „staruszka" w skrytości przed srogim papą, wystawiła mi odpowiednie świadectwo) uniknąłem groźniejszych następstw.

Drugim zawodem, z którego ciągnąłem pewne zyski było... introligatorstwo. Wiecznie zapędzony, spiesząc się do szkoły, nie zwracałem zbytniej uwagi na książki. To też przedstawiały sobą opłakany widok. Nigdy nie

mogłem dobrze ich poukładać, zawsze wypadały mi kartki. Na oprawę nie miałem pieniędzy.

Ściślej rzecz biorąc rodzice przeznaczali pewną kwotę na oprawę książek, ale nie potrzebuję chyba dodawać, że wolałem zużyć ją na bardziej szlachetny cel... na bilet do kina, lub teatru.

Potrzeba jest matką wynalazku. Zacząłem przemyśliwać, jakby tu zrobić porządek z książkami, a przedewszystkiem pokazać ojcu, że są rzetelnie oprawione. Z początku introligatorka nie szła mi jakoś. Książki, zamiast lepiej, wyglądały jeszcze gorzej, sklejały się, kartki były nierówne. Po pewnym czasie doszedłem do wprawy, porobiłem „ulepszenia" i oprawione przezemnie książki mogły rywalizować z robotą fachowca.

Zacząłem robić konkurencję introligatorom. Po nocach, w wolnej chwili od zajęć, oprawiałem książki kolegom. Otrzymywałem wprawdzie za pracę bardzo niewiele, ale jako tako mogłem łatać swój nigdy niezrównoważony budżet.

W karnawale, poprzedzającym mój dyplom, bawiłem się nieźle. Wciągnięty do paczki najlepszych w szkole tancerzy, chodziłem na bale, przyczem i tu konkurencja kwitła, jak się patrzy. Każdy z nas musiał wykazać się obecnością przynajmniej na sześciu balach. Ja byłem na ośmiu.

Niestety, nie byłem pierwszy w tej dziedzinie. Znaleźli się tacy, którzy z chlubą obnosili kilkanaście karnecików swych dam, świadczących dobitnie, że „minimum" dawno przekroczyli.

Dwa bale z tych czasów utkwiły mi najlepiej w pamięci. Szczególniej jeden urządzony przez szkołę w ogromnej sali przy ul. Kredytowej. Bawiliśmy się świetnie. Czas odejścia ostatniego pociągu już dawno minął, ani myślałem o przerwaniu zabawy.

Pamiętam, jak dziś, dnia tego spadł ogromny śnieg, połączony z potężną zawieją. Jakież było moje przerażenie, kiedy przyszedłszy na dworzec, już dobrze nad ranem, dowiedziałem się, że z powodu zasypania toru,

pierwszy pociąg do Ołtarzewa odejdzie ze znacznem opóźnieniem.

Spóźnić się pod żadnym pozorem do domu nie mogłem, bowiem przyrzekłem solennie rodzicom, że, jak zwykle, rano „odrobię" powinności gospodarskie (zresztą tylko pod tym warunkiem uzyskałem zgodę srogiego papy na pójście na bal). Nieprzybycie na czas groziło skandalem, tembardziej, że już od dłuższego czasu zbierały się chmury nad moim „domowym" horyzontem.

Niewiele było czasu do namysłu. Zgrzany, przyznam się, nawet dobrze zmęczony, postanowiłem odbyć większy... trening Warszawa — Ołtarzew.

Śnieg padał ciągle, wichura dęła ze wszystkich stron — czas najmniej, zdaje się był pomyślny do spaceru. Klątem na czem świat stoi ,ale nie było rady. Zwolna, potem coraz prędzej zacząłem biec w stronę Ołtarzewa. Śnieg siekł mi twarz, palto i kapelusz tamowały mi ruchy, ale strach przed ojcem dodawał mi sił. Chwilami zdawało mi się, że nie dobiegnę, tembardziej, że z powodu śliskiej szosy kilka razy potknąłem się i upadłem, boleśnie się tłukąc.

Ale odniosłem zwycięstwo. Przybyłem do Ołtarzewa przed przyjściem pociągu o godzinie tej, o której miałem być w domu. Jak widzicie więc, trening może się przydać na coś więcej, niż do wygranej na bieżni. Byłem wtedy bardziej zadowolony, niż gdybym pobił na głowę wszystkich swoich konkurentów z klubu.

Papa był ze mnie zadowolony, nie szczędził pochwał, a widząc moje ogromne zmęczenie, nie chciał ani słyszeć o mojej pomocy. Mama troskliwie wpakowała mnie do łóżka.

Rozdział III.

Ostatnie wakacje po skończeniu budy spędziłem, jak zwykle, w domu rodzicielskim. Pogoda wyjątkowo dopisywała, toteż okolice zapełniły się przyjezdnymi z Warszawy letnikami. Dużo młodzieży, dużo ładnych

panien, było w czem wybierać. Wakacje minęły wesoło. W ciągu dnia urządzaliśmy wycieczki i spacery, wieczorem odbywały się zebrania taneczne, dzięki sąsiadowi, który przywiózł doskonały gramofon z Warszawy.

Wszystkie te zabawy, które, jakby się zdawało, zawładnęły mną całkowicie i powinny były ostudzić mój zapał do bieżni, raczej potęgowały moją ambicję i chęć do treningu. Jak już wspominałem, Klumberg wyznaczył mi trening i nakazał solennie odrobić w czasie jego nieobecności, wyjechał bowiem z naszą drużyną olimpijską do Amsterdamu.

A trening był niezwykle forsowny i wymagał dużo pracy. Żegnając się ze mną, Klumberg wręczył mi kartki zapisanego papieru i rzekł łamaną polszczyzną:

— Panie Januszek, masz pan tu trening „fiński". Jeżeli pan chcesz być w przyszłości czemś, musi pan wypełnić to wszystko ,co tu jest podane.

Podziękowałem mu gorąco za wszystkie jego starania, za opiekę dotychczasową, życzyłem mu sukcesów i czemprędzej pojechałem do domu, aby z zaciekawieniem przeczytać, co też mi Klumberg nakazał robić, bym został „czemś".

Już pierwsze wiersze zdań napisanych przez Klumberga przyprawiły mnie niemal o mdłości. Tak, to rzeczywiście był trening „fiński" (dlaczego fiński — do dzisiejszego dnia nie wiem. Ja bym go raczej nazwał „koński"). Aby móc zrobić to wszystko, czego chciał Klumberg, musiałbym stać się maszyną. I to nie wiem, czy maszyna długoby wytrzymała tego rodzaju pracę, bez remontu.

Powiedziałem sobie: będę się starał zrobić wszystko, a jak mi się znudzi, to rzucę wszystkie przykazania Klumberga do kosza i zacznę trenować sam. Zresztą i Klumberg nie wierzył, bym mógł cały jego trening wypełnić. Po przyjeździe naszych z Olimpjady, mój kolega klubowy, Żuber zwierzał mi się z rozmowy, jaką miał na temat mego treningu z Klumbergiem.

— Po treningu tym — powiedział Klumberg — Ku-

sociński albo zostanie wielkim zawodnikiem, albo zerwie się i będzie zerem.

Gdybym chciał solennie trenować, właściwie nie mógłbym marzyć o żadnem innem zajęciu, nie mówiąc już o zabawie. Ja tymczasem chciałem, jak to mówią, i Panu Bogu świeczkę i djabłu ogarek. Bądź co bądź, przez pierwsze kilka dni pracowałem usilnie nad treningiem. Mam wrażenie, że nawet więcej, niż chciał Klumberg.

Trening mój polegał na tem: rano należało gimnastykować się przynajmniej z godzinę. Gimnastyka ta miała wyrabiać i zmuszać do pracy mięśnie brzucha i nóg. Ruchy gimnastyczne, jakie miałem wykonywać, były zbliżone do gimnastyki szwedzkiej. Aby zwiększyć pracę mięśni nóg, ustawiłem sobie w pokoju rower (zresztą pożyczony od kolegi), umocowałem go nieruchomo tak, że tylne koło znajdowało się w powietrzu, dosiadałem nań i „jeździłem" tak z dobre pół godziny bez przerwy.

Przyznaję się szczerze, że gimnastyki nie lubię. Nie lubię może dla tego, że kazano mi ją uprawiać jeszcze w młodych latach, wtedy, kiedy najmniej miałem do tego ochoty. Z dwojga złego wolałem już „jeździć" na rowerze.

Kiedy przyszły żniwa, zamiast gimnastyki, wyjeżdżałem skoro świt z ludźmi w pole, brałem kosę do ręki i kosiłem. Przypuszczałem, jak się później okazało zresztą zupełnie słusznie, że praca kosą znakomicie rozwija mięśnie brzucha i nóg, szczególnie bioder. Wprawdzie najlepiej rozwija mięśnie rąk, ale przecież, jakkolwiek nie potrzebowałem sobie ich specjalnie rozwijać, przypuszczałem, że może i to mi się w życiu przyda.

Po kilku dniach doszedłem do takiej wprawy, że wyprzedzałem znacznie kosiarzy. Nie byli oni z tego zbyt zadowoleni, musieli bowiem pracować intensywniej, niżby chcieli. Z drugiej strony byli źli na mnie, że nie mogą nadążyć za 20-letnim chłopakiem. Ja byłem nie-

zmordowany, nie zważałem na gorąco, na to, że pot nieraz lał się strumieniami z czoła — „waliłem" naprzód.

W ten sposób schodziło mi przedpołudnie. Gdy padał deszcz, jak już wyżej wspomniałem, spędzałem czas w towarzystwie kolegów i pensjonarek.

Prawie codziennie popołudniu, o godzinie 4 jeździłem do Warszawy na trening po bieżni. Musiałem na każdym takim treningu przebiec 1500 metrów, dwa razy po 400 metrów i 1000 metrów, (w ciągu całego dnia) albo dwa razy po 1000 metrów, dwa razy po 400 metrów i 800 metrów. Oczywiście odległości mogłem zmieniać dowolnie, ale w granicach trzech i pół kilometra.

Treningi odbywałem w Agrykoli, gdzie wówczas trenowała „Warszawianka". Po przebraniu się w szatni w kostjum lekkoatletyczny, wybiegałem na bieżnię. Pierwsze kroki musiałem przebiec stosunkowo wolno, aby rozgrzać mięśnie, które pod dotychczasowym nieracjonalnym masażu pracowały anormalnie.

Nigdy nie zapomnę tych pierwszych właściwych treningów Klumberga. Bo trzeba Wam wiedzieć, że oprócz gimnastyki, masaży i trzech i pół kilometra, musiałem zwracać uwagę w czasie biegu na krok swój, ruchy rękami, postawę całego ciała i na szereg innych drobiazgów, któremi suszył mi głowę Klumberg. Przeważnie trenowałem z kolegami klubowymi. Niedługo to jednak trwało. Koledzy nie mogli znieść tak intensywnej pracy, odpadali jeden po drugim tak, że już po tygodniu ćwiczyłem sam. Przyznam się, że z tego obrotu sprawy byłem nawet zadowolony, gdyż uważam trening, jako pewne przygotowanie do właściwego biegu, który nie może w żadnym wypadku odbywać się przy konkurencji. Jakkolwiek przestrzegaliśmy w zasadzie „nieścigania się", to jednak wrodzona ambicja zwycięstwa, którą zakorzenioną w wysokim stopniu posiada każdy zawodnik, zmuszała nas do przyśpieszenia tempa, przez co właściwie trening stawał się nieracjonalny.

Zauważyłem to już w pierwszych dniach, a nawet

w godzinach treningu, ale ze zrozumiałych powodów nie chciałem zwracać kolegom uwagi. Gdy pewnego dnia „ostatni Mohikanin", który pozostał z całej paczki trenującej ze mną, oświadczył, mi, że żałuję bardzo, ale takiego treningu nie będzie mógł dalej obrabiać, westchnąłem z ulgą i jakkolwiek wyraziłem (przez grzeczność) żal, w gruncie rzeczy byłem z tego zadowolony.

Teraz poczułem się panem bieżni. Nikt mi nie przeszkadzał, nigdzie nie potrzebowałem się śpieszyć, trenowałem w pocie czoła.

Jak już powiedziałem, trening zaczynałem od wolnego przebiegnięcia kilkudziesięciu metrów, aby rozgrzać mięśnie. Następnie przychodziły sprinty albo biegi średnie. Na chwilę nie ustawałem w pracy. Po jednym biegu maszerowałem „dla odpoczynku" i zaczynałem drugi. Nic dziwnego, że po kilku dniach tak forsownej pracy, nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Nie pomagały masaże ani gimnastyka. Mięśnie nie przyzwyczajone do tak forsownej pracy, nie chciały działać, przyprawiając mnie tem do rozpaczy.

Masaże otrzymywałem zaraz po treningu. Masował mnie wtedy w Agrykoli Buczyński. Potrzebne one są do rozluźnienia mięśni, które przez pracę na treningu ściągają się i wtedy oczywiście sprawiają dotkliwy ból. Drugim bardzo cennym skutkiem, jaki się osiąga przez odpowiednie masowanie, to elastyczność mięśni, która pozwala im na forsowniejszą pracę, nie męczy ich i nie ściąga.

Masaże w Agrykoli trwały od 10 do 20 minut. Z żalem patrzyłem na biedaka Buczyńskiego, któremu już w ostatnich minutach masowania pot obficie zlewał czoło. Dopiero patrząc na niego, przestałem lekceważyć (jak to dotychczas było) masażystów. Nigdy nie wyobrażałem sobie, żeby to była tak ciężka i odpowiedzialna praca. Nie zazdroszczę im do dzisiejszego dnia.

Po kilku dniach takiego treningu doszedłem do wniosku, że jest on jeszcze zamały. Że jeszcze zamało

pracuję, nie widać żadnych rezultatów, nogi mnie stale bolały, czułem się osłabiony i, przyznam się, zły. Tak to bywa zawsze, ilekroć ktoś niedoświadczony rzuca się w wir jakiejś pracy, której specjalnie nie zna i... chciałby odrazu zbudować Kraków.

Nie bez dumy przyznaję się, że w chwilach tych wykazałem dużo silnej woli. Niejeden napewno zniechęciłby się tem, przechodząc nad swym wmawianym przez wszystkich „talentem" do porządku dziennego. Ambicje jednak moje wzięły górę. Upokorzony niedawno na mistrzostwach Warszawy, powiedziałem sobie krótko: albo zdobędę mistrzostwo Polski, które się miało odbyć niebawem, albo jestem poprostu patałach i zrywam raz na zawsze z bieżnią. Zamiast więc pofolgować sobie, odpocząć, podwoiłem trening.

Zacząłem trenować dwa razy dziennie. Przed południem, na wsi biegałem sobie naprzełaj od 4 do 10 kilometrów, a popołudniu, jak zwykle, przyjeżdżałem do Agrykoli, ale tu już trenowałem na szybkość. Nogi bolały mnie wściekle, ale ja uparłem się (zawsze mi wszyscy mówili, że jestem uparty i krnąbrny). Pociliśmy się razem z Buczyńskim, ja na bieżni — on w garderobie.

Powolutku rezultaty przychodziły same. Z początku coraz mniej bolały nogi, przestałem się męczyć, a co najważniejsze — pocić. Nie ubywało mnie na wadze, nie potrzebowałem specjalnie „dożywiać się", jednem słowem, zaczynałem dochodzić, jak to się mówi „do formy".

Tak, jak przedtem, zły byłem i przeklinałem chwilę, w której żegnałem naszych olimpijczyków, wyjeżdżających do Amsterdamu, tak teraz błogosławiłem ich za to, że nie przyjeżdżają do Warszawy, i że z tego powodu mistrzostwa Polski w tym roku, odbędą się cokolwiek później, niż zwykle.

A ja szedłem do nich całą parą. Nie zważałem na żadne przykrości i upokorzenia, jakie musiałem znosić w tym czasie od rodziców, którzy wciąż nie mogli po-

godzić się z myślą o mojem poświęceniu sportowem. Nie chcieli mnie zrozumieć. I oczywiście nie ze złej woli, ale przeciwnie, z miłości ku mnie, wyrządzali mi krzywdę. Przyznam się jednak, że z punktu widzenia rodziców, papa miał rację. Sam, jeżdżąc do biura, nie miał czasu doglądać gospodarstwa. Matka zajęta sprawami domowemi, nie mogła się rozerwać. I tak biedna staruszka krzątała się od rana do wieczora. Ja natomiast zamiast pilnować gospodarstwa — pędziłem do Agrykoli. Nic więc dziwnego, że praca w polu nie szła tak, jak potrzeba. To właśnie najbardziej irytowało ojca.

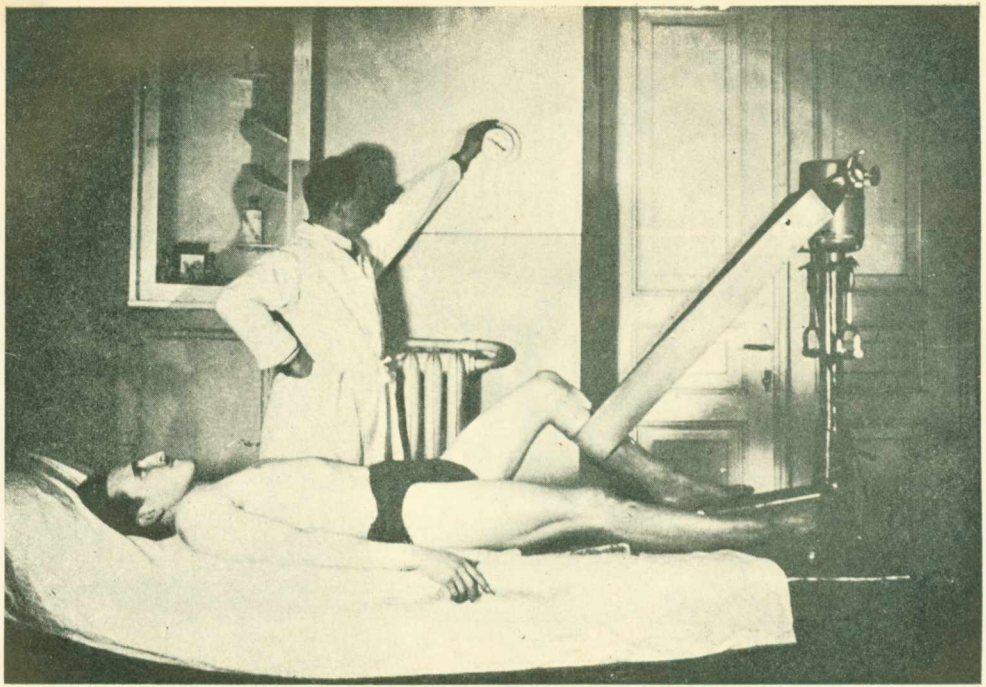
Zacisnąłem zęby na wszystko, unikałem ojca (zawsze się go trochę bałem), ale niewiele robiłem sobie z jego uwag. Byłem już zdecydowany, że pracy swej na polu lekkiej atletyki nie przerwę i zwycięsko doprowadzę ją do końca.

A trening wydawał coraz lepsze owoce. Nikt, kto nie przeszedł racjonalnego treningu, kto się w niego nie wczuje, nie ma pojęcia, co on dać może. Nie wierzę w żadne talenty i cuda, ale stwierdzam z całą stanowczością, że każdy z młodych, tak jak ja byłem wtedy, może dojść do bardzo poważnych wyników w każdej dziedzinie sportu, o ile będzie racjonalnie trenował, no i oczywiście, o ile posiada odpowiednie warunki fizyczne ku temu.

Drugim poważnym, czy nawet nie decydującym bodźcem w mej pracy, była olimpjada amsterdamska. Codziennie kupowałem dzienniki, pochłaniając jednym tchem sprawozdania z wyników olimpijskich. Rozumiałem dobrze, że młody nasz sport nie może liczyć na poważne sukcesy w Amsterdamie, ale jakżeż mi było przykro, jakżeż czułem się upokorzony, czytając o zwycięstwach Finnów, Amerykanów, Niemców i innych, gdy tymczasem o naszych było głucho. To też, gdy pewnego dnia wyczytałem olbrzymiemi literami wypisaną na pierwszych stronach dzienników wiadomość o wspaniałym sukcesie Konopackiej, która zdobyła laur olim-



W zimę pilnie trenuję w Łezienkach, przygotowując się do letniego sezonu lekkoatletycznego



Od czasu do czasu po treningu poddaję się naświetlaniu oraz gruntownemu masażowi elektrycznemu.

pijski i mistrzostwo świata w rzucie dyskiem, przysiągłem sobie, że muszę jej dorównać. Przy niezwykłym szacunku sportowym, jaki nabrałem do niej za obronę honoru barw Polski, w bezkrwawej bitwie kilkudziesięciu narodów — ambicja moja męska została w najwyższym stopniu podrażniona. Jakto — myślałem — czyż my, mężczyźni, nie potrafimy walczyć i zdobywać cennych punktów dla naszego sportu na międzynarodowej arenie, muszą to dopiero robić „słabe" niewiasty. Ja tego dokażę! Nie będziemy szli w ogonku wyników słabej płci pięknej.

Wstyd mi było za tych wszystkich, których kobieta prześcignęła. Napewno więcej martwiłem się tem i gryzłem, niż oni sami.

Bezwątpienia był to najpoważniejszy powód mej syzyfowej pracy. Zresztą po pewnym czasie sam trening, który dla wielu może wydawać się nudny i przykry, dla mnie stał się przyjemnością. Przekładałem go daleko więcej od zabaw lub tańca. Patrząc na swoje wyniki, które polepszały się z dniem każdym, wytworzył się we mnie jakiś pęd do pracy, myśl o zwycięstwie nie dawała mi spokoju i może zdawało mi się, niwelowała zmęczenie i ból.

Rozdział IV.

Z niecierpliwością oczekiwałem na powrót drużyny z Amsterdamu, a ściślej mówiąc, Klumberga. Z niecierpliwością czekałem na chwilę, w której będę mógł poddać swoje wyniki krytyce tego znakomitego trenera i usłyszeć jego zdanie. Wreszcie marzenia moje się ziściły: drużyna przyjechała, ja zaś natychmiast zameldowałem się u Klumberga. Nigdy nie zapomnę tego spotkania.

Kiedy przyszedłem do niego, był zdziwiony czy może udał zdziwionego.

— Jakto — przywitał mnie ze znaczącym uśmie-

chem — pan jeszcze może swobodnie chodzić? Czy pan wszystko odrobił, co panu poleciłem.

Na moje zaklęcia i dawane słowa, że nietylko to, co chciał, ale dużo więcej przetrenowałem, nie chciał wierzyć.

— To jest niemożliwe — oświadczył mi dość ostro, podejrzewając, że go „nabieram". — Zresztą — dodał— zobaczymy. Jutro wieczorem pokaże mi się pan na bieżni w Agrykoli.

Uszczęśliwiony wybiegłem na ulicę. Jednym tchem byłem w Agrykoli. Chciałem przed jutrzejszym występem sprawdzić raz jeszcze swój czas i przygotować się do niego.

W nocy nie spałem. Nie wiedziałem, czy to sen, czy jawa. Zdawało mi się, jakoby Klumberg łajał mnie od ostatnich, że nie umiem podstawowych rzeczy w teorji biegu — jednem słowem, straszne myśli przechodziły mi przez głowę.

Wreszcie przyszła upragniona chwila. Gdy znalazłem się w garderobie, czekał już tam na mnie Klumberg oraz koledzy klubowi. Byłem tak roztargniony, że przy przebieraniu się w kostjum lekkoatletyczny, myliłem się i nie wiedziałem sam, co robię. Zdawało mi się, że mam większą tremę, niż kiedykolwiek miałem przed biegiem. Obecni zauważyli moje roztargnienie, nie szczędzili mi z tego tytułu cierpkich, choć życzliwych uwag.

Nie wiem sam, jak znalazłem się na bieżni. Obok mnie usadowił się Klumberg z kolegami, trzymając stoper w ręku. Magiczny ten przyrząd miał zawyrokować, czy będę godny współzawodniczyć w biegu o mistrzostwo Polski.

Stanąłem na starcie. Emocja i strach nie dawały mi spokoju. Trząsłem się jak galareta. Rozpaczliwym wzrokiem, szukając pomocy, wodziłem po kolegach i Klumbergu. Koledzy uśmiechali się dobrotliwie, Klumberg miał minę pobłażliwą, jakby chciał powiedzieć: „Pocoś tu właściwie wlazł?"

Miałem biec 5 kilometrów i sprawdzić swój czas, a więc była to niejako próba generalna przed mistrzostwami Polski, bowiem na ten dystans zostałem do nich zgłoszony.

Ukryłem malutki stoperek w dłoni, by sprawdzać i regulować okrążenia. Wnikliwy Klumberg zauważył to i odebrał mi stoper, twierdząc, że tylko on jeden powinien znać mój czas. Na znak dany przez niego, ruszyłem.

Party chęcią osiągnięcia jaknajlepszego wyniku, rozwinąłem z punktu mordercze tempo. Nie orjentując się dobrze w czasach, nie wiedziałem, jak biegnę. Zresztą, i tak o wszystkiem zapomniałem. W danej chwili był przedemną jeden cel: zdobyć na tym dystansie swój własny rekord, któryby jednakże był lepszy od czasów uzyskiwanych od Sawaryna i Sarnackiego, dotychczasowych „królów" bieżni. Jak wiadomo, obaj uzyskiwali czasy około 16 minut na dystansie pięciu kilometrów, których ja, pomimo nadludzkich wysiłków osiągnąć nie mogłem.

Nic dziwnego. Była to ekstra-klasa Polski, wobec których żadna konkurencja ostać się wtedy nie mogła.

Umówiliśmy się z Klumbergiem, gdy ten odebrał mi stoper, że wyrazami „minus" lub „plus" będzie regulował moje tempo. Pierwsze okrążenia wypadły dla mnie nadzwyczaj korzystnie, bowiem robiłem je, jak nigdy, poniżej minuty. Klumberg kręcił głową i krzyczał w niebogłosy: „Wolniej!"

W następnych okrążeniach stwierdziłem słuszność jego zdania. Szybkie tempo odbiło się odrazu na moich mięśniach i jasno wskazywało na to, że obrałem złą taktykę i nie starczy mi sił na okrążenia ostatnie, które są przecież w biegu długodystansowym najważniejsze. Zwolniłem więc kroku i na dalsze koła zużytkowałem ponad 70 sekund.

Tak mijał kilometr za kilometrem. Zbliżałem się do mety. Ostatnie okrążenie pomimo szalonego bólu w no-

gach i zmęczenia, zrobiłem szybciej, bo w sześćdziesięciu kilku sekundach.

Po biegu zwróciłem się do Klumberga o jego zdanie. Liczył coś, zapisywał na kartce papieru, w końcu oświadczył mi, nie ukrywając, jakby się zdawało, niezadowolenia, że... zrobiłem czas 16:20, a więc o pół minuty gorszy od czasu Sawaryna, nie mówiąc już o rekordzie Freyera.

Dopiero następnego dnia jeden z moich przyjaciół klubowych, w największej tajemnicy (na słowo honoru) oświadczył, że zrobiłem na treningu czas daleko lepszy, bo poniżej 16 minut i, że Klumberg opowiadał ze wzruszeniem o nadzwyczajnych postępach, jakie w ciągu ostatnich tygodni poczyniłem. Nie chciał mi tego wyznać odrazu, gdyż uważał, że jeżeli dowiem się prawdy, uderzy mi to „do głowy", stanę się zarozumiałym i nie będę chciał dalej pracować.

— Hurra! Zwycięstwo! A więc praca moja nie poszła na marne. Jeżeli potrafiłem na treningu sam jeden uzyskać tak doskonały wynik, to przecież w walce zdobędę się z pewnością na jeszcze większy wysiłek.

Uspokojony tą wiadomością, czekałem spokojnie na mistrzostwa Polski. Spokojnie dlatego, że Klumberg pod żadnym pozorem nie pozwalał mi trenować, uważając, że gimnastyka i masaże powinny wystarczyć.

Na osiem dni przed mistrzostwami, dzięki interwencji mecenasa Litterera, kierownika sekcji lekkoatletycznej klubu „Warszawianki" i W. O. Z. L. A., uzyskałem zwolnienie z „Sarmaty", zapisując się jednocześnie do „Warszawianki".

Opowiedziałem już poprzednio pierwsze wrażenia, jakie odniosłem w tym klubie. Były miłe i sympatyczne. To też zawsze będę je miał w dobrej pamięci.

Rozdział V.

Drugą niespodzianką, poza mistrzostwami Polski, która nie dawała mi spokoju, był zapowiadany przez

P. Z. L. A. przyjazd do Polski Petkiewicza, znanego długodystansowca, który w barwach Łotwy na olimpjadzie amsterdamskiej zajął w biegu na 5 kilometrów siódme miejsce. Przyjeżdżał on na stałe do Polski i, jak twierdzili moi koledzy klubowi, miał powiększyć kadry „Warszawianki".

Byłem ciekaw go poznać i cieszyłem się, że będę miał możność biegać z tak doskonałym zawodnikiem, który podciągnie mnie w formie i stanie się moim wzorem. Petkiewicz przyjeżdżał do Warszawy na studja uniwersyteckie, a Foryś i Żuber jeszcze w Amsterdamie namówili go do zapisania się do „Warszawianki".

Wreszcie przychodzi upragniony dzień 8 września, dzień startu mojego o mistrzostwo Polski w biegu na 5 kilometrów; pierwszy start mój w konkurencji wszechpolskiej z najlepszymi zawodnikami, z którymi zmierzyć się — było dla mnie dotychczas tylko marzeniem. Zawody odbywały się w Agrykoli, w ciągu trzech dni. Na pierwszy ogień poszli sprinterzy, następnie biegi średnie.

W pierwszym dniu był również bieg na 5.000 metrów. Z przykrością dowiedziałem się, że nie zobaczę na starcie najgroźniejszego rywala — Sawaryna ze Lwowa, którego z niewiadomych dla mnie bliżej powodów, „Pogoń" nie zgłosiła w przepisanym czasie do mistrzostw. Wprawdzie uczyniła to później, lecz P. Z. L. A. nie przyjął zgłoszenia i nie mniej zmartwiony odemnie Sawaryn, zajął miejsce na trybunach w roli obserwatora.

Jak zawsze, tak i tym razem przed startem bawiono się w proroctwa, co do ewentualnych wyników. Ogólnymi faworytami byli Sarnacki i Szelestowski. Mnie tylko nieliczni „typowali". Ale na szczęście wśród nich znalazł się Klumberg, moja wyrocznia sportowa, który zupełnie głośno i otwarcie oświadczył, że „Kusy bieg wygra i to w czasie rekordowym, około 15:50".

Wszyscy brali jego oświadczenie z pewnem niedowierzaniem, ja jednak ufałem mu bezgranicznie.

Stanęliśmy na starcie. Stremowany i niepewny siebie, machinalnie szukałem wzrokiem Klumberga, a znalazłszy go, dawałem mu znaki, ażeby o mnie pamiętał. Przed biegiem dał mi tabelkę okrążeń na 15:45, a więc o blisko 10 sekund lepszy czas, niż wynosił rekord Freyera.

Chwile przed strzałem startera wydawały się wiecznością. Wychodziłem poprostu z siebie. Jak na złość najciemniejsze myśli cisnęły mi się do głowy, niepewność i strach przed przegraną odbierały tak cenny spokój. (Nie wiem dlaczego, ale do dzisiejszego dnia przed każdym biegiem przeżywam to samo uczucie i, jakkolwiek przyzwyczaiłem się doń, stwierdzam z całą stanowczością, że w żadnym wypadku nie powinien zawodnik być zbyt pewny siebie, gdyż choćby najmniejsze lekceważenie słabszego zawodnika, może odbić się fatalnie na wynikach biegu).

Jedni radzili mi trzymać się tuż za Sawarynem (dopiero w ostatniej chwili stało się wiadome, że Sawaryn nie startuje), przetrzymać jego tempo i na ostatnich okrążeniach, za wszelką cenę finiszem wysunąć się naprzód; drudzy zaklinali mnie, abym bieg prowadził na tempo i nie oglądał się na nikogo. Wysłuchałem wszystkich doradców, podziękowałem im pięknie, ale usłuchałem Klumberga. Ten, jak już wspomniałem wyżej, dał mi tabelkę całego biegu i polecił baczyć na jego wskazówki.

Trybuny nielicznie zapełnione publicznością, oczekiwały na wyniki. Bowiem mówiono głośno, że rekord polski Freyera 15:54 będzie pobity. Kto tego dokona było narazie tajemnicą. Wobec niedopuszczenia w ostatniej chwili do biegu ogólnego faworyta Sawaryna z „Pogoni", przewidywano, że bieg rozegra się między Sarnackim, Szelestowskim i mną.

Najwięcej żal mi było Sawaryna. Gdy stałem na starcie, zauważyłem biedaka siedzącego na trybunach ze stoperem w ręku. Ze złości gryzł paznokcie. Współczułem mu, bo tylko ja jeden wiedziałem co przeżywał.

Na strzał startera, dziewięć sylwetek poderwało się z białej linji startu i ruszyło naprzód. W jednej chwili objąłem prowadzenie, rozwijając najszybsze, na jakie mnie było stać tempo. Wszystkie uwagi, jakiemi darzono mnie obficie przed biegiem, puściłem w kąt.

Jak wiadomo, doradców jest wielu na świecie. Koledzy klubowi, poczciwe chłopaki, chcieli przecież, bym bieg wygrał, więc też każdy z nich był uzbrojony w poważne argumenty, dlaczego i jak radzili mi, jaką mam obrać taktykę, ażeby być pierwszym.

Gdy kończyłem pierwsze okrążenie, Klumberg dawał mi jakieś rozpaczliwe znaki, mówił coś do mnie, ale czynił to tak szybko, że z jego kiepskiej polszczyzny, nic nie rozumiałem. Raczej domyślałem się tylko, że chodziło o zmniejszenie tempa. Bał się widocznie Klumberg, że mając taką szybkość w pierwszych okrążeniach, mogę „spuchnąć" i albo biegu wcale nie skończyć, albo też przyjść któryś tam z rzędu do mety.

Ja jednak wierzyłem w siebie. Wierzyłem w swoje siły, a przedewszystkiem w zapał i chęć zwycięstwa. „Musisz wygrać — huczało mi w głowie — nie wolno ci ustąpić".

Drugie okrążenie pokryłem w tym samym czasie co i pierwsze. Przeciwnicy moi powoli oddalali się odemnie. Słyszałem poza sobą przyśpieszony oddech biegnących. Dodawało mi to otuchy i zwiększało moje szanse na zwycięstwo, gdyż czułem się świetnie, oddech miałem normalny, nogi wprost ponosiły mnie. Przebiegając koło trybun, zwróciłem uwagę na Klumberga, który już nic nie krzyczał. Zauważyłem jego groźną minę, zły wzrok, a gdy przebiegłem obok niego, wzruszył tylko ramionami.

To mnie zastanowiło... Rozsądek zaczął brać górę nad zapałem. Przyszły mi w tej chwili na myśl słowa które przecież tyle razy słyszałem od Klumberga.

„Największy i najlepszy biegacz musi w każdym biegu obrać dobrą dla siebie taktykę, nie lekceważyć choćby najsłabszego przeciwnika i pamiętać, że bieg

wygrywa się nie w pierwszych trzech okrążeniach, ale w ostatnich 200 metrach przed metą".

Zwolniłem przeto trochę, ale w każdym razie tempo było daleko mocniejsze niż to, które rozwijałem na treningach. Powoli przeciwnicy moi odpadali. Jeden, potem drugi, potem już czterech widziałem o jakieś 200 metrów za sobą. Trzymali się mnie Sarnacki i Szelestowski, którzy nawet po czwartem okrążeniu zaczęli następować mi na pięty.

Znów zwiększyłem tempo. Powiedziałem sobie, że bieg musi być mój. Muszę go wygrać, prowadząc od startu do mety. Nie dam się nikomu wyprzedzić.

Gdy przebiegałem piąte okrążenie koło trybun, zauważyłem, jak Sawaryn poderwał się z ławki, stanął na niej i krzyczał, wymachując stoperem:

— Warjat! Przecież to istny warjat! Jak będzie dalej tak biegł, wykluczone aby mógł skończyć.

Zauważyłem, jak mi groził i coś tam jeszcze nieprzyjemnego pod moim adresem krzyczał — tego już nie słyszałem. Byłem już daleko od trybun.

Po siedmiu okrążeniach zostaliśmy się właściwie w trójkę na bieżni. Niektórzy wogóle się wycofali, innych minęliśmy, mając o jedno okrążenie więcej.

Teraz już zaczynała się naprawdę walka. Wszyscy byli dobrzy, a każdy z nas chciał być pierwszy. Wiadome się już stało, że ten zwycięży, kto znajdzie zasób sił, aby wysunąć się na finiszu. Tempo już nie malało, aż do końca biegu.

Po dziesiątem okrążeniu, ciągle prowadząc, byłem już pewny zwycięstwa. Jakkolwiek nie widziałem swych przeciwników, zgadywałem instynktownie, że słabną. Ja zaś czułem się doskonale i, jakkolwiek tętno biło mi mocno w skroniach, nie zauważyłem zmęczenia. Byłem przeświadczony, że ten zasób energji, który musi mieć każdy zawodnik długodystansowy — mam i, że potrafię zdobyć się na finiszu na maksimum wysiłku, aby nie dać się pobić.

Ostatnie okrążenia, zdawało mi się, minęły jak oka

mgnienie. Nie słyszałem i nie widziałem nikogo, jakkolwiek opowiadano mi później o niemożliwym hałasie, jaki wówczas panował. Trybuny podobno trzęsły się od okrzyków i nawoływań, które miały mnie dopingować.

Na ostatnich 200 metrach przed metą, rozpocząłem finisz. Obejrzałem się. Sarnacki biegł za mną o kilkadziesiąt metrów, za nim tuż Szelestowski. Duma rozpierała mi piersi, gdy przeciąłem srebrzystą wstęgę zwycięstwa na mecie. Jakżeż czułem się szczęśliwy! Wszak było to moje pierwsze wielkie zwycięstwo, zostałem po raz pierwszy mistrzem Polski. Przeciwnicy moi przyszli do mety tak, jak ich widziałem na finiszu — Sarnacki drugi, Szelestowski trzeci.

Trybuny przyjęły moje zwycięstwo nadzwyczaj serdecznie, nie szczędząc mi braw i zachwytów. Sawaryn wbiegł na bieżnię, gratulując mi serdecznie zwycięstwa, daliśmy sobie „buzi z dubeltówki" jak się patrzy.

Ale ponad wszystkie gratulacje przekładałem życzenia Klumberga, który ściskał, jak mógł najmocniej moje ręce, nie mogąc ze wzruszenia nic mówić. Mruczał coś niezrozumiale podniesionym głosem. Jak mi później tłumaczył, pomruki te bynajmniej nie miały oznaczać gratulacji, ale poprostu wymyślanie. Tak się już przyzwyczaił do tego, żeby mi stale urągać, że nawet i wtedy, kiedy zdawało się, że powinien mieć jaknajmniej powodów, uważał właśnie za stosowne mnie zburczeć. Podobno, jak mówił, chodziło właśnie o złą taktykę i brak stylu w biegu.

Nie mam doń oczywiście żalu, bo wiem, że uwagi jego zawsze płynęły z troskliwości i z serca. Wiem dobrze, że i tu miał rację.

Z niecierpliwością czekałem na oficjalne ogłoszenie wyników. Wprawdzie koledzy w przybliżeniu mówili mi czas, który miałem zrobić, ale im nie wierzyłem. Nigdy nie przypuszczałem, abym mógł uzyskać 15:41 na tym dystansie, tembardziej, że przecież tylu kusiło się o pobicie rekordu Freyera, a mimo to wszystkie próby

najznakomitszych długodystansowców polskich, kończyły się niepomyślnie.

Nagle rozlega się głos megafonu, gwar milknie i słyszę słowa, które wydawały mi się piękniejsze od najcudowniejszej melodji, jaką słyszałem w życiu:

„Bieg na pięć tysięcy metrów o mistrzostwo Polski wygrał Janusz Kusociński w 15 minut 41 sekund. Czas ten jest nowym rekordem polskim, lepszym o 13 sekund od dotychczasowego rekordu Freyera".

Na stadjonie zahuczało. Znów rozległy się brawa i okrzyki, ja zaś czułem się, jak wniebowzięty. Wszystkie moje marzenia ziściły się. Byłem dumny z siebie. Oto potwierdziła się jeszcze raz stara prawda, że tylko praca i to usilna praca może dać dobre wyniki.

— Nie spodziewałem się tego po panu — mówił mi w chwilę potem Klumberg. — Liczyłem w najlepszym razie, że zrobi pan 15:50. Jestem zaskoczony pańskim wynikiem. To był egzamin, który pan zdał doskonale. Bieg ten stawia pana w rzędzie klasy europejskiej. — Nie znaczy to jednak, żeby pan osiadł na laurach swego zwycięstwa. Musi pan pracować teraz właśnie może daleko więcej, niż poprzednio. Przedewszystkiem musimy zwrócić uwagę na styl i krok. Pracuje pan rękami anormalnie, co sprawia wrażenie nieestetyczne i niepotrzebnie pana męczy. Następnie zwrócić trzeba koniecznie uwagę na wydłużenie kroku, gdyż jest on u pana stosunkowo za mały. Przeciętnie musi on wynosić około dwu metrów, a nie, jak dotychczas 1 metr 80 cm.

Uszczęśliwiony wróciłem do garderoby na masaż, który wydał mi się nawet, o dziwo, zupełnie przyjemny. Koledzy klubowi gratulowali zwycięstwa, życząc dalszych sukcesów.

Konkurencje w innych dziedzinach o mistrzostwa Polski trwały nadal. Więcej udziału w nich nie brałem. Jako widz oglądałem je z trybun.

W trzecim dniu, po zakończeniu wszystkich konkurencyj, odbyło się wręczanie nagród. Ileż radości spra-

wiło mi otrzymanie po raz pierwszy puharu za mistrzostwo (wówczas jeszcze każdy zawodnik za zwycięstwo z wynikiem poniżej ustalonego minimum, otrzymywał puhar. Dla mnie minimum wynosiło wtedy 16 minut).

Już następnego dnia po moim triumfie stałem się „benjaminkiem" całej prasy. Wszystkie dzienniki stołeczne rozpisywały się szeroko o zwycięstwie, przepowiadały mi wielką przyszłość i zachęcały do dalszej pracy. W ciągu jednego dnia z małego, mało komu znanego biegacza, urosłem do „potęgi", którą chciano zaraz jak kolubrynę wystawiać przeciwko najlepszym długodystansowcom zagranicznym.

Przyznaję się ze skruchą, że wszystkie wiadomości o mnie czytałem z zapartym oddechem, jednym tchem, pochłaniając wszystkie superlatywy kierowane pod moim adresem. Bezwątpienia robiło mi to przyjemność. Tak niedawno przecież zazdrościłem innym, o których rozpisywano się powszechnie, o mnie zaś gdzieniegdzie tylko i to przważnie w prasie sportowej, zamieszczano malutkie wzmianki.

Tak, dumny byłem z siebie. Czułem, że zaczynam wchodzić na wielką arenę sportu europejskiego, że będę mógł przydać się w przyszłości barwom polskim, dla ich propagandy zagranicą.

Jeszcze pewniejszy i szczęśliwszy poczułem się, kiedy tego samego dnia zjawił się u mnie jeden z dziennikarzy sportowych, prosząc o wywiad. No, no — pomyślałem sobie — to jednak rzeczywiście jestem „szyszką", kiedy nawet redaktor fatygował się, przywiązując wagę do moich oświadczeń, które później czytałem dumny, jak paw w jednym z dzienników warszawskich.

Rodzice jednak, co mnie niezmiernie martwiło, nie podzielali entuzjazmu kolegów. Gdy przyjechałem po mistrzostwach Polski do domu, przyjęli mnie wprawdzie bardzo serdecznie, ucałowali i uściskali, ale papa zaraz wyjechał z sentencjami moralnemi.

— No tak, rzeczywiście, wygrałeś, zostałeś mi-

strzem Polski, jest nam bardzo przyjemnie, że twoje marzenia się ziściły, ale mam wrażenie, że teraz już zabierzesz się na serjo do „uczciwej pracy". Zresztą — zaraz potem dodał, nie bez złośliwości — mistrzowi Polski nie wypada przecież bąków zbijać. Jesteś już w tym wieku, w którym powinieneś stanowczo pomyśleć o sobie i o swej przyszłości. Musisz sobie znaleźć posadę i pracować dla dobra społeczeństwa, dla siebie i dla nas. Bierz zresztą przykład ze mnie. Stary już jestem, mógłbym przejść na emeryturę, a jednak nie chcę być kulą u nogi dla drugich.

Wysłuchałem całej nauki ojca z poważną miną, za każdem słowem przytakiwałem mu i przyznawałem świętą rację, ale... nie było już siły, któraby zmusiła mnie do porzucenia bieżni, do wyrzeczenia się tej pracy, jaką włożyłem w ukochany przeze mnie sport.

Zresztą, co tu dużo mówić — dla mnie wyrocznią był jeden tylko Klumberg, a on wszak układał mi jak najlepsze, najświetniejsze, horoskopy na przyszłość. Pokażcie mi chłopca w moim wieku, który mając wszelkie dane na to, że może w przyszłości pobić największą gwiazdę lekkoatletyki, jaką dotychczas świat wydał, Paovo Nurmiego, zgodziłby się na wycofanie z czynnego życia sportowego i zrezygnował z walki.

Bo jakżeż przyjemnie jest zwyciężać. Nie mówię teraz tylko o sporcie. Uważam, że każdy ma prawo być dumnym, kto w dziedzinie przejawów życia dla siebie najbardziej odpowiedniej i ukochanej — jest pierwszy. Mnie los rzucił w objęcia sportu. Czyż miałem mu się sprzeciwiać? Nie, i po stokroć razy nie. Dlatego też teraz definitywnie powiedziałem ojcu, że z raz obranej drogi nie zejdę i sprawę stawiając dość ostro, zastrzegłem się przed wszelkiego rodzaju uwagami na ten temat. Przedtem chodziły mi jeszcze po głowie refleksje na temat uwag ojca. Nieraz zastanawiałem się, czy rzeczywiście nie ma on racji. Teraz byłem zdecydowany.

Zresztą czas naglił, nie miałem ani chwili do stracenia. Przede mną otwierały się nieograniczone możli-

wości. Rozumiał to doskonale mój macierzysty klub, wiedział o tem Polski Związek Lekkoatletyczny. Za kilka dni miał się odbyć międzypaństwowy mecz Polska-Czechosłowacja w Pradze, na którym miałem zadebiutować jako oficjalny przedstawiciel lekkiej atletyki polskiej. Wziąłem się znów do pracy. Puszczałem mimo uszu plotki, jakie gromadziły się koło mej osoby z powodu mych sukcesów. Niema zresztą na świecie ludzi, którzyby nie mieli wrogów. Jakkolwiek może trudny byłem do współżycia przez swą małomówność i nieufność, ale przyznaję z całego serca, że nikomu nigdy źle nie życzyłem i nie życzę. Tkwiła we mnie mocno zakorzeniona jeszcze z młodzieńczych lat zasada, którą wpajali we mnie rodzice: miej lepiej stu przyjaciół, niż jednego wroga. Może niezawsze byłem uprzejmy dla niektórych, ale nigdy nie wypływało to z mej niechęci do nich, tylko poprostu z mego usposobienia.

Ponieważ pamiętniki moje ma cechować przedewszystkiem szczerość, nie mogę tu nie wspomnieć o jednym z zawodników, Kowalskim, z klubu „Orzeł", długodystansowcu. Pomimo, że darzyłem go sympatją i nic złego mu nie zrobiłem, unikał mnie wyraźnie i zawsze odnosił się do mnie z niechęcią. Może się mylę. Było to jednak moje spostrzeżenie.

Rozdział VI.

Jak już mówiłem, pochłaniały mnie w tym czasie dwie sprawy: mecz lekkoatletyczny Czechosłowacja — Polska i zapowiadany przyjazd Petkiewicza.

Po zdobyciu rekordu Polski na pięć kilometrów, i to w czasie o 13 sekund lepszym od rekordu Freyera, którego przez długi czas nikt nie mógł „ruszyć", przyjazd na stałe do Polski Petkiewicza, stwarzał mi olbrzymie ułatwienie w mej pracy. Przy tak świetnym zawodniku, mogłem się tylko więcej nauczyć, nigdy stracić. Dlatego też przyjazdu jego oczekiwałem z wielką niecierpliwością.

Muszę tu wspomnieć, o niezwykłej przyjemności, jaka mnie spotkała w kilka dni po mistrzostwach Polski. Powszechnie utarło się, że ludzie, którzy konkurują z innymi w jakiejbądź dziedzinie, są mniej lub więcej przesądni. Każdy z nich ma swój amulet lub fetysz. Nie dziwcie się więc, że i ja trochę należałem i należę do ludzi przesądnych, no i że, oczywiście, posiadałem swój amulet. Była nim czapeczka (zrobiona, o zgrozo, z jedwabnej pończoszki niewieściej), z którą nie rozstawałem się nigdy w czasie biegu. Wszyscy koledzy śmieli się trochę ze mnie, gdy z poważną miną dowodziłem im, że to ona właśnie prowadzi mnie do zwycięstwa. Później przyzwyczaili się do tego i już nie było głośnego — aaa! — kiedy wbiegałem na bieżnię.

Największą więc dla mnie przyjemnością był prezent, jaki dostałem od swojej koleżanki klubowej p. Irki Schabińskiej, w postaci cudownej czapeczki o barwach klubowych, którą sama wyhaftowała. Po magicznych zaklęciach, jakie z poważnemi minami koledzy moi odmówili nad nią, — stała się ona moim nowym amuletem. Dotychczasowa pończoszka poszła w kąt — obecna odtąd zaczęła służyć mi wiernie.

Tymczasem międzypaństwowy mecz, próba sił między Czechosłowacją a Polską zbliżał się. Nie przerwałem treningu ani na chwilę, przeciwnie, stosowałem coraz intensywniejszy, a nawet wbrew przykazaniom Klumberga, zacząłem trenować po dwa razy dziennie.

„Warszawianka" opiekuje się mną jaknajtroskliwiej. Przydziela mi specjalnego masażystę, który jest obowiązany masować mnie po każdym treningu w myśl wskazań Klumberga.

Klumberg w dalszym ciągu poświęca dużo czasu, aby dawać mi niezbędne wskazówki, poprawiając mój styl i pracę rąk. Jednocześnie przygotowuje ze mną program zaprawy na zimę, abym po przeminięciu sezonu nie spadł z formy.

Teraz dopiero dowiaduję się o skuteczności łaźni. Dotąd nie stosowałem jej wcale i nie wiedziałem, że jest

ona nieodzownym warunkiem utrzymania się w formie. Dopiero trening racjonalny, połączony z masażem i łaźnią, daje pełny obraz pracy nad sobą.

Łaźnia dla każdego sportowca, a przedewszystkiem długodystnasowego biegacza, ma pierwszorzędne znaczenie. Działanie jej jest nadzwyczaj skuteczne i polega na odciążeniu pracy nerek oraz przyzwyczaja do podwyższonej temperatury. Ma to ten skutek, że w czasie biegu zawodnik nie poci się i nie odczuwa gorąca przez zmęczenie. Jest to o tyle pożądane, że poceniu towarzyszy zawsze osłabienie, a to jest wszak niedopuszczalne.

Zaczynam więc chodzić do łaźni. Raz w tygodniu, potem dwa razy. Z początku przesiaduję w znośnej temperaturze, którą niemal z każdym dniem powiększają. Obecnie z łatwością wytrzymuję temperaturę 40 — 50 stopni. Niezależnie od tego, że łaźnia zabezpiecza zawodnika od potów, a przez to wyrabia oddech, ale prócz tego, jak się sam przekonałem, znakomicie odświeża mięśnie i oczyszcza cały organizm.

Niewtajemniczeni początkowo przestrzegali mnie, że tak wysoka temperatura w łaźni osłabia i, że nie powinienem zbyt często z niej korzystać. Po kilkakrotnem użyciu przekonałem się, że jest to przesąd. Przeciwnie, po wyjściu z łaźni czułem się zawsze świeży i rzeźki.

Przy tak ciężkim treningu, który stosowałem przed zapowiadanym meczem Czechosłowacja — Polska, zastaje mnie przyjazd do Polski Petkiewicza. Jak już pisałem, chciałem go koniecznie poznać przy „pracy". Imponował mi swoim czasem, który uzyskiwał dotychczas na Łotwie, no i tem, że brał udział w olimpjadzie.

Z kolegami klubowymi oraz przedstawicielami P. Z. L. A. wybraliśmy się na dworzec, aby go powitać. Spotkanie było bardzo serdeczne. Naopowiadaliśmy sobie nawzajem mnóstwo komplementów i, przyznam się szczerze, że miły uśmiech, dobrze zbudowana i zgrabna sylwetka Petkiewicza, odrazu przyciągnęły mnie do nie-

go. Polubiłem go też od pierwszego wejrzenia i byłem dumny, że będzie on moim kolegą klubowym, że będę miał możność, biegając z nim i trenując razem, podciągnąć się i osiągać lepsze wyniki.

Również i inny wzgląd przemawiał za tem, żeby okazywać Petkiewiczowi jaknajwięcej serca. Przyjechał bowiem do Polski sam i jakkolwiek znalazł tu dużo osób życzliwych, to jednak porzucenie rodziny na obczyźnie nie mogło się dobrze odbić na jego usposobieniu. Toteż staraliśmy się wszyscy w klubie, aby uczynić dlań pobyt w Warszawie możliwie przyjemny, aby nie czuł się osamotniony. Chcieliśmy zastąpić mu rodzinę i najbliższych.

Zdawało się, że wszystko ułoży się jaknajpomyślniej i jaknajlepiej. Lecz już następne dni przyniosły mi rozczarowie. Ale nie uprzedzajmy faktów.

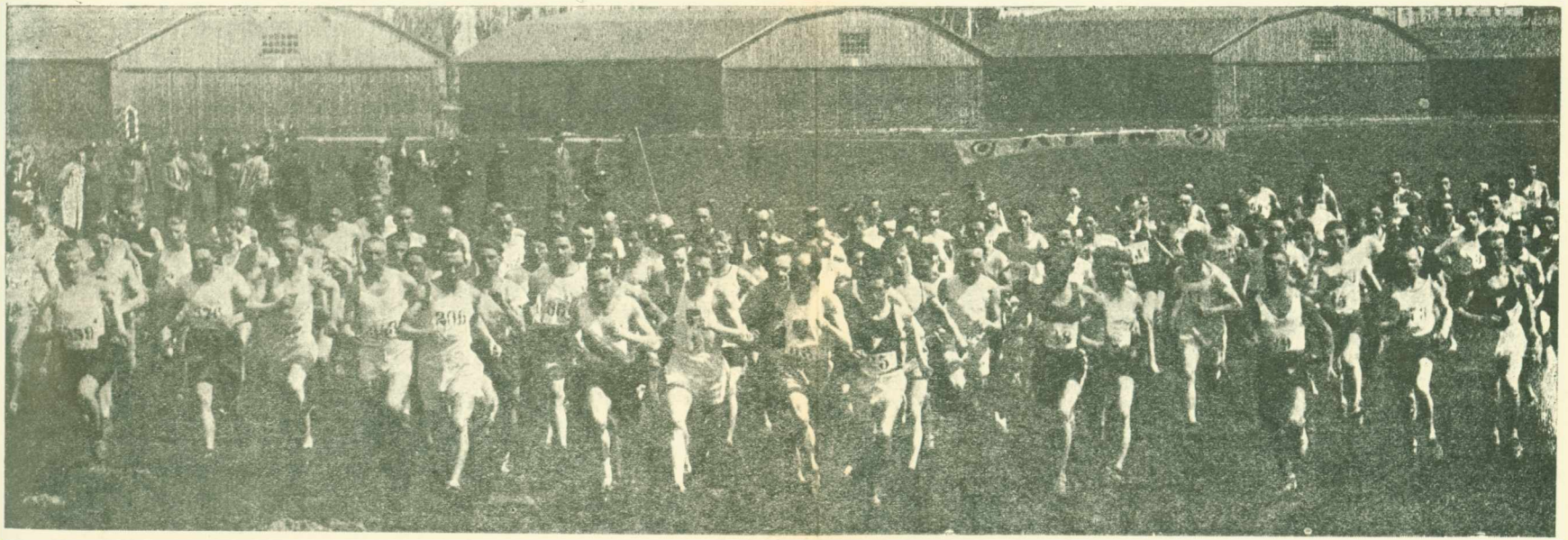
Na drugi dzień po przyjeździe Petkiewicza miały się odbyć w Agrykoli propagandowe zawody lekkoatletyczne, na których zamierzał startować. Nie przypominam sobie już dziś dlaczego, ale mnie klub nie zgłosił.

Przyjechałem więc do Warszawy tylko w charakterze widza. Tymczasem, gdy zjawiłem się przed zawodami w Agrykoli, oświadczono mi, że będę biegał. Nie chciałem z dwuch względów: po pierwsze czułem się niezbyt dobrze i na dobitkę tegoż dnia rano miałem przykry wypadek w domu.

W stajni oglądałem z weterynarzem konia, który już od dłuższego czasu chorował. Zbyt blisko stanąłem tak, że w pewnej chwili nadepnął mi na prawą stopę, przygniatając boleśnie palec. Wskutek tego wypadku, palec sprawiał mi ból, gdy chodziłem, tembardziej, gdybym chciał biec.

Po drugie nie chciałem biegać dlatego, by widzieć Petkiewicza w akcji, obejrzeć jego styl i w ten sposób porównać go ze sobą.

Nie było jednak rady. Zarówno radca Foryś (senjor) jak i jego syn, Czesio, tak mnie namawiali, że wkońcu ustąpiłem i zgodziłem się na start. Zastrze-



Pierwszy mój poważniejszy sukces nad Petkiewiczem w Narodowym Biegu Naprzełaj w 1930 r. Wygrywam zdecydowanie.

głem się tylko, co do jednego, że ponieważ jestem kaleką więc chciałem biegać poza konkursem. Tymczasem komisja sędziowska z p. radcą Forysiem na czele obiecała mi, iż nawet jeśli będę drugi, to i tak w wypadku gdy pobiję rekord polski, będzie on uznany. Nie ja, a Petkiewicz, który jeszcze nie miał obywatelstwa polskiego, musiał startować poza konkursem.

Biegać mieliśmy na trzy kilometry. Przyznaję się, że gdy stanąłem na starcie, czułem się bardziej nieswojo, niż zwykle. Przedewszystkiem wielka trema przed sławą Petkiewicza z tego okresu nie dawała mi spokoju. Wprawdzie w roztargnieniu zapomniałem o bólu w nodze, co było bezwątpienia dla mnie zjawiskiem dodatniem, ale nie mogłem zapanować nad nerwami. Trząsłem się cały jak galareta.

W biegu tym chciałem zastosowac taką taktykę: trzymać się z tyłu Petkiewicza, następować mu stale na pięty tak, aby na 200 metrów przed metą wysunąć się finiszem i bieg wygrać. Ale były to raczej marzenia ściętej głowy. Rozsądek mówił mi wyraźnie, że biegu wygrać nie mogę, bo robię znacznie gorsze czasy od niego. Rozmyślanie moje przerwał strzał startera. Ruszyliśmy. Ja zamiast, jak chciałem poprzednio, trzymać się Petkiewicza, objąłem prowadzenie i zapomniawszy o bólu w nodze, waliłem naprzód, jak strzała.

Już po pierwszem okrążeniu czułem, że nie ja musiałem wytężać się, aby utrzymać tempo Petkiewicza, ale on robił poważne wysiłki, aby wytrzymać moje tempo. W ten sposób zrobiliśmy kilka okrążeń.

Nagle usłyszałem za sobą jakieś podniesione głosy i, gdy obejrzałem się, zauważyłem, że Petkiewicz schodzi z bieżni. Zdziwiło mnie to i jednocześnie rozzłościło. W pierwszej chwli chciałem bieg również przerwać i dowiedzieć się, co skłoniło mego rywala do opuszczenia bieżni. Ale wahanie trwało tylko sekundę. W następnej już biegłem naprzód, rozwijając największą, na jaką mnie stać było, szybkość. Bieg ukończyłem w doskonałym dla siebie czasie, ustanawiając nowy

rekord Polski w 8 min. 54,2 sekundy (poprzedni rekord Freyera był gorszy o 13 sekund).

Przyznam się, że nie należy do przyjemności opisywać chwile, które przeżywałem po skończonym biegu. Już pierwsze spojrzenie Petkiewicza, jakiem mnie obdarzył, nie wróżyło nic dobrego. Wyczytałem w jego oczach zawiść i zazdrość. W pierwszej chwili nawet odsunąłem te myśli, przypisując je może zbyt pobieżnym wrażeniom, ale niestety, przyszłość miała je w zupełności potwierdzić.

Dlaczego Petkiewicz biegu nie ukończył? Tłumaczył się zmęczeniem po długotrwałej podróży. Podobno nie chciał się forsować, gdyż mogło to fatalnie odbić się na jego ogólnej formie. Zresztą — przyznał lojalnie — nie spodziewał się znaleźć tu tak silnej konkurencji, nie sądził, że Kusociński tak dobrze biega.

Dzień ten, zamiast nas przybliżyć, jak sądziłem, wykopał między nami przepaść. Nie mając powodów najmniejszych do urazy, już następnego dnia zapomniałem o przykrym wypadku i starałem się być dla Petkiewicza najlepszym kolegą i przyjacielem. Ułatwiałem mu wszystko. Tymczasem próby moje rozbijały się o jego chłód i szorstkość.

W kilka dni potem zwierzał mi się jeden z kolegów ze swej rozmowy z Petkiewiczem. Petkiewicz był wielce niezadowolony, że spotkał w Polsce biegacza, który już w pierwszym dniu jego występów pokazał mu „lwi pazur".

— Nie przypuszczałem, — mówił do niego Petkiewicz — że Kusociński jest tak dobrym biegaczem. Przyjeżdżając do Polski, byłem przekonany, że będę tu pierwszym, i to pierwszym bez walki. Tymczasem widzę, że prymat mój, jeżeli chcę go mieć, muszę wywalczyć w pocie czoła.

— Widzisz więc, — powtarzał mi kolega — niepotrzebnie naraziłeś się Petkiewiczowi. Nie dziwię mu się, że ma do ciebie urazę. Tak, tak, Januszku — śmiał

się mój rozmówca — jesteś dla niego zawadą i ciemną plamą na jego karjerze sportowej.

Nie wiem, czy było to prawdą, co mi opowiadał kolega, ale obserwacje moje utwierdzały mnie również w tem przeświadczeniu, że jestem dla Petkiewicza conajmniej niewygodny. Może się myliłem (wszystko jest możliwe), bo raczej jeśli zauważyłem niechęć ze strony Petkiewicza, to były tylko odruchy. Pozatem, przynajmniej w tym okresie, oficjalnie był on dla mnie bardzo grzeczny, a nawet zbierałem liczne dowody jego koleżeństwa.

Sprawą tą, przyznam się, mało interesowałem się wtedy. Pochłaniała mnie jedna tylko myśl: mój pierwszy występ na międzynarodowej arenie w meczu z Czechosłowacją. Petkiewicz nie mógł jechać, gdyż nie miał jeszcze załatwionych formalności co do poddaństwa. Z biegaczy m. in. poza mną wyjeżdżał Sawaryn, Malanowski, Kostrzewski, Szenajch, Biniakowski i Weiss.

Rozdział VII.

Cierpliwość moja w oczekiwaniu na wyjazd była wystawiona na ciężką próbę. Zdawało mi się, że nie doczekam tej chwili. Zdenerwowany i roztrzęsiony, na parę dni przed wyjazdem, nie mogłem już ani dobrze trenować, ani gimnastykować się, a nawet łaźnia, do której już przyzwyczaiłem się i którą polubiłem, wydawała mi się przykra.

Po nocach męczyłem się, nie mogąc zasnąć, a kiedy już zmorzył mnie sen, był zawsze krótki i niespokojny. Budziłem się co chwila. Prześladowały mnie myśli, czy potrafię opanować się w Pradze i zdobyć się na taką taktykę, ażebym mógł pobić groźnych konkurentów czeskich. Miałem startować w dwu konkurencjach — pierwszego dnia w biegu na pięć tysięcy metrów, drugiego na tysiąc pięćset metrów. O drugim przestałem nawet myśleć.

Według obliczeń Klumberga i moich, nie mogło być mowy, abym mógł bieg wygrać. Powiedziałem sobie tylko, że nie skompromituję się, w każdym razie nie będę ostatni... Natomiast prześladował mnie bieg na 5.000 mtr., gdyż w Czechosłowacji konkurencja ta była daleko większa, niż w Polsce. Czołowi biegacze czescy w okresie tym byli bezwątpienia lepsi od nas, o czem zresztą świadczyły wyniki. Mieli lepsze czasy.

Co robić, aby zwyciężyć? Kombinowałem na wszystkie strony, brałem pod uwagę wszelkie możliwości, jednak żadna z taktyk, które w pierwszej chwili zdawały mi się najlepsze, po bliższem zbadaniu nie wydawała mi się odpowiednia. I tak źle, i tak niedobrze. Klumberg, który znał dobrze, jak biegają Kośćak i Taubel, uważał, że powinienem się najwięcej wystrzegać tego pierwszego i jego tylko pilnować. Zresztą trudno było przewidzieć zgóry jaką obrać taktykę, gdyż niewiadomo było jak pobiegną Czesi. Zresztą przypuszczałem i tak, że przed samym biegiem porozumiem się z Sawarynem, a wówczas może wspólnie coś obmyślimy.

Już na cztery dni przed odjazdem zacząłem się pakować. Przyznam się, że sprawiało mi to wiele kłopotu. Wybierałem się wszak poraz pierwszy w taką „oficjalną" podróż (poprzedniego swego wyjazdu do Pragi na mistrzostwa robotnicze nie brałem teraz na serjo).

Nie wiedziałem co zabrać ze sobą, co mi może być potrzebne. Śmieli się rodzice ze mnie w domu, bo ciągle wydawało mi się, że i to i tamto z drobiazgów powinienem wziąć ze sobą. Gdybym chciał je wszystkie zapakować, musiałbym zabrać ze sobą przynajmniej.... cztery walizy. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że prawdziwy sportowiec, wyjeżdżając na zawody, zabiera ze sobą do walizki szczoteczkę i proszek do zębów, a kostjum lekkoatletyczny oddaje na bagaż. Niestety, o tem jeszcze nie wiedziałem. Wybierając się do Pragi, zdawało mi się, że jadę gdzieś na koniec świata, że wszystko może mi się przydać. To też 4 razy pakowałem się i tyleż

razy rozpakowywałem swoje walizki. Wreszcie wszystko co uważałem za najniezbędniejsze wpakowałem do dwuch waliz a matka, dbała o moje zdrowie, przyszykowała dziesięcio-kilowy koszyk jabłek i niezliczoną ilość kanapek, abym broń Boże nie był głodny.

Kiedy obciążony „pakami" przyjechałem na stację koledzy, zobaczywszy mnie obładowanego, wybuchnęli śmiechem.

— Januszku, bój się Boga, a gdzież to ty się wybierasz? Przecież jeszcze do Ameryki nie jedziemy. Poco sobie niepotrzebnie robisz tyle kłopotu?

Speszony, jak najprędzej wślizgnąłem się do wagonu, położyłem walizki, aby dalsi, którzy mogli lada chwila przybyć, nie podrwiwali ze mnie, tak jak to miało miejsce przed chwilą.

Na kilkanaście minut przed odejściem pociągu zebrała się na peronie pokaźna grupka najbliższych naszych przyjaciół, którzy przyszli pożegnać się z nami. Jeszcze w ostatniej chwili nie szczędzili nam rad i wskazówek.

Wreszcie stereotypowe — „wsiadać do wagonów" przerwało nam miłą pogawędkę i wyrwało z objęć przyjaciół. Zajęliśmy miejsca w wagonach, wprawdzie III-ej klasy ale zato wygodne, bo mieliśmy zarezerwowanych kilka przedziałów.

Pociąg rusza. Ostatnie pożegnania. Jeszcze kilka rad i uwag i za kilka chwil wydostajemy się z obrębu Warszawy, mknąc całą parą po zwycięstwo lub klęskę!

Kiedyśmy się już dobrze usadowili, rozpoczęły się oczywiście dyskusje na temat meczu Czechosłowacja — Polska. Odrazu wyłoniły się dwie grupy. Jedna z Weissem na czele, dowodziła że match musimy przegrać, że nie trzeba się łudzić, gdyż jeszcze dziś mierzyć się z Czechosłowacją nie możemy. Czesi posiadają szereg talentów sportowych, którym nie dorównamy. Chodzi tylko o to, abyśmy przegrali jak najbardziej honorowo.

Druga grupa, w której przyznaję się najwięcej „py-

skowałem", reprezentowała entuzjastów. Uważaliśmy, że match powinniśmy wygrać, że bynajmniej w lekkiej atletyce nie ustępujemy Czechom, że wprawdzie w pewnych konkurencjach Czesi nas przewyższają, ale zato w innych ustępują nam znacznie.

Jeśli chodzi o mnie, to stanowisko „entuzjasty" zająłem z punktu i z tego jeszcze względu, że nigdy nie wolno przed zawodami wmawiać w zawodnika, że może przegrać. Nastawienie psychiczne jest tak samo ważne, jak przygotowanie fizyczne. Wiem dobrze, że ile razy „straszono" mnie przed biegiem i wmawiano, że przegram, tyle razy rzeczywiście nie czułem się pewny, bardziej się niepokoiłem, traciłem panowanie nad sobą i... w rezultacie przegrywałem. Natomiast jeśli ktoś dodawał mi otuchy i zachęcał do walki, tyle razy czułem się pewniejszy, jakkolwiek nigdy nie lekceważę najsłabszego przeciwnika. Lepiej się czułem na bieżni i nieraz wygrywałem do znakomitości sportowych, z którymi nigdy nie spodziewałem się osiągnąć takich rezultatów.

Ale wróćmy do tematu. Jak powiedziałem, te dwie grupy zaczęły najpierw spokojnie, później coraz ostrzej polemizować ze sobą. Z tej i z tamtej strony wysuwano coraz to silniejsze „działa" argumentów, któreby miały „położyć" na obie łopatki przeciwnika. Najpierw odbywało się to w atmosferze mniejwięcej spokojnej, później zaczęliśmy skakać sobie do oczu. Najwięcej agresywnymi okazali się Weiss i ja. Pokłóciliśmy się porządnie, omal nie doszło do bójki. Ani on, ani ja — nikt nie chciał ustąpić.

Przysłuchującemu się naszej „dyskusji" przychodziła na myśl znana bajka o dwuch kozłach i kładce. Wreszcie koledzy nas uspokoili. Dla świętego spokoju i jednemu i drugiemu przyznano rację. Daliśmy sobie buzi i kampanja bojowa została zlikwidowana ku zadowoleniu obydwu.

Razem z nami, choć w przedziale drugiej klasy, jechała również na zawody p. Halina Konopacka, oraz

podówczas jej narzeczony, p. min. Matuszewski. Miałem przyjemność poznać ją już wcześniej, ale dopiero teraz stwierdziłem z wielką przyjemnością jak jest miła i sympatyczna w towarzystwie. Po zdobyciu przez nią złotego medalu na olimpjadzie, uważałem p. Halinę za kogoś wyższego od nas, to też przyznaje się. rozmawiałem z nią mocno zażenowany.

Po batalji, jaką rozegraliśmy na początku podróży, a która mimo wszystko trwała kilka godzin, spostrzegliśmy, że żołądki nasze domagają się swych praw. I tu dopiero okazała się przezorność mojej mateczki wysoce usprawiedliwiona i pożądana. Kiedy bowiem sięgnąłem do koszyka z prowiantami i koledzy zobaczyli mój „ładunek", radości było coniemiara. Powiem krótko — kochana banda „rzuciła się" na jabłka i nie upłynęło pół godziny, kiedy ze smutkiem urządziliśmy „pogrzeb" owocom, wyrzucając koszyk poprostu za okno wagonu.

Podróż mijała szybko i przyjemnie, nie odczuwaliśmy zmęczenia. Jedni drzemali, drudzy dyskutowali (ileż to jest tematów... cherchez la femme!...), grali w „prefcia". Siedemnaście godzin podróży minęło jak z bicza trzasł i nawet nie obejrzeliśmy się, kiedy pociąg stanął. Wychyliwszy się przez okna, ujrzeliśmy dworzec z wielkimi napisami „P r a h a".

Wyszliśmy z wagonu. Czesi, rewanżując się za zeszłoroczne przyjęcie w Polsce witali nas więcej, niż wspaniale. Tłum ludzi na peronie okrzykami wyrażał swoją sympatję dla drużyny polskiej. Przemówieniom, uściskom i fotografjom nie było końca. Wreszcie po wspólnem śniadaniu w recepcyjnej sali dworca, udaliśmy się do hotelu Beranka, w którym zwykle zatrzymywali się wszyscy sportowcy, przyjeżdżający na zawody do Pragi.

Aczkolwiek przyjęcie było nader serdeczne i miłe, przyznam się, zmęczyło nas więcej niż kilkunastogodzinna podróż. To też z ulgą znaleźliśmy się w hotelu. Pierwsza myśl nasza: odpocząć!

Dzięki moim usilnym staraniom, dostałem oddziel-

ny pokój. Nigdy nie lubiłem być skrępowany, a tembardziej teraz, kiedy przed meczem powinienem był zachować jaknajwięcej zimnej krwi i spokoju. Kierownictwo dało się uprosić, przeznaczając mi oddzielny pokój. Argumenty moje zwyciężyły. Mając swój indywidualny tryb życia, nie chciałem ani sam być skrępowany, ani drugich krępować swoją osobą. Rano bowiem, o godz. 7-ej wstawałem i rozpoczynałem gimnastykę, która mogła przeszkadzać innym. Na nieszczęście dostałem pokój od ulicy, tak, że gwar wielkiego miasta, który panował do późnej nocy, nie dawał mi spać. Ale nietylko to było powodem mojej bezsenności. Trema przed tak poważnym startem płoszyła mi sen z powiek i odbierała tak cenny spokój.

Po krótkim odpoczynku wyszliśmy z kolegami zwiedzić miasto. Ja czułem się jak u siebie w domu. Pragę poznałem jako tako już w czasie swojego poprzedniego tu pobytu na mistrzostwach klubów robotniczych. Po obejrzeniu osobliwości miasta, udaliśmy się na stadjon, gdzie jutro miała się stoczyć bezkrwawa walka „na śmierć i życie" pomiędzy lekkoatletyką Polską i Czechosłowacką o zaszczytną nagrodę — puhar min. Zaleskiego. Stadjon jest śliczny. Bieżnia jednak, przynajmniej jak dla nas, ma zasadniczą wadę: zaostre wiraże. One to stały się przyczyną późniejszych wielu naszych zmartwień.

Wreszcie po niecierpliwem oczekiwaniu nadszedł moment rozpoczęcia meczu. Przy długo nie milknących brawach zapełniającej stadjon publiczności, wyszliśmy na boisko. Po odegraniu hymnów narodowych, rozpoczęła się defilada czterdziestu zawodników, po 20-tu z każdej strony.

Po defiladzie rozpoczęły się zawody. Na pierwszy ogień poszły sprinty i biegi średnie. Już z punktu zaczyna prześladować nas pech. Mecz rozpoczynamy dla nas bardzo niepomyślnie. Sprinterzy, nieprzyzwyczajeni do ostrych wirażów, po ciężkiej walce, przegrywają do Czechów. Nawet i 400-metrówka, gdzie liczyliśmy

na pewne punkty, mija dla nas niepomyślnie. Jeśli tak dalej pójdzie — mecz przegramy. Na samo wspomnienie o tem robi mi się zimno i gorąco. Zaczynamy tracić głowę, ale większość z nas nie traci nadziei. Wypadki jednak następują szybko po sobie. Po sprintach i biegach średnich, przychodzi kolej na mnie. Megafon ogłasza bieg na 5000 metrów i wzywa zawodników na start.

Po rozprężeniu mięśni i lekkim masażu, wybiegłem na bieżnię z Sawarynem. Do tej konkurencji zgłoszonych było czterech zawodników: nas dwu oraz Kośćak, znany i ceniony długodystansowiec czeski i Taubel.

Przed biegiem doszło do ostrej scysji między mną a kierownikiem naszej ekspedycji p. Szlachciakiem. Poszło o drobiazg — o mój amulet — czapeczkę. Jak zwykle, tak i teraz chciałem biegać w swej nieodłącznej czapeczce na głowie. Kierownictwo nie chciało się na to zgodzić, a p. Szlachciak kategorycznie kazał mi ją zdjąć, mówiąc, że nie wypada, abym robił ze siebie pośmiewisko na meczu międzypaństwowym. Ja, jak zawsze, uparte stworzenie, odpowiedziałem: nie — gdyż nie widziałem w tem nic zdrożnego. Uparłem się do tego stopnia, iż odpowiedziałem kategorycznie, że raczej nie będę biegał, niż rozstanę się ze swym amuletem. Nie wiem, do czego nasza różnica zdań doprowadziłaby, gdyby nie wstawiennictwo Olka Szenajcha. Dano mi spokój i, oczywiście, uszczęśliwiony, ukazałem się na bieżni w czapeczce. To było moje pierwsze zwycięstwo. Uważałem je, jako dobrą wróżbę i znak przed decydującym biegiem.

Wygrać tego biegu nigdy się nie spodziewałem. Mojem marzeniem było bym przyszedł drugi. Nie spodziewałem się poza innemi względami przedewszystkiem dlatego, że rekord czeski Kośćaka na tym dystansie był daleko lepszy od mojego (mój wynosił 15:41, Kośćaka — 15:24). Nie chciało mi się wierzyć, abym mógł zrobić czas lepszy od czasu, jaki robił Kośćak,

nie mówiąc już o tem, że nie spodziewałem się wtedy zejść nawet poniżej swojego rekordu.

Przed biegiem umówiliśmy się z Sawarynem, że ja będę pilnował Kośćaka, Sawaryn zaś Taubla. Uważałem sobie za zaszczyt, jeżeli potrafię wytrzymać tempo mojego przeciwnika i przyjść drugi do mety. Zresztą ogólnie mówiono o zwycięstwie Kośćaka, uważano je poprostu za pewnik.

Tymczasem najbliższe chwile miały wykazać jak zwodnicze mogą być wszelkie przepowiednie. Po strzale startera, z bijącem od emocji sercem, objąłem z punktu prowadzenie, rozwijając jak najszybsze tempo. W ostatniej chwili strzeliła mi do głowy, jak mi się zdawało, zbawienna myśl. Zmęczyć jak najbardziej Kośćaka, niech „spuchnie", a wtedy jeśli nie ja, to przynajmniej Sawaryn bieg wygra. Nie wiem dlaczego, nie braliśmy wtedy pod uwagę Taubla, który, jak się okazało w czasie biegu, był niegorszym od Kośćaka.

Objąłem więc prowadzenie i rwałem naprzód, ile sił starczyło. Myśl moja, aby zmęczyć Kośćaka, wydawała się tem słuszniejsza i pewna do zrealizowania, że przed samym biegiem „Baraszka" (tak popularnie nazywali Kośćaka) tłumaczył mi, iż czuje się niezdrów i jest wyraźnie niedysponowany. Już pierwsze okrążenia potwierdziły słuszność mej hipotezy. Wprawdzie biec było nadzwyczaj trudno ze względu na ostrość wiraży, no i... kiedy się ma przeciwko sobie jeszcze publiczność, ale tempa nie zmniejszałem, przeciwnie, nawet w trzeciem okrążeniu zwiększyłem.

Przeciwnicy musieli, rzecz prosta, tempo moje przyjąć i w pierwszych trzech okrążeniach, biegli tuż za mną. Sawaryn i Taubel nie obchodzili mnie, zwracałem tylko uwagę na Kośćaka, który, o dziwo, po trzech okrążeniach zaczął dostawać szybkiego oddechu, słyszałem to wyraźnie i, jak mi się zdawało, zaczął słabnąć. Hurra! — przemknęło mi przez myśl. A możeby tak bieg wygrać? W jednej chwili jednak czarne myśli, jak kruki opadły mnie: przecież biegnąc tak, w takiem

tempie, mogę biegu wogóle nie ukończyć i bronią, którą miałem pokonać przeciwników, pobiję siebie. „Spuchnę", ale wtedy nietylko drugie miejsce lecz nawet trzecie może być pod dużym znakiem zapytania. Ale od czego jest upór, wiara i chęć zwycięstwa. Te trzy składniki, jak przekonałem się, mogą czynić naprawdę cuda.

Po trzech okrążeniach zostałem sam. Kośćak biegł za mną o jakieś siedem metrów i widać było, że tempa mojego do końca nie wytrzyma. Kiedy, obejrzawszy się, zauważyłem to, chęcią moją było „odsadzić" się jak najdalej od przeciwników, a przedewszystkiem od Kośćaka, którego pomimo wszystko bałem się najwięcej.

W ten sposób mijały okrążenia jedne za drugiemi. Przyznać muszę z wielką przyjemnością, że publiczność czeska, która w pierwszych chwilach biegu odnosiła się do mnie dość obojętnie, a nawet wrogo, dopingując Kośćaka, obecnie zaczęła bić mi brawa i zachęcać do zwycięstwa. Na trzy okrążenia przed końcem, obejrzałem się.

Na chwilę oniemiałem ze zdumienia: drugim za mną o kilkadziesiąt metrów był Taubel, który, jak mi się zdawało, za wszelką cenę chce dojść do mnie i stoczyć walkę na finiszu; za nim toczyła się zacięta walka między Kośćakiem i Sawarynem o ostatnie miejsce. Teraz byłem już pewny zwycięstwa. Myśl ta dodawała mi otuchy i sił, bo, przyznaję, zbyt szybkiem tempem na początku czułem się zmęczony. Pewność zwycięstwa odświeżyła moje mięśnie i teraz zacząłem poważnie myśleć nad tem, ażeby nietylko zwyciężyć, ale pokusić się o poprawienie rekordu. Krótkie obliczenie czasu utwierdziło mnie w przekonaniu, że przy większym wysiłku nie jest to bynajmniej niemożliwe.

Już do końca biegu kolejność nas się zmieniła. Ja ostatkem sił na 300 metrach przed metą rozpoczynam finisz, odsuwając się coraz dalej od Taubla. Wreszcie przerywam taśmę, gorąco przez wszystkich okla-

skiwany. Drugim o 100 metrów wtyle jest Taubel, zaś Sawaryn, który w walce z Kośćakiem zastosował jaknajgorszą taktykę, bo uparł się prowadzić, przegrywa do niego i przychodzi do mety ostatni.

Po zwycięstwie czułem się dumny z siebie, jak nigdy w życiu. Niewiele obchodziły mnie gratulacje i powinszowania. Nie zważałem na entuzjazm tłumów, które bezstronnie wyrażały swój zachwyt dla mego zwycięstwa. Czekałem na co innego. Myśl o rekordzie nie dawała mi spokoju. Niedługo jednak czekałem na ogłoszenie wyników. Już w kilka minut potem zahuczał megafon, dając mi jedną z największych satysfakcyj w życiu. Czas 15:34, nowy rekord Polski; Sukces nieladа, w ciągu niespełna dwuch tygodni biję po raz drugi rekord Polski i to w tak dobrym czasie.

Ale rozstrząsania i medytacje nad sobą nie trwały długo. Na boisku toczyła się dalsza walka, równa i zacięta, a więc tem trudniejsza do prorokowania, komu przypadnie zwycięstwo. Naogół nasze zuchy, początkowo wytrącone z równowagi klęskami sprinterów, teraz przyszli do głosu, spisywali się dzielnie i zrobiwszy pobieżnie obliczenia, byliśmy pełni nadzei na zwycięstwo.

Konkurencje postępują szybko po sobie, wreszcie na zakończenie pierwszego dnia zawodów idą w szranki sztafety 4 x 100. Przywiązywaliśmy wielką wagę do tej konkurencji, jednak Czesi przyzwyczajeni do ostrych wiraży, wygrywają. Na dobitkę złego, nasi źle zmieniają pałeczkę. Przyznaję bez skrupułów, że po tej przegranej sytuacja zmieniła się bardzo poważnie na naszą niekorzyść. Jakto się mówi, blady strach padł na polską drużynę — widmo klęski zawisło ,jak miecz Damoklesa nad nami.

Niezwłocznie po zawodach przyjeżdżamy do hotelu i tu, przy stole, zaczynają się wielkie debaty co i jak mamy jutro zrobić, aby się nie dać. Na szczęście, w dniu jutrzejszym miały się odbyć konkurencje, w których mieliśmy duże szanse. Po dokładnem zbadaniu, po przetrawieniu wszystkich za i przeciw, doszliśmy jednogłoś-

nie do wniosku, że sztafeta 4 x 400 zadecyduje, kto zdobędzie piękny puhar min. Zaleskiego.

Po burzliwej kolacji położyliśmy się wszyscy spać, aby wypocząć przed jutrzejszą ciężką pracą, jaka nas czekała. Według poprzednich obliczeń wypadało, że jeśli przyjdę trzeci w biegu na 1500 metrów, to będzie dobrze.

Następnego dnia wśród bodaj że gorętszej dyskusji, niż wczoraj, minęło nam przedpołudnie. Zwiedziliśmy miasto, a o godz. 12 spożyliśmy wspólny obiad i udaliśmy się na boisko. Nie wszyscy. Kilku „ucięło" sobie poobiednią drzemkę, aby, jak mówili, nabrać sił. Kiedy mnie zaproponowali, kategorycznie odmówiłem, gdyż uważam to za szkodliwe. Sen w czasie dnia tylko męczy, a nie odświeża. Człowiek czuje się po nim osowiały i ociężały. Według mego zdania, każdy szanujący się człowiek, a szczególniej ten, który chce uprawiać sport, powinien kłaść się regularnie dość wcześnie spać i sypiać nie więcej, jak 8 — 9 godzin.

Drugi dzień meczu zaczynamy pomyślnie. W konkurencji 400 mtr. przez płotki odnosi sukces podpora naszej lekkiej atletyki Stefcio Kostrzewski, wygrywając bieg w doskonałym czasie prawie bez walki. Ucałowaliśmy wszyscy zucha w oba policzki, gdyż zwycięstwo jego stało się dla nas bodźcem do dalszej walki. Zawsze podziwiałem Kostrzewskiego i brałem z niego przykład. Jest on dla mnie do dzisiejszego dnia wzorem sumienności i lojalności względem innych, do kolegów odnosił się zawsze jak najserdeczniej.

Jednak niedługo upajaliśmy się zwycięstwem. Już następne biegi płaskie kończą się dla nas tragicznie. Znów te przeklęte ostre wiraże nie pozwalają nam wygrać konkurencji, na którą przecież tak liczyliśmy. Świetny Biniakowski przegrywa do Bartla. Wreszcie nadchodzi mój bieg. Startuję. Znakomity biegacz czeski na tym dystansie Kitel, zresztą ogólny faworyt, następnie Kośćak, Malanowski i ja.

Po strzale startera Kośćak obejmuje prowadzenie,

ja i Malanowski „trzymamy" mocno Kitla, o którego nam przecież najwięcej chodziło. Po przebiegnięciu okrążenia zauważyłem, że Kośćak zwiększa tempo, Kitel zaś, widząc, że jest dobrze przez nas obstawiony, zwalnia.

Aha, koteczku — myślę sobie, — poświęcasz się dla swego kolegi, pognałem więc, jak strzała naprzód i już po 300 metrach byłem pierwszy. Ponieważ jednak wszyscy wbijali mi do głowy przed biegiem, że dobrze będzie jak przyjdę trzeci, zdezorjentowałem się. Chodziło, aby zmęczyć Kośćaka i przepuścić Malanowskiego. Zwolniłem więc trochę i na 60 mtr. przed taśmą do dzisiejszego dnia nie wiem dlaczego przepuściłem Kitla i Malanowskiego, sam będąc drugi. Finisz, w którym zawodnicy ci biegli, nie był zupełnie groźny, gdybym chciał wtedy walczyć, z pewnością wygrałbym bieg. Zdezorjentowany jednak, zapóźno zabrałem się do finiszu i przychodzę tuż za Malanowskim.

Pierwszy był Kitl w czsaie 4:14, Kośćak, biedak, pozostał daleko wtyle. Wogóle żal mi do dzisiejszego dnia jest Kośćaka, który, nie wiem dlaczego, nigdy nie miał do mnie szczęścia. Doskonały ten biegacz, robiąc daleko lepsze czasy ode mnie, kiedy startowaliśmy razem, zawsze przegrywał.

W międzyczasie, kiedy biegłem na 1500 metrów, odbywały się rzuty. Konopacka miotała kulą (konkurencja w dysku odbyła się poprzedniego dnia), zwyciężając bezapelacyjnie. Czesi chcieli urządzić nam mały „kawał". Porucznikowi Baranowi „ujęli" z wyników rzutu kulą blisko 2 centymetry. Chcieli odebrać mu zwycięstwo, jednak „kawał" się nie udał.

Nareszcie zacząć się ma decydujący moment meczu: sztafeta 4 x 400. Po pobieżnem przeliczeniu punktów, okazuje się, że Czesi mają o jeden punkt więcej od nas. Jeżeli wygramy sztafetę, wygramy mecz, w przeciwnym razie czeka nas dotkliwa porażka. Po zapowiedzeniu sztafety i ukazaniu się naszych biegaczy na boisku, zaparło mi dech w sercu. Nigdy nie za-

pomnę tej chwili, jak staliśmy wszyscy w milczeniu, nie chcąc peszyć najmniejszym choćby odruchem naszej czwórki, błagalnym wzrokiem tylko patrząc w nich, jak w obraz. A przyznać trzeba, że sytuacja wydawała się beznadziejna. Biegali przecież zarówno z jednej jak i z drugiej strony ci sami zawodnicy, ale z tą wielką różnicą, że w biegach płaskich na tym dystansie, Czesi już poprzedniego dnia byli zwycięzcami.

Wreszcie wśród grobowej ciszy zawodnicy ustawiają się na starcie. Pierwsza zmiana: Weiss i Wolf. Wyobrażam sobie, co musiał przeżywać wtedy biedny Zygmuś, jeżeli my trzęśliśmy się jak w febrze. Sytuacja stawała się zupełnie jasną. Jeżeli Weiss potrafi pokonać Wolfa — sztafetę mamy wygraną. Ale czy potrafi? Przecież do tego samego Wolfa wczoraj przegrał na tym samym dystansie. Wszyscy wpatrywaliśmy się w niego, jak w jakiś obraz, ale w postawie i w wyrazie twarzy Weissa widać było tak niezwykłe zacięcie i wiarę w zwycięstwo, że mimowoli uspokajaliśmy się. Pada strzał startera. Weiss wspaniale bierze start i jak proca wyrywa naprzód. Wolf, który był pewny zwycięstwa, nie przypuszczał, że Polak potrafi wydobyć ze siebie wszystko i zacznie bieg tak wspaniałym sprintem. Wytęża też swoje wszystkie siły, aby nadążyć za Weissem. Ale ten, jakby mu skrzydła urosły, pędzi naprzód, bierze doskonale ostre wiraże, i wśród nieopisanego zgiełku wszystkich nas i trybun, oddaje pałeczkę Biniakowskiemu na kilku metrów przed Wolfem.

— Brawo Weiss! — jakkolwiek to jeszcze nie koniec morderczej walki sztafety, ale wspaniałe jego zwycięstwo natchnęło wiarą pozostałych zawodników. Biniakowski wywiązujesię z zadania również dobrze, przychodzi pierwszy przed Bartlem i nadrabia dalsze

Już po zwycięstwie Weissa ogarnął nas istny szał. dwa metry. Dalej Malanowski, a za nim Kostrzewski wygrywa ostatecznie sztafetę i mecz.

Złapaliśmy go w objęcia, dziękując mu i gratulując za wygraną. Niewątpliwie Weiss był prawdziwym zwycięzcą sztafety i meczu.

Weseli, ubraliśmy się prędko i pomaszerowaliśmy do hotelu, aby przygotować się do bankietu, który miał się odbyć na cześć lekkoatletycznej drużyny polskiej w czeskim Domu Narodowym. Punktualnie o oznaczonej godzinie zjawiliśmy się niemal wszyscy. Do stołów, zastawionych w podkowę, usiadło przeszło 100 osób. Początkowo było troszeczkę sztywno i oficjalnie, jak to zwykle bywa na tego rodzaju przyjęciach, ale gdy po kolacji zalśnił w puharach perlisty szampan, humory ożywiły się (nie bez tego, że napewno każdy z nas miał trochę w czubie), i zapanował beztroski humor. Zaczęła się dopiero właściwa zabawa. Gawędząc sobie o aktualnych tematach (nietylko sportowych), aniżeśmy spostrzegli, że czas tak prędko mija i że należy pomyśleć o powrocie do domu.

Nigdy nie spodziewałem się, że obcy naród może przyjmować tak serdecznie, jak to czynili gospodarze. Nie wiedzieli poprostu, czem nas ugościć i uraczyć, chcąc w ten sposób odwdzięczyć się za przyjęcie, jakiego doznali rok temu w Warszawie.

Po oficjalnych przemówieniach i toastach, niektórzy z gości (przeważnie starsi i dostojni panowie) opuścili salę. Rozpoczął się przemiły sercle towarzyski. Oczywiście nie obyło się bez „kawałów". Tego samego dnia, poza meczem Polska — Czechosłowacja odbywał się bieg maratoński o mistrzostwo Czechosłowacji.

Pierwsi trzej zawodnicy, którzy przybyli w tej konkurencji do mety, zaproszeni byli również na bankiet. W pewnej chwili zwycięzca maratonu wziął ze stołu olbrzymi puhar (o pojemności przynajmniej jednego litra), napełnił go szampanem i podszedł do por. Barana, wręczył mu go, prosząc aby wychylił za zdrowie „maratończyka". Por. Baran wziął puhar do ręki i przy ogólnej wesołości puhar wychylił do dna. Trzeba było



Z przyjacielem swym, Aleksandrem Klumbergiem, trenerem P. Z. L. A., spędzamy dużo czasu na pogawędkach, omawiając technikę moich treningów.



Słuchając wskazówek Klumberga pilnie pracuję nad wydłużeniem kroku.

widzieć, jak potem Czesi patrzyli na niego, ze zdumieniem i podziwem.

Ja również „trąbiłem", jak się patrzy. Proszę mi pokazać takiego, któryby sobie wtedy nie pofolgował. Po wypiciu kilku kieliszków szampana, poczułem się tak pewny siebie i tak odważny, że nawet zaproponowałem Klumbergowi „bruderschaft", no i wypiliśmy go.

Tymczasem na przeciwległym końcu sali odbywała się „walka" między sprinterami. Rej wodził tu Olek Szenajch „bijąc" wszystkich Czechów bez konkurencji. Płotkarze też nie zostawali wtyle, „trąbili" jak się patrzy. Doszło nawet do tego, że zaczęli sobie „poprawiać" styl, skacząc przez stoły, jak przez płotki.

Jednem słowem było wesoło i miło. Gdy ktoś jeszcze zasiadł do fortepianu i zaczął grać jakieś modne tango, puściłem się w pląsy z p. kapitanową Plichtową (żoną kierownika czeskiej unji lekkoatletycznej). Gdy inni to zobaczyli, poszli za moim przykładem i niebawem wszystkie Czeszki były rozchwytywane.

Nie obyło się też i bez „tragedji". Felek Malanowski, który posprzeczał się z Kostrzewskim o jakieś głupstwo, będąc w dobrym humorze wylał temu ostatniemu na głowę kielich wina. Dostał za to poprostu w łeb.

W jaknajbardziej różowych humorach, ze śpiewem i improwizowaną muzyką wracaliśmy do hotelu. Było już dobrze po północy. Jedni, którym widocznie „mało jeszcze było", porozchodzili się po mieście, drudzy poszli na maleńki spacerek, a my pozostali pojechaliśmy do domu.

Humor i wesołość nie opuszczała nas nawet na ulicy. Z tego powodu o mały włos nie znaleźliśmy się... w kozie. Policjanci patrzyli na nas z dużą podejrzliwością, ale, słysząc obcą mowę, byli na tyle pobłażliwi, że nie interwenjowali; jednak gdyśmy już dojeżdżali do hotelu, znalazł się „odważniejszy", który zatrzymał nas, udzielając kilku „rad i wskazówek". Ponieważ w pierwszej chwili przyjęliśmy go również z humorem

i niewiele robiliśmy sobie z jego uwag, policjant rozgniewał się na dobre i chciał nas zabrać do komisarjatu. Wiele trudu i krasomówstwa kosztowała Adamczaka obrona nas przed policjantem. Wreszcie udobruchał się i dał nam spokój.

Dopiero, gdy znaleźliśmy się na „swoich śmieciach" w hotelu, odczuliśmy zmęczenie. Położyłem się, nie zważając na nikogo i na nic i odrazu zasnąłem snem kamiennym. Następnego dnia śniadanie przeszło również pod znakiem humoru. Ale nie wszyscy byli weseli. Niektórzy „troszeczkę" chorowali. Szczególnie Cejzik skarżył się na dotkliwy ból głowy, który, jak biadał, nie opuścił go przez całą drogę powrotną.

Wreszcie chwila odjazdu. Odprowadzeni przez Czechów, wsiadamy do wagonu, wioząc cenną nagrodę w postaci puharu min. Zaleskiego. Podróż minęła nam szybko i przyjemnie, przeważnie na grze w karty. Po osiemnastu godzinach drogi wysiadaliśmy na peronie dworca Głównego w Warszawie. Tak się zakończył mój pierwszy oficjalny występ międzynarodowy w reprezentacji Polski.

Rozdział VIII.

Po przyjeździe do Warszawy, dowiaduję się o zawodach, organizowanych przez Tow. Eugeniczne, które mają się niedługo odbyć w Warszawie. Dowiedziałem się również, że mam brać w nich udział, i że zgłoszony jestem do biegu na 1500 metrów. Ponieważ zawody te miały charakter wybitnie propagandowy, bieg odbyć się miał w trzech grupach, w ten sposób, że najlepsi zawodnicy rozdzieleni byli do poszczególnych grup. Nie pierwszeństwo, lecz czas uzyskany w grupach decydował o zwycięstwie. W ten sposób Malanowski, Petkiewicz i ja rozdzieleni zostaliśmy do trzech grup.

Przyznaję, że na dystansie tym nigdy nie walczy-

łem z czasem. Tak się jakoś układało, że startując na 1500 metrów, nie miałem groźnej konkurencji, a jeżeli nawet była, to kończyliśmy przeważnie bieg w kiepskim czasie. Dlatego też, gdy dowiedziałem się o rozdzieleniu nas na grupy, chętnie zgodziłem się na start, gdyż chciałem po raz pierwszy spróbować swych sił i walczyć nie z przeciwnikami, ale z czasem na tym dystansie. Ogłoszono mnie zwycięzcą, gdyż zrobiłem najlepszy czas 4:10,8, Petkiewicz miał 4:11, Malanowski 4:12.

Nie chcąc być posądzonym o subjektywizm, nie opisuję dokładnie stosunku mojego do Petkiewicza i odwrotnie. Nie mogę jednak powstrzymać się choćby od pobieżnego określenia pewnych faktów, bez których wspomnienia moje byłyby niekompletne. Wspominać je tu muszę z tego jeszcze względu, że stały się one powodem niejednej mojej przykrości sportowej.

Tak więc w tym okresie już nietylko ja, ale nawet przyjaciele moi zauważyli wielką zmianę Petkiewicza w stosunku do mnie.

Przedtem było to niewidoczne dla innych (choć ja to intuicyjnie przeczuwałem), gdyż pozory były dobrze zachowane. Teraz już Petkiewicz nie krył się z niechęcią ku mnie i nieraz głośno o tem w towarzystwie rozmawiał.

Właściwie mówiąc, może to nawet nie była zazdrość czy niechęć, ale żal i podrażnienie własnej ambicji sportowej. Wielokrotnie przecież mówił i żalił się do kolegów, że nie spodziewał się spotkać w Polsce tak silnej konkurencji. Nie wiedziałem sam, co mam robić. Z jednej strony żal mi było chłopaka, który przecież bez rodziny i najbliższych musiał się czuć tutaj bardzo samotnie i z pewnością zazdrościć innym ciepła domowego, z drugiej — chwilami brała mnie wściekłość, na jego postępowanie. Pomimo swojej skrytości od najmłodszych lat nie znosiłem obłudy i wielotwarzo-

wych ludzi. Jeśli mam do kogoś urazę, to z punktu przecinam węzeł i walę prosto z mostu o co chodzi.

Dlatego też gorszyło mnie jego postępowanie. Kiedy był ze mną, rozmawiał zawsze uśmiechnięty a kilka razy zagabywany przezemnie wprost lub wyciągany na ten temat, odpowiadał zawsze przecząco. Nigdy nie mogłem zrozumieć dlaczegóż, u licha, zamiast mnie samemu otwarcie i szczerze powiedzieć o swoich żalach, szeroko o nich opowiadał drugim.

W tydzień po zawodach Tow. Eugenicznego, W. O. Z. L. A. urządzał mecz międzymiastowy z Wilnem. Wprawdzie zgóry przesądzony był wynik tego meczu na naszą korzyść i drużyna warszawska jechała do Wilna już ze zwycięstwem w kieszeni, ale potrzeba takiego meczu w Wilnie dawało się bardzo odczuwać. Należało „rozruszać" wileńską publiczność i wzbudzić większe zainteresowanie Wilna dla sportu. Z prawdziwą przyjemnością jechałem na te zawody. Kocham Wilno i jego pamiątki. Dlatego też sposobność zobaczenia ich przyjąłem z zadowoleniem.

Nigdy nie zapomnę preludjum do tych zawodów. Pojechałem oddzielnie, a nie z całą drużyną i to dopiero w ostatniej chwili. Praca moja zarobkowa nie pozwoliła mi wyjechać wcześniej. Przez to naraziłem się dziennikom wileńskim, które „zmieszały mnie z błotem", nawymyślały od młokosów z zawróconemi głowami, jednem słowem zaatakowano mnie bardzo silnie za to, że przyjechałem oddzielnie i... sleepingiem. Mam wrażenie, że powód tych ataków był inny. Ponieważ ostatnie moje zwycięstwa odbiły się dość głośno w całym kraju i poruszyły sportową opinję, dzienniki wileńskie widocznie obawiały się, że mogę zrobić zawód i wcale nie przyjechać, a przez to pozbawię publiczność emocji.

Drużyna nasza wyjechała bez oficjalnego kierownika ze Związku. Zastępował go wielokrotny rekordzista Polski, Stefek Kostrzewski, który wywiązał się ze swego zadania doskonale. A trzeba wiedzieć, że dola

kierownika drużyny jest bardzo ciężka i nie do pozazdroszczenia. Proszę sobie wyobrazić położenie człowieka, który musi zadowolić wszystkie kaprysy i życzenia kilkunastu względnie kilkudziesięciu osób. A to jeden nie ma masażysty, drugi ma „niełady" kostjum lekkoatletyczny,. trzeci — za luźne pantofle, a jeszcze innemu... nie smakuje kompot.

Kostrzewski potrafił ku zadowoleniu wszystkich tak zadysponować, jak było potrzeba. To też niema najmniejszego rozdźwięku pomiędzy nim a nami. Jeżeli nie było kogoś potrzebnego pod ręką, sam się ofiarowywał z pomocą, był wszędzie, wszystko widział i załatwił.

Nieszczęście chciało,, że w dniu, w którym miał się rozpocząć mecz, padał deszcz. O przesunięciu zawodów nie było mowy, gdyż drużyna nasza dłużej jak dwa dni nie mogła pozostawać w Wilnie, a odwoływać meczu ze zrozumiałych względów nie chciano. Straciła na tem w pierwszym rzędzie publiczność, która wybrała się na stadjon.

Trzeba przyznać, że Wilno posiada jeden z najpiękniej położonych stadjonów w Polsce. Nic więc dziwnego, że prawie wszystkie miasta zazdroszczą mu tego cacka. A w owym czasie stadjon posiadał doskonałą bieżnię, która bodaj była najlepszą w Polsce. Położony za miastem na Piromoncie, otoczony jest z trzech stron górami. Góry te utkwiły mi w pamięci, bo doskonale chronią przed wiatrem, który przecież tak często w czasie biegu daje się zawodnikom we znaki.

Mecz rozpoczyna się biegami 110 m. przez płotki. Święci tu oczywiście triumfy Trojanowski, który w owym czasie uchodził za niepokonanego. Następuje po tem kilka konkurencyj, wszystkie prawie wygrane przez warszawiaków i rozpoczyna się bieg na 1500 metrów, w którym biorę udział. Pełen werwy i bez tremy, wbiegam na bieżnię. Czułem się wtedy doskonale, tembardziej, że sam „mistrz" Kostrzewski wymasował mnie

przed biegiem. Brak silnej konkurencji w moim biegu odejmuje mi zwykłą tremę i postanawiam wobec tego atakować rekord Polski. Należał on do Forysia i wynosił 4:05. Koledzy wprawdzie odradzali mi ze względu na niepogodę i rozmiękłą bieżnię, ale uparłem się. Wiadomo jest powszechnie, że na upór niema lekarstwa.

Ze startu ruszam odrazu w bardzo szybkiem tempie. Nie zważam na deszcz, który szczególniej w tej stronie, niezasłoniętej górami bieżni, daje się dotkliwie we znaki. Jeszcze przedtem umówiłem się z Kostrzewskim, że będzie podawał mi czasy okrążeń (wtedy jeszcze biegałem bez stopera). Pierwsze okrążenie mijam w 1:02, przeciwnicy nie mogą utrzymać mojego tempa i już po tem okrążeniu odpadają, zostając daleko w tyle. Drugie jednakże jest o wiele słabsze i wynosi już 1:05. Kostrzewski podbiega do mnie i woła: „Prędzej prędzej! Tem-po-o-o! a rekord będzie twój!

Łatwiej jednak jest przewidzieć i przygotować sobie wszystko, niż wykonać. Pomimo wielkich wysiłków, trzecie okrążenie przebiegam 1:07. A więc 1200 metrów zrobiłem w 3:14. Pozostaje mi 300 metrów, które muszę zrobić w 50 sek. Wytężam wszystkie siły, rozpoczynam finisz, ale nic z tego. Z jednej strony brak konkurencji, któraby mnie mogła podciągnąć, z drugiej — rutyny, tempa i szybkości, nie pozwalają na osiągnięcie tego wyniku. Przebiegam wprawdzie 300 metrów w 52 sekundy, ale to akurat właśnie o dwie sekundy gorzej niż było potrzeba. Czas biegu 4:06, gorszy o sekundę od rekordu Forysia.

Po biegu stało się dopiero jasne dlaczego nie pobiłem rekordu. Nie umiałem jeszcze rozkładać sobie okrążeń, „nie znałem jeszcze siebie". Pierwsze okrążenie było za mocne, na ostatnie nie starczyło sił. Pomimo to jednak wynik, jaki wtedy uzyskałem, był moim rekordem życiowym.

Następnego dnia, jak na złość, padał drobny deszcz. Publiczności stosunkowo mało, tylko „zapaleńcy" przyszli na stadjon. Mecz zaczyna się od biegów średnich,

w których triumfy zbiera Kostrzewski. Tutaj — ja mu się rewanżuję, dyktując czasy. Za chwilę oddaję mu stoper, bo właśnie zaczyna się bieg na 5000 metrów. W biegu tym, nie wiem dlaczego, przeżywałem bodaj jedno z najdziwniejszych uczuć. Przekonany wprawdzie byłem, że bieg wygram (nie miałem groźnych przeciwników), ale jakiś niewytłumaczony lęk prześladował mnie nietylko przed biegiem, ale nawet i w czasie biegu.

Poza rodzajami taktyki, jakie wpajał we mnie Klumberg, do dzisiejszego dnia prześladuje mnie najprostsze zdawałoby się, rozumowanie: prędzej skończysz, prędzej sobie odpoczniesz. W tym biegu jednak wydawały mi się minuty godzinami. Czegoś mi było brak.

Ze względu na przejmujący chłód i deszcze, rozpocząłem bieg w swetrze. Po kilku jednak okrążeniach rozgrzałem się i zrzuciłem go, ale z przykrością zauważyłem, że razem z nim wyrzuciłem chustkę, która była w kieszeni, a która jednocześnie zastępowała mi stoper.

Już od początku mówiono mi abym biegał, trzymając coś w ręku i przyzwyczajał się do tego. Na początku mojej karjery sportowej nie dawali mi stopera, gdyż nie chcieli, abym sam sobie regulował tempo, ale wtykali mi jakiś przedmiot do ręki.

Kiedy wyrzuciłem ze swetrem chustkę, brak mi było owego „czegoś". Dlatego też skoro zrównałem się z Kostrzewskim, prosiłem, go, aby mi podał chustkę. Wprawdzie komunikowanie się zawodników jest kategorycznie wzbronione, ale jakoś uszło uwagi sędziów, gdy w następnem okrążeniu Kostrzewski wetknął mi chustkę do ręki.

Od początku biegu prowadziłem. Za mną biegli Sarnacki, Sidorowicz i inni. Po kilku okrążeniach odpadają, i to nawet dość daleko, a Sarnacki też nie chce ze mną walczyć, chodzi mu o zajęcie drugiego miejsca. Smagany wiatrem i drobnym deszczem, zły, pędzę naprzód, poprostu dlatego, ażeby jaknajprędzej bieg ukończyć i wycofać się z pod prysznicu. Nie uważam nawet

na Kostrzewskiego, który mi podaje czasy i coś gorąco przekłada.

Po dziewiątem okrążeniu ogarnia mnie apatja i zniechęcenie. Na chwilę nawet zwalniam tempo, gdyż przez chwilę chciałem odstąpić i bieg przerwać. Tylko lęk przed drwinami kolegów pchnął mnie naprzód.

Przezwyciężam się i biegnę dalej. Następuje ostatnie okrążenie. Z zadumy wyrywają mnie okrzyki Stefka i kolegów, którzy, biegając po boisku i wymachując rękami, zachęcają do szybszego finiszu.

— Będzie rekord, będzie rekord! — wołają.

Z anormalną pracą rąk zaczynam finisz i kończę bieg w czasie 15:17,8, który jest nowym rekordem Polski, lepszy o 16,2 sekundy od poprzedniego. Takiego wyniku nie spodziewałem się nigdy. Gdy mi powiedziano, nie chciałem wprost wierzyć temu. Zresztą nie wierzyli inni, a byli nawet tacy, którzy twierdzili, że przebiegłem mniej o jedno okrążenie. Dopiero kpt. Kawalec, który stał na czele komisji sędziowskiej, rozwiał wszelkie wątpliwości, ogłaszając oficjalnie czas, jaki podałem wyżej.

Publiczność wileńska, która naogół dość chłodno odnosiła się do wyników, przyjęła mnie bardzo życzliwie i nagrodziła gorącemi oklaskami. Ja jednak byłem tak przemoczony i obolały, że nie zważałem na oklaski, pomknąłem do szatni, przebrałem się i uciekłem do hotelu.

Po rozgrzaniu się i przebraniu, poszliśmy zwiedzać miasto. Robiłem to z tem większą przyjemnością, że byłem po raz pierwszy w Wilnie. Najbardziej, oczywiście, podobał mi się obraz cudownej Matki Boskiej Ostrobramskiej. Gdy się nań spojrzy i wpatrzy, dopiero można zrozumieć, dlaczego miasto jest z obrazu tego tak dumne.

Następnie zwiedziliśmy budujący się nowy stadjon wojskowy, który miał być za rok uroczyście otwarty wielkiemi zawodami międzynarodowemi. Już wtedy zostałem na nie zaproszony.

Po wspólnej kolacji pojechaliśmy na dworzec. Nie mogę nie wspomnieć tu o pewnym zawodniku (nazwiska ze zrozumiałych względów nie wymieniam), którego prześladował jakiś szczególny pech. Zaczęło się już w hotelu, zupełnie niechcący miednica wypadła mu z ręki: rozbiła się. Jadąc na dworzec, zostawił portfel z pieniędzmi w taksówce. Zmartwiony po usilnych staraniach (nikt prawie nie miał pieniędzy, pożycza na bilet do W-wy, ale biedak na drodze do kasy znów je gubi. Musieliśmy wszyscy robić składkę na kupno biletu, ale już pieniędzy do ręki nie chciał wziąć. Współczułem mu, później przez całą drogę był bowiem tematem drwin i docinków.

Rozdział IX.

W kilka dni po przyjeździe do Warszawy staje się to, czego się spodziewałem. Idę do wojska. Dzięki staraniom przyjaciół, dostaję przydział w baonie administracyjnym III kompanji, która stacjonuje na Pradze. Dowódcą moim był kapitan Polniaszek, serdeczny opiekun sportowców. Dziękowałem więc Bogu, że znalazłem się w jego kompanji.

Przez pierwsze kilka dni, spędzone w koszarach, czuję się dość obco. Przedewszystkiem byłem sam, bez znajomych i kolegów, nie mogłem znaleść sobie miejsca.Patrząc zbliska na życie w wojsku, odrazu doszedłem do przekonania, że ten tryb życia nie będzie mi odpowiadał. Przeklinałem na czem świat stoi, że nie wstąpiłem, kiedy chciano mię przydzielić, do podchorążówki rezerwy. Przeklinałem siebie i sport, który był tego główną przyczyną.

Po kilku dniach, jako tako przyzwyczaiłem się do otoczenia. A już zupełnie zrobiło mi się wesoło, gdy pewnego dnia zobaczyłem w koszarach swych dobrych znajomych. Martynę, Łańkę, Winerowicza i Czesia Mroczkowskiego, którzy wraz ze mną mieli tu odsługiwać swoją powinność wojskową.

Niewiele minęło czasu i oto stworzyliśmy zwartą paczkę, byliśmy nierozłączeni. Nie rozstawaliśmy się (oczywiście poza służbą) ani na chwilę. Nazywano nas „benjaminkami" dowódcy.

W dwa tygodnie po wstąpieniu do wojska, na boisku „Orła" w Grochowie odbywały się zawody. Miałem tam startować razem z Petkiewiczem na 3 kilometry. Już zawczasu, na trzy tygodnie przed niemi umówiliśmy się, że bieg skończymy razem. Była już bowiem spóźniona pora (druga połowa października) i żaden z nas nie chciał w tym sezonie biegać na czas. Kiedy jednak przyjechałem na boisko i spytałem Petkiewicza, co będzie z biegiem, ten mi wprost odpowiedział:

— Nie zgadzam się na nic, robię czas i nic mnie nie obchodzi.

Przyznam się, że zdumiony byłem jego oświadczeniem. Nic innego — pomyślałem sobie. — Petkiewicz wie, że od dwuch tygodni nie trenuję, że będąc w wojsku odbywam uciążliwe ćwiczenia, a więc jestem nieco przemęczony. Jednem słowem liczy, że spadłem z formy i chce w ten sposób wykorzystać moją słabość, aby zrewanżować się za poprzednie porażki.

— Zrób, jak uważasz — odpowiedziałem z nieukrywanym gniewem.

Postanowiłem jednak walczyć do upadłego i pokazać mu, że nawet w takich warunkach jestem dla niego groźny.

Nigdy nie zapomnę tego biegu. To była walka na śmierć i życie. Przez całych siedem okrążeń, nawzajem odbieraliśmy sobie prowadzenie, o które ja w pierwszym rzędzie walczyłem, gdyż chciałem unormować tempo wolniejsze, aby chować siły na finisz. Tymczasem Petkiewicz przeczuł moją taktykę i nie chciał ani na chwilę zwolnić.

Gdy wyprzedziłem go na prostej i nie pozwalałem objąć mu prowadzenia, jednocześnie zwalniając, na wirażu był on już pierwszy i zwiększał tempo. Tak minęło siedem okrążeń. Na ostatnich dwustu metrach, Pet-

kiewicz rozpoczyna przepiękny finisz i przychodzi pierwszy w czasie 8:54,2. Ja walki nie przyjmuję i oczywiście przegrywam.

Bieg ten był dla mnie poważną przestrogą i dowodem, co staje się z zawodnikiem, który nie trenuje i zaniedbuje przygotowania gimnastyczne. To jedno. Po drugie dowiedziałem się, jak łatwo można spaść z formy, jeśli nie przebywa się w atmosferze spokoju, lecz w zgiełku.

Bez przesady należy stwierdzić, że 25 procent formy każdego zawodnika — to opanowanie nerwów i spokój. Drugie 25 procent, to przygotowanie. A więc trening, gimnastyka i masaż.

Bieg na Grochowie stał się punktem zwrotnym w stosunku Petkiewicza do mnie i odwrotnie. Teraz już ani on, ani ja nie ukrywaliśmy wzajemnej niechęci. Stał się on właściwym początkiem naszej niezgody.

W tydzień po tych zawodach wyjeżdżamy do Lwowa na międzymiastowy mecz Warszawa — Lwów. Mecz rozgrywa się w jednym dniu. Wobec tego, że miało być sporo konkurencyj do rozegrania, zawody odbywają się przed południem i po południu. Ja miałem biegać na 1500 i 5000 metrów, Petkiewicz zgłoszony był tylko do biegu na 5000 metrów.

Tysiąc pięćset metrów wygrywam dość łatwo do Sawaryna, w kiepskim czasie 4:15. Składają się na to: z jednej strony fatalna bieżnia, z drugiej rezerwuję siły na pojedynek z Petkiewiczem.

Koła sportowe wiedziały już o naszej niezgodzie, dlatego też z wielką niecierpliwością oczekiwano na bieg. Biorąc pod uwagę obopólną zawziętość i chęć wygrania, liczyłem, że powinniśmy zrobić czas około 15:30, którego jeszcze nikt w Polsce nie osiągnął.

Ze startu ruszam odrazu naprzód, obejmuję prowadzenie i chcę rozegrać bieg na tempo. Wiem już dobrze, że na finiszu nie mogę równać się Petkiewiczem, jest on daleko odemnie szybszy. Chcę robić więc czas, ażeby

BIBLIOTEKA UNIW. JAGIELL.

go zmęczyć, gdyż wiedziałem o tem, że jestem od niego wytrzymalszy.

Czy „spuchnie", czy też wytrzyma? — przebiegało mi przez głowę.

Petkiewicz jednak odrazu przejrzał moją taktykę. Już w drugiem okrążeniu wychodzi naprzód, chcąc mi odebrać prowadzenie, ale nie udaje mu się. Po dziesięciu metrach odbieram mu inicjatywę i prowadzę cały bieg, dwanaście okrążeń.

Nigdy nie przypuszczałem, że można biec regularnie jak zegarek, tak, jak my biegliśmy. Wszystkie okrążenia wykazywały 1:16. Był to oczywiście przypadek, bo jeszcze wtedy nie miałem rutyny i nie umiałbym, gdybym nie wiem jak chciał, regulować swe tempo. I dziś jeszcze takim chronometrem nie jestem.

Wreszcie nadchodzi ostatnie okrążenie. Robiło mi się zimno i gorąco. Nie było dla mnie rzeczy, której bym nie oddał, byle móc zwyciężyć. Niestety jednak Petkiewicz, który przez cały czas trzymał się raptem odrywa się, rozpoczyna finisz i mija mnie, przychodząc pierwszy do mety. Kończy bieg w czasie 15:30,6. Ja, zmaltretowany fizycznie i psychicznie, jestem o 10 metrów w tyle.

Co przeżywałem po biegu, trudno opisać. Była to dla mnie tragedja. Poprostu fizyczny ból mną targał, nie mówiąc już o upokorzeniu i psychicznem załamaniu. Tembardziej nie mogłem przeboleć przegranej, że Petkiewicz zwyciężył mnie na ostatnich metrach. Wolałbym stokroć przegrać na czas bieg, a nie na finiszu.

Gryzłem się tak przez kilka dni. Wreszcie przyszło opamiętanie. Może nawet i lepiej — tłumaczyłem sobie — że przegrałem. Wezmę się teraz poważniej do roboty i pokażę wszystkim, co potrafię. I tak nic na klęskę nie mogłem poradzić, mogłem tylko przyznać wyższość Petkiewicza nad sobą. Obiecałem też sobie solennie, że zacznę pracować przedewszystkiem nad finiszem, że muszę stać się szybszy.

Narazie jednak nie mogłem marzyć o racjonalnym

treningu, ani nawet o gimnastyce i masarzach. Jakkolwiek dowódcy moi, zawsze byli uprzejmi dla mnie i wyrozumiali, nie mogli przecież zgodzić się, abym opuszczał ćwiczenia i zaniedbywał obowiązki służbowe. Tego zresztą nawet nie mogłem od nich wymagać.

W wolnych chwilach od zajęć nie chciało mi się ani trenować, ani gimnastykować. Byłem zresztą tak przemęczony, że nie mógłbym podołać nawet najmniejszemu treningowi.

W kilka dni po powrocie ze Lwowa wyjeżdżam do Lublina wraz z Sarnackim, na mistrzostwo Polski w biegu na przełaj. Dystans wynosi około 10 kilometrów. Ogólnym faworytem był Sarnacki. Ze mną nie liczono się, gdyż wiadomo było, że nie znajduję się w formie.

Sprawiam im jednak wszystkim (miłą dla siebie) niespodziankę. Bieg wygrywam. Ale bynajmniej nie chcę się chwalić, że jest to moja wyłączna zasługa. Zostałem mistrzem Polski tylko dzięki złej taktyce Sarnackiego. który nie przypuszczał, że może bieg wygrać na czas, pozwolił mi na prowadzenie i to w takiem tempie, w jakiem chciałem. Przyznaję otwarcie, że gdyby Sarnacki podyktował tempo, z pewnością bym nie wytrzymał. Tymczasem jednak, rozegrawszy bieg w najodpowiedniejszym dla siebie czasie, gdy wpadliśmy na bieżnię, ostatnie dwa okrążenia już należały tylko do mnie.

Na ostatniem okrążeniu byłem już tak pewny zwycięstwa, że zwolniłem wyraźnie i niewiele brakowała, abym bieg przegrał. Dopiero krzyki przyjaciół kazały mi się odwrócić i zobaczyć, co się poza mną dzieje. Z przerażeniem zauważyłem, że Sarnacki wspaniale finiszuje i dopędza mnie niezwykle szybko. Niestety, było już dla niego zapóźno. Poderwałem się błyskawicznie, przyśpieszyłem jak mogłem i skończyłem bieg o 12 metrów przed Sarnackim i Motyką.

W biegu tym, po raz pierwszy w swej karjerze sportowej, miałem nieprzyjemny wypadek. Źle dopaso-

wane obuwie i nadzwyczaj twarde ścieżki, po których biegliśmy, stały się powodem odparzenia nogi. Kiedyindziej z pewnością zmartwiłbym się tem i ubolewał. Teraz byłem raczej zadowolony. Przynajmniej — myślałem sobie — nie będę kilka dni chodził na ćwiczenia. I rzeczywiście ,po zgłoszeniu się do lekarza, otrzymałem 4-dniowe zwolnienie ku zazdrości moich kolegów.

Po ostatnich zawodach lwowskich powiedziałem sobie, że już w bieżącym roku startować nie będę. Czułem się przemęczony. Zresztą bieżący sezon atletyczny był aż nadto obfity w różnego rodzaju imprezy, w których brałem udział. Ale... Czego się nie robi dla przyjaciół. Pewnego dnia wpadł do koszar kierownik sekcji lekkoatletycznej „Warszawianki", por. Suchorzewski, prosząc mnie, abym wziął udział w organizowanym rok rocznie biegu Wilanów — Warszawa. Początkowo oparłem się stanowczo. Lecz por. Suchorzewski wkońcu przekonał mnie argumentem, że bieg ten odbywa się o drużynowe mistrzostwo Warszawy, a „Warszawiance" chodziło specjalnie o zdobycie tego tytułu.

Zgodziłem się.

Cała śmietanka biegaczy znalazła się na starcie biegu Wilanów — Warszawa z Petkiewiczem, Sarnackim, mną i innymi na czele. Sensację wzbudził zapisaniem się do biegu i przybyciem na start 65-letni szewc, Jackowski, który zaimponował mi postawą sportową i niezłomną wolą wzięcia udziału w zawodach. Jak zwykle, zjawił się na starcie ze swoją pałeczką — amuletem.

Przed wspaniałym pałacem Wilanowskim zebrało się z 50-ciu zawodników, którzy mieli wziąć udział w tym biegu. Po rozdaniu numerów ustawiliśmy się na starcie i na dany znak ruszyliśmy naprzód. Sarnacki zmienił taktykę. Z punktu obejmuje prowadzenie i narzuca nam swoje tempo, pamiętają o tem, gdy przegrał bieg o mistrzostwo Polski, kiedy zastosował złą taktykę.

Po twardych ścieżkach szło jako tako, lecz gdy trzeba było przebiec z półtora kilometra przez miękkie pola, ani Petkiewicz, ani ja nie mogliśmy wytrzymać jego tempa i zostaliśmy wtyle. Tu szybkość nie wystarczała, potrzeba było siły, którą Sarnacki rozporządzał, jak nikt.

Nic więc dziwnego, że Sarnacki uciekał nam, jak się patrzy. Ja pierwszy zostałem wtyle, aby zobaczyć, że i Petkiewicz za chwilę przestał trzymać się Sarnackiego i odpadał.

Ale to nic, myślę sobie, niech tylko wyjdę na coś twardszego, to sobie tę przestrzeń odbiję. Niestety, pozostało to tylko w sferach marzeń. Tembardziej, że po kilkuset metrach zacząłem odczuwać dotkliwy ból pod lewem kolanem, który z każdą chwilą się zwiększał. Biegu jednak przerwać nie chciałem. Przyrzeczenie, dane Suchorzewskiemu, że dołożę wszelkich starań, aby team „Warszawianki" zwyciężył, wzięło górę nad bólem i, kulejąc, przyszedłem do mety, 200 metrów za Sarnackich i 100 za Petkiewiczem.

„Warszawianka" zwyciężyła. Ale liczni wielbiciele sportu, którzy zebrali się na mecie, zdumieni byli wynikami. Wszyscy spodziewali się zwycięstwa Petkiewicza, który ostatnio był w doskonałej formie, lecz nie Sarnackiego. Nie wiedzieli jednak o jednem: bieg na przełaj nigdy nie może być i nie jest wykładnikiem sił danego zawodnika, Ten, który może wygrać bieg na przełaj z dużą przewagą nad innymi, na bieżni przegra do daleko słabszych.

Z moją nogą było gorzej. Kiedy przybyłem do mety, ledwo mogłem ustać, tak mi dokuczało kolano. Niezwłocznie też udałem się do lekarza wojskowego, który kategorycznie zabronił mi brać udział w jakimkolwiek biegu, a nawet w treningu, stwierdzając przemęczenia lewego ścięgna kolanowego. Pocieszył mnie, że nie jest to bynajmniej nic groźnego. Jeżeli przez pewien czas całkowicie wypocznę, nie będzie potem ani śladu.

Wszystkie przyrzeczenia dane doktorowi i jego uwagi poszły w kąt, kiedy dowiedziałem się w dwa tygodnie później o organizowanym trzykilometrowym biegu na przełaj o mistrzostwo Polski. Za bardzo pokochałem bieżnię i walkę na niej, aby nie wykorzystać każdej sposobności, tembardziej, że chciałem się zrehabilitować za swoje poprzednie porażki.

Aby jednak mieć czyste sumienie i nie sforsować ścięgna, owijam lewe kolano bandażem i staję do zawodów. Popełniłem jednak kardynalny błąd, stosując bandaż zwykły, zamiast gumowego. Mówiąc poprostu, zamiast sobie zrobić dobrze, zrobiłem, jak mogłem najgorzej. Zamiast uchronić ścięgno przed sforsowaniem, jeszcze bardziej narażałem je na pracę.

Nadomiar złego, biorąc przeszkodę, źle stąpnąłem i doczekałem się, co mi doktór przepowiadał. Uszkodziłem ścięgno, wywiązał się stan zapalny, co mi uniemożliwiło choćby najlżejsze stąpnięcie.

Rozdział X.

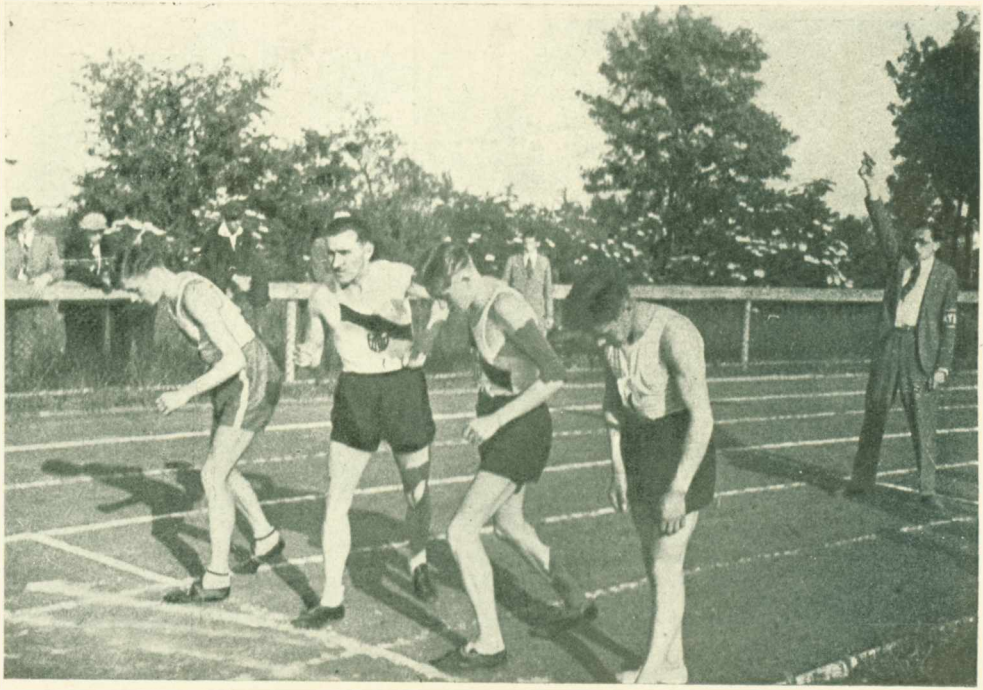
Nieomal z płaczem jechałem do koszar. Przykro było patrzeć na mój powrót, a już tragedją stało się zdejmowaniem butów. Sam nie dokonałbym tego za żadne skarby, tak mnie szalenie bolała noga; dopiero żołnierze, których prosiłem, z zachowaniem wielkich ostrożności, dokonali tej przykrej operacji.

Noga bolała mnie strasznie. Trudno wprost opisać. Z jednej strony, jakby znieczulona i zdrętwiała, z drugiej od czasu do czasu ból przeszywał mnie, aż do głowy.

Nazajutrz o wstaniu mowy być nie mogło, a cóż dopiero mówić o ćwiczeniach. Przy pomocy kolegów udaję się do doktora, który przedewszystkiem zbeształ mnie od ostatnich, stwierdziwszy ostre zapalenie ścięgna i odesłał do lazaretu. Po dwudniowym pobycie w izbie chorych bataljonu odwieźli mnie do szpi-



Start biegu na 3 klm. z Kosćakiem i Petkiewiczem, na stadjonie A. Z. S. Warszawa (1930 r.).



Start biegu na 1500 m., na jubileuszowych zawodach P. Z. L.-u. Startują od lewej: Pruszkowski (AZS), ja, Petkiewicz i Jokiwirta (Finlandja).

tala rejonowego im. marsz. Piłsudskiego na ul. Nowowiejską.

Podczas przyjmowania mnie przez dyżurnego lekarza zaszedł przykry wypadek. Po miesięcznej służbie w wojsku włosy odrosły mi na tyle, że już mogłem jako tako się uczesać, to też pielęgnowałem je troskliwie. Tymczasem, gdy znalazłem się w pokoju przyjęć, dyżurny lekarz kazał mi zgolić czuprynę. Postanowiłem bronić się do upadłego.

I nie wiem, jakby się to wszystko skończyło, gdyby nie pomoc doktora Levitoux, którego interwencja okazała się skuteczna. Dumny jak paw znalazłem się na sali szpitalnej.

Ciężkie jest życie w szpitalu, zwłaszcza dla tych, którzy czują się naogół dobrze, mają apetyt i na pierwszy rzut oka nic im nie dolega.

To też ogarnęła mnie po kilku dniach apatja. Całe dnie spędzałem na lekturze. Nie podobało się to sanitarjuszce, która zaczęła robić mi uwagi, a potem wprost skarżyć się lekarzom. Ponieważ nie miałem najmniejszej ochoty do kłótni, taki był skutek, że wyniosłem się ze szpitala do bataljonu i stamtąd dojeżdżałem na naświetlania. W szpitalu przeleżałem całe 9 dni.

Po kilkunastu zabiegach czułem się na tyle dobrze, że mogłem już stąpać i chodzić o lasce. Lekarz, który się mną opiekował, wypisał mi kartę do oddziału o urlop, który też otrzymałem. Z początku sądziłem, że urlop będę mógł spędzić dla własnej przyjemności. Niestety, prawie przez cały czas musiałem się kurować. W każdym razie poprawa następowała tak szybko, że ostatnie dnie urlopu minęły mi beztrosko w domu rodzicielskim w Ożarowie.

Na dwa dni przed końcem mego urlopu odbyła się w bataljonie wielka uroczystość. Wszyscy rekruci mieli złożyć przysięgę. Przerywam więc urlop i przyjeżdżam do Warszawy, aby wziąć udział w święcie. Długo będę pamiętał te chwile. Przy stosunkowo dość silnym mro-

zie (był to już grudzień), ustawiły się wszystkie kompanje na placu ćwiczeń. Pułkownik w imieniu naszem składał przysięgę — my, wyprostowani na baczność, z obnażonemi głowami, powtarzaliśmy za nim słowa. Następnie odbyła się defilada przed sztandarem 36 pułku piechoty i dowódcami, poczem pomaszerowaliśmy do koszar.

Po przyjeździe z urlopu zaczynają się w naszej kompanji rozdziały funkcyjne. Jedni wyjeżdżają na prowincję, innych przydzielono do 1 kompanji, z której w przyszłości miano stworzyć szkołę podoficerską. W tym też czasie, dowódca mój kpt. Polniaszek, przydzielony został do 1 kompanji, zabierając ze sobą moich najbliższych kolegów. Zostaję sam. Mnie nie chciał zabrać, gdyż jak się tłumamaczył, mało miał dotychczas pożytku ze mnie, bo albo wyjeżdżałem, albo chorowałem.

Nowy mój dowódca, por. Moskalewicz nie lubił sportowców.

— Cóż ty łaziku, — wymyślał mi kiedyś żartobliwie — nic z ciebie nie wyrośnie w wojsku. Biegać wprawdzie umiesz, ale cóż z tego, kiedy nie chcesz ćwiczyć! F'e! Łazik, nic więcej.

Tymczasem nadchodzi Boże Narodzenie. Pierwsza grupa wyjechała do domu. Po przydzieleniu do drugiej grupy urlopowej, spędzałem święta w koszarach. Wigilję spożyliśmy w bardzo miłym i uroczystym nastroju. Po podzieleniu się opłatkiem, dowódca całował nas wszystkich serdecznie, każdy z nas dostał jakiś upominek. Ale wieczorem, kiedy już skończyły się uroczystości w koszarach, drapnąłem na wilję do domu.

Urlop świąteczny miałem rozpocząć przed Nowym Rokiem. Na dwa dni przed wyjazdem ulitował się wreszcie kpt. Polniaszek i zabrał mnie do siebie. Nowy Rok spędzam w domu. Otrzymuję dużo życzeń, przedewszystkiem od rodziców, następnie od kolegów, ale, jak później miałem się przekonać, nie bardzo się sprawdziły, Rok 1929 należy do najbardziej „czarnych"

lat mojej karjery sportowej. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Następnego dnia zachorowała ciężko moja siostra Halina i po tygodniowej chorobie umiera. Rozpacz rodziców i moja nie miała granic, bowiem siostrzyczkę kochaliśmy wszyscy nad życie. Śmierć jej bardzo odczułem i przez długi czas nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia.

W wojsku tymczasem rozpoczyna się szkoła podoficerska. Uczęszczam na wykłady, staram się pilnie notować i uczyć, chcąc chociażby w ten sposób zapomnieć o niedawnem nieszczęściu. Zaczynam myśleć już na serjo o zimowej „zaprawie" sportowej. Wprawdzie nie było wtedy w Warszawie Klumberga, siedział gdzieś na prowincji, ale przyzwyczaiłem się już do jego nieobecności i zaprawy zimowe odbywałem podług „papierka".

Planu, który nakreślił mi Klumberg, nie mogłem jednak w całości wypełnić. Nie pozwalały na to zajęcia służbowe. Jednak co rano gimnastykowałem się, a dwa do trzech razy w tygodniu biegałem naprzełaj od 20 do 30 minut. Ani masować się, ani brać specjalnej łaźni wtedy nie mogłem.

Pomimo, że starałem się pracować nad sobą, jak mogłem najlepiej pomimo, że w okresie tym nie miałem ani chwili wolnej dla siebie — czułem się jakoś przemęczony, zmaltretowany, czegoś mi brakowało.

Tu następuje moje bodaj pierwsze załamanie psychiczne, a w wyniku, mówiąc bez obsłonek, rozpijam się i żadne upomnienia ani kolegów, ani przełożonych, abym zaprzestał, nie odnoszą skutku.

Dopiero w drugiej połowie kursu zdołałem się opanować. Z punktu przestaję pić i z prawdziwą pasją oddaję się do pracy nad lekkoatletyką. Kapitan Polniaszek zwalnia mnie z rannej gimnastyki oraz z niektórych ćwiczeń, abym mógł sobie pozwolić na najważniejsze zabiegi. Teraz dopiero zaczynam właściwie pracować

nad sobą, gimnastykuję się, biegam, masuję i chodzę do łaźni. Poczułem się odrazu lepiej. Uspokoiłem się, nareszcie byłem sobą.

Powód mego uspokojenia się i przyjścia do siebie nietrudno odgadnąć. Zawdzięczam to przedewszystkiem silnej woli i dlatego też radzę wszystkim, którzy chcą odzwyczaić się od jakiegokolwiek nałogu (a sportowcowi naogół pić nie wolno!) niech to robią odrazu, bez połowicznego załatwienia sprawy.

Tymczasem, pamiętne mrozy, jakie przez dłuższy czas trwały, zrobiły wyłom w treningach. Bardzo często nie mogłem biegać na otwartem powietrzu. To też martwiłem się, że forma będzie pozostawiała dużo do życzenia.

Wreszcie 10 marca przychodzi rozkaz DOK, o składaniu egzaminów i kończeniu szkoły. Zdaję egzamin z bardzo dobrą piątą lokatą, jednocześnie staram się w klubie, abym po ukończeniu szkoły został przydzielony do biura wojskowego, gdyż wtedy mógłbym bez uszczerbku dla wojska i siebie, trenować.

Nie wiem jednak, dlaczego klub zapomina o mojej osobie i przydzielają mnie na instruktora do pierwszej kompanji. O treningu i gimnastyce nawet marzyć nie mogłem. To trudno. Chcąc być dobrym żołnierzem, nie można być jednocześnie asem sportowym.

Czas schodzi mi na ciężkiej pracy, na dozorowaniu i uczeniu rekrutów, wieczorem zaś, od czasu do czasu, wymykam się na miasto do znajomych. Jednocześnie staram się wszystkiemi siłami o przeniesienie do innego oddziału. Ówczesny prezes „Warszawianki", płk. de Lavaux obiecuje, że postara się sprawę tę załatwić i przenieść mnie do biur DOK I. Ale dopiero przypadek wyrwał mnie z objęć kompanji.

Przechodząc kiedyś ulicą, spotkałem kpt. Grossa, znanego sportowca, komendanta Ośrodka Wychowania Fizycznego w Warszawie. Zaczynam mu się żalić i opowiadać o swoich zmartwieniach. Ten obiecuje, że w po-

rozumieniu z płk. de Lavaux postara się dla mnie o przydział do Ośrodka.

I rzeczywiście, po kilku dniach przychodzi do nas rozkaz DOK, abym zameldował się w okręgowym urzędzie W. F. u p. mjr. Lewina. Kpt. Polniaszek, gdy przeczytał rozkaz, był zły i zbeształ mnie od ostatnich. Udałem „greka", zwaliłem całą winę na klub, ale to niewiele pomogło, bo kapitan odłożył moje odkomenderowanie.

Mija dzień za dniem, a ja tkwię w kompanji. Dopiero następny rozkaz, który mówił o natychmiastowem zameldowaniu, podziałał. Odkomenderowano mnie, i już nazajutrz zameldowałem się w Ośrodku Wychowania Fizycznego.

Rozdział XI.

Był to pamiętny dzień dla mnie. Teraz już, pracując w Ośrodku, mogłem z całą swobodą oddać się treningowi. Kpt. Gross i wachmistrz Szelestowski (moi bezpośredni zwierzchnicy) idą mi w każdym wypadku na rękę, pomagają i opiekują się mną troskliwie.

Ćwiczenia odbywam razem z kursem, gdyż chciałem jednocześnie odbyć swoją zaprawę zimową i skończyć kurs ćwiczeń cielesnych i trenerów piłkarskich. W ten sposób powoli przychodzę do formy.

Nadchodzi kwiecień, wiosna, a z nią pierwsze jaskółki sezonu lekkoatletycznego. Zaczynam trenować coraz bardziej, nawet zwracają mi uwagę, by nie przemęczać się; nie słucham i pracuję „całą parą". Rezultatów jednak specjalnie dobrych nie widzę i czuję, że jestem w daleko słabszej formie, niż w roku ubiegłym. Tak więc zemściły się na mnie: brak zaprawy zimowej, przejścia rodzinne i męcząca praca w wojsku.

W początkach kwietnia wyjeżdżam z Petkiewiczem do Łodzi na pierwszy bieg naprzełaj Ł. K. S. Stosunek między nami nie zmienił się wcale. Petkiewicz był bar-

dzo chłodny i powiedziałbym wyczekujący. Zewnętrznie wyglądało to tak, jakbyśmy byli bardzo dobrymi kolegami. Zarówno on, jak i ja sadziliśmy się na wzajemne grzeczności.

W pociągu, omawiając taktykę, jak każdy z nas będzie chciał zastosować w tym biegu, ze zdumieniem dowiaduję się od Petkiewicza o takiej propozycji:

— Wiesz co — mówi do mnie — będziemy biegli razem przez cały bieg, a na 10 metrów przed metą ja wyjdę pierwszy przed ciebie. Innych możemy nie brać w rachubę, czy zgadzasz się?

Zdębiałem. Nie mogłem przemówić ani słowa. Petkiewicz milczenie moje przyjął za zgodę, uścisnął mi rękę i dodał jeszcze:

— Odwdzięczę ci się kiedyin dziej.

O dziesiątej rano przyjechaliśmy do Łodzi. Bieg zaczynał się o jedenastej. Chcieliśmy się jaknajbardziej pośpieszyć, aby zdążyć na pociąg, który odchodził do Warszawy o g. 1 po południu.

Ruszyliśmy ze startu. Nie zważałem na nikogo, tylko na Petkiewicza. Zdaje się, że i on pozostałych zawodników lekceważył. Zaczynam prowadzenie, ale ciężka trasa i brak treningu nie pozwalają mi na osiągnięcie dobrego tempa. Zresztą, przyznaję się, chciałem rozegrać bieg w jaknajwolniejszem tempie, ażeby się nie przeforsować na początku sezonu. Tegoż zdania był i Petkiewicz. Tymczasem spotyka nas przykra niespodzianka, której ani na chwilę nie przewidzieliśmy. Starosta z Ł. K. S. wychodzi raptem naprzód, zaczyna prowadzić i, będąc świetnie dysponowany, dyktuje morderczc tempo, zmuszając nas do przyjęcia walki.

W połowie dystansu czuję, że nie wytrzymam. Zaczynam zostawać w tyle. Ogarnia mnie dziwne uczucie. Nie jestem zmęczony, czuję, że mam jeszcze poważny zasób energji i sił, ale... nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Toteż do końca biegu nie odgrywałem żadnej

roli. Walka toczy się między Starostą a Petkiewiczem i dopiero na ostatnich metrach przed metą, Petkiewiczowi, ostatkiem sił, po zaciętej walce, udaje się zwyciężyć. Ja przychodzę trzeci.

Był to mój pierwszy bieg w tym roku i jednocześnie pierwsza porażka. Ale jakżeż inne myśli nurtowały mnie po tej przegranej. Zdałem sobie doskonale sprawę, że przegrałem nie dlatego, abym był gorszy od rywali, ale z tego powodu, że nie byłem odpowiednio przygotowany do walki. Przyrzekam więc sobie solennie zabrać się do pracy, ile mi tylko sił starczy, aby jaknajprędzej odzyskać dawną formę.

Jeszcze i drugą, dodatnią dla siebie przestrogę, wyniosłem z tego biegu. Nauczył on mnie raz na zawsze nie lekceważyć choćby najsłabszego przeciwnika. Zasadzie tej hołduję do dzisiejszego dnia i zawsze, ilekroć znajdę się z kimkolwiek na bieżni, walczę i biegam tak, jakbym uważał go nie za gorszego, lecz za lepszego od siebie.

Po przyjeździe z Łodzi wpadam w objęcia Szelestowskiego, który pomaga mi przy treningu. Trenuję, skoro tylko mam chwilę wolnego czasu. Chcę jaknajprędzej dojść do upragnionej formy.

W następnym tygodniu odbywa się w Warszawie trzykilometrowy bieg na przełaj o puhar magistratu. Przychodzę trzeci za Petkiewiczem i Sarnackim. I tu znów doznaję tych samych uczuć, co w Łodzi. Jeszcze ciągle nogi odmawiają mi posłuszeństwa.

Tymczasem nie mam chwili odpoczynku. O próżnowaniu mowy być nie może. Najpoczytniejszy dziennik stolicy, „Wieczór Warszawski" organizuje bieg na przełaj. Jako nagrodę przechodnią daje piękny puhar.

Dzięki umiejętności i sprawności organizacyjnej Zygmunta Weissa, który przy współudziale P.Z.L.A. bieg ten zorganizował — impreza udaje się znakomicie. Na starcie w Grochowie stanęło przeszło 100 zawodników, pomimo, że dzień był chłodny, a teren, po którym mieliśmy biegać, rozmokły i ciężki wskutek kil-

kudniowych deszczów. Oczywiście „team" „Warszawianki" stanął do tego biegu i, jak było do przewidzenia, zdobył pierwsze trzy miejsca. Ja przyszedłem trzeci za Petkiewiczem i Sarnackim. Dodać muszę, że trasa była tak ciężka, iż nieraz trzeba było formalnie pływać.

Trzeciego maja, w dzień święta narodowego, P.Z.L.A. organizuje czwarty bieg narodowy na przełaj, na dystansie około 8 klm. Z każdym rokiem bieg ten zjednywał sobie większą popularność, to też zgłosiło się przeszło 400 zawodników.

Bieg taki bywa zazwyczaj czemś w rodzaju próby generalnej przed letnim sezonem lekkoatletycznym i ma ujawnić, jak zawodnicy przepędzili zimę, w jakiej znajdują się formie i jakie mogą mieć horoskopy w tym roku.

Na starcie, na lotnisku Mokotowskiem zebrała się elita długodystansowców polskich. A więc Petkiewicz, Sawaryn, Sarnacki, Motyka, Żak, Rześko, Karczewski, Ziffer, Starosta i wielu innych. Trasa stosunkowo dobra, gdyż po suchem lotnisku.

Oczywiście, największymi faworytami jesteśmy my trzej z „Warszawianki", to też ogólnie się mówi, że właściwa walka o pierwsze miejsca rozegra się między nami. I tak się rzeczywiście stało. Petkiewicz z Sarnackim na zmianę prowadząc, narzucili wszystkim dość szybkie tempo, tak, że tylko ja jeden zdołałem utrzymać się przy nich. Przyszedłem do mety trzeci. Wprawdzie bieg przegrałem, lecz byłem ze swego wyczynu naogół zadowolany.

Czułem się już daleko lepiej, niż w poprzednich biegach, widać było, że powoli, ale dochodzę do swej dawnej formy i intensywny trening pozwoli mi uzyskać na bieżni lepsze wyniki. Pomimo, że bieg ten przegrałem, był on jednak poważną zachętą dla mnie do dalszej pracy, już choćby z tego względu, że obecnie przyszedłem trzeci, a w poprzednim, trzecim biegu narodowym naprzełaj, byłem aż dziewiąty.

„Warszawianka" w biegu tym odnosi podwójny sukces. Po pierwsze — zdobywa trzy pierwsze miejsca, po drugie otrzymuje drużynową nagrodę za największą ilość punktów, zdobytych wśród dwudziestu pierwszych zawodników.

W parę dni potem jedziemy z Petkiewiczem do Poznania na bieg o puhar „Kurjera Poznańskiego". Jak zwykle, tak i tu, przed biegiem lekarz badał zawodników, czy mogą w nim startować. Podczas oględzin zdarzył się zabawny wypadek. Po orzeczeniu lekarskiem, które uznało mnie za zdrowego, stałem z boku i patrzyłem, jak lekarz badał Petkiewicza. Pukał, stukał, przykładał mu ucho do serca, wreszcie stwierdził, że jest chory na żółtaczkę i nie chciał dopuścić go do biegu.

— Ależ, panie doktorze — tłumaczył się Petkiewicz — przecież zdrów jestem, jak ryba. W ciągu ostatnich dwu dni biegałem dwa razy i czuję się znakomicie.

— To nic nie szkodzi — odpowiedział doktór, — pan biegał, ale ja stwierdzam, że pan jest chory.

— No, dobrze — wtrąciłem się do rozmowy — nie może pan przecież, doktorze, dyskwalifikować zwycięzcy, to raczej niech pan nie dopuszcza nas wszystkich. Chory, czy zdrów, ale przecież to ogólny faworyt.

Po wielu prośbach i staraniach doktór zmiękł i dopuścił Petkiewicza do biegu.

Tak, jak przepowiadałem doktorowi, tak się też bieg zakończył. Petkiewicz wygrał bezapelacyjnie. Ja przyszedłem drugi o 80 metrów wtyle. Petkiewicz biegł przez cały czas w dość ostrem tempie, ja wytężałem wszystkie siły, aby utrzymać się tuż za nim. Czułem, że jeżeli zostanę, załamię się psychicznie i odstąpię zupełnie.

Na finiszu nie wytrzymałem. Petkiewicz wciąż jeszcze był szybszy ode mnie, a ja nie mogłem nawet marzyć o takiej szybkości.

Rozdział XII.

Tymczasem zbliżamy się szybkiemi krokami do wielkich zawodów międzynarodowych trójmeczu bałtyckiego, który miał odbyć się w Rydze z udziałem reprezentacji Estonji, Łotwy i Polski. Wszyscy potracili głowy. Zabraliśmy się do ciężkiej i może nawet zbyt intensywnej pracy, która mogła dać wprost przeciwne rezultaty. Dziś z pewnością nie odważyłbym się na tak zabójczy trening, jak to uczyniłem wtedy. Zaprawa nasza była tem cięższa, że z powodu krótkiego czasu (mecz miał się odbyć 1 i 2 czerwca). Związek nie urządził eliminacji, a oceniając zawodników według ich zeszłorocznych wyników, skompletował drużynę z wyboru.

Jak powiedziałem, zaprawa była tem cięższa, że każdy z nas, wybranych do reprentacji, chciał w kilka dni poprawić jak najbardziej swoje wyniki, ażeby nie poderwać zaufania, jakiem nas P. Z. L. A. darzyło.

Trenuję zapamiętale, mając nadzieję, że wyniki moje na bieżni będą lepsze, niż w biegach na przełaj. Żałuję tylko, że niema w tym czasie w Warszawie Klumberga, ale zato prawie codziennie koresponduję z nim i tym sposobem otrzymuję wskazówki od niego, co do treningu.

Przebywając niemal od rana do wieczora na bieżni, zaczynam teraz dopiero wczuwać się i rozumieć, w jaki sposób należy racjonalnie trenować. Najlepszy nawet trener nie potrafi i nie może nic zrobić poza wskazaniem podstaw treningu, a następnie może tylko poprawić błędy techniczne. Natomiast sam trening jest zjawiskiem par excellence idywidualnem i dlatego każdy zawodnik, który przeszedł podstawę racjonalnego treningu, musi go sobie sam układać. Pomimo zmęczenia, czuję się naogół nieźle, ale jest to zasługa w pierwszym rzędzie masażysty Dubniaka, który szczerze mi oddany, czuwa przez cały czas nade mną.

Wreszcie nadchodzi dzień wyjazdu. Drużyna nasza

w składzie 15 osób za starymi „wyjadaczami" Baranem, Kostrzewskim, Szenajchem, Sikorskim, Adamczakiem, Trojanowskim, Cejzikiem, Dobrowolskim i Sarnackim na czele, przewodzi młodszej generacji, wśród której znajdują się, ja, Heljasz, Mędrzycki i inni Drużynę prowadzą pp. Szlachciak i mjr. Łebkowski, Petkiewicz, oczywiście pojechałby na mecz, gdyby nie porozumienie Polskiego Zw. Lekkoatletycznego z Łotewskim, na mocy którego Związek nasz zobowiązał się nigdy nie wystawiać Petkiewicza przeciwko Łotwie.

Po serdecznem pożegnaniu się z przyjaciółmi i kolegami, ruszamy, jak chcą życzenia, po zwycięstwo.

W Wilnie, gdzie przyłączył się do nas Klumberg, następuje tragedja. Gdy wraz z całą drużyną wracałem ze śniadania, będąc już na peronie, zobaczyłem... oddalający się pociąg, który uwoził mjr. Łebkowskiego i Kostrzewskiego.

Wszyscy zostaliśmy się w Wilnie. W pierwszej chwili niewiadomo było, co robić. Jedni proponują autobus, inni drezynę, ale dopiero interwencja por. Barana wybawia nas z kłopotu. Za 750 zł. otrzymujemy specjalny wagon z parowozem i w ten sposób „co koń wyskoczy" przyjeżdżamy do granicznej stacji Zemgale. Tu jednak dowiadujemy się, że pociąg łotewski odszedł przed pięcioma minutami. Znów tragedja. Teraz już nie było nic do roboty. Nie mając innego wyjścia, musieliśmy przeczekać kilka godzin w Zemgale i dopiero w piątek późnym wieczorem stanęliśmy w Rydze.

Następnego dnia od rana padał deszcz, wskutek czego mecz zapowiadał się nieszczególnie. Byliśmy przygotowani, że zawody nie staną na wysokim poziomie. W południe przychodzimy na boisko i z przykrością stwierdzamy, że stadjon, na którym mają odbyć się zawody, jest właściwie torem wyścigowym dla kłusaków, bieżnia nadzwyczaj kiepska i miękka, a wskutek długotrwałego deszczu, wprost nie nadaje się do użytku. Obwód jej wynosi, nie jak normalnie powinien, 400 mtr. lecz 1060 mtr.

Zgłoszony byłem do trzech konkurencyj w biegach na 1500 mtr., 5000 mtr. i 10.000 mtr. Pierwszego dnia miał odbyć się bieg na 5.000 mtr.

Mecz zaczyna się dla nas niepomyślnie. Naogół drużyna nasza zawodzi, to też po pierwszym dniu sytuacja przedstawia się w ten sposób, że jesteśmy na ostatniem miejscu za Łotwą i Estonją z różnicą wielu punktów.

Po kilku konkurencjach, w których nasi spisują się fatalnie, nadchodzi mój start. Biegnie nas sześciu. Sarnacki i ja reprezentujemy Polskę, Beldsinsky i Lass — Estonję, oraz Bukas i Puke — Łotwę. Czuję się nie nadzwyczajnie. Jeszcze w Warszawie dawał mi się we znaki lekki ból mięśni koło lewej kostki. teraz ból ten potęguje się. Nie zważam jednak na to i postanawiam za wszelką cenę zwyciężyć.

Jak za dawnych dobrych czasów, kiedy znajdowałem się w doskonałej formie, wysuwam się po strzale startera naprzód i obejmuję prowadzenie. Otwieram tempo dość szybkie na tyle, że po dwu kilometrach z Beldsinskym odrywamy się od pozostałych zawodników.

Sytuacja nie zmienia się prawie do końca biegu. Jednak zbyt rozmokła bieżnia oraz stałe prowadzenie zmęczyły mnie na tyle, że nie mogłem rozwinąć finiszu. Przegrywam do Estończyka. Zresztą w kiepskim czasie. Czas Beldsinskego 16 : 06, mój — 16 : 15,6. Sarnacki jest dopiero piąty.

Jakkolwiek przegrałem, miałem możność stwierdzić słuszność swojej teorji, w której dowodziłem i dowodzę, że bieg na przełaj nigdy nie jest sprawdzianem zdolności danego zawodnika. Sarnacki przecież niedawno jeszcze „tłukł" mnie jak chciał we wszystkich biegach na przełaj, dziś lekko wygrałem do niego o blisko 40 sekund.

Przygnębieni i źli wracaliśmy po pierwszym dniu na kwatery. Panowała tak przykra atmosfera, że straci-

liśmy nawet chęć do dyskusji i przewidywań, co do dnia następnego.

Rozgorączkowani i zdenerwowani, udajemy się następnego dnia na stadjon. Bądź co bądź, nie dajemy jeszcze za wygraną i chcemy zdobyć choćby honorowe drugie miejsce.

Ja startuję w dwu biegach na 1500 mtr. i 10.000 mtr. W pierwszym biegu również, jak i poprzednio, obejmuję prowadzenie i przez 500 mtr. cała nasza szóstka, jakby mierzyła swoje siły — biegniemy razem. W pewnej chwili Mędrzycki wyrywa się naprzód i ucieka nam jakieś 50 metrów. Początkowo przestraszyłem się i zdezorjentowałem.

— Cóż, u licha, znów mam przegrać!

Ale trwało to zaledwie sekundę. Opanowawszy się, równem tempem, spokojnie dochodzę do Mędrzyckiego, mijam go i bieg wygrywam zupełnie lekko w czasie 4 : 15. Trzecim był Rudis (Łotwa).

Tymczasem sytuacja na boisku poprawia się o tyle, że doganiamy powoli Łotyszów i Estończyków, ale jeszcze trudno jest ufać w zwycięstwo, bowiem wyrównanie różnicy z pierwszego dnia było prawie, że niemożliwe. Bądź co bądź zabrakło nam tylko dwu punktów, a gdyby sztafeta nasza pokonała Estonję, nawet zwyciężylibyśmy.

Jestem najlepszej myśli co do swojego następnego startu. Wprawdzie noga mnie trochę boli, ale nic sobie z tego nie robię. Odbyłem dwa biegi, jestem względnie zdrów, więc mogę sobie pozwolić jeszcze na jeden.

Wreszcie przychodzi kolej i na mnie. Stajemy na starcie. Moim najgroźniejszym konkurentem znów jest Beldsinsky, słabego zaś Puka zastępuje Montmiller. Przez pierwsze 5000 metrów biegniemy razem. Ja, jak zwykle, prowadzę. Przed finiszem Beldsinsky stara się oderwać od nas, obejmuje prowadzenie i prze ze wszystkich sił naprzód. Inni zostali wtyle, ja również przyśpieszyłem i oderwałem się wraz z Beldsinskym. Tempo zwiększa się coraz bardziej tak, że wkrótce

odsuwamy się od pozostałych zawodników, o kilkadziesiąt metrów.

Jednocześnie z przyśpieszeniem tempa zaczynam odczuwać dotkliwy ból w nodze, który zwiększa się niemal z każdym krokiem. Po kilkudziesięciu metrach za czynam kuleć.

Nikt nie wiedział, jaką przeżywałem wtedy tragedję. Właściwie mówiąc, powinienem był z punktu wycofać się z biegu, gdyż noga mnie tak bolała, że nietylko biec, ale nawet chodzić nie mogłem. Z drugiej strony jednak ambicja nie pozwalała mi na to. Po pierwsze byłoby to kompromitacją, po drugie mogłoby zaważyć na ogólnym wyniku meczu.

Zaciskam więc zęby z bólu, wytężam całą siłę woli, aby nie upaść i staram się za wszelką cenę podążać za Beldsinskym... Czuję, że gdyby Beldsinsky teraz wiedział, co się ze mną dzieje i przyśpieszył, z pewnością bym odpadł.

W ten sposób mijają dwa kilometry. Sytuacja biegu nie zmienia się, tylko ból już jest tak wielki, że wyraźnie kuleję. Nasi zawodnicy, którzy przyglądali się biegowi, zauważyli, że coś źle jest ze mną. To też dopingują mnie okrzykami:

— Kusy kończ! Musisz skończyć, inaczej przegrywamy.

Ta zachęta kolegów spowodowała, że dopiero na ostatniem okrążeniu dałem się wyprzedzić Beldsinsky'emu, który blisko cztery kilometry „ciągnął" mnie za sobą. Inni pozostali daleko wtyle. Mogłem teraz nie biegnąc tylko idąc, ukończyć bieg jako drugi. Trzecim był Montmiller o kilkanaście metrów za mną.

Pomimo, że przegrałem, koledzy zgotowali mi serdeczną owację, a i ja sam byłem dumny z siebie, że w tych warunkach bieg ukończyłem. Gdy tylko przekroczyłem metę i chciałem się zatrzymać nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Koledzy wynieśli mnie na rękach do szatni.

Również z pomocą kolegów ubrałem się, ale chodzić nie mogłem. Lekarz, który znalazł się na stadjonie, pobieżnie zbadał nogę i oświadczył, iż jest to silne zapalenie ścięgien-zginaczy, a wynikło wskutek przetrenowania, zimna i bardzo ciężkiej bieżni. Wprawdzie pocieszał mnie, że nie należy obawiać się następstw, ale kuracja potrwa nie krócej od dwu miesięcy.

Byłem bliski płaczu. Wszystkie moje projekty odrazu w łeb wzięły. Cały sezon letni zmarnowany, i jeszcze nie wiadomo, czy po wyzdrowieniu będę mógł wogóle brać udział w zawodach. Nie wiem dlaczego, zacząłem kląć na wszystkich, na sebie, kolegów i sport. Zapowiedziałem, że wogóle mam tego wszystkiego dosyć i wycofuję się z czynnego życia sportowego.

Tymczasem na boisku padały ostatnie akordy meczu. O zwycięstwie naszem (zresztą zwykle tak się układa), miała zadecydować sztafeta, niestety jednak przychodzimy drudzy, przegrywamy ogólnie pięcioma punktami do Łotwy i zajmujemy drugie miejsce przed Estonją.

Koledzy musieli mnie zanieść na rękach do samochodu, a potem do pokoju. Po meczu drużyna nasza była zaproszona na herbatkę do Łotewskiego Związku Lekkoatletycznego. Wszyscy poszli, a ja zbolały i rozgoryczony, zostałem w hotelu.

Na drugi dzień konsul polski w Rydze zaprosił drużynę naszą na obiad. Pojechałem tam samochodem, gdyż nie chciałem sam zostawać w hotelu. Później żałowałem tego. O mały włos podczas obiadu nie złamałem nogi. Krzesło, na które chciałem usiąść, usunęło się, upadłem na ziemię i jeszcze bardziej nadwyrężyłem nogę.

Oprócz mnie, zdaje się, jeden jedyny Klumberg był serdecznie zmartwiony. Poza słowami pociechy, któremi starał się wyprowadzić mnie z przygnębienia, pielęgnował mnie, jak mógł. Zmieniał kompresy, bandażował, ale niestety, ulgi mi to nie przyniosło.

BIBLIOTEKA UNIW. JAGIELL.

Rozdział XIII.

Tego samego dnia odjechaliśmy zpowrotem i stanęliśmy w Warszawie w środę rano. Z prawdziwą przykrością piszę o tych chwilach. Na dworcu każdy, jak mógł najszybciej, zabrał swoje walizki i smarował do domu. Mnie, ponieważ nie byłem już nikomu potrzebny, zostawiono na łaskę losu. Siedzę więc w wagonie i nie wiem, co mam ze sobą począć.

Już chciałem zawołać tragarza, aby mnie przeniósł do dorożki, gdy niespodziewanie zjawił się w przedziale Heljasz. Dobry, zacny chłop. Nigdy nie zapomnę, z jaką życzliwością i jak szczerze zaopiekował się mną wtedy. Wziął mnie jak dziecko na ręce, walizki poleciwszy tragarzowi, i odwiózł do bataljonu. Jeszcze raz mu za to dziękuje i zawsze będę pamiętał.

W bataljonie sanitarjusz dał mi kule, z któremi zameldowałem się kpt. Polniaszkowi.

Załatwiwszy formalności, pojechałem do szpitala na Nowowiejską. Przyjęto mnie jak starego znajomego z wszystkiemi „honorami". Doktór, po dokładnem zbadaniu nogi, natychmiast zapakował mnie do łóżka. Nietylko, że nie wolno było mi chodzić, ale nawet ruszać się na pościeli. Ponieważ noga mi spuchła, żadnych zabiegów, jak naświetlania, czy masażów nie stosowano, tylko kompresy z wody burowa. Czułem się źle. Wprawdzie ból nie bardzo mi dolegał, ale jakże jest ciężko leżeć bez ruchu. Znów czułem się sam. Dokoła snuli się chorzy, ale nie byłem skłonny do zawierania znajomości.

Z niecierpliwością oczekiwałem dnia wizyt. Sądziłem, że przyjdzie mnie ktoś odwiedzić. Tymczasem minęła niedziela, nikt nie przyszedł. Dopiero w czwartek przywędrowała moja kochana matka i kilku znajomych, ale... z Ożarowa.

Ani jeden kolega, nikt ze Związku mnie nie odwiedził. Przysięgałem, że rzucę sport, gdyż nie warto pracować tam, gdzie zamiast przychylności i zrozumienia, spotyka się czarną niewdzięczność.



Mecz Polska — Czechosłowacja w Królewskiej Hucie. Start biegu na 5 klm.



Pierwszy mój występ na ziemi belgijskiej w r. 1931. Prowadzę w biegu na 5 klm. w którym uzyskuję czas lepszy od rekordu Polski— 14,55,3.

I tak upływał mi dzień za dniem. Po tygodniu pobytu w szpitalu, zdawało mi się, że jestem tu już kilka miesięcy. Nie mając, oczywiście, nic do roboty, czytałem po całych dniach książki i gazety. Z nich to dowiedziałem się, że w tydzień po moim przyjeździe do szpitala odbyły się w Wilnie wielkie zawody międzynarodowe, na które jeszcze w roku ubiegłym byłem zaproszony. Ogromnie żałowałem, że tam nie byłem i nie brałem w nich udziału. Przykro mi było tembardziej, że czułem się jak osamotniony pies, który, gdy służył wiernie, był lubiany, kiedy zaś okazał się niepotrzebny, odtrącono i zapomniano o nim.

I tak niemal w zupełnym bezruchu upływają trzy tygodnie. Siostra wydziałowa, która za poprzednią moją bytnością odnosiła się do mnie niezbyt dobrze, teraz, kiedy dowiedziała się, że jestem sportowcem, traktuje mnie bardzo przychylnie, a nawet w drodze wyjątku przeznacza mi djetę oficerską.

Po trzech tygodniach probuję chodzić, jednak nogę mam sztywną, gdyż w ciągu tak długiego okresu czasu znieruchomiała mi w stawach i stopy nie mogę zginać. Pierwsze próby wypadają nadzwyczaj słabo, tembardziej, że wskutek długiego leżenia czuję się osłabiony.

Jednakże po kilku dniach rozruszałem się na tyle, że, wprawdzie utykając, o lasce, mogłem już swobodnie chodzić po salach szpitala.

W tym czasie zarząd szpitala daje mi rozkazem dziennym funkcję komendanta sali, do którego obowiązków należy utrzymywanie porządku oraz drobnych funkcyj gospodarczych. Po pięciu tygodniach pobytu w szpitalu spotyka mnie wielka przyjemność. Dostaję przepustkę na miasto.

Czułem się na tyle dobrze, iż noga mnie już zupełnie nie bolała. Wziąwszy laskę pod pachę, więcej dla dekoracji, niż z potrzeby, pojechałem do Ośrodka Wychowania Fizycznego. Tu na powitanie zwymyślał mnie kpt. Gross za nieformalne załatwienie mojej spra-

wy szpitalnej oraz za to, że nie zawiadomiłem w przepisowy sposób o nieobecności.

Rekonwalescencja moja szybko postępowała naprzód. Naświetlania, masaże i djatermja okazały się zbawienne. Większość dnia spędzałem w szpitalu, załatwiając sprawy służbowe jako komendant sali. Po południu albo wieczorem korzystałem ze stałej przepustki na miasto. Chodzenie z laską ogromnie mi imponowało. Po pierwsze udawałem starego weterana wojennego, po drugie śmiałem się z tych wszystkich, którzy wyprężali się, salutując każdemu oficerowi, ja zaś tylko uprzejmie kłaniałem się.

Ponieważ masaże, jakie otrzymywałem w szpitalu były dla mnie za słabe, od lat przecież przyzwyczajony byłem do intensywniejszych i silniejszych, odwiedzałem codziennie Ośrodek, gdzie masował mnie jeszcze mój stały masażysta, Dubniak. Byłem najlepszej myśli, bowiem każdy dzień przynosił mi widoczną poprawę tak, że po dwu tygodniach mogłem już obejść się zupełnie bez laski. O treningach jednak nawet marzyć nie mogłem. Wreszcie, pomimo sprzeciwu siostry, miłosierdzia, wypisałem się ze szpitala.

Pewnego dnia zaszedł fakt, który zmienił całkowicie moje poprzednie myśli wycofania się z czynnego życia sportowego. Było to tak: po wypisaniu się ze szpitala, godziny popołudniowe spędzałem w kancelarji Ośrodka Wychowania Fizycznego. Nagle widzę, drzwi się otwierają, wchodzi Petkiewicz. Spojrzał na mnie, udał, że mnie nie widzi i, nie zdjąwszy nawet kapelusza, przeszedł do sali masażów.

Drgnąłem z oburzenia.

— Więc już nawet mnie nie widzą — pomyślałem— bo, że o mnie zapomnieli miałem niedawno dowody. Widocznie sądzą, że choroba moja „wykończyła" mnie jako biegacza.

— Niedoczekanie ich! Właśnie pokażę wszystkim, że nie jestem „wykończony", że zpowrotem zabłysnę na

bieżni, a Petkiewiczowi specjalnie, że potrafię go jeszcze nieraz pokonać.

W jednej chwili pragnienie to stało się moim jedynym celem, do którego postanowiłem dążyć niezłomnie z największym, na jaki mnie stać było wysiłkiem. Znałem siebie na tyle, że mogłem przypuszczać, iż cel będzie osiągnięty. Chodziło tylko o to, aby choroba nie stanęła mi na przeszkodzie.

Tymczasem lekkoatleci przygotowywali się intensywnie do mistrzostw Polski, które miały odbyć się niedługo w Poznaniu. Ja, oczywiście, nawet marzyć nie mogłem, aby wziąć w nich udział. Chciałem przynajmniej być widzem i sprawdzić naocznie, na jakie wyniki w tym roku stać naszych czołowych lekkoatletów.

Dzięki uprzejmości zarządu szpitala i moich władz wojskowych, otrzymuję 6-tygodniowy urlop oraz bezpłatny bilet do Poznania i zpowrotem. Wyjeżdżam z drużyną lekkoatletyczną „Warszawianki", w której brak jednak jest Petkiewicza, gdyż w tym czasie startował w mistrzostwach Anglji w Stanforbridge. O ile sobie przypominam, zajął wtedy drugie miejsce.

Mistrzostwa Polski nie przynoszą spodziewanych wyników prawie we wszystkich konkurencjach. Siedzę na trybunach, jako widz i prawie ból fizyczny targa mną, gdy patrzę na biegi. Ten tylko zrozumieć może, co wówczas przeżywałem, kto sam kiedyś brał czynny udział w życiu sportowem. Tembardziej jestem wściekły, że biegi wypadają nadzwyczaj blado, zarówno pod względem efektu wzrokowego, jak i czasów. Tysiąc pięćset metrów wygrywa Jaworski przed Mędrzyckim, 5000 metrów — Sawaryn w czase 15:56,2, 10 klm. — Sarnacki — 34:28.

Po powrocie z Poznania czuję się na tyle dobrze, że pomimo przestróg lekarzy, zaczynam pomaleńku trenować. Z początku bardzo ostrożnie, ażeby nie nadwyrężyć nogi, potem coraz ostrzej, gdyż za miesiąc mają się odbyć mistrzostwa armji, do których zostałem zgłoszony. Ostre treningi nadwerężyły mi jednak no-

gę. Obawiając się recydywy, trenuję słabiej. Nie przestaję jednak trenować, chcę przecież za wszelką cenę dojść choćby do połowy swej poprzedniej formy.

Na kilka tygodni przed mistrzostwami armji, w których współzawodnictwo między poszczególnemi korpusami było nadzwyczaj silne, DOK I organizuje kurs przygotowawczy, do którego przydziela wszystkich swoich pupilów. Kierownictwo techniczne kursów oddano memu przyjacielowi Klumbergowi. Ja przydzielony zostałem również do kursu. Po kilku dniach zaczynam odczuwać bóle w nodze i na kategoryczne żądanie lekarza postanowiłem trening całkowicie przerwać. Lekarz po zbadaniu zakazuje mi brać udział w zawodach i zaleca wyjazd do Ciechocinka na kąpiele słone, które są dla mojej nogi niezbędne. Usłuchawszy, postanawiam wycofać się z zawodów, kierownictwo jednak prosi mnie, abym koniecznie wziął w nich udział i obiecuje, że wyśle mnie po zawodach do Ciechocinka. Zgodziłem się.

W tym czasie koledzy moi klubowi walczą w reprezentacji Polski z Węgrami w Budapeszcie. Było to pierwsze zawiązanie kontaktu sportowego z tem państwem. Skończyło się jednak dla nas bardzo niepomyślnie.

Mistrzostwa armji odbyły się w Poznaniu między 12 a 15 sierpnia. Startuję w dwuch biegach: na 3 klm. naprzełaj i na 5 klm. Jednakże brak treningu, ból, lekki wprawdzie, w nodze, oraz strach przed pogorszeniem — nie pozwalają mi osiągnąć żadnych sukcesów. W biegu na 3 klm., nie mając właściwie żadnej konkurencji dla siebie, przychodzę zaledwie trzeci, a z biegu na 5 klm. po kilku okrążeniach wycofuję się. Przykro mi było, że zrobiłem zawód kierownictwu drużyny DOK I, w każdym razie, pocieszałem się później, że nie był on tak wielki, gdyż pomimo to, drużyna nasza zdobyła mistrzostwo.

Z Poznania zamiast... do Ciechocinka, jadę do Warszawy, aby zacząć kurację od początku. Noga bowiem

znów zaczyna mi puchnąć i bardzo dokuczać. O treningach nawet marzyć nie mogę, musiałem nawet zarzucić racjonalny masaż. Znów zaczęły się kompresy i naświetlania.

Niepowodzenia te wszakże nie wytrącają mnie z równowagi. Jestem w dalszym ciągu uparty i czekam tylko odpowiedniej chwili, ażeby cel, który sobie wytknąłem, osiągnąć.

Rozdział XV.

Tymczasem, nietylko liczne rzesze sportowców, ale i całą Warszawę elektryzuje wiadomość o przyjeździe do stolicy największego biegacza wszystkich czasów, Nurmiego. Nurmi ma startować z Petkiewiczem na 3 klm. i 4 mile angielskie. W jednej chwili wyzdrowiałem. Zapomniałem o nodze, o masażach, a nawet i o żalu, jaki zpoczątku miałem, że nie będę mógł zmierzyć się z Nurmim na bieżni i popędziłem co sił starczy do hotelu, gdzie zatrzymał się wielki Fin, aby złożyć mu swój hołd. Zobaczyłem go wtedy pierwszy raz w życiu. Przyznam się, że wyobrażałem go sobie inaczej i inny wydawał się na fotografjach.

W pokoju zastałem go samego. Na nieszczęście nie było tłumacza, tak, że musieliśmy „rozmawiać" na migi. Niezwykłą przyjemność sprawił mi fakt, że Nurmi, kiedy podałem mu swój bilet wizytowy, gdy przedstawiałem się, uśmiechnął się, pokiwał mi przyjaźnie głową, tak, jakby już słyszał moje nazwisko. Po kilkunastominutowej wizycie, wyszedłem z hotelu rozpromieniony ze szczęścia.

Tego samego dnia popołudniu odbył się zapowiadany start Nurmiego. Oczywiście, jeden z pierwszych siedziałem na trybunach. Nigdy nie potrafiłbym opisać tego, co wówczas przeżywałem. Nie widziałem tłumów, nie słyszałem huraganu braw i okrzyków, wpatrzony w jego sylwetkę. On jeden wypełniał dla mnie

cały stadjon. W czasie całego biegu zdawało mi się, że to ja walczę z nim a nie Petkiewicz, wysilałem się, to też zmęczyłem się spociłem, jakbym przebiegł conajmniej z 10 kilometrów. Zupełnie niespodziewanie bieg kończy się dla Nurmiego tragicznie, wygrywa Petkiewicz w czasie 8:54. Jakżeż żałowałem, że nie mogłem wziąć udziału w tym biegu. Czułem to i wierzyłem, że gdybym znajdował się wtedy w swej normalnej formie, napewnobym nadał daleko szybsze tempo i bieg wygrał.

Na drugi dzień odbywał się bieg na cztery mile angielskie, ale już nie miałem siły iść go oglądać. Po pierwszym dniu byłem tak zmęczony i upokorzony, że wolałem nie patrzeć na to. W każdym razie utwierdziłem się tylko w przekonaniu co do tego, że muszę jaknajprędzej zacząć pracować nad sobą i że kiedyś, da Bóg, spotkam się z wielkim Nurmim i pokonam go.

W dwa tygodnie później czuję się już tak dobrze, że nawet lekarz pozwala mi zacząć trenować. Biorę się odrazu z zapałem do pracy. Rozpoczynam treningi i przygotowuję się do biegu naprzełaj o mistrzostwo Polski, który odbyć się ma w październiku w Królewskiej Hucie.

Z każdym dniem czuję się coraz lepiej, nawet zaczynam trenować na czas. Uzyskiwane czasy wskazują, że powoli dochodzę do formy, co dodaje mi otuchy i zapału do pracy.

Na tydzień przed mistrzostwami Polski, Petkiewicz wyjeżdża, zaproszony przez francuski Związek lekkoatletyczny — do Paryża. Wygrywa tam bieg na 5000 mtr., następnie udaje się do Pragi, ale przegrywa 3 klm. do Kośćaka. Wydawać się to może dziwne, ale tak, jak Kośćak miał pecha do mnie i nigdy nie mógł, startując ze mną wygrać, tak Petkiewicza prześladowało jakieś fatum, kiedy startował z Kośćakiem. Zawsze przegrywał.

Wreszcie nadchodzi dzień wyjazdu do Królewskiej Huty. Na dzień przed biegiem przyjeżdżamy z Petkie-

wiczem, Sarnackim, Milczem, Puchalskim, Kawą i Orłowskim. Bieg ten, prócz tego, że dotyczył zaszczytnego tytułu mistrza Polski, był jednocześnie decydujący w walce, jaka toczyła się od szeregu lat o nagrodę „Łucznika". Kiedy zrana w dniu zawodów przejechałem samochodem trasę biegu, złożyłem sobie solenne ślubowanie, że za wszelką cenę muszę rozstrzygnąć zawody na swoją korzyść.

Po południu na starcie stanęło blisko 400 zawodników. Postanawiam zwyciężyć tembardziej, że czułem się doskonale i sądziłem, że jako najsilniejszy z naszej trójki, rozwinę najwyższe tempo i bieg poprowadzę.

Po przebiegnięciu jednego okrążenia na bieżni, odrywamy się we trzech od pozostałych, aby za chwilę zostawić i Sarnackiego z tyłu. Petkiewicz biegnie tuż za mną. Po kilku okrążeniach sytuacja nie zmienia się, z tą tylko może różnicą, że we dwu oddalamy się coraz bardziej od reszty zawodników.

Pomny danemu sobie przyrzeczeniu, ani na chwilę nie dopuszczam Petkiewicza do siebie, który wprawdzie trzyma się mnie, ale odległość między nami wynosi kilkanaście metrów. Wszystko składało się na to, że bieg powinienem był wygrać. Dość miękka trasa, wówczas dla mnie najlepsza, pochłaniała mniej energji, niż przypuszczałem. Prawie świeży i niezmęczony, wbiegam, a tuż za mną Petkiewicz do parku przy Stadjonie. Pozostało mi zaledwe 700 mtr. do mety. Gdy tylko wydostaliśmy się na twardy grunt, zaczynam z punktu finisz i wpadam jako pierwszy na bieżnię o jakieś 20 metrów przed Petkiewiczem.

Teraz już byłem pewny, że zwyciężę, ale, niestety, nic pewnego niema na tym świecie. Wtedy, kiedy czułem się już panem biegu, zwolniłem nieco na finiszu. To mnie zgubiło. Petkiewicz, który był zawsze doskonałym taktykiem, biegnąc cały czas ztyłu, obserwował mnie doskonale. Gdy tylko zauważył, że zwalniam, zdawało mu się zapewne, że słabnę, ostrym zrywem błyskawicznie przybliżył się do mnie i, kiedy tego najmniej się

spodziewałem, minął i pomknął dalej. Ja, oszołomiony tem wszystkiem, co się działo w ciągu kilku sekund zaledwie, nie zdobyłem się na taki sam zryw, ażeby przyjąć walkę. Skapitulowałem.

W każdym razie, pomimo tej porażki uważałem siebie za moralnego zwycięzcę biegu. Tylko zła taktyka na ostatnich niemal metrach, a właściwie zdezorjentowanie, stały się przyczyną tej klęski. Gdyby nie to, zpewnością bieg bym wygrał, gdyż i tak na metę przyszedłem w daleko lepszej formie, niż Petkiewicz.

Nie przeczę, że wściekły byłem na siebie za tak nierozważny krok, ale bynajmniej nie zniechęciłem się do dalszej walki z Petkiewiczem; przeciwne, znalazłem nareszcie broń, którą potrafię każdy bieg do Petkiewicza wygrać. Tą bronią jest rozgrywanie biegu na tempo. I przekonałem się później, że miałem rację. Byłem już silniejszy, wytrzymalszy od Petkiewicza i wiedziałem, że nie będzie mógł mego tempa wytrzymać.

Po przyjeździe z Królewskiej Huty wracam do Ośrodka Wychowania Fizycznego i postanawiam sezon zimowy, który nadchodzi, przepędzić na intensywnej pracy. Ponieważ właściwie cały ubiegły sezon zmarnowałem (wskutek choroby nogi musiałem opuścić cały szereg startów), teraz chcę zabrać się do treningów i dostać jak najlepszą zaprawę zimową.

Wiadomą jest rzeczą przecież, że dobra zaprawa daje podwaliny zawodnikowi pod przyszły sezon lekkoatletyczny. Nie namyślam się więc długo i zaczynam trenować w biegach na przełaj w Łazienkach, tam, gdzie teraz pracuję.

Teren Łazienek specjalnie nadaje się do tych biegów, gdyż posiada liczne nierówności, a nic tak nie wyrabia, jak biegi po zboczach na dobrej trasie. Opatulony w ciepłe swetry, trenuję początkowo dwa razy w tygodniu, następnie częściej i dłużej; wkońcu dochodzi do tego, że niema prawie dnia, abym nie przebiegł większej lub mniejszej przestrzeni.

Każdy dzień przynosi mi coraz większe zadowole-

nie. Ku mojej radości przyjeżdża do Warszawy Klumberg, do którego zaczynam uczęszczać na gimnastykę i który, jak zawsze tak i teraz, dzieli się ze mną cennemi wskazówkami. Wprawdzie nie zalecał mi zbyt uciążliwych treningów o tak spóźnionej porze, ale nie zważam na jego przestrogi i, czy to deszcz lub śnieg, „porcję“ swoją odrabiam.

Koledzy, zarówno z klubu jak i inni, widząc moje niezłomne postanowienie, zaczęli prosić, abym pozwolił im ze mną pracować.

Nie zgodziłem się na to. Już przedtem uzasadniałem swoje stanowisko, dlaczego najlepiej lubię trenować sam, tymczasem koledzy nie chcieli ustąpić, a nawet i Klumberg przyłączył się do nich, radząc mi, że lepiej będzie, jeżeli potrenujemy wspólnie, gdyż będę mógł odrazu sprawdzić swoje wyniki.

Zgodziłem się. Razem z Klumbergiem poszliśmy w kilkunastu na trening. I cóż z tego wynikło? Po drodze „pogubiłem“ wszystkich, których przez dłuższy czas nie mogłem odnaleść. W każdym razie dobrze się stało, bo od tej chwili żaden z nich nie chciał ze mną trenować.

W tym czasie kolega mój klubowy, Żuber, wystarał się dla mnie o prawo trenowania na polu wyścigowem, gdzie też zaraz przeniosłem się z treningami, gdy tylko śniegi stopniały. Łazienki były już wówczas terenem nieodpowiednim ze względu na twardy teren.

W ten sposób mija grudzień i styczeń. Nie ustaję w pracy zadając sobie pytanie, kiedyż wreszcie zabłyśnie jaśniej słonko, abym mógł przenieść się na bieżnię. Klumberg, który kilkakrotnie sprawdzał moje wyniki treningowe, jest ze mnie zadowolony. Ja również jestem pełen jaknajlepszych myśli na przyszłość.

Jeszcze w grudniu, na mocy porozumienia polskiego Związku Lekkoatletycznego z amerykańskim, Petkiewicz wyjeżdża na szereg startów do St. Zjednoczonych Am. Półn. O podróży tej, a zwłaszcza o roli p. Weinthala, którą w niej odegrał, nie będę pisał, nie

chcąc być posądzonym o poruszanie spraw czysto osobistych.

Na początku stycznia francuski Związek Lekkoatletyczny zaprasza P. Z. L. A. do wzięcia udziału w drużynowym Biegu Narodów, który ma odbyć się niebawem w Paryżu. Ponieważ jednak nie było Petkiewicza a więc drużyna polska była zdekompletowana, zostajemy z Sarnackim w Warszawie.

Rozdział XIV.

Pierwszy raz, zdaje się, od wskrzeszenia niepodległości Polski, monotonna zima, która tak bardzo daje się zazwyczaj we znaki sportowcom, była urozmaicona zawodami lekkoatletycznemi na większą skalę, urządzonemi przez przemyski Ośrodek Wychowania Fizycznego w krytej hali w Przemyślu.

Była to ze wszechmiar godna uwagi inicjatywa mego poprzedniego zwierzchnika, kpt. Grossa, który przed kilku tygodniami został komendantem okręgowego Ośrodka Wychowania Fizycznego w Przemyślu.

Mojem zdaniem zawody takie powinny być urządzane jaknajczęściej, gdyż wtedy byłyby sprawdzianem pracy lekkoatletów w zimie, o wszak wiadomo, że dobrze przepracowana zima może oddać ogromne usługi w sezonie letnim.

Wyjeżdżamy w kilku do Przemyśla, gdzie startuję w dwu biegach i oba wygrywam. Na tysiąc pięćset mtr. przychodzę w 4:24, 3 km. robię w 9:33. Po wynikach tych spostrzegam łatwo, że zaczynam przychodzić do swojej dawnej formy, dlatego też nie ustaję w pracy, przeciwnie, trenuję coraz więcej i już tylko na szybkość, czekając z utęsknieniem, kiedy będę mógł przenieść się na bieżnię.

Zawody, urządzane zimową porą, uważam jeszcze i z tego względu za niezwykle dodatnie, że lekka atletyka nie znosi, mojem zdaniem, samych treningów. Za-

wodnik, który trenuje przez kilka miesięcy, ani razu nie stając do zawodów, choćby nie wiem jak poprawił swoją formę i czuł się silny fizycznie, może z łatwością przegrać do słabszego od siebie, ale zato opanowanego nerwowo. Trening daje wytrzymałość i sprawność fizyczną; liczne starty — opanowanie nerwowe.

Posiadanie jednego z tych warunków jest jeszcze niczem dla zawodnika, dopiero posiadanie obu stworzy doskonałą całość. Na dowód tego, że mam rację, pozwolę sobie przytoczyć wyniki ubiegłej olimpjady (Amsterdam 1928), w której Niemcy, bodaj najsilniejsi ze wszystkich, przegrali przecież dość łatwo do yankesów, gdyż nie mieli opanowania nerwowego.

Wiosna 1930 roku zastaje mnie w pełnej formie. Czuję się doskonale i staram się jeszcze bardziej o osiągnięcie lepszych wyników przez biegi naprzełaj. Gdy więc tylko dowiem się o jakiejkolwiek imprezie lekkoatletycznej, biorę zawsze w niej udział.

Kiedy W. O. Z. L. A. zorganizował bieg naprzełaj, zapisałem się, no i wygrałem przed Puchalskim i Nowackim.

Następnie wyjeżdżam do Katowic, gdzie również biorę udział w biegu naprzełaj na 5 klm. Odnoszę tu wielki sukces, bowiem na 400 startujących, przychodzę pierwszy do mety, świeży i niezmęczony. Mnie samego zdziwiło to nieco. Wszystkich zawodników wyprzedziłem o blisko 200 metrów. Drugi przyszedł zeszłoroczny zwycięzca tego biegu, Motyka.

Po biegu zostałem zaproszony na następne zawody, urządzone przez „Polonję" katowicką. Ponieważ „Warszawianka" wyraziła zgodę, wyjechałem powtórnie do Katowic, aby w nagrodę przywieść wspaniały puhar przechodni i pierwsze miejsce .

Po powrocie z Katowic nie przerywam treningów ani na chwilę. Biegi naprzełaj odrabiam na polu wyścigowem, płaskie — w Agrykoli. Uważam, że w miarę możności każdy zawodnik długodystansowy powinien trenować biegi naprzełaj przez okrągły rok, przyczem

zimową porą na trasie pagórkowatej, gdzie może wyrobić sobie wytrzymałość, w porze letniej — na możliwie płaskim terenie. Wtedy bowiem, jeśli się również wyrabia szybkość na bieżni, z pewnością każdy utrzyma się w formie. Trenowanie letnią porą na górzystym terenie jest według mego zdania niedopuszczalne, gdyż wskutek podniesionej temperatury prędko następuje zmęczenie i mięśnie, zamiast wypoczynku po biegach płaskich, kurczą się i osłabiają.

Do pola wyścigowego przyzwyczaiłem się i z tego względu, że poznałem tam kilku dobrych i miłych ludzi, m. in. p. Michalczyka, którzy wprawdzie zawodowo, ale pracują również w sporcie. Wyścigi konne zawsze mię pociągały i stale interesują. W wolnych chwilach uczęszczam na wyścigi, nie po to wprawdzie, aby grać w totalizatora, ale żeby właśnie upajać się walką koni o pierwszeństwo.

Normalnie trenowałem na polu wyścigowem dwa razy w tygodniu, na bieżni w Agrykoli codzienie, a zczasem, kiedy zaczęły zbliżać się większe zawody lekkoatletyczne — dwa razy dziennie. Moje częste odwiedziny pola wyścigowego stały się tematem różnych powiedzonek i dowcipów. Śmiano się ze mnie i pokpiwano ilekroć zjawiłem się na trening, zawsze padało stereotypowe pytanie:

— Cóż to, panie Januszu, tak nie można galopować na „gapę". U nas wszystkie konie płacą za galopy. Wyjątków żadnych nie robimy.

W każdym razie wdzięczny jestem zarządowi Towarzystwa Zachęty do hodowli koni w Polsce za uprzejmość. Zrobiono dla mnie wyjątek i pozwolono mi korzystać z terenów Towarzystwa.

W międzyczasie wraca z Ameryki Petkiewicz. Wyjazd ten nie wyszedł mu na dobre. Pomijając już przykrości osobiste, jakie go tam spotkały, uważam, że po tak ciężkim roku, jak sezon olimpijski, powinien zimową porą odpoczywać, co najwyżej lekko trenować, a nie wyjeżdżać na ciężkie starty. Było to wskazane jeszcze i z te-

go względu, że przecież bieżący sezon lekkoatletyczny zapowiadał się dla niego niezwykle ciężko. Ja wróciłem do formy i stałem się dlań już naprawdę groźnym rywalem.

Treningi na bieżni przynoszą mi dalszą poprawę formy i stylu. Sprawdzianem jest niezawodny stoper, który jest dla mnie coraz „łaskawszy". Ówczesny mój przyjaciel Żuber, który chodzi ze mną na treningi i obserwuje mnie jak biegam, wytyka wszystkie błędy. Sam zawodnik nigdy nie jest w stanie zauważyć w akcji swego stylu.

Czuję się w obowiązku z okazji treningów w Agrykoli poświęcić kilka słów temu parkowi. Niegdyś słynny na całą Polskę z najlepszą bieżnią stolicy, obecnie zaczął chylić się ku upadkowi. Wprawdzie dostał się pod zarząd Warszawskiego Kuratorjum Szkolnego, które przeznaczyło go dla uczącej się młodzieży, to jednak nie zmienia stanu rzeczy. Tembardziej, że bieżnia i boisko zostały dla wszystkich inych sportowców zamknięte. Nie przeczę, że powinny być osobne boiska dla młodzieży, ale tam gdzie znajduje się oprócz tego cały szereg boisk ogólnych, otwartych i dostępnych dla każdego niestowarzyszonego zawodnika, Tymczasem u nas boisk takich brak, a zamykanie tego jedynego boiska dla niestowarzyszonych, jest równoznaczne z odmówieniem poparcia wszystkim młodym, którzy do klubów nie należą. Oni więc, którzy przedewszystkiem powinni otrzymać opiekę, pozbawieni są możności pracy, a przez to kto wie, czy nie zmarnowały się jakieś wielkie talenty lekkoatletyczne. Nie każdy przecież chce, albo nawet może należeć do klubu, szczególniej wtedy, kiedy jest młody i dopiero zaczyna stawiać pierwsze kroki sportowe. Na dowód tego, że mam rację, przytoczę kraj, który wydał z siebie najtęższych biegaczy — Finlandję. Tam w każdym niemal mieście znajduje się cały szereg boisk i bieżni, dostępnych dla każdego, Stąd wielu chętnych do pracy, wielu zawodników.

Pracę na bieżni skierowałem w pierwszym rzędzie

na wydłużenie kroku, oraz wyrobienie szybkości. Pamiętam, że Petkiewicz wciąż jest jeszcze szybszy ode mnie i chcąc go pokonać, oprócz siły muszę zdobyć szybkość. Zachęcony pierwszemi zwycięstwami, odniesionemi w biegach naprzełaj, pracuję wytrwale. Dość często spotykam na treningach Petkiewicza, ale zarówno on jak i ja nie chcemy razem trenować. Ja trenuję, jak zwykle sam, Petkiewicz uważa, że trening powinien odbywać się ogólnie, trenuje więc z kilku kolegami. Cicha walka, która do tej pory wywiązała się między nami, przechodzi teraz w otwartą wojnę.

Oprócz treningów naprzełaj i po bieżni, nie zaniedbuję rannej gimnastyki, masaży i łaźni. Tutaj nauczyłem jednego z pracowników, popularnie nazywanego Kajtusiem, masaży, jakie powinienem otrzymywać i ten masuje mnie jak się patrzy. W czasie swoich częstych wizyt w łaźni spotykałem późniejszego swego najlepszego kolegę, doskonałego kolarza Bartodziejskiego. Z nim też urządzaliśmy w łaźni „zawody", kto z nas wytrzyma mocniejszą parę. Pękałem ze śmiechu, jak po kilku minutach bywalcy opuszczali parnię, gdzie we dwuch niepodzielnie rej wodziliśmy.

Rozdział XVI.

W ten sposób przygotowywałem się do pierwszego wielkiego występu w nadchodzącym sezonie lekkoatletycznym — narodowego biegu naprzełaj. Tu przecież miałem spotkać się z Petkiewiczem, a największem mojem marzeniem było, pokazać mu nareszcie swą wyższość, jako zawodnika.

Z każdym rokiem zainteresowanie tym biegiem wzrastało tak, że już w roku 1929 był on jednym z najpopularniejszych biegów w Polsce. A ponieważ tym razem zapowiadał się niezwykle ciekawie, na długi czas przed terminem mówiono i dyskutowano o nim w sferach sportowych.

Jak mi donoszono, sportowcy podzielili się na dwa obozy. Jedni uważali Petkiewicza za zwycięzcę, drudzy znowu „typowali" mnie. O ile wiem, były nawet na ten temat grube zakłady pieniężne.

W kwietniu odnoszę jeszcze dwa zwycięstwa. W drugi dzień świąt Wielkiejnocy wyjeżdżam do Łodzi, aby bronić nagrody klubowej w biegu ŁKS-u. Wygrywam dość łatwo do Starosty. Na tydzień zaś przed narodowym biegiem na przełaj startuję w Poznaniu w biegu „Kurjera Poznańskiego" i również wygrywam do elity biegaczy okręgu poznańskiego.

A więc miałem poza sobą w bieżącym roku już pięć startów i pięć zwycięstw. Nic więc dziwnego, że byłem jak najlepszej myśli, przygotowując się gorączkowo do 3-go Maja. Szanse moje, uważam, były daleko większe, niż Petkiewicza, już choćby z tego względu, że mając za sobą pięć startów — miałem większe opanowanie nerwowe.

Wreszcie przychodzi upragniony i dawno oczekiwany przezemnie dzień startu piątego narodowego biegu naprzełaj. Tymczasem od samego rana prześladuje mnie jakiś dziwny pech. Gdy przed godziną 11-tą rano przychodzę na stację w Ożarowie, aby wyjechać do Warszawy, dowiaduję się, że na szóstym kilometrze przed Ożarowem wykoleił się pociąg towarowy i skutkiem tego komunikacja z Warszawą jest na kilka godzin przerwana. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co robić. Zmartwiony byłem tembardziej, że przed biegiem musiałem być w Ośrodku Wychowania Fizycznego, aby zabrać odpowiednie przyrządy na lotnisko.

Co robić? Stałem bezradny na stacji. O tem, żeby do godziny 2-ej przywrócono komunikację, nie było mowy i jak na złość nie widziałem w pobliżu ani jednego samochodu. Zrezygnowany wracam do domu, pewny już, że nie wezmę udziału w biegu, gdy raptem spotykam na szosie pędzący samochód w stronę Warszawy.

Widok ten sprawił mi nieopisaną radość. Ręczę, że nikt nie był zdolny wówczas sprawić mi większej i mlszej niespodzianki.

Staję na środku szosy i ruchami rąk zatrzymuję auto. Jest zajęte. Siedzi w niem kilka osób, które zasypują mnie wymówkami za zatrzymanie ich, gdyż śpieszą się do Warszawy. Tłumaczę o co chodzi i proszę, aby mnie zabrali, tembardziej, że było wolne miejsce. Pasażerowie są na tyle uprzejmi, że zgadzają się i za chwilę pędzimy już wszyscy ku Warszawie.

Z jakąż ulgą odetchnąłem, gdy w pół godziny potem znalazłem się na ul. Żelaznej. Podziękowałem serdecznie wybawcom, przesiadam się do taksówki i jadę do Ośrodka. Pakuję wszystkie niezbędne przyrządy na samochód i w przepisanym czasie przyjeżdżam na lotnisko. Tu znów spotyka mnie przykra niespodzianka. Rzeczy moje, których nie chciałem brać do Ożarowa, miał przynieść na lotnisko Żuber. Tymczasem ani rzeczy, ani jego niema. Prezes klubu łaje mnie na czem świat stoi, jeszcze bardziej potęgując moje zdenerwowanie.

Wszystkie moje starania, aby odnaleść Żubera, pozostają bez skutku. Ani w klubie ani w domu go niema. Znów widmo klęski zawisło nade mną. Dopiero niemal w ostatniej chwili zjawia się Żuber z rzeczami. Dostał za swoje. Biegnę co tchu do szatni, przebieram się, i w przepisanym czasie staję na starcie. W biegu tym bierze udział przeszło dwustu zawodników z najlepszymi długodystansowcami na czele.

O taktyce biegu, przyznam się, nie myślałem wcale. Postanowiłem tylko za wszelką cenę narzucić jak największe tempo i tem przetrzymać Petkiewicza. Ponieważ finiszu swego jeszcze nie wypróbowałem dobrze, nie chciałem ryzykować na ostatnie metry, aby tam dopiero przyjąć walkę. Wierzyłem, że jeżeli tak będę biec, jak wyżej wspomniałem (pomimo, że nikogo z zawodników nie lekceważyłem) to wygram. Tembardziej, że trasa, po której mieliśmy biec, była najbardziej odpowiednia wówczas dla mnie, gdyż na podobnej, przez dłuższy czas trenowałem.

Po strzale startera, zrywamy się wszyscy i z punktu obejmuję prowadzenie. Gnam całą siłą pary, rozwi-



Moje trzecie spotkanie z Nurmim. Start biegu na 5 klm. w Królewskiej Hucie. Pierwszy od prawej Nurmi, drugi Petkiewicz.

stkich i odbiera się hołdy, to jednak tego rodzaju postępowanie widzów jest tragedją lekkoatletów, bowiem bardzo często bywa, że taki właśnie „zapomniany" traci chęć do pracy. Rezultat długo na siebie nie daje czekać — poprostu jest on stracony dla sportu.

Bieg ten był moim prawdziwie wielkim sukcesem. Startując kilka razy w biegach narodowych na przełaj, stopniowo z dziewiątego miejsca, osiągam pierwsze. W biegu tym i „Warszawianka" święci swój tryumf,, zdobywając po raz drugi nagrodę Związku Związków za największą ilość punktów, osiągniętych przez dwudziestu jeden pierwszych zawodników.

Już na drugi dzień rozpoczynam swój normalny trening. Zachęcony temi sukcesami, postanawiam ani na chwilę nie przerywać pracy, aby w sezonie zdobyć jak największą ilość punktów i zrewanżować się tem za ubiegły sezon. W następną niedzielę jadę do Krakowa na bieg „I. K. C.". Przychodzę tam pierwszy, zdobywając cenny puhar przechodni.

W tym czasie Petkiewicz ma poważne zmartwienie. Zatarg jego ze Związkiem łotewskim przybiera dla niego najbardziej niepożądany obrót. Dopiero interwencja P. Z. L. A. kładzie kres pretensjom Związku łotewskiego, dając satysfakcję Petkiewiczowi.

Tymczasem sezon lekkoatletyczny w pełni. Biegi na przełaj zastąpiono zawodami na bieżni. „Warszawianka" urządza w maju dwie poważne imprezy lekkoatletyczne. Najpierw wyjeżdżamy na mecz z „Wartą" do Poznania, a następnie odbywają się zawody w Warszawie z udziałem Kośćaka. Po przyjeździe do Poznania ustalono, że mam biegać 1500 mtr. i 5000 z zawodnikami „Warty", Petkiewicz zaś poza konkursem ma biegać z Kośćakiem na trzy kilometry. Miało to być rewanżowe spotkanie za jego porażkę w Pradze. Do biegu tego nie zostałem wystawiony z tego względu, że za trzy dni mam biegać w Królewskiej Hucie 5 klm. z Kośćakiem, a następnie wszyscy trzej mamy startować w Warszawie.

Trzy kilometry wygrywa Petkiewicz. Miał on olbrzymią przewagę nad Kośćakiem, ale jej nie wykazał. Jak przypuszczam, bał się rozegrać biegu na czas, to też dopiero na ostatniem okrążeniu decyduje lepszy finisz Petkiewicza. Czas jego 9:00,6. Nie mając odpowiedniej konkurencji, obydwa biegi wygrywam.

Muszę wspomnieć o pewnem wydarzeniu po skończonym meczu w Poznaniu. Przed odjazdem wybraliśmy się całą paczką do Moulin Rouge, gdzie przy lampce wina spędzaliśmy mile czas do odejścia pociągu. Podczas tego zebrania koledzy zaczęli namawiać mnie i Petkiewicza, żebyśmy się przeprosili (ostatniemi czasy nie rozmawialiśmy zupełnie, a nawet nie kłanialiśmy się sobie). Rzeczywiście podaliśmy sobie ręce, ale wiedziałem zgóry i czułem to, że poprzedni stan rzeczy trwać będzie nadal i w stosunkach naszych wzajemnych nic się nie zmieni.

Z Żubrem odjechaliśmy do Królewskiej Huty tego samego wieczora, Kośćak zaś miał wyjechać następnego dnia rano. W czasie podróży mamy małą przygodę kolejową. Przejechaliśmy Katowice o jedną stację dalej, drzemiąc w wagonie. Kiedy chcieliśmy wracać bez biletu, konduktor zaprowadził nas do zawiadowcy stacji, ażebyśmy zapłacili karę. Myśmy nie chcieli. Wywiązała się nawet dość ostra wymiana zdań, szczególnie wtedy, gdy już wykupiliśmy bilet z karą. Nie chciano nam dać pokwitowania. W Katowicach spędziliśmy bardzo miło dwa dni, oddzielające nas od zawodów, poznając wszystkie nocne lokale rozrywkowe stolicy Śląska. Wreszcie znaleźliśmy się w Królewskiej Hucie.

W dniu zawodów spotkałem Kośćaka w hotelu. Był trochę speszony. Wprawdzie o zawodach nie mówiliśmy ani słowa, ale w spojrzeniach naszych wyczuwało się, że wzajemnie chcemy siebie wybadać. Przyznaję się, że miałem żal do Kośćaka, gdyż jeszcze na tydzień przed zawodami ukazało się kilka wywiadów z nim w dziennikach polskich, w których dość lekceważąco wyrażał

się o mnie i o Petkiewiczu, uważając, że wszystkie trzy starty skończą się dla niego zwycięstwami. Uważam, że tego robić nie wolno. Oprócz Kośćaka i mnie, na starcie staje Hartlik i kilku zawodników śląskich. W przeciwieństwie do Petkiewicza, bieg postanawiam rozegrać na tempo. Ruszam szybko z miejsca, obejmuję prowadzenie tak, że pierwsze 800 metrów mijamy w 2 min. 19 sekund. Już po piątem okrążeniu Kośćak zaczyna powoli zostawać ztyłu. Tempo, jakie rozwinąłem, było za szybkie dla niego. Dalsze okrążenia przynoszą coraz większą różnicę między nami, tak, że prawie nie finiszując, kończę bieg w 15:30,9 o 200 mtr. przed Kośćakiem.

O niezbyt dobrej formie Kośćaka przedtem nie wiedzieliśmy nic. Petkiewicz bał się i nie wykorzystał tego, ja byłem cokolwiek odważniejszy i dlatego mogłem wyrobić tak wielką różnicę.

Z Królewskiej Huty przyjeżdżamy razem do Warszawy na zawody „Warszawianki". Jest tutaj już Petkiewicz, który przybył o kilka dni wcześniej. Startujemy w trójkę oraz Zemło. Ani Kośćak ani Zemło nie byli brani pod uwagę. Zainteresowanie wszystkich skupiło się na nas dwuch, gdyż miało to być drugie spotkanie nasze w tym roku. Jak wiadomo, pierwsze w biegu na przełaj wygrałem ja. Teraz więc bieg na bieżni miał zadecydować o wyższości jednego z nas. Niemal na kilka minut przed zawodami dowiaduję się ze zdumieniem, że organizatorzy wyznaczyli długość biegu nie na 5 klm., jak było przedtem postanowione, lecz 3 klm. i to na wyraźne życzenie Petkiewicza. Dla mnie było to najbardziej niepomyślne, gdyż wiedziałem dobrze, że Petkiewicz jest lepszy ode mnie w biegach krótkich, posiada bowiem większą szybkość. Byłem oburzony, ale cóż było robić. Musiałem się zgodzić. Zawody odbywały się na stadjonie AZS. Po rozruszaniu udaję się do szatni, gdzie masażyści rozmasowali nas. Wreszcie po kilku konkurencjch nadchodzi chwila startu.

Mam wrażenie, że bieg ten był niezbyt ciekawy dla wszystkich, gdyż właściwie walka rozgrywała się między Petkiewiczem, a mną. Kośćak był daleko słabszy od nas, a jeśli mam być szczery, nawet gorszy niż przypuszczałem. Natomiast Petkiewicz wykazał swoją klasę i zadziwił mnie finiszem, który rozwinął na ostatnich 300 metrach po morderczem tempie, jakie nadałem w czasie niemal całego biegu.

Już dawniej wierzyłem, że do Petkiewicza wygrać mogę, biegnąc na czas. Zastosowałem więc tą taktykę i w tym biegu. Przeliczyłem się jednak, nie wziąłem pod uwagę, że trzy kilometry, które biegliśmy teraz są za krótkim dystansem na to, aby można było Petkiewicza zmęczyć i osłabić jego finisz. Na ostatnich 300 metrach Petkiewicz minął mnie, wysuwając się pięknym finiszem naprzód i wygrywając bieg w czasie 8:35. Mój czas — 8:40.

Bieg ten był dla mnie nową nauczką, co muszę robić, aby wygrywać do dobrych zawodników. Nie wystarczy już teraz rozgrywanie biegu na tempo. Należy mieć jeszcze w ostatniej chwili tyle świeżości, aby móc rozwinąć odpowiedni finisz.

Jak twierdził kolega Żuber, bieg ten rozegrałem jak najfatalniej dla siebie. Jego zdaniem, nie powinienem był go rozgrywać na czas, tembardziej, że rekord polski na tym dystansie należał do mnie. Należało właśnie rezerwować siły na ostatnie metry. Wierzyłem jednak, że przyjdzie czas, kiedy właśnie swoją taktyką pokonam Petkiewicza.

Przegrana do Petkiewcza bynajmniej nie wytrąciła mnie z równowagi. Pracuję usilnie nad sobą w dalszym ciągu, szczególnie nad finiszem. Ciężka to była praca, tembardziej, że wyniki nie przychodziły odrazu. Z drugiej strony Petkiewicz miał dużą przewagę nade mną, był wyższy prawie o głowę, a co za tem idzie, miał większy krok.

Rozdział XVII.

Trenuję zapamiętale do mistrzostw Warszawy, które miały odbyć się w czerwcu i na których spotkać się miałem po raz trzeci z Petkiewiczem.

Trening mój wyglądał mniej więcej tak: rano, po śniadaniu pół godziny gimnastykuję, następnie przyjeżdżam do Warszawy i biegam w Agrykoli same sprinty. A więc dwa razy po 400 metrów, dwa po 800 metrów. Po obiedzie, nie robiąc żadnej przerwy, ani odpoczynku, sypię do łaźni, a stamtąd znów do Agrykoli, gdzie biegam dwa kilometry sprintami. Potem w szatni Dubniak masuje mnie zapamiętale przez 20 minut. Jak widzicie trening ten nie należał do łatwych i, jak twierdził Klumberg, nie każdy mógł go wytrzymać. Nie wiem dlaczego nazywał go treningiem fińskim.

Z niecierpliwością oczekuję mistrzostw Warszawy. Po pierwsze dlatego, że będę miał sposobność zrewanżować się Petkiewiczowi za ostatnią porażkę — znalezienia nareszcie dystansu, na którym wykażę swoją wyższość nad nim, po drugie, mistrzostwa te były jednocześnie eliminacją na trójmecz bałtycki oraz mistrzostwa Polski. Wybrałem dla siebie dystans 1500 metrów, jak mi wszyscy zresztą mówili, najbardziej nieodpowiedni dla mnie.

Spotyka mnie jednak przykra niespodzianka. Nie wiem dlaczego Petkiewicz nie chce startować, to też bez chęci staję do biegu. Chcąc w każdym razie pokazać na co mnie stać, nie mając odpowiedniej dla siebie konkurencji, postanawiam zaatakować rekord polski na tym dystansie (4:02), który należał do Petkiewicza. Po strzale startera obejmuję prowadzenie w tak szybkiem tempie, że sprawdzając na stoperze, po dwuch okrążeniach wyglądało, jakbym miał skończyć bieg grubo poniżej 4 minut. Tymczasem jednak, nie mogąc rozwinąć walki — przeciwnicy moi byli daleko za mną — przerywam taśmę w czasie 3:59, prawie nie finiszując. Rekord został pobity i miałem przynajmniej tą satysfak-

cję, że byłem pierwszym Polakiem, który na tym dystan sie zeszedł poniżej 4 minut, walcząc nie z przeciwnikami, co jest daleko łatwiej, a z czasem.

Jeśli chodzi o ogólne wrażenia, to mistrzostwa Warszawy, rozegrane zresztą w pełnym programie lekkoatletycznym, nie wywołały spodziewanego efektu. Spowodowała to w pierwszym rzędze nieobecność kilku A-klasowych zawodników. Jeśli chodzi o mnie, byłem z nich aż nadto zadowolony, pomimo, że nie zmierzyłem się z Petkiewiczem.

W tydzień po mistrzostwach Warszawy odbyły się wielkie zawody lekkoatletyczne z okazji jubileuszu 10-lecia P. Z. L. A. z udziałem Finnów: Jokivirty i Kivi. Startować miałem na 1500 metrów i 5000 z Petkiewiczem i Jokivirtą.

Nie taję, że ogólna uwaga sfer sportowych zwrócona była właśnie na te biegi. Pierwszego dnia odbył się start na 1500 metrów. Niepoprawny, chcę bieg rozegrać na czas. Ruszam pierwszy, obejmuję prowadzenie, aby po 200 metrach oddać je Jokivircie. Petkiewicz biegnie na trzeciej pozycji. Trzy okrążenia mijają bez żadnej zmiany. Nagle na 300 metrów Petkiewicz pięknym zrywem rozpoczyna finisz, mija mnie i Jokivirtę, nadrabiając kilka metrów. Nie daję za wygranę. Zrywam się, lecz Jokivirta nie pozwala się wyprzedzić, zatrzymując mnie formalnie łokciem.

Cóż robić, musiałem zwolnić. Dopiero na drugim wirażu udaje mi się wyprzedzić Finna, ale niestety, było już zapóźno, aby stoczyć walkę z Petkiewiczem. Przychodzę drugi w czasie 3 : 58,4 za Petkiewiczem, który ustanawia nowy rekord Polski w czasie 3 : 57,6, poprawiając ustanowiony przezemnie przed tygodniem o 1,4 sekundy.

Nie chcę bliżej analizować tego biegu, w każdym razie Jokivirta tylko dlatego nie został zdyskwalifikowany przez komisję sędziowską, że był gościem, a po drugie — i tak przyszedł ostatni. W każdym razie po-

cieszałem się, że następnego dnia, w biegu na 5 klm., uda mi się pokonać Petkiewicza. Tymczasem ten nie zjawił się zupełnie na starcie. Jak mi później koledzy mówili... poszedł na plażę.

Startujemy we trzech. Jokivirta, Kośćak i ja. Pierwsze dwa kilometry prowadzi Jokivirta, nie pozwalając wszystkiemi możliwemi sposobami odebrać sobie prowadzenia. Kośćak nie wytrzymuje tempa i zostaje wtyle. Wszystkie moje starania, aby obejść prowadzenie, niweczy Jokivirta. W ten sposób mija dziesięć okrążeń. Ponieważ jednak widzę, że tempo, jakie nadał Finn, jest dla niego za silne i zaczyna słabnąć, zrywem wysuwam się naprzód, mijam go, ażeby na 600 metrów przed taśmą przypuścić generalny atak, którego on już nie wytrzymał. Bieg wygrałem w rekordowym czasie 14:59,4 o przeszło 60 metrów przed Finnem.

Był to mój podwójny sukces. Tak, jak kiedyś na 1500 metrów byłem pierwszym Polakiem, który zszedł poniżej 4 minut, tak teraz jestem również pierwszy z pośród nas, któremu udało się na dystansie 5 klm. zejść poniżej 15 minut. Czas 14:59,4 jest nowym rekordem Polski.

Dumny też byłem z siebie i z tego względu, że mnie pierwszemu przypadł w udziale zaszczyt pobić Finna na ich najbardziej ulubionym dystansie, (jak wiadomo bowiem, dystans ten był domeną Finnów i dotychczas nikt im nie mógł dorównać).

Upojony zwycięstwem, zaprzestaję treningów, tembardziej, że chcę wypocząć przed trójmeczem bałtyckim, gdzie czekają mnie, jak się przekonacie, cztery ciężkie starty. Ponieważ mam więcej wolnego czasu, zaczynam starać się o zajęcie dla siebie. Po zwolnieniu z wojska, mieszkam u rodziców i wprawdzie staruszkowie opiekują się mną traskliwie, ale przecież nie mogę wymagać, od nich zawiele. Jestem już w tym wieku, że powinienem sam o siebie dbać.

Starania moje jednak nie odnoszą skutku. Ogólny kryzys ogarnął również i tę dziedzinę, w której chciałem pracować — wolnej posady nie było.

Rozdział XVIII.

W kilkanaście dni po tych zawodach, po skompletowaniu drużyny na trójmecz bałtycki, wyjeżdżamy do Tallina. Początkowo zgłoszony byłem do dwu konkurencyj na 5 i 10 klm. Tymczasem w ostatniej chwili już na miejscu tak się złożyło, że musiałem startować w czterech, bo jeszcze na 1500 metrów i 800 metrów.

Przyznaję się, że wyjeżdżaliśmy z Warszawy z nietęgiemi minami. Brakło w drużynie takich asów, jak Kostrzewskiego, Nowaka, Barana, Żubra i innych. Wyjeżdżaliśmy osłabieni, tembardziej, że drużyna nasza, składająca się z 15 osób, miała walczyć przeciwko 19-tu Łotyszom i 21 Estończykom.

Podróż trwała aż 36 godzin. Całe szczęście, że przebyliśmy ją w sleepingach, a więc nie dała się nam tak we znaki, jak inne.

Zawody rozpoczęły się wielkiemi uroczystościami z okazji 10-lecia Związku estońskiego, które zaszczycił swoją obecnością prezydent Strandman. Poziom trójmeczu był znacznie lepszy od poprzednich. Wyniki zaś stały na tak dobrym poziomie, że nie powstydziłby się go żaden mecz o europejskiej klasie. Wystarczy powiedzieć, że na zawodach padło aż pięć rekordów estońskich, siedem rekordów łotewskich oraz jeden rekord polski.

Pierwszego dnia startuję na 800 i 5000 metrów. Wygrywam obydwa biegi. Pierwszy w czasie 1:57,1 do Tisfelda (Estonja), w drugim rewanżuję się swojemu zeszłorocznemu pogromcy Beldsinkyemu (Estonja), przychodząc przed nim blisko 70 mtr. Czas 15:28,2.

Po pierwszym dniu zawodów, prowadzi Estonja

przed Polską, mając kilkanaście punktów przewagi. Sytuacja więc przedstawia się niewesoło.

Następnego dnia kierownicy drużyny naszej zwrócili się do mnie, abym startował również i w biegu na 1500 metrów, gdyż od tego może zależeć ogólny wynik meczu. Ponieważ czułem, się dobrze usposobiony, zgodziłem się chętnie i bieg ten wygrałem w dość dobrym czasie 4:02,7 przed Łotyszem Koidu. Jakkolwiek pierwsze okrążenia wskazywały na możliwość pobicia rekordu, nie chciałem zbytnio się przemęczać, wiedząc, że czeka mnie jeszcze start na 10 klm. To też, kiedy już byłem pewny zwycięstwa, zwolniłem nieco. Pomimo to przyszedłem pierwszy.

W niespełna godzinę startuję do najcięższej konkurencji 10 klm. Choć czułem się nieco zmęczony, staram się za wszelką cenę nie dopuścić do oderwania się Beldsinskyego i Puka. Po pięciu kilometrach zaczynam prowadzić, a na siódmym kilometrze Beldsinsky przypuszcza atak, chcąc mnie wyprzedzić. Ambicja bierze górę nad mięśniami. Nie daję się, odsuwam się od niego, a nawet nie wiem, skąd mi się to wzięło, w ostatniej chwili zdobywam się na finisz i przychodzę pierwszy w 32:58. Po startach tych byłem zadowolony, jak nigdy w życiu, jakkolwiek sytuacja nie przedstawiała się różowo. Mieliśmy równe ilości punktów z Estonją i skok o tyczce, jako ostatnia konkurencja, miał zadecydować o wyniku meczu. Sytuacja stawała się wręcz tragiczna, gdy Majtkowski i Adamczak odpadli. Pozostał tylko ostatni skok Tammana.

Przejęci i zdenerwowani patrzymy w skupieniu razem z 8-tysięczną rzeszą publiczności na Estończyka. Wreszcie następuje oczekiwana chwila. Tamman skacze, już całem ciałem jest poza poprzeczką.

Dech zamarł nam w piersiach z przerażenia, gdy wtem Tamman zaczepia w ostatniej chwili palcem i z poprzeczką upada na ziemię.

A więc hurra! Zwycięstwo na całej linji. Wpraw-

dzie mamy tyleż punktów ile Estończycy, ale zdobywamy pierwszeństwo dzięki większej ilości pierwszych miejsc.

Zdobyliśmy ich 7 podczas, gdy Estończycy 3.

Zadowoleni wracaliśmy do swoich kwater. Wieczorem po krótkim spacerze i zwiedzaniu miasta, położyliśmy się wcześnie spać — odpoczynek nam się słusznie należał. Na drugi dzień po spożyciu smacznego obiadu i wypiciu niesłychanych ilości popularnej w Estonji wody „Citronsoda", odjechaliśmy do Warszawy. Powrotna droga należała do jednej z najprzyjemniejszych, jaką do tej pory odbywałem. Bez przesady powiem, że przez cały czas jej trwania, moja osoba była przedmiotem ogólnego zainteresowania.

W kilka dni po przyjeździe do Warszawy wpadł mi w rękę ostatni numer pisma sportowego „Stadjon", który m. in. w sprawozdaniu o trójmeczu bałtyckim tak pisał:

„Bilans naszych zawodników wypadł zupełnie dobrze, walczyli wszyscy bardzo ambitnie i nikt specjalnie nie zawiódł. Na czoło wybił się niezmordowany Kusociński — zdobywca nagrody najlepszego zawodnika trójmeczu. Te 24 punkty, zdobyte w ciągu dwóch dni, to rekord, na który chyba tylko Nurmi mógłby się zdobyć. Rewanż nad Seldsinskym był bezapelacyjny. Śmiało można powiedzieć, że trójmecz wygrał Kusociński".

Dlatego podaję wycinek ze „Stadjonu", gdyż sam nie chcę mówić o swoim sukcesie, aby nie być posądzonym o autoreklamę. W każdym razie, bez sprzecznie trzeci trójmecz bałtycki stał się moim największym sukcesem w dotychczasowej karjerze sportowej.

Pomimo zmęczenia, które oczywiście odczuwałem, nie dano mi próżnować. Już w tydzień odbywają się drużynowe mistrzostwa Warszawy. Nie miałem wielkiej ochoty wziąć w nich udziału z powodu zmęczenia,

jednak klub tak gorąco nalegał, że w końcu ustąpiłem. Startuję w biegu na 1500 metrów i wygrywam do Mędrzyckiego i Maszewskiego w czasie 4:14,4. Na zawodach tych Petkiewicz biegał 5000 mtr. uzyskując tak samo słaby czas jak i ja. Tylko 16:24,8. Jak wynika jasno z czasów uzyskanych przez nas, biegliśmy poto jedynie, aby wygrać.

Ostatnie moje starty w kraju i zagranicą zainteresowały europejskie związki sportowe tak dalece, że w ciągu jednego tygodnia otrzymaliśmy z Petkiewiczem szereg zaproszeń na startowanie w Brukseli, Sztokholmie, Brnie, Amsterdamie i Londynie. Niestety, P. Z. L. A. musiał odpowiedzieć, z powodu braku terminów, na wszystkie zaproszenia odmownie. Już dawniej zgłoszeni byliśmy do mistrzostw Anglji i zaraz po drużynowych mistrzostwach Warszawy wyjeżdżamy do Londynu.

Był to właściwie mój pierwszy samodzielny wyjazd w tak długą podróż. Pierwsza również podróż okrętem. Po raz pierwszy miałem stanąć na ziemi „wielkiej mgły", w kraju, który dał początek rozwojowi sportu amatorskiego.

Na mistrzostwach Anglji mieliśmy startować na jedną i cztery mile angielskie. Już pierwsze chwile na ziemi angielskiej nie należały dla nas do przyjemnych. Szczególnie dla mnie. Nikt nie wyszedł nas spotkać, nikogo nie znaliśmy, to też dużo czasu i trudu nam zajęło, zanim odnaleźliśmy konsula Hulanickiego i zameldowaliśmy się w Związku angielskim.

W pierwszym dniu zawodów startujemy w przedbiegach na jedną milę. Wobec dużej ilości zawodników odbyły się trzy przedbiegi. Petkiewicz przychodzi trzeci, ja swój przedbieg wygrywam do późniejszego zwycięzcy tego biegu Thomasa (Anglja) w czasie 4:20,8. Następnego dnia popełniłem dwa zasadnicze błędy, przedewszystkiem wobec tego, że miałem startować w biegu na cztery mile zrezygnowałem z finałowych rozgrywek na jedną milę. Po drugie, startując po raz

pierwszy w życiu w tak doskonałem otoczeniu przy niezwykle silnej konkurencji oraz na obcym terenie przy kilkudziesięciu tysiącach publiczności — straciłem zupełnie głowę.

Na starcie stanęło dziewięciu zawodników z Virtanenem, Wadem i Oddym na czele. Ponieważ pierwszy raz miałem bieg z nimi, nie wiedziałem absolutnie, jaką zastosować taktykę. Zdezorjentowany i speszony, czekałem na strzał startera. Denerwowałem się coraz bardziej, kiedy start został przez jakąś nieformalność kilka minut opóźniony. Wreszcie ruszamy.

Nie wiedząc nic, jak już wspomniałem o swoich przeciwnikach, postanowiłem zastosować swoją stałą taktykę. Starać się nadać jak największe tempo, opanować bieg i dążyć w ten sposób do zwycięstwa. Jednakże z powodu zdenerwowania nie wykorzystałem zupełnie atutów, jakiemi rozporządzałem i w rezultacie zostałem pobity swoją własną bronią.

Przez trzynaście okrążeń walczę z Virtanenem o prowadzenie. Już po trzech okrążeniach zauważyłem, że Virtanen stosuje tę samą taktykę, którą ja chciałem zastosować. Ilekroć wysuwałem się naprzód na prostej, na wirażu Virtanen kontratakiem wyprzedzał mnie. Nie dawałem się jak mogłem. Jednak po czternastem okrążeniu upał (do którego jeszcze wtedy nie byłem przyzwyczajony) oraz powody, które już wymieniłem przedtem, zrobiły swoje. Zwątpiłem w siebie, a tem samem pozwoliłem oderwać się Virtanenowi. Nie byłem zdolny do walki. Jakież dziwne uczucie ogarnia zawodnika, który, będąc nastawiony na zdobycie pierwszego miejsca popełnia z własnej winy błędy i nie udaje mu się dlatego dojść do celu. W jednej chwili traci się chęć do biegu, ambicja i siły uciekają, jak kamfora. Przyznaję się szczerze, że gdyby nie wstyd przed publicznością, czułem się wtedy tak strasznie, że zszedłbym z bieżni.

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund, ale wystarczyło, abym stracił wszystkie nadzieje na zdobycie

pierwszego miejsca. Mimo to z wysiłkiem biegnę dalej. Oglądam się za siebie, Anglicy są kilkanaście metrów za mną. Przyśpieszam, chcę się przynajmniej od nich odsunąć jaknajbardziej, jednak i tu spotyka mnie zawód. Na ostatniem okrążeniu dochodzą mnie Anglicy, którym bez walki oddaję drugie i trzecie miejsce.

Tak więc występy nasze w Anglji skończyły się niezbyt fortunnie. Przy sposobności pozwolę sobie przypomnieć pewną przykrość, która spotkała mnie w Anglji. Utarł się u nas zwyczaj (jeśli to można tak nazwać), niewytłumaczony dla mnie zupełnie, że władze sportowe zwykły otaczać swoją opieką tych zawodników, którzy są pierwszymi. O innych jakoś zbyt prędko się zapomina i rzuca się ich na pastwę losu, pomimo, że właśnie ci najwięcej tej opieki potrzebują. Już choćby dlatego, że przegrali i czują się nieszczęśliwi. Tymczasem u nas tak nie jest. Odnosi się to, co piszę, w pierwszym rzędzie do występów polskich sportowców zagranicą. Tembardziej na obcym terenie muszą się czuć w przykrzejszej jeszcze sytuacji choćby dlatego, że do wszystkich nieszczęść, jakie ich spotkały, dochodzi osamotnienie i obcy teren.

To samo było właśnie z nami w Londynie. Kiedy pierwszego dnia wygrałem swój przedbieg na 1 milę angielską, niemal wszystkie moje życzenia uwzględniono. Następnego dnia, kiedy przegraliśmy z Petkiewiczem, spotkała nas, zamiast pocieszenia, którego się spodziewaliśmy, nieuzasadniona obojętność. Mieli do nas żal. Nikt nas też nie odprowadzał na dworzec, zostliśmy zupełnie sami do tego stopnia, że musieliśmy nie znając terenu i języka angielskiego, sami sobie załatwiać wszelkie formalności związane z wyjazdem. Mam wrażenie, że nie wolno tak postępować z zawodnikami.

Przegrana w Londynie zamiast nas zbliżyć do siebie (mówię o Petkiewiczu), przeciwnie, jeszcze oddaliła. Tak więc nie rozmawiając ze sobą zupełnie, przyjechaliśmy do Warszawy i na dworcu bez pożegna-

nia jeden poszedł w prawo, drugi w lewo. Oczywiście i tu nikt po nas nie wyszedł. Smutny i rozgoryczony wracałem do domu. Tem więcej, że jeszcze tłukły mi się po głowie echa wiwatów, owacyj i gratulacyj z Tallina.

Rozdział XIX.

W tydzień po przyjeździe odbywały się mistrzostwa Polski. Zgłoszony zostałem do trzech biegów: na 800, 1500, i 5000 mtr. Przed mistrzostwami nie trenowałem zupełnie, gdyż ostatnie starty, szczególnie w Tallinie odbiły się na mnie dość wydatnie. Wprawdzie czułem się silny, ale gdy próbowałem trenować, nic z siebie dać nie mogłem. Właściwie mówiąc, nie powinienem brać udziału w mistrzostwach Polski, ale moją zasadą było, aby nie opuszczać żadnej okazji do startowania. Każdy start był dla mnie niejako magnesem i próbą do dalszej pracy nad sobą w podciągnięciu swej formy.

Dwudniowa rewja polskiej lekkoatletyki w 1930 roku, ne wniosła nic ciekawego do sportu polskiego. Nie padł ani jeden rekord. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że sport nasz osiągnął już swój kulminacyjny punkt, i że wyżej wznieść się nie potrafi. Całe szczęście, że przypuszczenia te okazały się tylko złudzeniami.

Pierwszego dnia startuję na 1500 mtr. Petkiewicz, który również zmuszony był do tego biegu, nie zjawia się zupełnie. Rozgrywam bieg z Mędrzyckim, Pruszkowskim, Sidorowiczem i Strzałkowskim. Od początku zaczynam prowadzić i ze startu do mety przychodzę pierwszy w czasie 4:03,8. Nieliczna publiczność, zebrana na trybunach, przyjęła ten stosunkowo słaby wynik ozięble, gdzieniegdzie nawet wyrażano głośno swoje niezadowolenie. Tak już jest, że wielu z tych, którzy przychodzą oglądać zawody, a nie znają się na sporcie (bo są i tacy) zdaje im się, że ci wszyscy, którzy biegają, skaczą, czy miotają, to — maszyny, które się na-

kręca i które mają tak długo pracować, póki nie padną.

Jakkolwiek w biegu tym nie miałem dla siebie odpowiedniej konkurencji, wyniosłem jedno z tych spostrzeżeń, które przydać się może każdemu biegaczowi, a które nieraz mi się później przydało. Strzałkowski, który biegł stale za mną i za wszelką cenę chciał utrzymać się przy mnie, obrał jaknajgorszą taktykę w walce o drugie miejsce. Bezwątpienia był jednym z lepszych biegaczy, startujących w tym biegu, przyszedł jednak dopiero piąty. Dlaczego? Mojem zdaniem, nie wolno zawodnikowi trzymać się niewolniczo w czasie biegu dużo lepszego od siebie leadera. Wybadawszy pozostałych zawodników, należy biec z nimi, rozgrywać z nimi bieg, a nie tracić siły na walkę z przeciwnikiem, którego, wiadomo zgóry, że się nie pokona. To, co się uzyska wprawdzie na początku biegu, straci się z pewnością czterokrotnie na końcu.

Drugiego dnia spotykam się z Petkiewiczem na 800 metrów. Nim zdołałem wydostać się z tłoku, jaki zapanował po strzale startera, otrzymałem kilka porządnych kułaków od kolegów i... straciłem kilka dobrych metrów.

To wystarczyło, aby mnie pozbawić możności walki o pierwsze miejsce. W każdym razie nie uchyliłem się od niej, dystans jednak był zbyt krótki, abym mógł zagrozić Petkiewiczowi. Przychodzę trzeci w czasie 2 minut, drugi Maszewski. Czas Petkiewicza 1:57,6.

W niespełna pół godziny po tym biegu ma się odbyć bieg na 5 klm. Petkiewicz nie startuje. Zmęczony, nie mogę oczywiście rozegrać go na czas, chodzi mi tylko już o wygraną. Pomimo to jednak tylko Kabut zdołał utrzymać się przy mnie przez trzy kilometry, inni odpadli. Wreszcie po ósmem okrążeniu i on odpada.

A więc powtórzyła się i tutaj ta sama historja, jak i poprzedniego dnia ze Strzałkowskim. Zamiast przyjść drugi, przyszedł dopiero trzeci i to w okropnie



Virtanen w Polsce w r. 1931. W biegu na 3 i 5 klm. został przezemnie pokonany. Był to mój rewanż za doznane porażki w Anglji i w Finlandji.



Minister Jackowski, poseł polski w Brukseli, po zwycięstwie w biegu na 5 klm. w r. 1931-ym zachęca mnie do wzięcia udziału w biegu na 1500 m.

słabym czasie. Zresztą wogóle czasy były nieszczególne. Mój: 15:59,8, Miaukasa — 16:20, Kabuta—16:43,1.

Zaledwie 0,2 sekundy brakowało, abym nie zdobył przewidzianego minimum mistrzowskiego, które wynosi 16 minut.

Trzeba było widzieć Klumberga po tym biegu. Zły i zdenerwowany dopadł mnie i kategorycznie zabronił przez dwa tygodnie cośkolwiek robić.

— Ani mi się pan waż! — wołał. — Nie wolno nawet marzyć o treningu, ani o gimnastyce. Czyś pan zwarjował! Tylko człowiek niespełna rozumu może w ten sposób postępować, jak pan to robi. Albo ten, który chce jeszcze w tym roku pożegnać się z bieżnią.

Posłuchałem Klumberga tem chętniej, że istotnie czułem się przemęczony. Tak więc przez dwa tygodnie odpoczywałem, nic nie robiąc.

Korzystając z wolnego czasu, wybrałem się do dr. Szewczykowskiego, aby mnie zbadał. Lekarz obejrzał mnie dokładnie, nie znalazł wprawdzie żadnych wad ani usterek, ale oświadczył to samo, co i Klumberg. Całkowity odpoczynek, zwłaszcza, że miałem przemęczone serce. Polecił mi używać ruchu jak najmniej, odpoczywać i zgłosić się doń za dwa tygodnie.

Po dwu tygodniach, kiedy już czułem się zupełnie wypoczęty, wznowiłem treningi i gimnastykę, a w kilka dni potem wybrałem się do lekarza. Ucieszyłem się niezmiernie, gdy po zbadaniu powiedział: „Wszystko jest w porządku".

Podczas gdy odpoczywałem, nadeszło do Warszawy zaproszenie z Kopenhagi dla mnie i dla Petkiewicza, abyśmy wzięli udział w wielkich międzynarodowych zawodach lekkoatletycznych, jakie miały się tam odbyć. P. Z. L. A. zgodził się na nasz wyjazd i zgłosił nas do biegów na 2.000 metrów i 5.000 metrów.

Po kilku treningach (na więcej nie było czasu), wsiadamy do pociągu, aby po niezwykle urozmaiconej i miłej podróży, wysiąść w Kopenhadze. Piszę — uroz-

maiconej, dlatego, że po raz pierwszy w życiu widziałem, jak wagon, w którym jechaliśmy razem z pasażerami, ładowano na okręt. Bez przesiadania, odbyliśmy podróż Warszawa — Kopenhaga.

Stolica Danji niezwykle mi się podobała. Pierwszą rzeczą, która rzuca się w oczy, to istne mrowie rowerzystów, mknących ulicami. Kto tylko może przebierać nogami, ten w Kopenhadze jeździ na rowerze. Dzieci do szkół, urzędnicy do pracy, panie na bazar po zakupy.

Związek duński przyjął nas niezwykle gościnnie. Umieszczono nas w pierwszorzędnym hotelu, każde nasze życzenie z ochotą było spełniane. Jak to mówią, brakowało nam chyba ptasiego mleka.

W dniu startu odwiedził nas w hotelu b. trener P. Z. L. A., p. Norling, który namawiał mnie koniecznie na start do Sztokholmu, przyrzekając załatwić wszystkie formalności. Nawet, jak twierdził, porozumiewał się już telefonicznie z Warszawą, która przyrzekła mu jego prośbę uwzględnić. Ja jednak sprzeciwiłem się kategorycznie. Dość miałem już opiekuna z P. Z. L. A., z którym przyjechałem do Kopenhagi. Upokorzenia, których mi nie skąpił, wyprowadziłyby człowieka o gorętszym temperamencie z równowagi. Nie dziwiłem się temu zresztą, bowiem mój opiekun był najserdeczniejszym przyjacielem Petkiewicza. To go jednak nie usprawiedliwia, że w stosunku do mnie zachowywał się skandalicznie.

Startować miałem na 5 km., Petkiewicz zaś na dwa. Wśród przeciwników moich najgroźniejsi dla mnie byli: Peterson i Magnusson. Jak zwykle, rozegrać chciałem bieg na tempo, nie znając taktyki swoich konkurentów. Jednak mój opiekun z P. Z. L. A. kategorycznie zabronił mi w ten sposób biegać. Oświadczył, iż nie chce, abym prowadził, lecz rozegrał bieg dopiero na finiszu.

Usłuchałem go o tyle, że dopiero po 3 i pół kilometrach objąłem prowadzenie. Przyśpieszyłem oczywi-

ście tempo, wydawało mi się bowiem zbyt powolne. Całe szczęście, że tak postąpiłem, a nie inaczej, gdyż dzięki przyśpieszeniu tempa, zmęczyłem Petersona i Magnussona, a walka, jaka wywiązała się między nami na ostatniem okrążeniu, nie była już dla mnie tak ciężka, jak przypuszczałem.

Bieg wygrywam w 15:13,8. Biorąc pod uwagę chłód, jaki panował tego dnia i nienadzwyczajną bieżnię, wynik należy uważać za zupełnie dobry. Petkiewicz spisał się jeszcze lepiej ode mnie, wygrał dwa km. w 5:33,8, ustanawiając tem samem nowy rekord Polski na tym dystansie.

Po zawodach każdy z nas otrzymał wspaniały puhar przechodni, jako nagrodę za wygraną. Trzeba było go zwrócić gospodarzom do przechowania. Pozatem otrzymaliśmy śliczne srebrne łyżki na pamiątkę startu w Kopenhadze.

Z przykrością muszę zaznaczyć, że pomimo ogłoszeń w duńskiej prasie, że w zawodach biorą udział Polacy. nie było na boisku, jeśli się nie mylę, ani jednego członka kolonji polskiej. Na szczęście dziś już czasy się o tyle zmieniły, że każde zawody w obcem mieście, w których bierzemy udział, wzbudzają ogromne zainteresowanie wśród Polaków. To też nie przeczę, że dużo racji miał konsul Kubiś, który w Nowym Jorku (niemal w dwa lata później) powiedział:

— „Jeśli chcecie mieć najlepszą reklamę i propagandę polskości na tutejszym terenie, przysyłajcie przedewszystkiem najlepszych zawodników sportowych".

Powrotną drogę do Warszawy spędziłem niezbyt przyjemnie, ze względu na towarzystwo, w jakiem musiałem jechać. Zdawało mi się, że już nie dojadę do Warszawy. W Berlinie naprzykład kazano mi czekać przeszło 8 godzin na pociąg.

Po przyjeździe do Warszawy poruszyłem w Związku sprawę mego niefortunnego opiekuna i niezwłocznie zabrałem się do treningu.

Rozdział XX.

Przerwa w treningu, którą z polecenia Klumberga i lekarza zrobiłem, wyszła mi na dobre. Czułem się znów świetnie, silny i chętny do pracy. Przekonałem się też wtedy na sobie, iż organizm potrzebuje co pewien czas takiego właśnie wypoczynku, gdyż w przeciwnym razie, jak to było z Petkiewiczem — „spuchłbym nazawsze i musiałbym pożegnać się z bieżnią.

Zabrałem się tembardziej do pracy, że niedługo czekało nas ciężkie spotkanie — międzypaństwowy mecz z Czechosłowacją w Brnie. W tym czasie Petkiewicz wyjeżdża na kilka startów do Finlandji. Nasze lekkoatletki, z Walasiewiczówną i Konopacką na czele, jadą na kobiece igrzyska olimpijskie do Pragi. Nie byłem tem zbyt zadowolony. Zazdrościłem Petkiewiczowi, że pojechał do krainy Nurmiego. Mojem największem marzeniem było właśnie wyjechać do Helsingforsu i zmierzyć się z Finnami, estra - klasą światową.

Ale i w Warszawie miałem pewne urozmaicenia. „Polonia" warszawska z racji otwarcia swojego boiska urządziła zawody lekkoatletyczne, na które zaproszono podróżujących wtedy po Europie lekkoatletów japońskich.

Na zawodach tych zgłoszony byłem do biegu na 10 km, gdzie spotkać się miałem z Japończykami. Nie mogąc wygrać do Petkiewicza, chciałem przynajmniej powetować tę swoją stratę w pobijaniu jego rekordów na różnych dystansach. Ponieważ czułem, (i to nietylko ja), że w biegach dłuższych, jako silniejszy i wytrzymalszy, jestem lepszy od niego, postanowiłem wszystkie te rekordy poprawiać.

A więc miałem na zawodach tych zaatakować rekord polski Petkiewicza na 10 km, który wynosił 32:09. Nie mogącego pobić na bieżni, chciałem pobić jego czas. Niektórzy odradzali mi, gdyż chłód, jaki wtedy panował i kiepska bieżnia — dawały mi mało szans na pobicie rekordu. Uparłem się jednak, wierzyłem

w siebie, tembardziej, że Klumberg był wtedy w Warszawie i obiecał czuwać nademną w czasie biegu i podawać mi czasy okrążeń.

Po przyjeździe na stadjon czekało mnie rozczarowanie. Pierwszy raz w życiu widziałem Japończyków. Wydali mi się zupełnie inni, niż ich sobie wyobrażałem. Zdawało mi się, że zobaczę małych, kusych ludzi, ze skośnemi oczami, z żółtą, jak cytryna skórą, z długiemi warkoczami. Tymczasem zobaczyłem rosłych, silnych atletów.

Dotkliwy chłód nie pozwolił na osiągnięcie dobrych wyników, to też zawody naogół stały na niskim poziomie. Jeszcze przed startem przypilnowałem mierzenia bieżni, ponieważ organizatorzy pomylili się co do obliczenia okrążeń. Robiłem to zresztą i z tego względu, że raz już miałem taką historję i rekordu mego nie chciano wtedy uznać.

Wbrew zapowiedziom, Japończycy wycofują się z tego biegu, startuję więc z Milczem, Twardo i Adamczykiem.

Z miejsca ruszam pełną parą. Pierwszą moją myślą było, jak najprędzej zdublować przeciwników (nikomu nie dawałem wyrównania), gdyż wtedy będę mógł łatwiej ciągnąć na czas. Zresztą tak mi poradził Klumberg, który wie najlepiej, że zmaganie się z czasem nie należy do rzeczy łatwych. Klumberg stoi przy starcie i podaje mi czasy okrążeń. Pierwsze pięć km było doskonałe, grubo poniżej 16 minut, co wróżyło, że czas ogólny będzie 31 i pół minuty, a więc rekord zostanie pobity. Po siedmiu kilometrach zaczynam jednak zwalniać mimowoli ze względu na zmęczenie, poprostu trochę „spuchłem". Już nie miałem kogo gonić, gdyż wszystkich zawodników zdublowałem po parę razy, a tymczasem zaczynała się dla mnie najgorsza walka na ostatnich okrążeniach. I tutaj właśnie Klumberg znalazł radę, za którą do dzisiejszego dnia jestem mu wdzięczny. Wpadł na taki pomysł: Zaczął popędzać

mnie w ten sposób, że podawał mi czasy jednego okrążenia dużo gorsze, niż były w rzeczywistości, drugiego — o kilka sekund lepsze. Nie orjentowałem się zupełnie, że mnie zwodzi i w ten sposób zachęcony do największego wysiłku, kończę bieg w rekordowym czasie 31:39,8. Wtedy był to czwarty wynik świata.

Jak się okazuje dystans ten był moim najlepszym biegiem, a nie 5 km., jak wszyscy do tej pory twierdzili. Ucieszony rezultatem, ucałowałem serdecznie Klumberga, rozumiejąc doskonale, że w lwiej części przyczynił się do tego rekordu.

Zawody, o których mówię, były jednocześnie eliminacją na mecz z Czechami w Brnie, który też odbył się w pierwszej połowie września. Jak już pokrótce wspomniałem, zawody nie wykazały odpowiednich wyników, gdyż rozegrane zostały w najbardziej nieodpowiednich warunkach, oraz dlatego, że wielu czołowych zawodników wycofało się z nich.

Drużyna nasza, która wyjechała do Brna, została tak samo osłabiona brakiem czołowych zawodników (Kostrzewski, Trojanowski, Baran i t. d.), jak i zawody eliminacyjne, o których wspomniałem wyżej. Według papierowych obliczeń, jakie gorączkowo notowaliśmy w czasie podróży, wynikało, że tym razem Czesi będą zwycięzcami i walka o puhar min. Zaleskiego będzie trwać dalej. Tembardziej, że przeciwko nam Związek czechosłowacki wystawił najlepszą dwudziestkę swoich lekkoatletów z Englem, Knenitzkym, Doudą i Chmelikiem na czele.

Petkiewicz i ja przyjechaliśmy o dzień później, niż cała nasza drużyna, t. j. dopiero w dniu zawodów. Podróż mieliśmy nadzwyczaj wygodną, to też przynajmniej ja nie czułem zmęczenia.

Zgłoszony byłem do dwuch biegów. na 1500 mtr. i 5000. Petkiewicz z którym jeszcze przed wyjazdem odbywano liczne konferencje, zgodził się startować w trzech biegach: na 800 mtr. 1500 i 5000.

Pierwszy dzień zawodów zapowiadał się dla nas

jak najgorzej. Po kilku pierwszych konkurencjach, sytuacja dla nas przedstawia się fatalnie, Czesi mają nad nami ogromną przewagę. Jedną z ostatnich konkurencyj jest bieg na 1500 metrów, w którym biorę udział razem z Petkiewiczem. Ze startu wysuwam się odrazu na czoło i obejmuję prowadzenie, Petkiewicz biegnie trzeci za Drozdą. Po pierwszem okrążeniu Petkiewicz dochodzi mnie i we dwókę odrywamy się od Czechów. Na 250 mtr. przed taśmą, Petkiewicz zrywa się do finiszu, mija mnie i pomimo mej rozpaczliwej obrony, przychodzi pierwszy w czasie 3:58, mój czas 3:59,2. Czesi o blisko 70 metrów w tyle.

Po pierwszym dniu zawodów nikt z nas, zdaje się, nie miał nadziei wygrania meczu. Marzeniem naszem było tylko przegrać jak najbardziej honorowo. Stosunek punktów brzmiał 45:33 dla Czechosłowacji.

W drugim dniu Petkiewicz popełnia, według mnie, zasadniczy błąd, który odbija się później fatalnie na jego karjerze sportowej. Miał startować w dwuch konkurencjach, na 800 metrów i na 5000. Nie wiem dlaczego zachciało mu się atakować rekord Polski na 800 metrów. Nie pobił go, w rezultacie zmęczył się, a przecież czekał go jeszcze ciężki start na 5 km. Wprawdzie bronił się, jak mógł i tłumaczył, że nie ma czasu i musi wracać natychmiast do Warszawy, wreszcie jednak na prośbę inż. Znajdowskiego, zgadza się startować w tym biegu. Ponieważ śpieszyłem się do Warszawy, gdyż miałem następnego dnia rano ważne interesy do załatwienia, przeto dzięki uprzejmości inż. Znajdowskiego mieliśmy otrzymać natychmast po zawodach samochód, w samochodzie przebrać się tak, aby zdążyć jeszcze na pociąg, który mniejwięcej w pół godziny po naszym biegu odchodził do Warszawy.

W biegu tym chciałem się koniecznie zrewanżować Petkiewiczowi za wczorajszą porażkę. Wiedziałem dobrze, że w biegu ponad trzy kilometry jestem silniejszy od niego, wytrzymalszy i przez to mam większe szanse. Ale, przyznaję ze skruchą, popełniłem du-

ży błąd. Zamiast współpracować z Petkiewiczem, przez co zajęlibyśmy pierwsze dwa miejsca, chciałem rozegrać bieg na tempo, skutkiem czego Petkiewicz wycofał się z biegu. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Jak sobie pomyślałem, tak też zrobiłem Od startu wysuwam się odrazu na czoło, nadając biegowi dość szybkie tempo. Petkiewicz biegnie najpierw na trzeciej pozycji, po dwuch okrążeniach zaś przechodzi na czwarte i wraz z Kośćakiem i Slezaczkiem zostają wtyle. Zauważywszy, że Petkiewicz z Czechami zostają, przyśpieszam jeszcze bardziej tempo, chcąc jak najprędzej skończyć bieg, aby nie spóźnić się na pociąg. Naraz po trzech okrążeniach widzę ze zdumieniem, że Petkiewicz schodzi z bieżni, a Kośćak i Slezaczek są już dla mnie zupełnie niegroźni.

Gdy tylko zejście z bieżni Petkiewicza zauważył Szenajch, który podawał mi czasy, zszedł ze startu na boisko i widziałem później, jak spiesząc się, wsiedli do samochodu i odjechali. Zawrzałem gniewem. Przecież umawialiśmy się wyraźnie, że i ja również tym samochodem odjadę na dworzec. Cóż jednak było robić. Przez blisko siedem kół biegnę na ślepo, niema nikogo, ktoby mi podawał czasy. Czesi ciągle zostają wtyle. Dopiero na dwa okrążenia przed końcem biegu, jeden z zawodników czeskich zaczął mi podawać czasy, niestety, było już zapóźno. Gdyby to uczynił wcześniej, zrobiłbym czas poniżej 15 minut, a tak uzyskałem 15:04,8, gorszy tylko o niecałe dwie sekundy od rekordu Polski Petkiewicza na tym dystansie. Drugi przychodzi Kośćak w czasie daleko słabszym, bo 15:51,4.

Po biegu nie czekam na nic i nie zważam na nikogo, pędzę co tchu na miejsce, gdzie miało oczekiwać na mnie auto z ubraniem. Tymczasem ani auta, ani ubrania niema. Straciłem głowę. Nie wiedziałem, co miałem wpierw zrobić, czy szukać ubrania, czy złościć się i gniewać, czy też sprowadzać samochód. Jasne było, że spóźnię się na pociąg. Mimo to jednak nie zrezygnowałem z wyjazdu. Po kilkunastominutowych po-

szukiwaniach udało mi się wreszcie odnaleźć moje ubranie rzucone gdzieś w kąt szatni, a mniejwięcej za pół godziny wrócił samochód inż. Znajdowskiego, którym Petkiewicz i Szenajch odjechali na dworzec.

Jak się okazało, dojechawszy do dworca „uciekinierzy" z przerażeniem dowiedzieli się, że kilka minut temu pociąg odjechał. Zaczęli więc prosić szofera, aby odwiózł ich do najbliższej stacji, gdyż spodziewali się tam dogonić swój pociąg. Wzburzony byłem do głębi. Nigdy nie przypuszczałem, że koledzy postąpią ze mną w ten sposób i zostawią mnie na koszu. Jak powiedziałem, uparłem się i nie chciałem rezygnować z natychmiastowego wyjazdu. Zresztą i kierownictwo drużyny było oburzone na postępek Petkiewicza i Szenajcha. Ponieważ jednak jeszcze przed biegiem inż. Znajdowski przyrzekł mi solennie, że otrzymam jego samochód do rozporządzenia, zwróciłem się do niego z prośbą, ażeby szofer odwiózł mnie do oddalonego około 100 km od Brna, Przerowa, skąd, według rozkładu jazdy, za półtorej godziny odchodził pociąg do Warszawy. Ku memu zadowoleniu inż. Znajdowski zgodził się, nie tracąc więc ani chwili, wsiadłem z Czyżem do samochodu i pomknęliśmy co koń wyskoczy po wspaniałej asfaltowej szosie. Do dzisiejszego dnia jeszcze dziwię się, że z podróży tej nie rozchorowałem się na dobre. Gdy wsiadałem do samochodu, byłem tak zmęczony i spocony, że zdawało mi się, iż całe ubranie jest mokre. Według wszystkich teoryj prawdopodobieństwa w czasie tak szybkiej jazdy powinienem się był przynajmniej przeziębić. Siedzę w samochodzie skulony drżę z zimna i ze zdenerwowania. Jednak pomału, upajając się szybkością jazdy, zapominam o wszystkiem, o zawodzie, który mnie spotkał i zimnie. Tylko biedny Czyż wymyślał mi po przyjacielsku od ostatnich, gdyż z mego powodu nie mógł być na bankiecie, który na cześć drużyny polskiej odbyć się miał tego dnia wieczorem.

Cóż to była za wspaniała jazda. Tembardziej, że doskonałe asfaltowe szosy czechosłowackie pozwalały

BIBLIOTEKA UNIW. JAGIELL.

szoferowi rozwijać nieprawdopodobną wprost szybkość. Były momenty, że jechaliśmy z szybkością ponad 120 klm. na godzinę.

Mniej więcej w połowie drogi, gdzieś zdala na horyzoncie ukazał się pociąg osobowy, który wiózł Petkiewicza i Szenajcha. Z każdą minutą niemal odległość między nim a nami zmniejszała się tak, że szanse moje dogonienia ich coraz bardziej się zwiększały. Nie wiedziałem wtedy, że to nie był ten pociąg, na który śpieszyłem, gdyż dojeżdżał on tylko do Przerowa, a stamtąd dopiero mieliśmy jechać pociągiem wiedeńskim.

Po przeszło godzinnej jeździe zajeżdżamy wreszcie na dworzec w Przerowie. Wyskoczyłem jak z procy z samochodu i z przyjemnością dowiedziałem się, że pociąg mój odejdzie dopiero za 10 minut. Uradowany wróciłem do Czyża i teraz przyznałem mu się, że właściwie nie dlatego uparłem się w Brnie, że muszę natychmiast jechać, gdyż mam do załatwienia jakieś ważne sprawy, lecz tylko dlatego, żeby pokazać swoim koleżkom, że pomimo iż wystrychnęli mnie na dudka, będę razem z nimi w Warszawie.

Wreszcie przyszedł na stację pociąg wiedeński, ulokowałem się wygodnie w wagonie, zdążającym bezpośrednio do Warszawy, a Czyż wrócił do Brna i, jak mi później opowiadał z triumfem, zdążył jeszcze na koniec bankietu.

Podróż do Bohumina (jednej z granicznych stacyj Czechosłowacji) przeszła dość monotonnie. O g. 10 wieczorem stanęliśmy w Bohuminie. Wyszedłem z wagonu na peron, żeby poszukać Szenajcha i Petkiewicza. Rozglądam się, ale jakoś nigdzie ich nie widzę. Wtem z za latarni dworcowej wyskakuje do mnie Szenajch, ale biedak ze zdumienia, że mnie tu widzi, nie mógł słowa powiedzieć. Przypuszczam, że mu się też pewno trochę wstyd zrobiło za swoją ucieczkę. Wreszcie, gdy ochłonął, pierwszem pytaniem było, czy pobiłem rekord.

W tej samej chwili zauważyłem Petkiewicza, który stał w oddali na peronie.

Odniosłem się do Szenajcha dość obojętnie, powiedziałem mu jakichś kilka zdawkowych słów i wsiadłem do wagonu. Podróż odbywaliśmy oddzielnie.

W czasie podróży poznałem nadzwyczaj miłe towarzystwo, w którem kilkunastogodzinną podróż odbyłem bardzo przyjemnie i wesoło.

Po powrocie drużyny lekkoatletycznej z Morawskiej Ostrawy, gdzie, jak wiadomo, odbył się mecz w trzy dni po meczu w Brnie, i po przyjeździe prezesa inż. Znajdowskiego, wybuchł skandal. Kierownicy polskiej lekkoatletyki nie ukrywali oburzenia na Petkiewicza za jego postępowanie w Brnie. Mimowoli i ja przysłużyłem mu się, gdyż, jak już opisywałem, pomimo że dokończyłem biegu, zdążyłem na ten sam pociąg, którym przyjechał Szenajch i Petkiewicz. Wdrożono energiczne śledztwo przeciwko Petkiewiczowi, skutkiem czego został zdyskwalifikowany na przeciąg 6 miesięcy. Tłumaczenie jego, że był zmęczony i że musiał tak postąpić, ponieważ śpieszył się na pociąg, nie wzięto pod uwagę. Jak się później przekonamy, dyskwalifikacja jego została skrócona do 15 lutego 1931 roku.

Rozdział XXI.

Po przyjeździe czułem się nieszczególnie. Ostatnie zajścia odbiły się dość silnie na mnie, postanawiam więc bieżący sezon lekkoatleetyczny zakończyć, nie brać udziału w żadnych zawodach, najpierw kilka tygodni odpocząć, a następnie przygotować się do zaprawy zimowej, aby w pełni formy rozpocząć przyszły sezon. Tymczasem nie sądzony był mi odpoczynek. Po kilku dniach dowiaduję się, że warszawska „Legja" urządza wielkie zawody międzynarodowe, które uświetnić miał swoim startem król bieżni, Paovo Nurmi. Pozatem mieli wziąć

w nich udział Szwedzi: Peterson i Kraft oraz Czesi: Engel i Douda.

Nic dziwnego, że wiadomość ta zaelektryzowała mnie i o odpoczynku zapomniałem. Nareszcie spełniły się moje marzenia, będę mógł się spotkać z Nurmim i sprawdzić, jaką klasę przedstawiam, jako biegacz. O tem, żeby zwyciężyć go, wcale nie myślałem. Zdawało mi się to zresztą niemożliwe.

Pierwszego dnia poza rozgrywkami piłkarskiemi, odbył się bieg na 5 klm., w którym startowali Nurmi, Petkiewicz i ja. Nie myśląc o pobiciu Nurmiego, chciałem dołożyć wszystkich starań, aby wreszcie wykazać swoją wyższość na tym dystansie nad Petkiewiczem.

Na starcie stanąłem względnie spokojnie. Mówię, względnie spokojnie, gdyż serce kołatało mi z radości, że nareszcie biegam wspólnie z Nurmim. Publiczność, zapełniająca stadjon po brzegi, przyjęła wejście nasze na start burzliwemi oklaskami. Natychmiast po strzale startera wysuwam się naprzód, aby po 600 metrach oddać prowadzenie Nurmiemu, Petkiewicz zaś przechodzi na drugą pozycję. W ten sposób biegniemy przez 5 okrążeń.

W pewnej jednak chwili Nurmi atakuje Petkiewicza czego ja, biegnąc za Petkiewiczem, nie widzę i w jednej chwili odrywa się od niego przynajmniej o 10 metrów. Petkiewicz słabnie, nie jest zdolny do odparcia tego ataku, a ja mijam go i przyjmuję walkę. Trzy okrążenia musiałem nadrabiać te, jak mi się zdawało, „marne" 10 metrów. W ten sposób mijają znów dwa okrążenia. Po dziesiątem okrążeniu wychodzę naprzód, nie dlatego, żeby atakować Nurmiego, lecz aby jaknajdalej odsunąć się od Petkiewicza, przyśpieszyć tempo i poprawić rekord Polski. Nurmi łatwo wytrzymuje, dochodząc mnie w ciągu pół okrążenia. Petkiewicz już nie odgrywa żadnej roli w biegu. Na 500 metrów przed metą rozpoczynam finisz. Do 200 metrów przed metą biegnę jeszcze jako pierwszy. Niestety, Nurmi wspaniałemi zrywami wysuwa się naprzód i wygrywa zdecydowanie w cza-

sie 14:54. Mój czas 14:55,6, Petkiewicz przyszedł dopiero w 25 sekund później.

Jak się następnie zastanawiałem nad tym biegiem, przyszedłem do przekonania, że przegrałem go właściwie na ostatnich 200 metrach — na finiszu. Kto wie, jaki byłby wynik, gdyby nie to, że gdy wielki Finn już na finiszu mnie mijał, zostałem jakby zahypnotyzowany. Potęga jego nazwiska i legenda niezwyciężonego odebrały mi poprostu władzę w nogach. Zamiast walczyć do ostatniego, w decydującej chwili poddałem się urokowi tej potęgi.

Niezmiernie jednak zadowolony byłem, że nareszcie zwyciężyłem swego rywala Petkiewicza, i to nie na ostatnich metrach, co mi się i dawniej zdarzało, ale w otwartej walce, już prawie na początku biegu.

Bieg ten był dla mnie wielką satysfakcją, gdyż poprawiłem rekord Polski. Były również momenty, że poważnie zagrażałem Nurmiemu.

Publiczność przyjęła wyniki z entuzjazmem, żywo oklaskując Nurmiego i mnie. Nurmi zaś przez tłumacza złożył mi gratulacje i wróżył mi dużą przyszłość.

Następnego dnia w ramach zawodów międzynarodowych odbył się między in. bieg na 1500 metrów, w którym Petkiewicz odniósł zwycięstwo nad Szwedem Kraftem, bijąc go zdecydowanie o kilkanaście metrów. W trzecim zaś dniu zawodów odbył się bieg na 5000 metrów, w którym oprócz Sawaryna, Puchalskiego i mnie startował Szwed Peterson. Miała to być zacięta walka o pierwsze miejsce. Peterson bowiem specjalnie przyjechał do Warszawy, aby zrewanżować się za porażkę, jaką w swoim czasie poniósł ode mnie w Kopenhadze.

Postanowiłem więc bieg rozegrać na tempo. Zaczynam prowadzenie. Peterson jednak wytrzymuje go i ani na chwilę nie zostaje, stale depcząc mi po piętach. Sawaryn i Puchalski zostają oczywiście w tyle tak, że po siedmiu okrążeniach zdublowaliśmy ich. Widząc, że Szwed wytrzymuje moje tempo, zaczynam już na początku ostatnego okrążenia finisz, chcąc oderwać się od

niego. Jednak Peterson również zaczyna finiszować, tak, że udaje mi się bieg wygrać zaledwie o pierś. Czas mój 15:03,4, czas Petersona 15:06,6.

W dwa tygodnie po zawodach „Legji" odbyć się miał w Wilnie bieg na przełaj o mistrzostwo Polski. Początkowo nie chciałem się zgodzić na start, jednak ze względu na charakter propagandowy tego biegu, który właśnie dlatego odbywał się w Wilnie — zgodziłem się. Przyrzekłem sobie, że będzie to naprawdę mój ostatni start w tym roku, po którym zrobię sobie kilkutygodniową przerwę nawet w treningu.

Na kilka dni przed terminem biegu wyjechałem do swych znajomych porucznikostwa Krzyżanowskich, w Olkienikach pod Wilnem, u których bardzo mile spędziłem dwa dni. O godzinie 7-ej rano, w dniu zawodów wyjechałem autobusem do Wilna. Z gazet dowiedziałem się o miejscu startu, przyjechałem tam na dwie godziny przed rozpoczęciem biegu. Organizatorzy mile się zdziwili, ujrzawszy mnie w Wilnie, gdyż sądzili, że nie wezmę udziału uw mistrzostwach, ponieważ nie przyjechałem poprzedniego dnia jak zapowiedziałem.

Bieg na przełaj o mistrzostwo Polski był w tym roku dość słabo obstawiony. Oprócz mnie między innymi startowali: Adamczyk, Zemło, Jurkowski, Milcz i Dusilewicz. Zwyciężam bardzo łatwo, zostawiając daleko wtyle Milcza i Adamczyka. Nigdy nie zapomnę miłych chwil spędzonych potem w Wilnie. Po biegu udaliśmy się z płk. Wendą na mecz piłkarski klubów wileńskich, gdzie młodzież szkolna, urządziła mi entuzjastyczne przyjęcie na stadjonie.

Bieg ten był zakończeniem sezonu lekkoatletycznego, który, jeśli chodzi o mnie, wypadł bardzo korzystnie. W porównaniu z rokiem zeszłym, poprawiłem swoją formę. Przedtem zdawało mi się, że nie zdobędę się na wysiłek pokonania Petkiewicza, w tym zaś roku wykazałem swoją wyższość nad nim.

Po krótkim odpoczynku zaczynam zaprawę zimo-

wą, ażeby w przyszłym sezonie lekkoatletycznym, który zapowiadał się niezwykle ciekawie z powodu licznych startów międzynarodowych, osiągnąć jeszcze lepsze wyniki, niż obecnie.

Już od grudnia zaczynam według swego starego systemu trenować biegi na przełaj po dobrze znanej mi trasie łazienkowskiej. Klumberg radził mi nie biegać, lecz robić dłuższe marsze, nie zgodziłem się jednak na to, gdyż uważam, iż nie jestem zbudowany do marszów. Jestem za niski. Budowa moja nadaje się raczej do sprintów, niż do biegów długich. O dalekich marszach niema nawet mowy.

Niezależnie od treningu uprawiam tenis w sali Ośrodka Wychowania Fizycznego, gdzie, jako stary znajomy, jestem mile widziany. Pozatem, jak zwykle, gimnastykuję się oraz biorę łaźnię i masaże. Ponieważ stały mój masarzysta Dubniak nie wywiązywał się należycie ze swych obowiązków i dochodziło do częstych sporów na tle pieniężnem, klub, nie rozporządzając dużemi sumami, rezygnuje z jego usług i od tej pory masuje mnie mój kolega klubowy, Fijałkowski.

Początkowo trenuję tylko trzy razy w tygodniu, biegając od 20 do 30 minut. Stopniowo zwiększam ilość dni treningowych tak, że już w styczniu trenuję codzienie, wprawdzie krócej, ale zato wybitnie na szybkość.

Styczeń był najpracowitszym miesiącem mej zaprawy zimowej. Nie zważając ani na śnieg ani na deszcz, wichurę czy mróz, ubrany jak najcieplej w kilka swetrów, biegam w Łazienkach lub na szosie wilanowskiej. Treningi te nieraz przysparzały mi sporo kłopotów i nieprzyjemności. Ileż to razy spotykałem ludzi, którzy dziś entuzjazmują się mną. Wtedy wybałuszali oczy na mnie, gdy tak ubrany trenowałem i wołali: „Warjat". Dziś te czasy się zmieniły o tyle, że moje pojawienie się na treningu wywołuje raczej zaciekawienie wśród przechodniów, gdyż zawsze prawie słyszę szepty: — Patrz, patrz, to Kusy trenuje.

Jeśli chodzi o szerszą publiczność i jej zapatrywania, to muszę przyznać, z całem uznaniem, że w ciągu krótkiego czasu zaszła w niej olbrzymia zmiana. Z każdym dniem niemal powstają nowe zastępy ludzi interesujących się sportem, jako ważnym przejawem życia społeczeństwa, którego nie wolno lekceważyć. Już dziś jest rzeczą powszechną i zrozumiałą, że sport oprócz swych wielkich wartości propagandowych, przyczynia się w znacznym stopniu do wychowania zdrowego pokolenia.

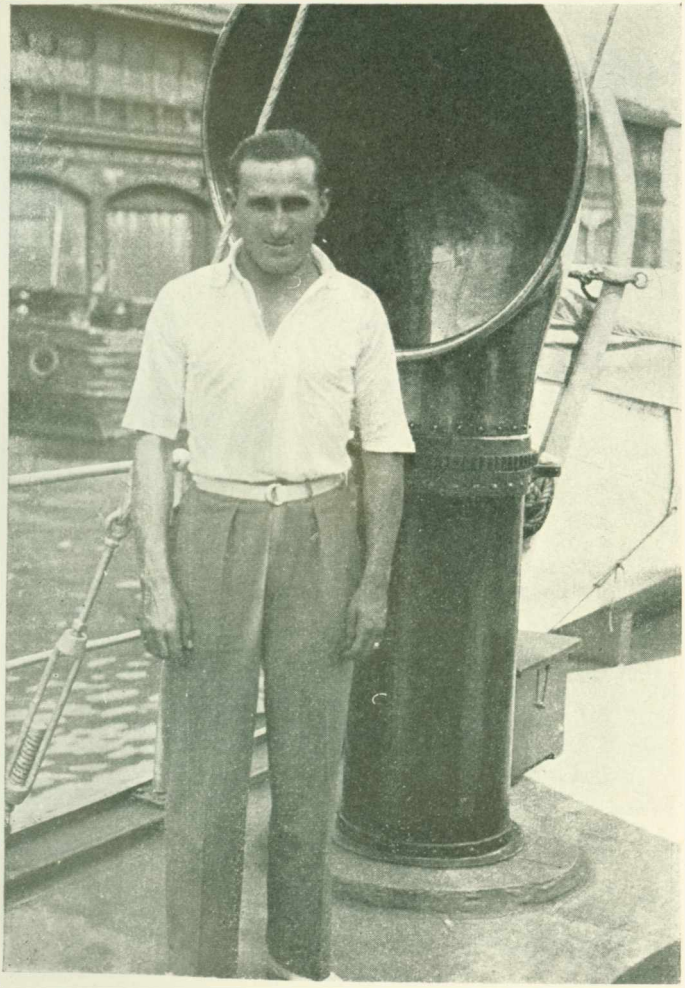
Trenując, nie zapomniałem bynajmniej o rozrywkach. Karnawał był w pełni. Rzuciłem się z młodzieńczym zapałem w jego objęcia, nie opuszczając prawie żadnej okazji, aby się zabawić i potańczyć, (tłumaczyłem sobie, iż jest to też pewnego rodzaju trening).

W tym czasie odbyła się dla nas, sportowców, wielka uroczystość. Prezydent Rzeczypospolitej gościł przedstawicieli sportu polskiego na zamku. Między innymi i ja się tam znalazłem. W czasie prezentacji przez prezesa Znajdowskiego zaszedł wypadek, który sprawił mi nieopisaną radość. Gdy prezes Znajdowski pzedstawił mnie, p. Prezydent odpowiedział:

— My się już znamy, jesteśmy już starymi znajomymi — i ścisnął mi mocno rękę.

Nigdy nie przypuszczałem, aby p. Prezydent mógł pamiętać, iż przed trzema laty, w 1927 roku wręczyłem Mu w dniu 3 maja sztafetę Przysposobienia Wojskowego.

Po oficjalnych przemówieniach, odbyła się herbatka, która wśród miłego nastroju przeciągnęła się do wieczora. W czasie przyjęcia wielką nagrodę sportową za rok 1930 otrzymali Mikołajczak i Budzyński, z klubu wioślarskiego 04-Poznań, za zwycięstwo w mistrzostwach Europy. Nie wiem dlaczego tłumaczono mi później, że tylko z tego powodu nie otrzymałem tej nagrody w 1930 roku, gdyż będzie ona z pewnością przyznana mi w roku następnym.



Na „Mauretanji“ w Nowym Jorku przed wyjściem na ląd.



W Los Angeles lekkoatletom kupiono nowe kostjumy i swetry, których nam szermierze i wioślarze zazdrościli

Mniejwięcej w tym czasie (jak mi się zdaje z powodu spadku konsumcji) na terenie całej Polski rozpoczyna się wielka kampanja reklamowa cukru. „Cukier krzepi"—staje się hasłem dnia i napis ten spotkać można niemal wszędzie. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyż lubię słodycze, gdyby panowie, którzy zajmowali się propagandą, poprostu nie nadużywali mojego nazwiska. Dlatego wspominam o tem, gdyż niemal wszystkie moje próby w kierunku sprostowania, względnie zniwelowania posunięć, propagujących cukier w owym czasie z niewiadomych mi bliżej powodów spaliły na panewce. Sprawa ta, która mogłaby zakończyć się dla mnie bardzo przykro, przedstawia się mniejwięcej w ten sposób:

Swego czasu na prośbę, już nie pamiętam nazwiska tego pana, nieświadomy następstw tego kroku, napisałem zdanie: „Cukier i masaż — to tajemnica moich wyczynów sportowych". Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że tych parę wyrazów zostanie bez mojej wiedzy wyzyskane do celów reklamowych. Tymczasem słowa te poszły w świat, zrobiono cały szereg odbitek fotograficznych, a nawet posunięto się do tego, iż po jednym z kursów treningowych, w których brałem udział, ze zdziwieniem dowiedziałem się z pism, że tylko dlatego dochodzę do formy, gdyż używam w dużych ilościach cukru pod różnemi postaciami. Tymczasem nie zgadzało się to absolutnie z prawdą. Jeśli chodzi o mnie, to właśnie jestem przeciwnikiem używania nadmiernej ilości słodyczy, bowiem powodują one pragnienie, podnoszą temperaturę i zmuszają do picia większej ilości płynów. W skutkach jest to bezwzględnie szkodliwe dla biegaczy.

Mało tego, w kilka dni później na rynku ukazały się pocztówki z moją podobizną i facsimilem propagującym cukier. Zakrawało to już na skandal, gdyż odbitki mogły wzbudzić wśród szerokich mas podejrzenie, że czerpię jakieś korzyści materjalne z tej reklamy, co w następstwie mogłoby dla mnie skończyć się fatalnie,

poprostu dyskwalifikacją. Początkowo interwencje moje nie odnosiły skutku i dopiero energiczne posunięcia związku sprawiły, iż odbitki zostały zniszczone.

W każdym razie, cała sprawa do dzisiejszego dnia budzi we mnie niesmak.

Jak już wyżej zaznaczyłem, zaprawę zimową postanowiłem przebyć jak najbardziej intensywnie, to też trenuję ostro i wykorzystuję każdą chwilę, aby nie spaść z formy. Już w styczniu dowiadujemy się, że 2 lutego odbędą się w Przemyślu pierwsze nieoficjalne zimowe mistrzostwa Polski, na które mamy jechać z Petkiewiczem. Byłem niepomiernie zdziwiony, że zawody te reklamowano jakby specjalnie dla Petkiewicza, kiedy właściwie znajdował się on wtedy pod pręgierzem dyskwalifikacji i, jak wiedziałem, pomimo usilnych starań, związek nie zgodził się na cofnięcie jej przed zapowiedzianym terminem. Pomimo to Petkiewicz jedzie razem ze mną do Przemyśla.

Zawody te, zresztą jak i zeszłoroczne, miały być niejako sprawdzianem postępu zaprawy zimowej polskich lekkoatletów. Startuję na 1500 metrów i wygrywam ten bieg w stosunkowo dobrym czasie (4:19,7) jeśli się weźmie pod uwagę zbyt małe okrążenia i nienadzwyczajną bieżnię. Drugim był Pruszkowski, który uzyskał czas 4:40,6 a więc o wiele gorszy od mojego. Na zawodach spotykam Heljasza, mego starego druha, nie jest on jednak w formie i przegrywa do Tildena.

Niewątpliwie najciekawszą konkurencją w tych zawodach była sztafeta 3 x 1000. Ponieważ „Warszawianka" wskutek dyskwalifikacji Petkiewicza była zdekompletowana, poprosiłem Niemca z „Cracovii", aby zgodził się wziąć udział z naszego ramienia w tej sztafecie.

Za chwilę miała się rozegrać zacięta walka między sztafetą AZS a nami. Nie wiem dlaczego ogólnym faworytem była sztafeta AZS, toteż postanowiłem za wszelką cenę nie dopuścić do naszej przegranej. Ze startu rusza Niemiec i Miller z AZS. Już pierwsze metry wskazują na dużą przewagę Millera, który też „wlepia"

Niemcowi 80 metrów na pierwszym kilometrze. Zaczyna być niedobrze. Żuber, który jako drugi biegł z naszej strony, robi co może, aby wygrać do Holfajera. Udaje mu się to i nadrabia około 10 metrów. Jest to jednak jeszcze zamało do wygranej. Na widowni zostajemy: Pruszkowski z AZS i ja. Ogólnie przewidywano, że AZS wygra, bowiem trudno było przypuszczać, by można było nadrobić na jednym kilometrze tak wielką różnicę. Pruszkowski jeszcze przed otrzymaniem pałeczki dowodził mi, że jest niemożliwością, abyśmy wygrali sztafetę i chciał nawet zakładać się ze mną, że ma rację. Spokojnie wzruszyłem na jego wywody ramionami, krótko odpowiadając: „Zobaczysz, że sam „zarżniesz" się swojem tempem".

Wreszcie nadchodzi chwila oddania pałeczki Pruszkowskiemu. Kiedy ubiegł już 70 metrów, Żuber dopada do mnie i ruszam ze startu. Pruszkowski rozwija nieprawdopodobne wprost tempo, które wytrzymuję tak, że przez pierwsze cztery okrążenia biegniemy równo, to zn. odległość między nami wynosi około 70 mtr. Po czterech okrążeniach, jak przewidywałem, przeciwnik mój zaczyna „puchnąć". Przez następne nietylko, że go doszedłem, ale nadrobiłem drugie tyle.

Publiczność, która naogół do tej pory dość obojętnie odnosiła się do zawodów, zwycięstwo moje przyjęła długo niemilknącemi oklaskami. Nie chwaląc się, doprawdy było to efektowne.

Po biegu udałem się do szatni i śmiać mi się chciało z Trojanowskiego, który wpadł jak bomba za mną i zaczął prosić, abym broń Boże nie śmiał się z Pruszkowskiego, który chodzi jak struty, gdyż przed biegiem zapowiedział, że jeśli nie wygra, to sobie w łeb palnie.

Po zawodach odbył się bankiet, na którym wygłoszono szereg przemówień i obdarowano nas pamiątkowemi żetonami. Wszyscy rozjechali się do domu, ja zaś pojechałem z wizytą do siostry nad Horyń, skąd po kilku dniach wróciłem do Warszawy, gdyż śpieszno mi było trenować.

Po przyjeździe do Warszawy, dowiedziałem się, że cofnięto dyskwalifikację Petkiewicza i że „Warszawianka" pertraktowała ze Związkiem Francuskim, co do mojego startu w Paryżu, który jednak nie doszedł do skutku. Nie zważam na nikogo i na nic. Trenuję w dalszym ciągu i z przyjemnością stwierdzam, że wiosna 1931 roku zastaje mnie w pełnej formie.

Rozdział XXII.

Początkiem bieżącego sezonu były biegi Ośrodka Wychowania Fizycznego Warszawy, w których oczywiście, biorę udział. Biegów tych było cztery. Pierwszy odbył się 22 marca na przestrzeni 6 kilometrów, drugi — 6 kwietnia na przestrzeni 8 klm., trzeci — 19 kwietnia na 12 klm., czwarty zaś to narodowy bieg na przełaj, który jak rok rocznie odbywał się w dniu święta narodowego 3 maja. Zapisani do tych biegów obowiązani byli startować we wszystkich czterech biegach i ten zdobywał nagrodę Ośrodka, kto posiadał najmniej punktów (za pierwsze miejsce liczono 1 punkt, za drugie — 2, za trzecie — 3 i t. d.). W pierwszych trzech biegach tempo do połowy dystansu normowali instruktorzy Ośrodka i dopiero w drugiej połowie można było indywidualnie rozwijać szybkość.

Jak już powiedziałem, pierwszy bieg odbył się 22 marca. Pierwsze trzy kilometry, biegniemy za instruktorem Szelestowskim. Dopiero po tym dystansie zaczyna się właściwy bieg. Wychodzę dość łatwo naprzód i kończę jako pierwszy przed Ociepką i Wajmanem.

Drugi bieg rozpoczął się dość późno tak, że zakończył się przy świetle elektrycznym. Już po pięciu kilometrach jestem na przodzie o jakieś 50 metrów i nie chcąc się dalej wysilać, postanawiam bieg skończyć w takiem samem tempie. Tymczasem wskutek ciemności, nie widzę, co się dzieje poza mną. W pewnej chwili spostrzegam, że Ociepko, podciągany przez swoich kolegów,

dochodzi mnie, a nawet mija. Ale nic z tego. Zwiększam natychmiast szybkość i przychodzę pierwszy o jakieś 20 metrów przed nim. Członkowie AZS pomimo tego robią owację Ociepce, wróżąc mu, że w najlepszym biegu Ośrodka, z pewnością wygra. Nawet on sam, zwracając się do mnie, powiedział, że i ten bieg wygrałby z pewnością, gdyby nie publiczność, która mu przeszkadzała.

— Nie bądźcie zarozumiałymi.— powiedziałem krótko — i nie mówcie „hop" zanim nie przeskoczycie rowu.

I miałem rację. Zarozumiałość zgubiła go i dziś już jako biegacz nie jest wogóle brany pod uwagę.

Trzeci bieg miał rozstrzygnąć, kto z nas ma rację. Ociepko postanawia za wszelką cenę dopiąć swego, ja zaś chcę pokazać wszystkim, że nie wolno zbyt szafować proroctwami i lekceważyć przeciwnika, którego nie pobiło się ani razu. Bieg ten wygrałem łatwiej, niż poprzedni, a Ociepko, który starał się trzymać mnie na kilku kilometrach, przyszedł dopiero trzeci, z różnicą w czasie około minuty.

Tak więc po trzech biegach tylko ja jeden posiadałem najmniej punktów, bo tylko trzy, za mną był Ociepko, mając 7 punktów, a następnie Wajman — 12 punktów.

Ukoronowaniem tych biegów miał być narodowy bieg naprzełaj.

W tym czasie jednak nie próżnuję. Startuję w kilku miastach, a więc: w Warszawie, w popularnym biegu o piękny puhar „Wieczoru Warszawskiego", w Poznaniu — o nagrodę „Kurjera Poznańskiego", oraz w Krakowie — w biegu naprzełaj o mistrzostwo Polski. Wszystkie te biegi wygrywam lekko, z dużą przewagą.

W dniu, w którym biegałem w Poznaniu, Petkiewicz startuje w Katowicach w biegu „Polonji", gdzie, jak mi później mówiono, dopiero po ciężkiej walce na finiszu, wygrywa do Kabuta. Jasno wynikało stąd, że nie jest on w najlepszej formie i wobec tego mogłem się spodziewać, że w nadchodzącym sezonie nie będzie przedstawiał dla mnie zbyt groźnej konkurencji.

Mimochodem muszę wspomnieć tu o biegu naprzełaj o mistrzostwo Polski w Krakowie, który, wskutek wadliwej organizacji nie stanął na wysokości zadania. Po pierwsze, zbyt mało zawodników stanęło na starcie, po drugie — źle wyznaczono trasę, tak że dużo zawodników myliło się w drodze. I ja się pomyliłem. Dopiero na wołanie swego konkurenta Czubaka, zawróciłem z fałszywie obranej trasy. Później w dalszym ciągu, nie wiem z jakiego powodu, grupa kolarzy chciała mnie odciągnąć od właściwej drogi. Pomimo jednak tego bieg wygrałem i, jak już zaznaczyłem, wygrałem bez specjalnego wysiłku.

Kwiecień 1931 roku zastaje mnie już w pracy na bieżni. Trenuję bardzo ostro, nawet do tego stopnia, iż są tygodnie, w których pracuję dwanaście razy, zostawiając sobie tylko niedzielę na odpoczynek, a więc dwa rązy dziennie — rano odrabiam dłuższe dystanse, po południu — trenuję tylko na szybkość. Klumberg, gdy mu powiedziałem o tem, kiwał z powątpiewaniem głową, uważając, że robię akurat przeciwnie, niż to robią Finnowie. Nie zapominam też i o „przełajach", które, jak zwykle trenuję na polu wyścigowem.

Zagranica, interesując się mojemi ostatniemi biegami, zaczyna zasypywać P. Z. L. A. zaproszeniami dla Petkiewicza i dla mnie. Między in. otrzymujemy zaproszenia na mistrzostwa Anglji, oraz na „Massarykowe Hry" do Pardubic. Niestety, brak funduszów (angielski związek lekkoatletyczny nie zwracał za koszty podróży) nie pozwolił nam wziąć udziału w mistrzostwach Anglji, natomiast z przyjemnością skorzystaliśmy z zaproszenia Związku czeskosłowackiego.

Tymczasem nadszedł termin biegu na przełaj. Bieg ten, pomijając już, że był ukoronowaniem biegu Ośrodka, był specjalnie ważny dla mnie przedewszystkiem dlatego, że po raz pierwszy w tym roku miałem się zmierzyć w nim z Petkiewiczem. Na kilka dni przed biegiem opinja sportowa Warszawy zaczęła omawiać go szeroko i rozprawiać na temat wyników.Nawet w klu

bie starano się pogodzić Petkiewicza ze mną, gdyż „Warszawiance" chodziło przedewszystkiem o zdobycie na własność nagrody przechodniej Zw. Strzleckiego dla najlepszego zespołu. Ja jednak postawiłem sprawę jasno: na żadne kompromisy nie zgadzam się, chcę rozegrać bieg tak, jak pozwoli mi na to moja forma.

Na starcie, jak rokrocznie, staje kilkuset zawodników z asami lekkoatletyki na czele. Po strzale startera obejmuję prowadzenie, po kilometrze zaś zaczynam przeć jaknajbardziej naprzód, chcąc oderwać się od Petkiewicza. Trasa jest dość ciężka. Przebiegając koło boiska „Warszawianki" spostrzegam, że Petkiewicz nie jest wstanie wytrzymać mojego tempa. Widzę dokładnie (po raz pierwszy), jak się załamuje. Wiedziałem co to znaczy, bo sam nieraz przeżywałem to uczucie.

I nie uwierzycie: O ironjo! On, który nigdy w stosunku do mnie nie chciał być pobłażliwy, zaczyna prosić mnie, abym zwolnił tempo i biegł razem z nim. Zgłupiałem, w pierwszej chwili nie wiedziałem, czy się gniewać, czy też mu ustąpić. Przypomniała mi się chwila, kiedy to zwróciłem się do niego z podobną prośbą i kiedy on, zamiast zwolnić, przyśpieszył tempo, aby mnie do reszty pognębić. Co robić? Po chwili wahania żal mi się go zrobiło i zwolniłem. Przez trzy kilometry biegliśmy razem. Dopiero, kiedy Puchalski, korzystając z tego, że tempo było wolniejsze, zaczął nas dochodzić, zrywam się naprzód i przez następne cztery kilometry biegnę sam, aby bieg wygrać daleko zprzodu przed innymi. Petkiewicz zostaje o 300 metrów wtyle, przychodzi jako drugi. Sto metrów za nim znajduje się Puchalski.

Dziś, rozmyślając o tem, mogę stwierdzić napewno, że gdybym wtedy, po dwuch kilometrach, nie poszedł na rękę Petkiewiczowi i przyśpieszył, zpewnością wycofałby się on wogóle z biegu.

Tak zdobyłem więc nagrodę Ośrodka, a co najważniejsze stwierdziłem, że Petkiewicz znajduje się rzeczywiście w kiepskiej formie i że nareszcie nadszedł

czas, gdy będę mógł pokazać swoim „przyjaciołom", że niezrażony niepowodzeniami w roku zeszłym, systematyczną pracą, doszedłem do takiej formy, przed którą nawet „niezwyciężony" Petkiewicz będzie musiał uchylić czoła.

W kilka dni potem wyjeżdżam do Krakowa, aby bronić przechodniego puharu „I.K.C.", który zdobyłem w roku ubiegłym. Wogóle trzeba bezstronnie przyznać, iż biegi „I.K.C." są najbardziej bodaj przyciągające z biegów na przełaj, jeżeli chodzi o propagandę sportu. W dniu tym, jakby cały Kraków obchodził jakieś wielkie święto. Tłumy publiczności od samego rana zalegają planty, interesując się walką młodego pokolenia o pierwsze miejsce. Biegnąc cały czas obok publiczności, trasę przebywa się tak szybko, że zupełnie zapomina się o walce z tym właśnie największym wrogiem biegacza — czasem. Dodać muszę, że publiczność krakowska jest niezwykle przychylnie usposobiona do tych biegów, wiwatując co przedniejszym lekkoatletom na każdym kroku.

Jak wszystkie biegi, tak i ten starałem się ukończyć jak najprędzej, aby niezwłocznie wyjechać do Warszawy. Weszło to już w zwyczaj, to też znajomi niejednokrotnie dziwiąc się, przezywali mnie „latającym Holendrem". Nie dlatego, że biegałem dobrze, ale ze względu na stały pośpiech mój do pieleszy domowych.

Gdy przybyłem do Warszawy zastałem zaproszenie Związku czeskosłowackiego, który proponował mi start na 5000 mtr. w ramach meczu Wysokoskolski sport — Slavia, który miał odbyć się za kilka dni w Brnie. Ponieważ P.Z.L.A. udzieliło mi zgody na wyjazd, wyruszam w podróż, aby 14 maja zmierzyć się z Kośćakiem.

Jakkolwiek pierwszy mój start na bieżni wypadł w roku bieżącym zagranicą, to jednak niemniejszą wagę przywiązywałem do niego, bowiem dzień ten miał być dla mnie egzaminem z pracy i zaprawy zimowej, wskaźnikiem na jaką formę stać mnie będzie w tym roku.

Po kilku konkurencjach, stajemy z Kośćakiem, Slezaczkiem i innymi na starcie. Po strzale startera obejmuję prowadzenie. Szybkiem tempem zaczynam panować nad całym biegiem i przychodzę pierwszy ze startu do mety. Kośćaka zostawiłem daleko wtyle a Slezaczka jeszcze dalej. Czas uzyskany przeze mnie (15:05) uważałem jako dobry prognostyk zaczynającego się obecnie sezonu. Wspomnieć tu muszę o nadzwyczaj miłem i sympatycznem przyjęciu, jakie zgotowali mi studenci polscy, studjujący na berneńskich wyższych uczelniach.

Rozdział XXIII.

Po przyjeździe do Warszawy, zachęcony wynikiem w Brnie, kontynuję dalej trening w ostrem tempie, to też forma moja z każdym dniem się poprawia. Klumberg, który od czasu do czasu sprawdza moje wyniki, nawet głośno wyraża swoje zadowolenie. Pamiętam. że kiedy któryś z kolegów zapytał go o zdanie, odpowiedział mu wręcz:

— Z nim nie mam żadnego kłopotu. Jeśli mam byc szczery, w niektórych dziedzinach wie daleko więcej odemnie. Jeśli mam jakieś zastrzeżenia, to tylko co do błędów technicznych, które, niestety, jeszcze robi.

Ponieważ obecnie trenuję po dwa razy dziennie, jak już wspomniałem, rano biegi dłuższe, po południu sprinty, masaże, szczególniej, po rannych biegach okazały się koniecznością. Dlatego też zaczyna mnie masować z powrotem Dubniak, gdyż trudno było wymagac od kolegi Fijałkowskiego, ażeby zwalniał się specjalnie dla mnie z biura.

Stosunek mój do Petkiewicza pogarsza się z dniem każdym. Mówiąc szczerze, każdy z nas czeka tylko okazji, aby, jak to mówią, podstawić drugiemu stołka. Może zbyt szczery tu jestem, ale, niestety, tego rysu mego charakteru nie zmienię, bo od najmłodszych lat

trzymam się zasady, że: „jak kochać, to całem sercem, jak nienawidzieć to całą duszą".

W dalszym ciągu mieszkam u rodziców, którym staram się w wolnych chwilach pomagać w gospodarce. Ale, przyznać muszę, niewielka to była pomoc, bowiem przeważnie całe dnie spędzałem w Warszawie.

W tym czasie rozpoczęły się już na boiskach piłkarskie boje ligowe. „Warszawianka", rozgrywając jeden z takich meczów o mistrzostwo Ligi, chcąc go urozmaicić, postanawia urządzić pojedynek na bieżni między mną a Petkiewiczem na dystansie 3 km. Miał to być poniekąd magnes, który przyciągnie publiczność.

Na trzy dni przed owym biegiem, który miał się odbyć 2 czerwca, przychodzi do Warszawy zaproszenie Związku Fińskiego, abym wziął udział w zawodach, które miały się odbyć za kilka dni w Helsingforsie i w Abo. Trudno dziś opisać, jak byłem szczęśliwy z tego zaproszenia. Po raz pierwszy w życiu miałem udać się do krainy wielkiego Nurmiego i stoczyć bezkrwawy bój z jego godnymi kolegami.

Do ostatniej chwili nie byłem pewny wyjazdu, ponieważ musiałbym natychmiast po biegu z Petkiewiczem wsiadać do pociągu, aby zdążyć na zawody w Helsingforsie. P.Z.L.A., obawiając się, że mogę być przemęczony i występ mój w Finlandji skończyć się może porażką, robił początkowo trudności. Udało mi się jednak zwalczyć wszystkie przeszkody i 2 czerwca, uśmiechnięty i wesoły, zameldowałem się na boisku „Polonji" gotów do podróży.

W przerwie meczu piłkarskiego stanęliśmy z Petkiewiczem na bieżni. Jak dziś sobie przypominam, dzień był nadzwyczaj upalny. Z miejsca ruszam naprzód i pamiętając, że mogę spóźnić się na pociąg, rozwijam dość szybkie tempo, prowadząc bieg do ostatnich prawie 300 metrów. W chwili, kiedy rozpoczęliśmy finisz, nastąpiła tragedja. Ponieważ miękka bieżnia „Polonji" nie pozwalała biec przy bandzie, biegłem około 75 cm. od bandy.

W pewnej chwili, kiedyśmy właśnie rozpoczynali finisz, padają z trybun nawoływania na Petkiewicza. Szczególniej przyjaciel jego, Kazimierski zaczyna krzyczeć na całe gardło:

— Teraz go bierz! Teraz go bierz!

Petkiewicz rzeczywiście przyśpiesza, mija mnie, ale, o dziwo, nie z przepisowej strony, lecz z lewej od bandy, jednocześnie popychając mnie. Nic dziwnego, że tym sposobem zostałem wytrącony z tempa. Trudno mi w tej chwili powiedzieć, czybym ten bieg wygrał, czy przegrał, w każdym razie nie mogłem zgodzić się na tego rodzaju jaskrawe pogwałcenie przepisu. Uznaję walkę, sam ją przecież stale stosuję, ale walkę lojalną. To też gdy Petkiewicz pobiegł dalej, ja zszedłem z bieżni, a następnie zgłosiłem się do sędziów, zakładając protest.

O słuszności moich żądań, może świadczyć to, iż sędziowie, nawet bez porozumienia się między sobą, protest mój przyjęli, dyskwalifikując Petkiewicza.

Wracając od stołu sędziowskiego, spotykam Petkiewicza, który właśnie wraca z mety. Oburzony byłem na niego i wstrząśnięty do głębi. To też gdy wyciągnął do mnie rękę (co za przepiękny gest teatralny wobec licznie zgromadzonej publiczności), odwróciłem się i ręki nie podałem mu.

Dzisiaj rozumiem dobrze, że źle wtedy zrobiłem, tembardziej, że patrzyła na nas publiczność. Dziś nawet nie tyle winię za to Petkiewicza, co Kazimierskiego, który dopingował go gromkiemi okrzykami. Wiem, że w takich momentach nie pamięta i nie wie się o niczem i nieraz machinalnie idzie się za głosem publiczności. Kazimierski tłumaczył się później ze swego postępowania. Chciał koniecznie, żeby wygrał Petkiewicz, bowiem... tego dnia miał się odbyć jego ślub.

Wtedy jednak nietylko ja byłem oburzony. Pamiętam jak dziś, wpadł na boisko znany i popularny na gruncie warszawskim, aktor Dymsza, który dzielnie mi sekundował.

Niezwłocznie po tym biegu wyjeżdżam do Helsingforsu.

Podróż do Turmontu była nadzwyczaj uciążliwa, gdyż gorąco i kurz dawały mi się we znaki. Dopiero za Zemgalem spotkał nas deszcz i wtedy odetchnąłem. W Rydze kupiłem sobie miejsce w sleepingu i po dobrze przespanej nocy wysiadłem w Tallinie. Tutaj spotkałem dobrych znajomych pp. Glaudana i Losmana — wielkiego sportowca estońskiego. Za ich radą zamiast wykupić bilet na okręt (morze było bardzo niespokojne), wsiadam na hydroplan, aby po półtoragodzinnej jeździe wylądować w ojczyźnie największych biegaczy świata. W konsulacie naszym dowiaduję się, że dziś o godz. 7 wieczorem mam biegać 5.000 metrów. Po obejrzeniu miasta, na godzinę przed startem udaję się na stadjon, gdzie walka wre.

Wreszcie następuje i mój start. Oprocz mnie na bieżni staje Kaila, Loukola i Pafila. Po strzale ruszam w dość równem tempie naprzód. Pierwsze okrążenie przebiegam w 70 sekund, drugie i trzecie wykazują identyczny czas. Za mną biegną w kolejności: Kaila, Loukola i Pafila. Po kilku okrążeniach staje się jasne, że o pierwsze miejsce będę walczył z Kailą ,pozostali bowiem zostają nieco wtyle.

Nieszczęście chciało, że w czasie mojego biegu zerwał się wiatr, który z panującym wówczas chłodem, dawał się nam dotkliwie we znaki. Dwa kilometry przebiegam w 5 min. 58 sek. Ciągle prowadzę i po siódmem okrążeniu zaczynam potrochu przemyśliwać nad tem, dlaczego Kaila nie atakuje mnie. Trzyma się on stale za mną. Ponieważ, jak już wspomniałem, dął dość silny wiatr, zaczynam stosować następującą taktykę: z wiatrem biegnę szybciej, ażeby pod wiatr odpocząć.

Publiczność, która nie spodziewała się znaleźć we mnie tak silnej konkurencji dla swoich faworytów, zaczyna gromkiemi okrzykami dopingować Kailę, który też w pewnym momencie wychodzi naprzód, na co ja zresztą zezwalam, bowiem widzę, że krok jego jest mniejszy od mojego.

Cztery klm. mija Kaila w 12:03, lecz ja mu już dalej prowadzić nie daję, ponieważ widzę, że nie potrzebuję zostawiać rozgrywki na ostatnie metry i przez przyśpieszenie tempa zdołam wygrać bieg na czas. Zastanowiwszy się jednak, że muszę zachować siły na następny start w Abo, zbytnio nie przyśpieszam, ale mimo wszystko obejmuję prowadzenie, gdyż biegnąc pierwszy, jak wyczułem, mam przewagę nad Kailą. Na 500 metrów przed taśmą zaczynam finiszować. Kaila przyjmuje walkę, jednak już jest niezdolny do odzyskania utraconych metrów i przegrywa. Publiczność przyjmuje zwycięstwo moje oklaskami. Nie jestem jednak z niego zbyt zadowolony, gdyż spodziewałem się uzyskać lepszy czas. Czuję również, że wskutek silnego wiatru i chłodu przeziębiłem sobie mięśnie.

Następnego dnia wyjeżdżam do Abo. Z biciem serca wsiadałem do pociągu, aby po kilku godzinach znaleźć się w mieście rodzinnem największych biegaczy świata. Wszak Abo jest kolebką Nurmiego, Virtanena i innych.

Po powitaniach rozlokowałem się w hotelu, gdzie natychmiast zjawiła się paczka dziennikarzy, aby męczyć mnie o wywiady. Mieliśmy biegać z Virtanenem 5.000 mtr. Prosiłem, aby skrócić ten dystans do 3.000 mtr. Pomimo, że czułem się dobrze, obawiałem się jednak, że przeziębione w Helsingforsie mięśnie mogą odmówić mi posłuszeństwa. Organizatorzy nie zgodzili się na zmianę dystansu. Cóż było robić, musiałem przystać.

Następnego dnia, na godzinę przed startem, przyjeżdżam na stadjon, który wbrew opowiadaniom, nie przedstawia się imponująco. Nawet niema krytych trybun. Bieżnia jednak jest doskonała, tak, że pomimo padającego deszczu, nie odczuwa się żadnej różnicy.

Jak na złość, oprócz deszczu panuje dość duży chłód i wiatr dmie, jak się patrzy. Wszystko to sprawia, że nie czuje się zbyt dobrze.

Na strzał startera ruszamy w dość ostrem tempie. Virtanen zaczyna prowadzić, ażeby po okrążeniu oddać

pierwszeństwo swojemu koledze klubowemu, który zaczyna „wyrywać" naprzód, poprostu, aby mnie zmęczyć. Czując podstęp, biegnę swojem tempem, regulując czas na stoperze. Po kilkuset metrach, gdy leader zwolnił trochę, obejmuję prowadzenie. Jak dotychczas — wszystko w porządku. Jeżeli tylko mięśnie wytrzymają — wszystko będzie dobrze. Po dwuch okrążeniach przyśpieszam tempo i w ten sposób z Virtanenem odrywamy się od pozostałych zawodników. Z każdą chwilą tempo wzrasta i wyczuwa się, że walka idzie o dużą stawkę. Po kilkuset metrach Virtanen, dopingowany przez publiczność wychodzi naprzód. Urządzam się jednak w ten sposób, że pod wiatr puszczam go, z wiatrem prowadzę, zwiększając jednocześnie tempo. Po trzech km. zaczynam, o zgrozo, odczuwać ból w nogach. To, czego najwięcej się obawiałem, nastąpiło. Mięśnie wskutek przeziębienia zaczynają mi dokuczać, a nogi odmawiają posłuszeństwa. Trzy klm. przebiegamy w 8:55,3.

Za wszelką cenę, pomimo dotkliwego bólu nóg, staram się utrzymać za Virtanenem. Przebiegamy tak jeszcze dwa okrążenia. W następnem jednak Virtanen wychodzi przedemnie, przyśpieszając jednocześnie kroku. Rozpaczliwemi wysiłkami staram się nie dopuścić do tego, gdyż czuję, iż, gdy to nastąpi, będzie ze mną źle. Stało się to, co przeczuwałem. Jeszcze kilkadziesiąt metrów biegniemy razem i... ani ambicja, ani nerwy, ani nawet rozpaczliwe wysiłki nie pomagają, musiałem skapitulować. Cztery tysiące metrów Virtanen mija 11:53,1, ja za nim o 30 metrów. Wiedząc, że biegu nie wygram, ostatni kilometr przechodzę raczej spacerem, niż biegiem, bojąc się, ażeby większy wysiłek nie spowodował jakichś komplikacyj mięśni. Przychodzę drugi, w dość słabym czasie 15:17, Virtanen 14:52.8.

Tak więc pierwszy mój wyjazd do Finlandji nie wypadł jeszcze tak źle. Przypuszczałem, że będzie gorzej. Gdyby nie fatalne warunki atmosferyczne, może zdobyłbym się na jeszcze lepsze wyniki. W każdym razie, zadowolony i uśmiechnięty wracałem do Polski.

Po przyjeździe do Warszawy dowiaduję się, że za kilka dni odbyć się mają mistrzostwa okręgowe, które jednocześnie będą eliminacją do mistrzostw Polski. Nie przeczuwając nic złego, przyjeżdżam w dniu zawodów na stadjon, aby wziąć udział w mistrzostwach. Tymczasem ze zdumieniem dowiaduję się, że z niewiadomych dla mnie bliżej powodów, kierownik sekcji lekkoatletycznej, p. Foryś, nie zgłosił mnie wcale do mistrzostw. Już kilka tygodni temu umówiliśmy się, że w zawodach tych mam wziąć udział i że biegać będę 1500 metrów.

Niedługo jednak przyszło wyjaśnienie zagadki mojego niezgłoszenia do zawodów. W kilka chwil po przyjeździe dowiedziałem się, że to Petkiewicz i jego najbliżsi starali się wszelkiemi sposobami, aby nie dopuścić mnie do biegu. Wściekły, nie chcąc jednak robić awantury na boisku, zamiast startu, skończyłem na ostrym treningu. Później, jak się przekonacie, widocznie uznano mnie za wytłumaczonego i pomimo, że nie brałem udziału w mistrzostwach okręgowych, pozwolono mi startować w mistrzostwach Polski.

W tydzień potem mają się odbyć wielkie zawody międzynarodowe w Antwerpji z udziałem reprezentantów Polski, Anglji, Włoch, Niemiec, Francji, Holandji i Belgji. Wskutek braku funduszów jedzie nas tylko sześciu, a więc drużyna, która na zawodach tych była najmniej liczną.

Dlatego też sytuacja nasza w Antwerpji nie należała do najlepszych. Zawodnicy nasi musieli (np. Kostrzewski) startować po trzy razy, co, oczywiście, nie mogło wpłynąć dodatnio na wyniki. W każdym razie, odnieśliśmy tam pełny sukces, zajmując zaszczytne drugie miejsce za Anglją przed Włochami, Niemcami, Francją, Holandją i Belgją.

Konkurencja na zawodach była nadzwyczaj silna. Tylko ja jeden zdobyłem dla barw naszych I miejsce w biegu na 5000 mtr., uzyskując czas lepszy od rekordu Polski (14:55,4).

Na godzinę przed zawodami, wsiadamy wraz z drużyną angielską do olbrzymiego autobusu i śpieszymy na boisko. Tu miałem przyjemność poznać znanego olimpijczyka i jednego z najpopularniejszych sportowców angielskich lorda Burghleya, który okazał się nadzwyczaj miły i sympatyczny.

Po przybyciu na wspaniały stadjon antwerpski podziwiałem zainteresowanie publiczności zawodami. Do otwarcia zawodów było jeszcze dużo czasu, a już trzydziestotysięczne trybuny były prawie zapełnione.

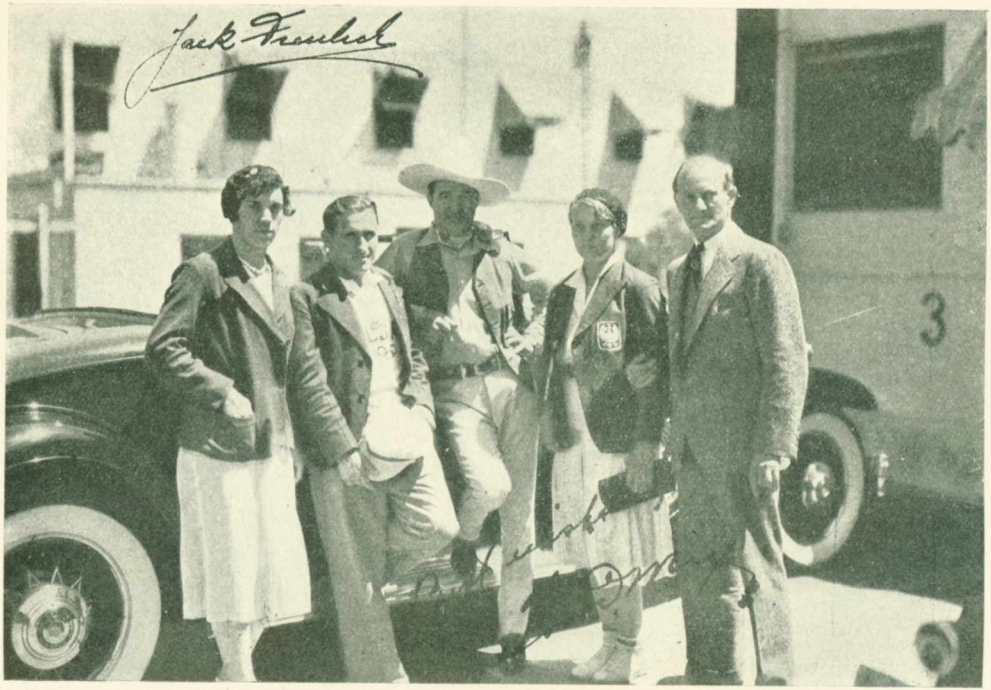
Zawody rozpoczyna bieg 400 metrów przez płotki, w którym Kostrzewski odnosi wspaniały triumf, przychodząc za Borghleyem i bijąc doskonałych zawodników, jak de Negri i Russ. Petkiewiczowi w biegu na 1500 mtr. nie powodzi się i przegrywa do Cornesa.

Wreszcie nadchodzi mój start. Do biegu na 5000 mtr. zgłoszono kilkunastu zawodników. Już po pierwszych kilkunastu metrach oswobadzam się z otaczającej mnie grupy i rwę naprzód, mając jedynego przeciwnika — czas. Pierwsze tysiąc metrów w 2:45,2. Zaczynam powoli zbliżać się do maruderów, aby ich za chwilę zdublować. Po 1500 metrach Cornes zrywa się do walki, przybliża się do mnie, już jednak po 400 metrach odpada, zarżnięty tempem. Ja tymczasem nie próżnuję. Z każdem okrążeniem zwiększam tempo, tak, że już po trzech kilometrach zaczynają się zrywać na trybunach okrzyki: „Będzie rekord!" Publiczność, która niezwykle serdecznie przyjmowała każdy dobry wynik bez względu, jakiej narodowości był zawodnik, zaczyna głośno wyrażać swoje uznanie, a kiedy rozpocząłem finisz na 300 mtr. przed metą, zerwała się na trybunach formalna burza. Kto żył, stał i zaczął dopingować mnie, abym jaknajprędzej bieg ukończył.

Za chwilę megafon ogłasza wynik, z którego mogę być dumny. Jak wielka różnica była między mną, a pozostałymi zawodnikami, świadczyć mogą najlepsze czasy. Mój — 14:55,4, następnego Denisona (Anglja) 15:24.



Na terenie wytwórni filmowej Universal Pictures Corporation



Z pobytu naszej drużyny olimpijskiej w wytwórni filmowej Universal Pictures Corporation. W środku znany gwiazdor Tom Mix.

Żałowałem tylko, że organizatorzy notowali czas tylko na dwóch stoperach, przez co wynik mój nie może być uznany za oficjalny rekord Polski.

Po powrocie z Belgji, ani chwili nie odpoczywając, zaczynam trenować, ale już tylko na szybkość, za wszelką bowiem cenę chcę sobie poprawić finisz, który uważam jeszcze za zbyt słaby.

Rozdział XXIV.

W kilka dni po powrocie P. Z. L. A. ma dużo kłopotu z układaniem drużyny naszej na trójmecz bałtycki, który ma odbyć się niebawem w Wilnie. Petkiewicz, który, jak już pisałem wcześniej nie mógł startować przeciwko Łotwie, pojechał z Antwerpji do Amsterdamu, gdzie wygrał bieg na 1500 metrów.

W Wilnie spotykam dobrych swoich znajomych z poprzednich trójmeczów: Beldsinskyego, Jurgisa, Buceniksa i innych.

Trójmecz bałtycki był dla mnie znów doskonałym sprawdzianem i wykładnikiem moich sił i możliwości. Tak się zawsze składało, że przeważnie, ile razy występowaliśmy w jakimś meczu międzypaństwowym, startowałem więcej razy, niż byłem uprzednio zgłoszony. To samo stało się i teraz. Zgłoszony byłem do 2-ch biegów: na 1500 mtr. i 5000 mtr., a biegałem jeszcze i 10000 mtr.

W pierwszym dniu startuję w biegu na 5 km. Rezerwuję siły na dzień jutrzejszy, nie chodzi mi o rozegranie biegu na tempo, lecz poprostu tylko aby wygrać. Mimo to jednak ani Beldsinsky, ani Buceniks nie byli przez chwilę nawet dla mnie groźnymi. Przychodzę łatwo pierwszy w czasie 15:19, podczas gdy Beldsinsky skończył bieg w 15:38.

Następnego dnia biegam 1500 mtr. Wygrawszy w dość dobrym czasie 4:02 poszedłem ubrać się do szatni, aby za chwilę wyjść na boisko przypatrywać się dal-

szym konkurencjom. Tymczasem zaczyna się dziać niedobrze. Konkurencje, które uważaliśmy jeszcze poprzedniego dnia za zupełnie pewne dla siebie, przegrywamy i ogólne zwycięstwo nasze zaczyna stawać pod dużym znakiem zapytania. Kierownictwo naszej drużyny widząc to, zaczyna prosić mnie, abym wziął udział w biegu na 10.000 mtr. Jakkolwiek nie czułem się zmęczony, jednak niebardzo mogłem biegać, gdyż bolała mnie dotkliwie głowa. Jednakże zgadzam się, tembardziej, że nie było nikogo bodaj na stadjonie, ktoby nie krzyczał: — My chcemy Kusego! Dla mnie zatrzymano start o kilka minut, poszedłem się przebrać i za chwilę stałem już na starcie. Biegnę oczywiście tylko po to, żeby wygrać.

Pomimo to jednak, ani Buceniks, ani Beldsinsky — najgroźniejsi moi konkurenci — nie mogą mi dorównać. Przy entuzjastycznych brawach i okrzykach trybun przychodzę pierwszy do mety w czasie 32:38,2, podczas gdy Buceniks znajdował się przeszło 100 metrów w tyle.

Jak zawsze, tak i tu, sztafeta decydowała o zwycięstwie. Na szczęście wygrywamy ją, temsamem zdobywając ogólne pierwsze miejsce przed Łotwą i Estonją.

Długo będę pamiętał chwilę po skończeniu meczu. Podobnego entuzjazmu nie widziałem dotychczas nigdy w życiu. Jeśli chodzi o stronę propagandową, to trójmecz i wygrana nasza zelektryzowała poprostu całe miasto. Formalnie nie było nikogo, ktoby nie wiwatował i nie entuzjazmował się z nami. Gdy wyszedłem ubrany z szatni, w jednej chwili tłum otoczył mnie i... znalazłem się w powietrzu. Zaczęło się „bujanie". To uczniowie wileńscy, wdzięczni za moje zwycięstwa, w ten sposób chcieli okazać swoją sympatję. Nie wiem, jak długoby to trwało, gdyby nie koledzy, którzy przyszli mi z pomocą, tłumacząc sztubakom, że przecież jestem zmęczony i spieszę się na pociąg. To poskutkowało. Gdy uczniowie odstąpili na chwilę, złapałem walizki i razem z Maszewskim rzuciliśmy się do ucieczki. Tym-

czasem zaczęła ze stadjonu wychodzć publiczność i, zobaczywszy nas, puściła się w pogoń za nami.

Gdy dobiegłem do mostu i wsiadłem już do dorożki, naraz zjawił się, jak z podziemi policjant, który widząc dwóch uciekających przed tłumem, nie wiedział o co chodzi i chciał nas poprostu aresztować. Na szczęście zdołaliśmy w krótkich słowach wytłumaczyć mu właściwy cel naszej ucieczki, tak, że nim goniąca nas publiczność znalazła się na miejscu, już odjeżdżaliśmy dorożką do hotelu.

Reszta zawodników, jak mi później opowiadano, przeżywała mniejwięcej to samo, co i ja. Nikomu nie darowano. Wszystko jedno, czy to był Polak, Estończyk, czy Łotysz.

Mniejwięcej te same sceny powtórzyły się i przed hotelem, a bardziej rozentuzjazmowani wpadali do wnętrza wiwatując i gratulując nam zwycięstwa. Trzeba trafu, że w tym czasie zszedłem z górnych pięter hotelu na dół. Gdy zebrana publiczność spostrzegła mnie, w okamgnieniu rozpoczęła się nowa ucieczka i nowa gonitwa. Pomimo, że rozwijałem „mordercze" tempo po korytarzach restauracji, chroniąc się aż do kuchni, goniący dopadli mnie tam, wyciągnęli i już byłem w górze, gdy nagle na całe moje szczęście znalazł się kpt. Herholt uratował mnie z opresji, ale sam biedak wpadł.

— Panowie! — wołałem — macie tu gospodarzy, im się też coś należy, a mnie już dajcie spokój, bo zamiast do Warszawy, będę musiał iść do szpitala, wszystkie boki mam poobijane.

Poczciwcy usłuchali i, wiejąc co sił na górę, widziałem, jak kpt. Herholt „fruwał" tam i zpowrotem.

Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, ażeby wyczyny sportowe mogły tak rozentuzjazmować publiczność. Dlatego też byłem zdumiony zachowaniem się wilnian. Niech mi wolno będzie jeszcze raz na tem miejscu wyrazić im swoje uznanie i podziękowanie.

Tego samego dnia wieczorem, po zjedzonej w miłem gronie kolacji, udaliśmy się na dworzec. I tu już

oczekiwała nas duża grupa uczniów, która zaczęła wiwatować i wznosić gromkie okrzyki na naszą cześć. Drużyna nasza nie wyjechała jednak w komplecie. Ponieważ miałem być następnego dnia w Warszawie, wyjechałem z trzema kolegami, a reszta została się, gdyż Trojanowski I zgubił bilety kolejowe, a nie mieliśmy pieniędzy, żeby wszystkim kupić duplikaty. Jak się dowiedziałem później, wrócili oni dopiero we wtorek rano. Ponieważ nie mieli co robić, grali w bridża. Mówiono mi, że jedna partja trwała 15 godzin i zakończyła się licytowanym wielkim szlemem.

Następnemi wielkiemi zawodami lekkoatletycznemi, jakie się miały wkrótce odbyć, były mistrzostwa Polski, rozegrane w Królewskiej Hucie. Zgromadziły one rekordową ilość 28 klubów ze stu kilkudziesięcioma zawodnikami, wśród których dał się jednak odczuwać brak takich asów, jak Kostrzewskiego, Sikorskiego i Nowaka.

Mistrzostwa te miały nareszcie rozstrzygnąć zawiłą zagadkę, która emocjonowała świat sportowy: kto z nas jest lepszy — Petkiewicz czy ja. Nic więc dziwnego, że z bijącem sercem oczekiwałem swojego startu.

Po kilku konkurencjach w pierwszym dniu zawodów nareszcie megafon ogłasza mój bieg na 1500 metrów, w którym miałem zadać decydujący cios swojemu kilkuletniemu rywalowi. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Oprócz nas, na starcie zjawiają się Trzciński, Sidorowicz, Skowroński, Kuźmicki i Lesicki. Już pierwsze okrążenie, które pokryliśmy w nadzwyczaj ostrem tempie, wskazuje, że pozostali zawodnicy nie odegrają żadnej roli w biegu. Prowadząc prawie przez cały czas bieg, starałem się nadać jak najbardziej ostre tempo, które jednak Petkiewicz wytrzymuje. Po trzeciem okrążeniu jesteśmy już na przedzie, a odległość między pozostałymi zawodnikami wynosi przeszło 100 metrów. Następuje ostatnie okrążenie. Wiedziałem zgóry, że Petkiewicz nie zdołał „zarżnąć" się tempem na tak krótkim

dystansie, toteż z niepokojem oczekiwałem na ostatnią rozgrywkę. Postawiłem wszystko na jedną kartę, chciałem się jednak przekonać, kto z nas jest silniejszy na finiszu. Czy moja mrówcza praca i te wszystkie treningi, robione specjalnie dla wyrobienia sobie szybkości, odniosły jakiś skutek.

Na 300 metrów przed metą Petkiewicz zrywa się do finiszu, mija mnie nawet i zaczyna prowadzić. Podążam za nim i, o dziwo, atak jego przyjmuję z łatwością. W następnych kilkudziesięciu metrach czuję się na tyle silny, że przypuszczam kontratak i, rozpoczynając morderczy finisz, mijam go przed trybunami, przerywając taśmę w czasie 4 minuty. Petkiewicz, gdy odwróciłem się w tym momencie, zupełnie wyczerpany znalazł się o kilkanaście metrów w tyle.

Tak więc mogłem być zupełnie zadowolony z siebie. Osiągnąłem to, o co starałem się przez długi czas. Pobiłem swego najgroźniejszego rywala właśnie na finiszu, a więc okazałem się już szybszy od niego i — lepszy.

Po kilku jeszcze konkurencjach, w których poznańska „Warta" odnosi pełne sukcesy, udajemy się na spoczynek, gdyż drugi dzień miał zadecydować o pierwszeństwie poszczególnych klubów. W każdym razie my, jako członkowie „Warszawianki" czuliśmy się nieźle, zajmując dotychczas drugie miejsce za „Wartą".

Drugi dzień zawodów przynosi w pierwszym rzędzie dalsze zwycięstwa „Warty" poznańskiej. Jednym z pierwszych był bieg na 5000 metrów, do którego Petkiewicz nie chce jednak startować. Na starcie staje dziesięciu zawodników. Oprócz mnie z bardziej znanych startują Puchalski, Hartlik, Kabut i Miaukas. Po oswobodzeniu się z natłoku, powstałego na starcie, wysuwam się na czoło i po pierwszem okrążeniu odrywam się od innych zawodników o kilkanaście metrów. Za mną biegną w kolei Adamczyk, Puchalski i Miaukas. Po pięciu okrążeniach staje się już wiadome, że nikt nie zdoła wydrzeć mi zwycięstwa, toteż nie staram się nawet roze-

grać go na czas. Mimo to, po dziesiątem okrążeniu dubluję niektórych zawodników, a w ostatniem różnica między mną a Strzałkowskim wynosi przeszło półtora okrążenia. Nie finiszując wcale, bieg wygrywam w czasie stosunkowo dobrym: 15:03,5 przed Strzałkowskim i Kabutem.

Nie biegłem na czas zupełnie rozmyślnie, czekała mnie bowiem jeszcze do rozegrania sztafeta 4 × 400, w której brałem udział. Poprzedniego bowiem dnia odbyły się przedbiegi, z których sztafeta „Warszawianki" wyszła zwycięsko, wchodząc do finału razem ze sztafetami AZS, „Warty", „Pogoni" i „Cracovii".

W biegu sztafetowym, nie spodziewając się, osiągam doskonały czas 52,4, wyrabiając drużynie swojej trzecie miejsce za „Wartą" i AZS. Temwięcej byłem zdumiony, że przecież był to krótki dystans, a mimo to w czasie okazałem się lepszy od Petkiewicza.

W ogólnej klasyfikacji zwyciężyła „Warta" przed AZS-Warszawa. „Warszawianka" zajmuje zaszczytne trzecie miejsce, a jeśli chodzi o mnie, to nie posiadam się z radości z sukcesów, jakie odniosłem na tegorocznych mistrzostwach. Wyniki, jakie osiągnąłem w nich, wykazały mi zupełnie jasno, iż nietylko jestem dobry na długich dystansach, ale świetnie sobie mogę radzić i na średnich. Specjalnie zadowolony byłem ze zwycięstwa nad Petkiewiczem, któremu nareszcie wykazałem, że nietylko jestem od niego silniejszy, ale i szybszy. Jak to mówią: trening i praca nie poszły w las.

Nieprzyjemnym zgrzytem, specjalnie dla mnie, było sprawozdanie, zamieszczone w „Polonji" katowickiej z wyników mistrzostw Polski, które czytałem następnego dnia. Sprawozdawca sportowy tego pisma, p. Karaś, napisał ni mniej ni więcej, że dlatego tylko wygrałem bieg na 5 kilometrów, iż podstawiłem nogę swemu rywalowi i wogóle zachowywałem się na bieżni nie po sportowemu.

Z prawdziwem oburzeniem czytałem to sprawozdanie. Niestety, tak się już utarło, że niektórzy pp. dzien-

nikarze, zdając sobie dokładnie sprawę ze swej potęgi, nie przebierają w środkach, aby załatwić swoje osobiste sprawy na łamach dziennika, w którym pracują. Jakkolwiek sam dziś mam ambicję umieszczać niektóre sprawozdania sportowe w dziennikach, muszę jaknajkategoryczniej zastrzec się przeciwko podobnym metodom. Ponieważ nie zależało mi na tem i ze zrozumiałych względów nie chciałem prostować informacyj, które podał wtedy p. Karaś, teraz pozwolę sobie wyjaśnić tę sprawę, którą p. Karaś poprostu wyssał z palca.

A więc: trudno jest „podstawiać kolegom nogę i zachowywać się nie po sportowemu na bieżni", gdy jest się przez cały bieg pierwszym i bieg ten wygrywa się ze startu do mety z przewagą kilkuset metrów nad zawodnikami. Mam wrażenie, że każdy bezstronny widz, który obserwował bieg i porównał czasy moje i poszczególnych zawodników, bez specjalnych objaśnień dojdzie do tych samych wniosków.

Tymczasem sezon lekkoatletyczny jest w pełni. Niema prawie niedzieli, aby niemal we wszystkich miastach Polski nie odbywały się jakieś zawody, w których moi koledzy osiągali coraz lepsze wyniki. Ja jednak nie startuję już w żadnych, bowiem razem z pięciu kolegami przygotowuję się do wyjazdu na drugie igrzyska Massarykowe do Pardubic. Wreszcie z początkiem sierpnia wyjechaliśmy do Czechosłowacji z Heljaszem, Nowakiem, Kostrzewskim i Trojanowskim.

Jakkolwiek „Massarykowe hry" miały się odbyć w bieżącym roku dopiero po raz drugi, zostały jednak znakomicie obesłane przez najlepszych lekkoatletów Europy. Startować miało oprócz Czechosłowacji kilkudziesięciu lekkoatletów z dziewięciu państw: Belgji, Francji, Italji, Jugosławji, Węgier, Niemiec, Polski i Austrji.

Podróż spędziliśmy nadzwyczaj przyjemnie i sympatycznie. W pociągu poznaliśmy panie R., mamusię i jej uroczą czarnooką córeczkę, Erikę, które udawały się na kurację do Karlsbadu. Oczywiście po zapoznaniu się spędziliśmy całą drogę w tak miłem towarzystwie,

z żalem żegnając je w Pardubicach. Wprawdzie panie przyrzekły nam solennie, że zjawią się na meczu, aby dodawać nam otuchy do zwycięstwa, stwierdziliśmy jednak z żalem, że skończyło się to tylko na.... obietnicach.

Dwudniowe zawody w Pardubicach pomimo, iż nie wszystkie konkurencje obesłaliśmy, wypadły, jeśli chodzi o drużynę polską, bardzo dobrze. Naogół zrobiliśmy bardzo dobre wrażenie ze względu na szereg doskonałych wyników. Startowałem w dwuch konkurencjach: w sztafecie olimpijskiej razem z Kostrzewskim, Trojanowskim i Sikorskim, oraz w biegu na 5 kilometrów. Sztafeta nasza w ogólnej klasyfikacji zajęła pierwsze miejsce w czasie 3:26, zdobywając nowy rekord Polski.

Właściwą moją konkurencją w zasadzie był bieg na 5000 metrów. Miałem dość silną konkurencję w postaci znanych długodystansowców niemieckich: Petriego i Kohna oraz starego swojego rywala, Kośćaka. Petri okazał się lepszy od swojego kolegi Kohna i były momenty, że starał się nawet mi grozić, z walki wyszedłem jednak zwycięsko, przychodząc pierwszy w czasie 15:13,2 przed Petrim (15:18,3). Biedny Kośćak zajął dopiero czwarte miejsce.

Jak już wspomniałem wyżej, drużyna nasza, pomimo swego nielicznego składu, zaprezentowała się doskonale. Wywalczyła ona w sumie trzy pierwsze miejsca oraz cały szereg dobrych miejsc drugich i trzecich i w stosunku do licznej grupy niemieckiej oraz gospodarzy, wykazała dobitnie, że polska lekkoatletyka dużemi krokami idzie naprzód i nie zostaje w tyle za sąsiadami z zachodu.

Rozdział XXV.

Niedawne mistrzostwa Polski, oraz wyniki moje w Pardubicach, wykazały, że nietylko jestem dobry na

biegi długie, ale mam też poważne szanse i w biegach średnich. To też w najbliższej przyszłości postanawiam walczyć z rekordami Petkiewicza. Pierwszą taką próbą miało być zaatakowanie rekordu Polski na dwa kilometry w przerwie meczu piłkarskiego ŁKS—„Warszawianka".

Na starcie stanęliśmy z Ociepką i Pruszkowskim. Umówiłem się z Pruszkowskim, że zaczeka na mnie, tak, abym w drugim kilometrze go zdublował i wtedy on mnie podciągnie. Rozwinąłem, oczywiście, jak najszybsze tempo, którego już po dwuch okrążeniach Ociepko nie wytrzymał. W czwartem okrążeniu dochodzę Pruszkowskiego, a następnie finiszując kończę bieg w rekordowym czasie 5:32,4. Tak więc dawny nieoficjalny rekord Petkiewicza w Kopenhadze i oficjalny Kostrzewskiego 5:48 zostały teraz poprawione.

W kilka dni potem „Warszawianka" urządza zawody lekkoatletyczne międzyklubowe. Prawdziwą niespodzianką na nich było moje zwycięstwo nad rekordzistą Kostrzewskim w biegu na 800 metrów. Pomimo kiepskiego toru, uzyskałem zupełnie dobry czas 1:58,2.

Na zawodach tych po raz pierwszy rozegrano w Warszwie t. zw. bieg amerykański na przestrzeni trzech kilometrów. Bieg ten polega na tem, że do walki stają drużyny, złożone każda z trzech zawodników, przyczem każdy z nich musi przebiec kolejno po 220 metrów. Drużyna nasza wystąpiła w składzie: Nowacki, Petkiewicz i ja — i, jak ogólnie spodziewano się, zdobyła pierwsze miejsce (7:11,6) przed zespołem „Orła", który pod dwu kilometrach nie mógł wytrzymać naszego tempa (7:42,6).

Mniej więcej w tym czasie niemal wszystkie dzienniki zaczynają podawać najpierw krótkie, później dłuższe wzmianki, o przyjeździe do Warszawy kilku lekkoatletów fińskich z Nurmim na czele. Jak później zobaczymy, przepowiednie te sprawdziły się o tyle, że zamiast zapowiadanego zespołu fińskiego, przybyli do Warszawy: Nurmi i Larwa, mistrz olimpijski na 1500 mtr. w Amsterdamie.

Po tylu startach należał mi się choćby krótki odpoczynek. Nie było jednak czasu. Zresztą czułem się doskonale, z każdym dniem zdobywałem coraz lepszą formę, z czego byłem niezmiernie zadowolony, rozpoczynała się bowiem teraz cała serja meczów międzypaństwowych. Najpierw walczyliśmy z Węgrami w Królewskiej Hucie, później również w Królewskiej Hucie zmierzyliśmy się z Czechami i znów za tydzień walczyliśmy w Poznaniu z Włochami.

Mecz z Węgrami stał się dla całej opinji Polski przykrą niespodzianką. Liczyliśmy się z przegraną. Nie przypuszczaliśmy jednak, że Węgrzy wystawią zespół tak doskonały, zarówno pod względem fizycznym jak i technicznym. Pomimo rozpaczliwych wysiłków przegraliśmy w miażdżącym stosunku 51:25, przyczem Węgrzy na trzynaście rozegranych konkurencyj zagarnęli aż jedenaście pierwszych miejsc. Że drużyna polska dała z siebie wszystko, co dać mogła, dowodzą tego aż trzy nowe rekordy Polski, które padły na tych zawodach: w skoku wzwyż, w sztafecie 4 × 200, oraz w rzucie oszczepem.

W obecności 8000 widzów rozpoczynają się zawody. Na początek idzie bieg 400 mtr. przez płotki, w którym Nagy odnosi zwycięstwo nad Kostrzewskim. Bezpośrednio po nim odbyć się ma bieg na 1500 metrów, który dla mnie miał mieć epokowe wprost znaczenie. Startuje nas czterech: Petkiewicz i ja reprezentujemy barwy polskie, Govrik, Kellen — ze strony węgierskiej. Bodaj że po raz pierwszy na takim dystansie walczę z Petkiewiczem. Postanowiłem zastosować jego własną taktykę, t. j. rozegrać bieg na finiszu. Chciałem nareszcie spróbować swych sił w walce z nim na finiszu w biegu, który do tej pory był jego domeną.

Po strzale startera z miejsca na czoło wychodzi Petkiewicz i obejmuje prowadzenie. Po kilkunastu metrach Govrik próbuje go minąć, bezskutecznie jednak. Petkiewicz bowiem, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że bieg będzie właściwie rozgrywał ze mną, stara

się rozwinąć tempo, abym był jak najsłabszy na finiszu. Przez dwa okrążenia nie staram się mu w tem przeszkadzać, czując się nad wyraz silny, jednak po 800 metrach, ponieważ zwolnił trochę, obejmuję prowadzenie i już do końca biegu nie odstępuję go nikomu. Że walka miała się rzeczywiście rozegrać tylko między nami może świadczyć fakt, że już po kilometrze, Węgrzy byli stylu o kilkanaście metrów i z każdem okrążeniem odległość ta wzrastała, aby na ostatniem dojść do blisko 100 metrów.

Petkiewicz, jak mi się zdawało, pomimo, że zwiększyłem tempo, wytrzymuje je dość łatwo do chwili mego finiszu. Na 300 metrów przed metą Petkiewicz próbuje mnie atakować, mój jednak finisz okazał się szybszym. Atak jego z łatwością wytrzymuję, prę naprzód i zwyciężam w czasie 4:02,6. Czas Petkiewicza 4:02,8. Zwycięstwo moje trybuny przyjmują długo niemilknącemi oklaskami. Czułem się nad wyraz dumny z tego, że wreszcie nadeszła chwila, iż mogę walczyć z Petkiewiczem na każdym dystansie; jeśli rozgrywam jego ulubiony bieg na swoją korzyść i to nie tempem, ale biję go jego własną bronią, to słusznie mogłem przypuszczać, że pozostałe dystanse, w których jako silniejszy mogłem się czuć bardziej pewny, rozegram dla siebie zarówno w otwartej walce, jak na finiszu lub na czas.

Dziwne uczucie opanowało mnie po tym biegu. W jednej chwili przypomniałem sobie, jak to niedawno jeszcze, gdy biegłem z Petkiewiczem, wytrzymywał on moje największe tempo, aby na ostatnich metrach wychodzić naprzód, przypuszczając atak, a ja załamywałem się i nie byłem zdolny do walki. Dziś tego już niema. Wierzyłem, że każdy jego atak czy to w czasie biegu, czy na finiszu, będę mógł sparować i odpowiedzieć kontratakiem.

Jasno zdawałem sobie sprawę, że są to wyniki mojej, nie przesadzam, mrówczej pracy i ambicji. Wreszcie doszedłem do tego, o czem od kilku lat marzyłem. Cel, do którego dążyłem, jak mi się zdawało, osiągną-

łem, ale, proszę mi wierzyć, pomimo tego sukcesu nie czułem się bynajmniej szczęśliwy. Niewątpliwie zwycięstwa zaimponowały mi. Coś jednak, czego bliżej określić nie można, siedzi w człowieku. I pamiętam później, ile razy odniosłem jakiś sukces, czy nawet ciężko wywalczone zwycięstwo, zamiast się radować tak, jak ja rozumiem, byłem, o dziwo smutny. Tak już jest na tym Bożym świecie. Ułomność natury ludzkiej nie pozwala zadowolić się tem, na co nas stać.. Zawsze chcemy naogół czegoś więcej, niż w danej chwili można osiągnąć

Ale przejdźmy do meczu Każda następna konkurencja przynosiła nam zapowiedź nieuchronnej klęski. Bilans pierwszego dnia przedstawiał się wprost katastrofalnie. 37:17 na korzyść Węgrów.

Drugi dzień zawodów rozpoczyna się biegiem na 5 km., w którym oprócz mnie i Strzałkowskiego startują Hevele i Kellen. Pomimo ustawienia Węgrów na pierwszych dwuch torach, z punktu zrywam się naprzód i obejmuję prowadzenie.

Już po 100 metrach możemy się zorjentować, że Węgrzy nie wytrzymają mojego tempa, zostając razem ze Strzałkowskim w tyle. W połowie biegu są oni za mną już o 50 metrów. Biegnąc dalej zauważyłem ciekawy objaw, na który z pewnością nie zdobyliby się nasi zawodnicy. Oto, aby wzajemnie się podciągać, widzę, jak najpierw jeden, a później drugi prowadzą i w ten sposób wyrównują sobie tempo. Spostrzegłszy, że nie mogą walczyć ze mną, chcą przynajmniej zająć drugie i trzecie miejsce. Taktyka ta wydała odrazu owoce. Po kilkuset metrach Strzałkowski odpada i już do końca biegu nie odgrywa żadnej roli. Odległość między mną a Węgrami stale wzrasta. W ostatniem okrążeniu wynosiła już blisko 200 metrów. Nie śpiesząc się zbytnio na finiszu, bieg wygrywam w czasie 15:17,5 przed Hevelem (15:51,8).

Następne konkurencje przynoszą nam dalsze porażki. Ogólnie, jak już wspomniałem, przegrywamy w

stosunku 51:25. Jeśli chodzi o wrażenia tego meczu, to poprostu wyczuwać się dawała niesłychanie wyrównana klasa zawodników węgierskich. Prawie we wszystkich konkurencjach wykazali pewność oraz umiejętny rozkład sił, który zdobyć można tylko usilną pracą nad sobą — racjonalnym treningiem. Wspominam o tem dlatego, że patrząc na naszych zawodników, miało się odwrotne wrażenie. Choć naszych cechowała ambicja i pełny temperament, jednakże prawie we wszystkich konkurencjach na finiszu okazali się daleko słabsi.

W tydzień po meczu z Węgrami, na tym samym stadjonie rozgrywamy mecz z drużyną czeskosłowacką. Miał to być piąty, bezkrwawy bój o piękną nagrodę wędrowną min. Zaleskiego. Zawody te miały definitywnie rozstrzygnąć, kto zostanie jej właścicielem. Z drugiej strony na wygraniu tego meczu zależało nam ogromnie, gdyż wypadało się koniecznie zrehabilitować po tak sromotnej porażce z Węgrami.

Nic więc dziwnego, że chłopcy nasi wychodzili wprost z siebie. aby uzyskać jak najlepsze wyniki. Jak zwykle, tak i tym razem sztafeta 4 × 400 zadecydowała o naszem zwycięstwie. Osobna pochwała należy się tutaj Kostrzewskiemu, który nadrobił wszystkie stracone w pierwszych dwuch zmianach metry i uratował prawie przegraną sztafetę.

Startuję w dwuch konkurencjach: w biegu na 5000 metrów i na 1500 metrów, gdyż Petkiewicz po pierwszym dniu zawodów wyjechał, jak mówił, z powodu choroby, do Warszawy.

Petkiewicz, jak mi mówiono, nie mógł darować mi swej poprzedniej porażki na 1500 metrów i postanowił spróbować szczęścia na innym dystansie. To też zapisuje się do biegu na 5000 metrów. Bieg ten z tego jeszcze względu przedstawia się sensacyjnie, że startowali ze strony czeskiej nasi najwięksi rywale Taubel i Kośćak.

Pomimo chłodu i wiatru, postanawiam rozegrać bieg

na tempo i raz wreszcie pokazać swoją wyższość nad Petkiewiczem. I nietylko wyższość. Chcę stwierdzić różnicę klasy i nareszcie wykazać jasno na białem, że w biegach długodystansowych Petkiewicz, startując ze mną, nie ma nic do powiedzenia. Tymczasem bieg ten przynosi zupełnie nieoczekiwaną niespodziankę. Petkiewicz po kilku okrążeniach schodzi z bieżni, jak się później dowiedziałem, tłumacząc się chorobą, a Kośćak i Taubel nie zagrażali mi ani przez chwilę nawet.

Bieg kończę niemal w rekordowym czasie 14:58, zostawiając w tyle blisko o całe okrążenie Taubla i Kośćaka.

Przyznam tu otwarcie, że tłumaczenie się Petkiewicza chorobą i jego nagły wyjazd do Warszawy, wydały mi się podejrzane. Jestem przekonany, że zszedł on z bieżni tylko dlatego, że chciał jak najdłużej utrzymać się za mną. Ponieważ rozwinąłem dość duże tempo, „spuchł", zmęczenie odebrało mu ochotę do walki, tembardziej, że już wtedy nie mógł nie wiedzieć, iż wyniki jej przedstawiają się bardzo problematycznie dla niego.

Wyjazd Petkiewicza do Warszawy stawia mnie znów w tem położeniu, że następnego dnia muszę startować pomimo, iż nie byłem zgłoszony na 1500 metrów. W biegu tym oprócz mnie biorą udział: Lesicki, dr. Drozda i Simek. Jakkolwiek nie czuję się dobrze i mam tak groźnego przeciwnika, jak dr. Drozdę, chcę za wszelką cenę bieg wygrać, tembardziej, że ogólna sytuacja meczu przedstawia się dla nas niezbyt wesoło, pomimo wspaniałych sukcesów Trojanowskiego i Heljasza.

Po starcie prowadzą Czesi. Już jednak po pierwszem okrążeniu wysuwam się na czoło, mając za sobą dr. Drozdę. Po tysiącu metrach sytuacja zmienia się o tyle, że Lesicki wyczerpany, jest już na ostatniem miejscu, a ja zaczynam poważnie niepokoić się Czechami, którzy niemal następują mi na pięty. To też, aby wykluczyć jakieś niespodzianki na ostatnich metrach, już 400 mtr. przed metą otwieram mordercze tempo i niemal całe okrążenie pokrywam sprintem. W ten sposób oderwałem

się od Drozdy i gdy przerywałem taśmę, jako pierwszy, był on kilka metrów w tyle. Czas mój 4:03. Drozdy 4:05. Czas ten należy uważać za zupełnie dobry, jeśli się zważy, że jeszcze przed biegiem zaczął pokropywać deszcz, aby w czasie biegu zamienić się w ulewę.

Dalsze konkurencje układają się dla nas nieszczęśliwie i gdy doszło do ostatniego spotkania w sztafecie 4 × 400 wiadomo było, że zadecyduje ona o zwycięstwie. Jak już wspomniałem, od klęski ratuje nas Kostrzewski, który nadrabia stracone punkty przez Maszewskiego i Piechockiego. W rezultacie sztafetę wygrywamy, a co za tem idzie i mecz. Nie będę opisywał radości, jaka zapanowała przedewszystkiem wśród nas, i na trybunach, które wiwatami i okrzykami przyjęły nasze zwycięstwo.

W tydzień po meczu z Czechosłowacją w Poznaniu spotykamy się z doskonałą reprezentacją Italji.

Czy po porażce z Węgrami i szczęśliwem zwycięstwie, odniesionem nad równorzędną Czechosłowacją, zdołamy godnie przeciwstawić się „Italji"? — oto pytanie, które dręczyło przez tydzień całą opinję sportową Polski. Napewno z tem pytaniem na ustach przyszło na stadjon w Poznaniu 10 tysięcy osób. Mecz stał się wielkiem wydarzeniem sportowem zachodniej Polski i był prawdziwem ukoronowaniem uroczystości, związanych z 10-leciem poznańskiego Związku lekkoatletycznego.

Drużyna włoska przedstawiała się okazale. Brak było wprawdzie w niej Maregattiego, ale zato Facelli, Tavernari, Toetti i Beccali — nie zawiedli, stając się fundamentem, który wywalczył Włochom zwycięstwo.

Pierwszy dzień zawodów upłynął pod znakiem naszego zwycięstwa. Jako ostatnią konkurencję rozegrano bieg na 1500 mtr., w którym biorę udział. Petkiewicz nie startuje, ponieważ P. Z. L. A. bał się go wystawiać, aby się znów nie wycofał. Zamiast niego staje do konkurencji Sidorowicz. Ze strony włoskiej biorą udział: niezrównany Beccali i Furia. Mając tak znakomtych

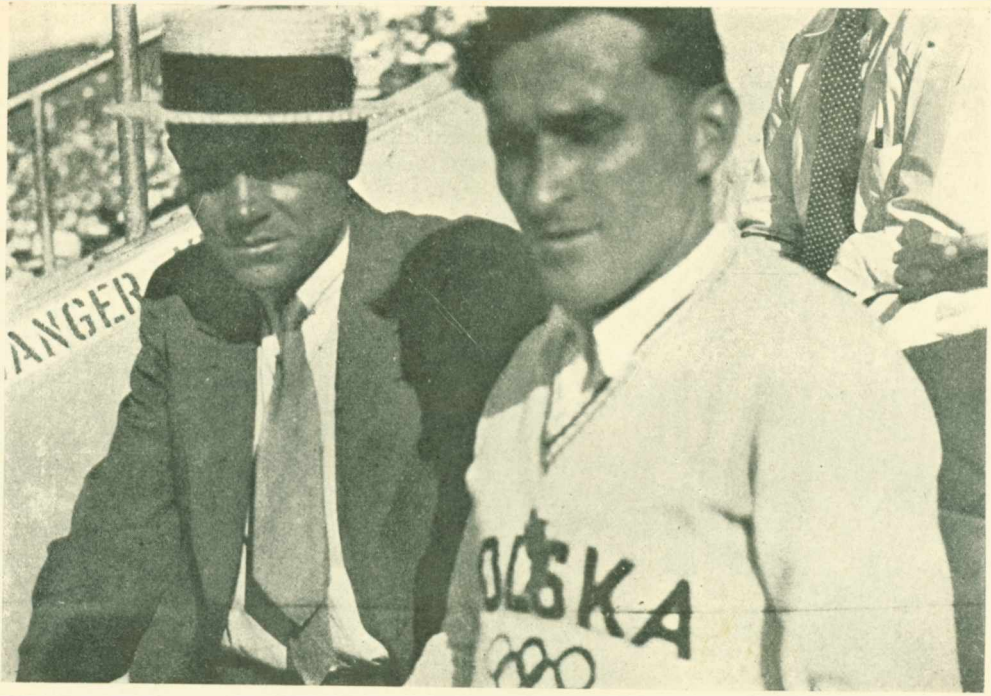
przeciwników, nic innego mi nie pozostaje, jak rozegrać bieg na czas, wobec czego zgłaszam przed biegiem próbę zaatakowania rekordu Polski. Chcąc mieć jak najwięcej szans, proszę Sidorowicza, który zresztą nie mógł tu liczyć ani na drugie, ani na trzecie miejsce, aby poszedł pierwsze okrążenie jak najostrzej i wtedy, jeżeli się Włosi nie zorjentują w naszym manewrze, zdoła im uciec, nadając duże tempo biegowi. Gdyby to się stało, miałbym ułatwione zadanie rozegrania biegu z Włochami na finiszu.

Tymczasem cała uwaga Włochów skierowana jest na mnie. Manewr się nie udał. Dopingowany stale zboku przez Beccaliego i Furię, widząc jednocześnie, że Sidorowicz zwalnia, „wypycham" się naprzód i obejmuję prowadzenie, nie oddając go do końca biegu. Przyznaję się szczerze, że jeszcze przed biegiem nie przypuszczałem, abym na tym dystansie mógł wygrać do Beccalego, który przecież w tym roku miał znakomite czasy i np. 800 mtr. robił w 1:51, przegrywając o pierś do Cornesa; tak samo miał wspaniały czas na 400 mtr. Wobec tego, logicznie rozumując, na ostatnich metrach musiał on być lepszy ode mnie, gdyż był szybszy w sprincie.

Do 200 mtr. przed metą, sytuacja nie zmienia się. Biegnę z Włochami prawie razem, Sidorowicz zaś został już wtyle nie odgrywa żadnej roli. Czując Włochów tak blisko siebie, przyznaję, że powoli zacząłem wątpić, abym mógł coś zrobić na finiszu. Naraz jednak wpadła mi genjalna myśl. Raptownie zrywam się do finiszu i nim zorjentowali się Włosi, wpadam na wiraż z różnicą około 10 metrów. Zdając sobie doskonale sprawę, że zrywem takim nie wytrzymałbym do końca, na wirażu zwalniam trochę. Wpadając na prostą, Beccali, nadrabiając różnicę, nie był już zdolny wywalczyć zwycięstwa, w każdym razie na 60 mtr. przed metą jest już przy mnie. Wśród grobowej ciszy na trybunach przez 40 metrów walczymy z sobą, biegnąc razem. W każdym razie, mam przewagę nad nim kilka centyme-



Po treningu odwoziłem zawsze Jadzię Weissówną do domu, gdzie mieszkały zawodniczki.



W dniu otwarcia olimpjady nie wziąłem udziału w defiladzie. Z Nurmim przyglądałem się uroczystościom z trybun.

trów. Na 20 mtr. przed metą sytuacja się już wyjaśnia i staje się pewne, że zwyciężę. Trybuny zawrzały, a ja wpadam na metę w czasie 3:59,8, czas Beccaliego 4 minuty.

Trudno jest opisać, co się działo po tem zwycięstwie na stadjonie. Rozentuzjazmowana publiczność, gdyby nie silne kordony i barjery, z pewnością wdarłaby się na boisko.

Bieg ten przyniósł mi, przyznaję, olbrzymie zadowolenie. Jak już wspomniałem, nigdy nie spodziewałem się wygrać. Zwycięstwo to było dla mnie piękną nagrodą za dotychczasową pracę i wielką zachętą do dalszej, która mnie czekała w przyszłym roku, olimpijskim.

Następnego dnia sytuacja pogarsza się dla nas, pomimo doskonałych wyników, jakie nasi zawodnicy osiągają. Po kilku konkurencjach następuje bieg na 5.000 mtr., gdzie razem z Miaukasem biegam przeciwko Lippiemu i Boerze. Z punktu obejmuję prowadzenie, oddalając się odrazu od Włochów i Miaukasa. Każde okrążenie przynosi mi coraz większą różnicę tak, że po 4 czy 5 okrążeniach Włosi biegli w tyle za mną już o 150 mtr. Miaukas zaś daleko za Włochami. W ten sposób mi jają następne okrążenia. Na ostatniem zaś zwiększam tempo i wygrywam w dość dobrym czasie 15:09,5 przed Boerą i Lippim, którzy przyszli w jednakowym czasie 15:43,1.

O zwycięstwie Włochów nad nami zadecydowała sztafeta. Ogólnie mecz wygrywają Włosi, uzyskując 73 punkty przeciw 69.

Rozdział XXVI

Następna sobota i niedziela przynosi niezwykłą sensację sportową całej Polsce w postaci dwuch startów Nurmiego w Warszawie i Król. Hucie. Nic dziwnego, że stadjon Legji okazał się za szczupły do przyjęcia chętnych obejrzenia króla bieżni przy pracy. Emocjowałem się

nie mniej od innych. Przyznaję, że start z Nurmim uważałem sobie za wielki zaszczyt i wierzyłem, że tak jak z biegiem czasu udało mi się zwalczyć i pokonać Petkewicza, tak samo może uda mi się wygrać kiedyć do Nurmiego. Coprawda, biegając trzykrotnie z Nurmim nie udało mi się go pokonać, za każdym jednak razem byłem coraz bliższy wygranej i dziś, jakkolwiek trudno jest mówić, coby mogło być później, wierzę jednak niezłomnie, że gdyby nie dyskwalifkacja Nurmego, którą z pewnością nie mniej od niego się przejąłem, bez wątpienia nadszedłby czas, w którym mógłbym się pochwalić zwycięstwem nad wielkim Paovo.

Gdy rok temu walczyłem z nim w Warszawie, pokonał mnie zdecydowanie i odległość między nami liczyła się na metry. Obecnie, jak jasno wynika z obserwacji biegu, walczyłem jak równy z równym i przegrywam tylko dlatego, że Nurmi miał większą rutynę. To też różnica między nami wynosi zaledwie metr. Trzeci start był jeszcze pomyślniejszy dla mnie, gdyż przychodzimy w równym czasie, a Nurmi wygrywa tylko o pierś.

Nie chcę obecnie analizować ani samych biegów, ani swojej taktyki, jaką obrałem, biegając z nim. W każdym razie nie wiem, coby było, gdybym nie miał tylu doradców i tylu nauczycieli, którzy przed biegiem wprost jeden przez drugiego, częstowali mnie swojemi radami, a każdy z nich przysięgał, że jego właśnie rada jest najlepsza i najskuteczniejsza. W ten sposób zdezorjentowany zupełnie, (nic dziwnego) i będący w dodatku pod wrażeniem legendy „wielkiego Nurmiego", straciłem głowę i nie byłem zdolny do obrania sobie najbardziej dla mnie odpowiedniej taktyki.

Najważniejszą dla mnie sprawą, którą właśnie powinienem wtedy wykonać, było to, że od początku biegu należało narzucić jak największe tempo, a wtedy kto wie, czy na ostatnich metrach stary czy młody mógł dać lepszy finisz. W każdym razie, bardzo źle się stało, iż z Nurmim nie będę mógł więcej biegać. Jakkolwiek

dziś nazywają mnie jego oficjalnym następcą i pomimo tego, że pobiłem dwa jego rekordy, nie mam jednak tego zadowolenia i nie będę go miał, gdyż nie pobiłem go w otwartej walce na bieżni.

Mam wrażenie, że pojedynek mój z Nurmim w Warszawie (o pozostałych trzech zawodnikach trudno cokolwiek mówić) nie przyniósł specjalnej sensacji 18-tysięcznej rzeszy widzów, gdyż, jak już zaznaczyłem, obrałem w biegu tym jak najfatalniejszą dla siebie taktykę. Przez pierwsze okrążenia prowadzi Nurmi. Po dwuch jednak kilometrach wychodzę naprzód nadając instynktownie szybsze tempo. Nurmi, widząc to, po trzech kilometrach obejmuje prowadzenie, które zatrzymuje niemal do ostatnich metrów.

Na 350 mtr. przed metą rozpoczynam finisz, sądząc, że Nurmi, który nigdy nie rozporządzał specjalną szybkością, nie będzie zdolny do przyjęcia ataku. Tymczasem jednak omyliłem się. Okazało się, że na finiszu był on wystarczająco szybki, aby przyjąć mój atak i pokonać mnie moją własną bronią. Czas biegu nieszczególny, zresztą jak zwykle, gdy liczy się na finisz. Nurmiego 15:09,8, mój 15:10.

Tak więc, jak już powiedziałem, Nurmi okazał się daleko lepszym taktykiem ode mnie.

Zaraz po biegu na 5.000 mtr. odbył się bieg na 1500, który zgromadził kilku biegaczy miejscowych, Petkiewicza oraz mistrza olimpijskiego, Larwę. Larwa bynajmnie nie starał się nadać jakiegoś specjalnego tempa, ale przeciwnie, ufny w swój znakomity finisz, czekał tylko na atak Petkiewicza. I tak też się stało. Larwa, zaatakowany na 200 metrów przed metą, w okamgnieniu zwiększył szybkość. Uczynił to z taką łatwością, że co chwila oglądał się, czy mu Petkiewicz nie zagraża. Czas Larwy 4:11,4, Petkiewicza 4:12.

Następnego dnia biegam z Nurmim i Petkiewiczem w Królewskiej Hucie. Bieg ten zapowiadał się niezwykle sensacyjnie, przedewszystkiem dla mnie, gdyż postanowiłem za wszelką cenę wygrać. Publiczność śląska za-

chwycona wspaniałemi tegorocznemi zawodami lekkoatletycznemi, licznie stawiła się na stadjon. Przed biegiem o niczem innem nie mówiono na trybunach, tylko o mojem zwycięstwie; to też jakkolwiek nie lubię bawić się w proroctwa, podświadomie dodawało mi to otuchy. Wreszcie na zorganizowanych na prędce zawodach, wychodzimy na bieżnię.

Po strzale startera, prowadzenie obejmuje Petkiewicz, zaraz za nim postępuje Nurmi, ja idę na trzeciej pozycji. W ten sposób mija pięć okrążeń. Pozostałych zawodników mamy daleko wtyle za sobą. Nagle z przyczyny nieznanej mi do dnia dzisiejszego, Petkiewicz schodzi z bieżni, Nurmi zaś z miejsca podrywa na szybsze tempo. Na widok Petkiewicza, schodzącego na boisko, ogarnęła mnie poprostu wściekłość. Tem bardziej, że przez te dwa kilometry, które prowadził, miałem wrażenie, jakbym walczył przeciw obu. A przecież... przecież Petkiewicz miał być moim leaderem.

Jakkolwiek wypadek ten nie mógł się nie odbić na mnie, nie rezygnuję z walki i nawet staram się zapomnieć o tej przykrości.

Następne okrążenia przechodzą dość monotonnie, przyczem Nurmi stara się nakłonić mnie kilkakrotnie do prowadzenia. Wreszcie zrezygnowany Finn decyduje się prowadzić bieg aż do końca. Na trzy okrążenia przed końcem biegu publiczność gromkiemi okrzykami stara się mnie dopingować, ale, o dziwo, po raz pierwszy w życiu okrzyki trybun denerwują mnie i przeszkadzają. Daję więc znaki i proszę o ciszę.

Niemal równocześnie na 300 mtr. przed metą rozpoczynamy fnisz. Nurmi niesłychanie pilnie uważa, ażebym nie wysunął się, broń Boże, przed niego. Na ostatnim wirażu ponawiam atak tak, że na prostą wychodzimy razem pierś w pierś, biegnąc tak kilkadziesiąt metrów. Na metę jednak pierwszy wpada Nurmi, ja zaś jestem tuż obok niego wtyle o pierś. Czasy mamy jednakowe — 15 minut.

Rozentuzjazmowany tłum oklaskuje gorąco zarówno Nurmiego jak i mnie. Schodzę z bieżni speszony i zły, choć powinienem być dumny ze swych wyników.

Czuję się w obowiązku wspomnieć tu o meczu tenisowym, jaki odbywał się w tym czasie; na boisku Legji z udziałem mistrza świata Cochet'a i o niesprawiedliwości, jaka spotkała na nim Maksa Stolarowa. Z zapartym oddechem podziwiałem grę króla tenisu, ale byłem oburzony, gdy ostatnią piłkę Maksa Stolarowa, która decydowała o całym meczu, uznano za aut, podczas, gdy mógłbym przysiąc, bo stałem blisko, że była dobra. Jesteśmy stanowczo zabardzo kurtuazyjni dla „zagranicznikόw". Jestem przekonany, że na żadnem boisku lub korcie świata nie zdarzyłoby się nic podobnego. Z pewnością piłkę taką przyznanoby bez żadnych zastrzeżeń Stolarowowi.

W kilka dni po spotkaniu z Nurmim miałem okazję dwukrotnie zrewanżować się jego rodakowi Virtanenowi. Jak wiadomo, startowałem z nim w ubiegłym roku dwa razy, w Londynie i w Abo, i dwa razy przegrałem.

Jeśli chodzi o stronę finansową, to zawody te nie udały się. Trudno było wymagać, aby w tydzień po Nurmim publiczność gremjalnie przyszła oglądać Virtanena. Wprawdzie, według opinji fachowców, Virtanen, jako biegacz niemal dorównywa Nurmiemu, nazwisko jednak jego nie posiada magnesu, przyciągającego tłumy. Jeśli jednak chodzi o stronę propagandową i o poziom zawodów to udały się niewątpliwie. Na dobitkę nie dopisała pogoda. Obok silnego wiatru i zimna spadł grad, co oczywiście również obniżyło frekwencję.

Bieg trzykilometrowy między nami odbył się w ramach zawodów lekkoatletycznych, jakie urządziła „Warszawianka". Obok nas w biegu tym wzięli udział Puchalski i Adamczyk, ale, jak było do przewidzenia, nie odegrali żadnej roli.

Rewanż mój udał się znakomicie, tembardziej byłem ze zwycięstwa swego zadowolony, że bieg ten, jakkolwiek na krótszym dystansie, pod względem taktyki i walki, jaka się w nim rozegrała, był łudząco podobny do poprzednich moich biegów z Nurmim. Zachodziła tylko jedna różnica, że zwycięstwo moje było zupełnie wyraźne i znacznie łatwiej na finiszu minąłem Virtanena, niż to zrobił ze mną ubiegłej soboty Nurmi.

Ze startu ruszamy w dość ostrem tempie, przyczem Virtanen wysuwa się odrazu na czoło, nie oddając mi prowadzenia aż do ostatniego wirażu. Od czasu do czasu dla sprawdzenia, czy uda mu się zostawić mnie w tyle, Virtanen urządzał zrywy, które jednak z łatwością wytrzymywałem. Po tych kilku nieudanych próbach, zrezygnował z dalszych, widząc jasno, że bieg zostanie rozegrany na finiszu. Tak więc mniejwięcej spokojnie dochodzimy do ostatnich 300 metrów przed taśmą. Wpadając na wiraż, przypuszczam generalny atak, którego Virtanen nie wytrzymuje i na prostą wpadam pierwszy, odsuwając się niemal z każdym krokiem od przeciwnika. Różnica na taśmie wynosiła już między nami blisko 4 metry.

Gdyby nie fatalne warunki atmosferyczne i rozmiękła bieżnia, z pewnością rekord Petkiewicza zostałby poprawiony. W każdym razie uzyskane czasy w tych warunkach należy uważać za bardzo dobre (8:39,6 i 8,40).

Następnego dnia w Krakowie rozegrałem z Virtanenem drugi bieg na dystansie 5 klm. Kraków, który nie wiem dlaczego, zawsze jakoś do tej pory traktowany był po macoszemu, jeśli chodzi o urządzanie większych zawodów lekkoatletycznych, przyjął nas bardzo serdecznie. Pomimo niepogody, zebrało się na trybunach kilka tysięcy osób.

Wśród ulewnego deszczu stajemy na starcie. Virtanen niezwłocznie obejmuje prowadzenie, nadając dość ostre tempo, ale już w połowie drugiego okrążenia wysuwam się na czoło, gdyż pomimo fatalnej bież-

mi, chcę rozegrać bieg na czas, aby sprawdzić Virtanena, czy zdoła wytrzymać moje tempo i jak się zachowa w czasie biegu. Po dwuch okrążeniach Virtanen trzyma się świetnie, a nawet, chcąc mi okazać, że bynajmniej nie obawia się mojego tempa, obejmuje prowadzenie. Odbierając sobie jeszcze w ten sposób dwa razy prowadzenie, mijamy cztery kilometry, ale tu już widzę wyraźnie po oddechu przeciwnika, że jest zmęczony i że nie będzie mógł dać dobrego finiszu. Dlatego też na przedostatniem okrążeniu wysuwam się naprzód, zwiększam tempo, aby na 200 mtr. przed metą, rozpocząć finisz. Virtanen, jak przewidziałem, nie jest zdolny do przyjęcia walki, zostaje coraz bardziej wtyle, tak, że wpadając na metę miałem go za sobą o przeszło 25 metrów wtyle.

Tak więc ostatnie dwa zwycięstwa stały się dla mnie pełnym sukcesem i zupełnym rewanżem nietylko za poniesione porażki w Londynie i w Abo, ale również za niedawne przegrane z Nurmim. Pokonanie Virtanena, który przecież w światowych kołach sportowych uważany był poza Nurmim za jednego z najlepszych długodystansowców świata, daje mi pewność, że wreszcie i ja mam coś do gadania na wielkiej arenie sportu światowego. Temwięcej mogłem się czuć dumny, że zwycięstwa te dodawały mi otuchy i nadziei, iż w przyszłym roku będę godnie reprezentować barwy polskie na olimpjadzie w Los Angeles.

Pisząc o spotkaniu z Virtanenem, należy mu poświęcić miłą wzmiankę. Uważam go za najsympatyczniejszego zawodnika fińskiego, jest on w każdym calu dżentelmenem i na każdym kroku podkreśla to swojem zachowaniem, oburzając się, jeśli nawet jego koledzy czasami nie zachowują się tak, jak przysługuje sportowcowi. Jak dziś pamiętam, że po przegranej do niego w Abo, pocieszał mnie, serdecznie ściskając rękę:

— Niech się pan nie martwi swoją przegraną — mówił Virtanen. — Przekona się pan, że w przyszłości będzie lepiej. Niewątpliwie, biegając ze mną, będzie

pan miał sposobność jeszcze nie raz odnieść zwycięstwo.

I rzeczywiście sprawdziła się jego przepowiednia.

Rozdział XXVII.

W kilkanaście dni po spotkaniu z Virtanenem, korzystając ze swojej doskonałej formy, do której m. in. doszedłem dzięki częstym startom w silnej konkurencji, postanawiam zaatakować dwa rekordy polskie na dystansie trzech kilometrów i 1500 metrów.

Pierwsza próba w biegu na 3000 metrów udaje mi się znakomicie i na bieżni „Skry", na której stawiałem pierwsze swoje kroki lekkoatlety, udaje mi się poprawić rekord Petkiewicza o półtorej sekundy, ustanawiając nowy rekord Polski 8:33,4. Następna jednak próba na 1500 metrów wskutek deszczu i silnego wiatru nie udaje się. Uzyskuję wprawdzie dobry czas 4:00,4, ale rekordu nie poprawiam.

Tymczasem P. Z. L. A. oraz P. Z. P. N. przygotowują się gorączkowo do meczów lekkoatletycznego i piłkarskiego z reprezentacjami Belgji. W niespełna tydzień wyjeżdżamy z drużyną piłkarską do Brukseli. Z przyjemnością zaznaczyć muszę o naszych placówkach w tym kraju, które bodaj pierwsze ze wszystkich, kierowane wprawną ręką min. Jackowskiego przy współudziale konsulów Bilińskiego i Chiczewskiego, zwróciły baczną uwagę na sport, jako doskonałą propogandę polskości zagranicą. To też stosunek ich do każdego sportowca polskiego jest godny uznania i naśladowania.

Zawody lekkoatletyczne, jakie rokrocznie P. Z. L. A. w porozumieniu z belgijskim Związkiem lekkoatletycznym urządza w Brukseli, należą bezsprzecznie do jednych z najbardziej pięknych i miłych spotkań międzypaństwowych. Zarówno gospodarze, jak i rozmiłowana w sporcie publiczność belgijska, dokładają wszel-

kich starań, aby pobyt nasz w stolicy Belgji jak najbardziej urozmaicić i uprzyjemnić. To też ile razy spoglądam na wspaniałe nagrody, zdobyte przez nas w Brukseli, żywo w pamięci stają mi te przemiłe chwile, spędzone podczas tych meczów.

Jadąc do Belgji naogół spokojni byliśmy o wyniki naszej drużyny lekkoatletycznej w Brukseli. Poważnie natomiast obawialiśmy się o spotkanie piłkarskie, gdyż nasza reprezentacja piłkarska nie znajdowała się w najlepszej formie. Zwycięstwo jej potrzebne było teraz, jak nigdy, po niepowodzeniach w Czechosłowacji i Rumunji.

Jak już zaznaczyłem, przyjęcie, jakiego doznaliśmy w Brukseli, przeszło nasze oczekiwanie. Po rozkwaterowaniu się w pięknym hotelu, wyszliśmy zwiedzić miasto, a następnie udaliśmy się na spoczynek, aby wypoczęci i jak najlepszych myśli, zameldować się następnego dnia na stadjonie.

Pierwsze konkurencje przechodzą pod znakiem zwycięstwa Belgów, ale wkrótce zaczynamy wywalczać punkt po punkcie, obejmując prowadzenie, którego nie oddaliśmy aż do końca meczu.

Po biegu na 800 metrów, w którym święcili triumfy Petkiewicz i Maszewski, stajemy razem z Hartlikiem na starcie do biegu na 5000 metrów. Przeciwko nam biegają, Marechal i Van Rumst. Pojawienie się nasze na bieżni wywołuje entuzjastyczne oklaski i okrzyki wśród licznie zebranej kolonji polskiej. Dodaje mi to otuchy, bowiem niespełna w 15 minut po biegu na 5 klm. miałem startować do biegu na 1500 mtr. Znów powtórzyła się ta sama historja, która mniejwięcej za każdym razem na międzypaństwowym meczu spotyka mnie. Do biegu na 1500 mtr. nie byłem zgłoszony i jeszcze w Warszawie P. Z. L. A. uznał, że nie powinienem w tak krótkim odstępie czasu stawać do drugiego biegu. Tymczasem kierownik naszej drużyny wraz z p. Hauptmanem już na miejcu w Brukseli po rozpoczęciu zawodów urządzili na mnie zasadzkę. Zapro-

wadził mnie do ministra Jackowskiego, który tak mnie ujął swoją uprzejmością i prośbą, że nie śmiałem i nie mogłem mu odmówić.

Rezerwując więc siły na drugi bieg, 5000 mtr. rozgrywam tak, aby tylko przyjść pierwszy do mety. Sam bieg z pewnością nie był emocjonujący, gdyż wykazałem się zdecydowanie lepszy od Belgów, którzy potrafili się utrzymać przy mnie zaledwie przez trzy okrążenia. To też nie spiesząc się już w następnych, przychodzę pierwszy do mety w stosunkowo słabym czasie 15 : 23, mając za sobą o 120 mtr. Marechala (15:41,2).

Po następnych dwuch konkurencjach biegam znów na 1500 metrów. Mimo zmęczenia (zbyt miękka bieżnia) wygrywam zdecydowanie, chociaż dopiero na ostatnich metrach. Geereats i Heesben prowadzili na zmianę niemal przez cały bieg i dopiero silnym atakiem na 300 metrów przed metą, udaje mi się wyprzedzić o kilka metrów Geereatsa. Czas mój 4:18, drugiego 4:20,4.

Następne konkurencje przynoszą zwycięstwa moim kolegom, tak, że ostatecznie mecz wygrywamy stosunkiem 38:28. Warto podkreślić, iż na ogólną ilość siedmiu konkurencyj, rozegranych w czasie tego meczu, pierwszych sześć miejsc zdobyła drużyna polska, a tylko jedno belgijska.

Zaraz po meczu lekkoatletycznym odbyło się spotkanie piłkarskie między reprezentacjami Polski i Belgji. Obawy nasze, co do przegranej spełniły się; pomimo rozpaczliwych wysiłków naszych piłkarzy, przegrywają w stosunku 1:2. Mecz stał na bardzo wysokim poziomie, to też kilkudziesięciotysięczna publiczność, która zaległa trybuny, była zachwycona grą zarówno naszych jak i belgijskich piłkarzy.

Następnego dnia udaliśmy się w powrotną drogę przez Liège do Leodjum, gdzie rozegrano jeszcze jedno spotkanie piłkarskie z miejscową drużyną.

Nadzwyczaj przyjemny pobyt nasz w Belgji był zakłócony przykrym incydentem, jaki się zdarzył w Leo-

djum. Po meczu miejscowy Związek piłki nożnej zaprosił piłkarzy naszych na bankiet, zostawiając nas, lekkoatletów na uboczu. Wywołało to przykre komentarze, nietylko wśród nas, ale nawet w prasie belgijskiej.

Mimo to jednak w miłym nastroju i wesoło wracaliśmy do Warszawy. Po przyjeździe dowiaduję się, że otrzymałem zaproszenie na międzynarodowe mistrzostwa do Wiednia, dokąd też niezwłocznie, po załatwieniu niezbędnej formalności wyjeżdżam z Szenajchem.

Tem chętniej jechałem do naddunajskiej stolicy, że chciałem koniecznie zblizka ujrzeć to wspaniałe miasto przepięknych melodyj strausowskich, które znałem wprawdzie, ale tylko z opowiadań (oczywiście miasto, ale nie melodje). Wiedeń zrobił na mnie niezwykłe wrażenie, tembardziej, że nadzwyczaj gościnnie i serdecznie mnie tem przyjęto.

Bieg na 5000 metrów, w którym miałem spotkać się z nowym rekordzistą świata, Argentyńczykiem Zabalą doskonałym Austryjakiem, Blödym, oraz Kościakiem — miał się odbyć w ramach krajowych zawodów o mistrzostwo Austrji. Przyznam że start Zabali trochę mnie przerażał, tembardziej, że przed dwoma tygodniami pobił on rekord światowy na 20 kilometrów. Prasa wiedeńska jeszcze przed zawodami ogłosiła go już zwycięzcą w tym biegu, a niemal cała sportowa opinja Wiednia, która wprawdzie wymieniała od czasu do czasu i moje nazwisko, przekonana była że Zabala będzie pierwszy.

Może to i lepiej, że się bałem. Przekonałem się niejednokrotnie . iż ile razy przed biegiem dostawałem tremy, zawsze mi to później wychodziło na dobre.

Niewątpliwie bieg na 5 klm. był gwoździem programu zawodów, to też gdyśmy wbiegli na bieżnię, huragan braw zerwał się z trybun.

Mając tak groźnych przeciwników, pozostawała mi do obrania tylko jedna taktyka: uciekać jak najprędzej, jednem słowem rozegrać bieg na czas. Stojąc na

starcie, nie myślałem wcale o pobiciu rekordu. Nigdy nie przypuszczałem, że na tak twardej bieżni, jaką była bieżnia w Wiedniu mogę uzyskać tak dobry czas. Sama myśl zaatakowania rekordu powstała we mnie dopiero po przebiegnięciu trzech klm.

Już po pierwszem okrążeniu, stosując swoją taktykę, odrywam się od wszystkich zawodników, nawet od Zabali. Szenajch, który stał na boisku, mówił mi międzyczasy. Tak więc, gdy po 2600 metrach zapytałem go, jaki jest całkowity czas i gdy obejrzałem się i zobaczyłem najgroźniejszego swego rywala, Zabalę o kilkadziesiąt metrów w tyle, przyznaję się, chciałem zrezygnować z dalszej rozgrywki na tempo. Gdy jednak po przebiegnięciu okrążenia Szenajch krzyknął mi: „Trzy — 8:43" zostałem jakby zaelektryzowany. Jednocześnie na trybunach rozległy się oklaski i okrzyki: — Brawo Polen! — Będzie rekord, będzie rekord! — to kolonja polska dopingowała mnie, abym zwiększył tempo.

Obejrzałem się znowu. Zabala biegł już za mną o jakieś przeszło 120 metrów, inni byli jeszcze bardziej w tyle. Zrywam się więc, zwiększam tempo, co mi przyszło zresztą łatwo. Po 3 i pół klm. zacząłem dublować niektórych zawodników.

Wreszcie przebiegając ostatnie okrążenie w 63 sekundy, wpadam na metę wśród entuzjastycznych okrzyków trybun, a przedewszystkiem mego przyjaciela, Szenajcha, który złapał mnie w ramiona, ściskając i całując.

Mogłem być dumny, słysząc za chwilę przez megafon, iż czas uzyskany przeze mnie 14:42,8 jest o 12 sekund lepszy od dotychczasowego rekordu polskiego, i jest zarazem trzecim wynikiem tegorocznym świata.

Rozreklamowany tak przez prasę wiedeńską Argentyńczyk Zabala, przyszedł wprawdzie drugi, ale w okropnym czasie 15:37,8. Pozostali zawodnicy o półtora okrążenia z tyłu. Tak więc Zabala rozczarował zupełnie Wiedeńczyków, którzy pokładając w nim wiel-

kie nadzieje, zawiesili nawet u wejścia na boisko, na naczelnem miejscu olbrzymią flagę argentyńską, obok której skromnie powiewała nieduża flaga biało-karmazynowa.

Według wskazówek P. Z. L. A. mam oczekiwać w Wiedniu na wiadomość, czy pertraktacje z paryskim związkiem lekkoatletycznym zostały pomyślnie zakończone. W razie gdyby tak było, mam jechać bezpośrednio z Wiednia do Paryża, aby rozegrać bieg na 5000 metrów o wielką nagrodę Jean Bouin'a.

Już miałem wsiadać do pociągu, aby jechać do Warszawy, gdyż nie mogłem się doczekać wiadomości gdy niemal w ostatniej chwili przyszła depesza, abym niezwłocznie wyjechał do Paryża. Dzięki niezwykłej uprzejmości konsula naszego w Wiedniu udaje mi się załatwić na poczekaniu wszystkie formalności i jeszcze tego samego dnia siedziałem w pociągu, który wiózł mnie do tej wyśnionej stolicy świata. Po przyjeździe na miejsce ulokowałem się w jednym z hoteli, aby przez pięć dni rozkoszować się wspaniałą architekturą i perspektywą Paryża. Niemal zaraz po przyjeździe zaczęły dzienniki paryskie rozpisywać się o mnie, nie wiem dlaczego zajmując nieprzychyln e dla mnie stano wisko. Prasa paryska zarzucała mi, że jestem „zbyt wy magający" i że „żądam nadzwyczajnych przyjęć" (sic). Zachodziłem w głowę, kto był inspiratorem tych wzmianek, bo że to, co pisali było nieprawdą, to wie każdy, kto mnie choć trochę bliżej poznał.

Mało tego. Następnego dnia po przyjeździe spotkała mnie przykrość od Ladoumegua, znanego rekordzisty światowego. A było to tak. Codziennie rano wyjeżdżałem na miasto, na stadjon, na trening. Ponieważ nie znałem terenu ani języka, towarzyszył mi jeden ze studentów, Polaków, przebywających na studjach we Francji. Otóż owego dnia, jeszcze przed treningiem, gdy już rozebrałem się i miałem zacząć gimnastykę, podchodzi do nas jakiś pan w pantoflach kąpielowych, ubrany na poły sportowo i wszczyna rozmowę z mo-

im przewodnikiem. W tym czasie zacząłem się gimnastykować. Po chwili podchodzą oni do mnie i student przedstawia mi przybysza, jako słynnego Ladoumegua. Przyznam, że byłem nawet bardzo zadowolony z tego poznania, to też poprosiłem kolegę, aby w moim imieniu (nie umiem ani w ząb po francusku) pozdrowił Ladoumegua. Po krótkiej chwili — odszedłem, aby kontynuować rozpoczętą gimnastykę, gdyż mam już taką zasadę, że nie przerywam sobie nigdy ciągłości treningu.

Tymczasem wynikły z tego nieprzyjemności. Po przyjeździe do Polski, koledzy wprost zasypywali mnie pytaniami, co zrobiłem w Paryżu, że cała prasa, a nawet Ladoumegue napadli na mnie zarzucając mi, że jestem „dumny, wielki i opryskliwy". Słuchałem ich opowiadania ze zdumieniem.

Przejdźmy jednak do samego biegu. Pięciokilometrowy bieg o nagrodę Jean Bouin'a ma wielką tradycję w Paryżu. Bouin, ongiś świetny długodystansowiec Francji był gwiazdą pierwszej wielkości francuskiej lekkoatletyki i do samego końca życia figurował w tabeli rekordzistów świata — w biegu godzinnym. Dopiero po bohaterskiej śmierci Bouin'a, który poległ w czasie wojny światowej, nazwisko jego z zaszczytnej tabeli wymazał niebyle kto, bo sam Nurmi.

Toteż bieg o nagrodę jego imienia rozgrywany jest rokrocznie w Paryżu z wielką uroczystością i gromadzi na starcie zawsze pierwszorzędne siły Europy.

Trybuny na długo przed zawodami, w ramach których odbyć się miał bieg, zostały szczelnie zapełnione publicznością. Pomimo, że warunki atmosferyczne były jaknajmniej sprzyjające zawodom. Mżyło i dął silny wiatr.

Na starcie staje 18-tu zawodników. Najgroźniejszymi rywalami moimi był Francuz Rochard i Włoch Francechini. Zaraz po strzale startera wysuwam się naprzód, nadając ostre tempo biegowi, które sprawia, że już po kilku okrążeniach odrywamy się z Rochar-

dem od pozostałych zawodników. W ten sposób mijamy okrążenie za okrążeniem, z tą tylko różnicą, że Rochard, który biegnie za mną, jest mniej narażony na wiatr. Po trzech kilometrach staje się już wiadome, że walka rozegra się między nami, pozostali blisko o pół okrążenia wtyle, nie odgrywają już żadnej roli.

Publiczność francuska, widząc doskonałą taktykę swojego pupila, który stale trzyma się za mojemi plecami, siedzi spokojnie na trybunach, wierząc, że w ostatniem okrążeniu zdobędzie się na finisz lepszy od mojego i pokona mnie. Jeszcze bardziej trybuny utwierdzają się w tem przekonaniu, gdy Rochard w pewnej chwili wychodzi naprzód i obejmuje prowadzenie. Nie przypuszczają, że jest to właśnie mój manewr. Naumyślnie dałem Rochardowi prowadzić, ażeby sobie przez dwa okrążenia „odsapnąć". W ten sposób nadchodzi ostatnie okrążenie, a z niem emocja tłumów wzrasta do kulminacyjnego punktu. Na 300 metrów przed metą zrywam się raptownie i w jednej chwili jestem już na przodzie, tak, aby po piorunującym finiszu znaleźć się pierwszy na mecie z kilkunastoma metrami przewagi nad rywalem. Czas mój 14:58,4, uzyskany w tym biegu, jest nowym rekordem w rozgrywkach o nagrodę im. Jean Bouin'a. Ostatni rekord należał do słynnego biegacza szwedzkiego Eklefa i utrzymywał się nienaruszony od 6 lat. Dzięki temu, że prawie przez cały czas prowadziłem, Rochard osiąga 15:01,6, który jest jego rekordem życiowym na tym dystansie.

Przyjemnie było patrzeć, jak publiczność francuska, którą, mówiąc szczerze, spotkał zawód, entuzjastycznie mimo to przyjęła moje zwycięstwo.

W dobrym humorze wracałem do Warszawy. Na granicy polskiej w Zbąszyniu spotkała mnie niemiła przygoda. Oto celnicy kazali mi oclić butelkę wina i wyznaczyli sumę, która przewyższała wartość samego towaru. Prośby moje i tłumaczenia, że przecież nie wiozę jej na sprzedaż nic nie pomogły. Wobec te-

go musiałem zostawić wino na granicy. Podróż upłynęła mi nadzwyczaj przyjemnie, bowiem wracałem z wycieczką polską, która bawiła we Francji.

Gdy pociąg stanął w Warszawie, ze zdumieniem spostrzegłem, że perony i budynki pokryte są śniegiem, a tymczasem wracałem w letnim płaszczyku, nieprzygotowany zupełnie na tak raptowną różnicę temperatury.

Rozdział XXIX.

Jeszcze zimową porą warszawski korespondent belgijskich pism p. Hauptman, nie wiem dlaczego, rozpoczął propagandę na terenie brukselskim zawodów lekkoatletycznych, które miały się odbyć w czerwcu i na których miałem jakoby zaatakować rekord światowy na trzy kilometry. Przeczytawszy to, byłem poprostu zdumiony. Nie leży w mojej naturze przedwczesne ujawnianie planów, po drugie zaś ,nigdy nie zgłaszałbym tego rodzaju zamierzeń na pół roku zgóry. Zresztą, przez głowę mi nawet nie przechodziło, abym mógł w tym roku atakować rekordy światowe. Nie przeczę, że zamierzałem w swej dalszej pracy zrobić to, ale rozkładając ją na etapy, przypuszczałem, że dopiero w przyszłym roku będę mógł pokusić się na walkę z czasem wielkiego Nurmiego.

Rozdział XXX.

Paryż był moim ostatnim startem w bieżącym sezonie, który, przyznaję, upłynął dla mnie nadzwyczaj szczęśliwie. Powoli zbliżałem się do wyników, osiąganych przez najlepszych długodystansowców świata, a mój występ w Wiedniu i uzyskanie tak dobrego czasu upewniał mnie w przekonaniu, że możliwości moje są jeszcze większe i że jeżeli tylko potrafię otrzymać



Przed metą w biegu olimpijskim na 10.000 mtr.



Między innymi udało mi się sfotografować najlepszą trójkę fińską: Lehtinen, Iso Hollo i Virtanen

dobrą zaprawę zimową, w przyszłym roku mogę znaleść się w lepszej jeszcze formie i osiągnąć jeszcze lepsze wyniki. Było to dla mnie tem donioślejsze i przyjemniejsze, że coraz bardziej zbliżało mnie do urzeczywistnienia moich marzeń i dążeń — znaleść się w Los Angeles na Olimpjadzie.

Po przyjeździe do Warszawy dowiedziałem się, iż dzięki moim usilnym prośbom poczynione zostały kroki, abym mógł otrzymać posadę w Łazienkach Królewskich, którą też z dniem 1 grudnia obejmuję, przenosząc się na stałe do Warszawy.

Po solidnie spędzonym odpoczynku, zabieram się z chęcią do treningu zimowego — przedolimpijskiego, który rozłożyłem sobie na 6 miesięcy, a podzieliłem na trzy okresy. W pierwszym okresie postanawiam trenować tylko biegi naprzełaj od 20 do 40 minut dziennie, to znaczy pracować na wytrzymałość. Drugi okres — to połączenie biegów naprzełaj z pracą na bieżni, a więc trenowanie pośrednio i na szybkość i na wytrzymałość. W trzecim okresie postanawiam trenować tylko na szybkość. Po tak rozłożonym treningu, ufam, że gdy dobrze obrobię, uda mi się wkońcu dorównać Nurmiemu i jego najbliższym kolegom.

Dzięki poparciu P. Z. L. A. przydzielają do mnie masażystę, który mnie stale masuje przeważnie co drugi dzień. Nie potrzebuję dodawać, że ani na chwilę nie zaniedbuję gimnastyki, ani łaźni. Nie znaczy to jednak, abym stronił od życia towarzyskiego, szczególniej teraz, w czasie karnawału. Jak już wspomniałem dawniej, każdy taniec uważam za pewnego rodzaju trening. Toteż nie opuszczam żadnej okazji i staram się jaknajczęściej bywać na balach, na których będę mógł spotkać znajomych. Z okresu tego szczególniej utkwił mi w pamięci reprezentacyjny bal „Warszawianki", na którym bawiłem się doskonale.

W ten sposób upłynął mi czas do eliminacji olimpijskiej. Już z początkiem roku 1932 działalność Polskiego Komitetu Olimpijskiego staje się coraz bardziej

ożywiona, to też w porozumieniu z P. Z. L. A., dwie te instytucje urządziły na początku lutego obóz przedolimpijski w Poznaniu, który trwał blisko 6 tygodni. Do obozu przydzielono tych zawodników, którzy w ubiegłym roku wykazali się najlepszemi wynikami i co do których mogły zachodzić możliwości, że zdobędą odpowiednie minimum olimpijskie, a więc staną się w przyszłości członkami polskiej ekspedycji na Olimpjadę.

Tak więc na początku lutego zjechały do Poznania panie: Bersonówna, Breyerówna, Orłowska, Schabińska, Sikorzanka i Weissówna, oraz oprócz mnie Biniakowski, Heljasz, bracia Mikrutowie, Nowak, Sikorski i Trojanowski. Dyscyplina w obozie panowała niezwykle ostra. Traktowano nas niemal po wojskowemu. Program dnia był tak obmyślony, że gdyby się chciało solidnie go wypełnić, nie można byłoby znaleść ani jednej chwilki wolnej dla siebie.

Rano zbiorowa lub indywidualna gimnastyka, która trwała blisko godzinę, następnie specjalny trening aż do obiadu. W tym czasie uprawiałem biegi naokoło Poznania, otulony w ciepłe swetry. Jak dziś pamiętam sylwetka moja była tematem wielu rozmów i drwin przechodniów, którzy nie znając mnie, nie wiedzieli, co to wszystko ma znaczyć. Po treningach był obiad, po nim przerwa, a po obiedzie znów trening, przyczem jeśli chodzi o mnie, to biegałem po południu na bieżni w krytej hali. Nie potrzebuję dodawać, że pracowaliśmy wszyscy pod wytrawnem okiem Klumberga, który całą swoją wszechstronną wiedzę sportową starał się zużytkować, aby nam w każdym drobiazgu pomagać. Nic więc dziwnego, że jeśli były rezultaty po tym obozie, to w pierwszym rzędzie należą się podziękowania Klumbergowi.

Niewątpliwie obóz w znacznym stopniu przyczynił się do poprawienia formy wielu zawodników. Ale nie znaczy to, że organizując go nie popełniono wielu błę-

dów. Dużą wadą, według mego zdania, były wygórowane wymagania od zawodników. Drugiem „ale" było zbyt rygorystyczne traktowanie członków obozu. Władze zwierzchnie uważały, że ten, kto przyjechał do Poznania, poza sportem o niczem nie powinien myśleć, a tembardziej czemkolwiek się zajmować. Pamiętam, że gdy jednej soboty wyrwałem się na miasto na kilka godzin, dostałem burę, która, biorąc jak najbardziej nawet rygorystycznie, była daleko większa, niż moja „wina". Dużem również niedociągnieciem było to, że przebywaliśmy w obozie razem z lekkoatletkami. Uważam, że tego robić nie wolno, nie wszyscy bowiem zawodnicy choćby z racji swego usposobienia, a nie z niechęci, odnoszą się poważnie do pracy, co przy tak bliskiem sąsiedztwie niewiast, było im tylko na rękę. Nie wolno przecież zapominać, że pieniądze wydane na obóz są własnością ogółu i nie mogą iść na marne. A jasną jest rzeczą, że ani kierownik, ani trener nie są w stanie zmusić zawodnika do pracy, gdy będzie się do niej odnosił zgruntu negatywnie.

Z przyjemnością patrzyłem na Weissównę, jak pracowała. Miałem dla niej i podziw i wielki szacunek, bo pomimo tego, iż była bodaj najmłodszą w obozie, najpoważniej odnosiła się do pracy. Co do zawodników, to stwierdzić należy, że może dlatego nie pracowali tak, jak powinni, gdyż mieli zamało zaufania do siebie i swoich możliwości.

Obóz w Poznaniu zakończył się zawodami lekkoatletycznemi w hali krytej, w których jednak udziału nie wziąłem. Przykrym zgrzytem na zakończenie obozu było nielojalne w najwyższym stopniu zachowanie się braci Mikrutów wobec p. Schabińskiej, na które musieliśmy jak najkategoryczniej odpowiedzieć.

Naogół jednak biorąc, obóz spełnił swoje zadanie, a jeśli chodzi o mnie, to bezwątpienia zrobił mi dobrze. Z Poznania rozjechaliśmy się do domu, aby na miejscu, na swoim terenie kontynuować indywidualnie

trening. Aby przyśpieszyć trening na bieżni (był koniec marca) wyjeżdżam na Riwjerę.

Rozdział XXXI.

Tymczasem w całym świecie sportowym zawrzało z powodu osoby Petkiewicza, który już na początku roku został zawieszony w prawach amatora przez „Warszawiankę". Już od dłuższego czasu mówiło się pocichutku o tem, jakoby „amatorstwo" tego utalentowanego biegacza, stało pod dużym znakiem zapytania. Początkowo nikt temu nie dawał wiary, ale gdy z każdym dniem sprawa stawała się coraz głośniejsza z powodu wielu enuncjacyj prasowych, P. Z. L. A. wkroczył w całą tę „aferę" jako prokurator i rozpoczął dochodzenia. Nie chcę być posądzony o stronniczość z powodu niechęci do Petkiewicza, nie będę też szczegółowo omawiał tej przykrej dla sportu polskiego sprawy, wspomnę tylko, że dochodzenie to dało pozytywne wyniki i po słynnem oświadczeniu prasowem przedstawiciela P. Z. L. A. kpt. Misińskiego, Petkiewicz został zdyskwalifikowany jako amator na zawsze i w przeddzień mojego przyjazdu z Riwjery, wyjechał do Argentyny.

Nie wgłębiając się specjalnie w arkana dochodzeń P. Z. L. A. jako zawodnik muszę jednak stanąć w obronie Petkiewicza i zapytać, czy rzeczywiście poruszono wszystkie sprężyny, aby dowieść niezbicie zawodowstwo Petkiewiczowi, przez zdyskwalifikowanie go bowiem młody sport polski stracił bardzo wiele. Uważam, że zbyt mało uwagi poświęcano Petkiewiczowi i zamało się nim opiekowano. A jednak warto było to robić, Petkiewicz bowiem był niepoślednim talentem. Zamiast wykorzystać go dla propagandy polskości zagranicą, podejrzane typy „opiekowały się" nim dla osobistych korzyści. Jestem więcej niż przekonany, że jeśli nawet start Petkiewicza był opłacany, to i tak sam on napewno najmniej otrzymywał.

Po dyskwalifikacji Petkiewicz zaczął się odgrażać, iż posiada dowody, że nietylko on, ale cały szereg lekkoatletów (oczywiście mnie wymieniał na pierwszem miejscu) pobiera opłaty za swoje starty i że wszyscy ci powinni być również zdyskwalifikowani. Kiedy jednak P. Z. L. A. wystąpił z kategorycznem żądaniem przedstawienia owych dowodów, okazały się one gołosłownemi plotkami.

Petkiewiczowi mogę zarzucić jedno, to mianowicie, że gdy wyjeżdżał z Polski już po dyskwalifikacji, zabrał ze sobą nagrody, których nigdy nie zdobył. Mimo wszystko to jednak najlepiej charakteryzuje człowieka.

Jak już wspomniałem, wyjechałem na Riwjerę, aby przyśpieszyć trening na bieżni. Jeśli chodzi o wyniki, to wyjazd mój opłacił się stokrotnie. Przyśpieszyłem treningi na szybkość i po powrocie do kraju w czasie, gdy właściwie sezon lekkoatletyczny dopiero się rozpoczynał — byłem w pełni formy i jak nigdy przedtem, czułem się doskonale.

W Cannes spotkałem ministra Szumlakowskiego z żoną. Pozatem spotkałem Jędrzejowską, Tłoczyńskiego i Stolarowa, którzy w tym czasie brali udział w turnieju tenisowym. Mając ich wszystkich koło siebie, czułem się doskonale, ale niestety, niedługo. W tydzień potem min. Szumlakowski wyjechał do Genewy, Tłoczyński i Jędrzejowska wrócili do Warszawy, a Stolarow pojechał na tournée do Monte Carlo. Nigdy wszakże nie zapomnę tego tygodnia spędzonego razem z nimi, a szczególnie świąt Wielkiejnocy, które obchodziliśmy razem bardzo uroczyście. Ministerostwo Szumlakowscy zaprosili nas wszystkich na święta i w nadzwyczaj miłym i serdecznym nastroju spędziliśmy je, zapominając o tem, że jesteśmy daleko od kraju i rodziny.

Początkowo, nie mogąc znaleźć odpowiednich warunków treningowych, trenowałem wieczorami po ulicach Cannes. Dopiero po przyjeździe do Nicei udało mi się zdobyć pozwolenie na trenowanie w reprezentacyjnym stadjonie południowej Francji w Antibes, gdzie codziennie dojeżdżałem autobusem.

Trenowałem oczywiście codziennie po swojemu, to znaczy jak można najbardziej forsownie. Nic więc dziwnego, że każdy dzień przynosił mi poprawę w formie. Ani się spostrzegłem, gdy upłynęło mi trzy tygodnie i nadszedł czas do powrotu.

Korzystając z okazji zwiedziłem dokładnie całą Riwjerę, byłem nawet w Monte Carlo, aby obejrzeć zbliska słynne Kasyno gry, gdzie zdobywa się lub traci fortuny.

Po powrocie do kraju, czułem się, jakby o kilka lat odmłodzony, a jednocześnie silny i ufny w swe możliwości, jak nigdy. Pełen werwy i chęci, czekałem tylko okazji, by wziąć udział w jakichkolwiek zawodach i sprawdzić swoją formę.

Pobyt na Riwjerze pod każdym względem dodatnio odbił się na mnie. Poza wzmocnieniem formy przedewszystkiem przyczynił się do uspokojenia nerwów i zapomnienia niemal o codziennych troskach, był więc niejako wypoczynkiem. Stwierdzam też z całą pewnością, że zawodnikowi, który doszedł już do pewnego poziomu europejskiego, wypoczynek taki jest konieczny i jeśli można go obliczyć procentowo, to w 40 procentach zaważa na jego formie.

Nie można pominąć milczeniem eskapady naszych hokeistów do Ameryki — Lake - Placid, gdzie, jak wiadomo odbywały się zimowe igrzyska olimpijskie. Wyjazd ten był skandalem, który odbił się głośnem echem zarówno w Ameryce, jak i w Polsce. Jeśli chodzi o stronę propagandową, to niewątpliwie wyrządził nam nieobliczalne szkody. Szeroko zresztą był komentowany w prasie codziennej i zakończył się, jak wiadomo, ustąpieniem zarządu, któremu nie udzielono absolutorjum.

Kiedy przyjechałem do Warszawy, odbywał się akurat doroczny bieg naprzełaj „Wieczoru Warszawskiego", który, jak wiadomo, zdobył sobie już u nas markę, i zawsze obsyłany jest przez najlepszych długodystansowców. Bieg ten w roku bieżącym z niewiadomych mi bliżej powodów, W. O. Z. L. A. skrócił niemal do po-

łowy, co uważam za duży błąd, jeśli chodzi o propagandową stronę zawodów.

W kilka dni po przyjeździe dowiaduję się, że P. Z. L. A. ustalił minimum olimpijskie, które osiągnąć musi każdy z zawodników, mający zamiar jechać na olimpjadę. Jeśli chodzi o mnie, to minima te podzielone były na dwie grupy. Chcąc jechać na Olimpjadę, musiałem osiągnąć albo w biegach: 1500 mtr. 3:55, 5 klm. 14:45, 10 klm. 31:20, albo też czasy nieco niższe, ale wymagające przynajmniej dwukrotnego osiągnięcia, a więc 1500 — 3:57, 5 klm. 14:55, 10 klm. 31:50.

Naogół biorąc, niektóre minima lekkoatletyczne były grubo lepsze od rekordów polskich, a przez to, nic dziwnego, trudne do osiągnięcia. Jeśli chodzi o mnie, to pewny byłem, że minimum swoje osiągnę, szczególnie na 10 klm., które nie było zbyt wygórowane, biorąc pod uwagę obecne moje możliwości. Jeśli natomiast chodzi o ogół, to tak wygórowane minima były, mojem zdaniem, z tego względu niepożądane, że zawodnicy, aby je osiągnąć, musieli bardzo forsownie trenować, co siłą rzeczy musiało się niewątpliwie odbić na ich formie. Skutek był taki, że po osiągnięciu ich, wielu spadło z formy wbrew najszczerszym swoim dążeniom i zabiegom i nic już na to poradzić nie było można.

Po przyjeździe do Warszawy, nie zaniedbuję bynajmniej treningu. W myśl określonego przez siebie jeszcze w ubiegłym roku planu, trenuję na wytrzymałość i szybkość bądź w Łazienkach, bądź też na polu wyścigowem, a pierwszym sprawdzianem mojej formy był siódmy narodowy bieg naprzełaj, który przyniósł mi wielki sukces w postaci nadzwyczaj łatwego zwycięstwa. Przekonał mnie on, że znajduję się obecnie w tem położeniu, iż nie potrzebuję obawiać się ani dystansu, ani zawodników. W biegu tym zdobywam dwa puhary na własność: puhar Ośrodka i redakcji „Stadjonu".

Na starcie stanęło blisko 600 zawodników z całej Polski. Do 2 klm. biegnę jako ósmy. Jednak po tym dystansie odrywam się raptownie od Adamczyka, Puchal-

skiego, Milcza i Strzałkowskiego i sam prowadzę bieg aż do mety. Bieg ten skończyłem specjalnie ostro finiszując, mimo to jednak przyszedłem na taśmę zupełnie świeży i niezmęczony. Czułem się zarówno pod względem fizycznym jak i technicznym, daleko lepiej, niż w roku zeszłym. To też Klumberg jest zadowolony może nawet więcej ode mnie. Ma wprawdzie jeszcze zastrzeżenia co do pracy moich rąk, ale, jak sądzi i te usterki w ciągu krótkiego czasu ustąpią, tembardziej, że nareszcie poznałem „tajemnicę", jak należy pracować rękami.

Jak już powiedziałem, czuję się doskonale, utrzymując się w nadzwyczajnej kondycji zdrowotnej, która jest wynikiem specjalnej troski, aby przebywać w jak najbardziej higjenicznych warunkach.

Pobyt na Riwjerze nie pozwolił mi wziąć udziału w dorocznym biegu „Kurjera Poznańskiego", zdążyłem zato akurat, aby wyjechać do Krakowa i przywieść zdobyty na własność piękny puhar, jako nagrodę biegu „I. K. C.". I tutaj powtórzyła się ta sama historja, co z siódmym narodowym biegiem naprzełaj, bez wysiłku bowiem prawie, daleko łatwiej, niż w roku ubiegłym udaje mi się przebyć wyznaczony dystans.

Jakkolwiek pierwsze dwa starty zaznaczyły się zwycięstwami i kazały mi mniemać, że znajduję się w doskonałej formie, to jednak nic pewnego o niej powiedzieć nie mogłem, gdyż uważałem i uważam, że prawdziwym wykładnikiem formy zawodnika jest dopiero start na bieżni. Pierwszym takim startem miał być bieg na 3 klm., w którym miałem wziąć udział na jubileuszowych zawodach „Cracovii".

Czas uzyskany w tym biegu oraz samopoczucie i zachowanie się moje, przeszły najśmielsze oczekiwania. Biegnąc, prawie bez żadnej konkurencji, uzyskałem dobry czas 8:46,6, pomimo, że biegłem, jak to się mówi „jak chciałem". Jeden jedyny tylko Modzelewski z „Wisły" nie otrzymał wyrównania ode mnie, ale też przyszedł prawie o minutę później. Innych, którzy

otrzymali wyrównanie od 180 do 200 metrów, zdublowałem już po czterech okrążeniach.

Bieg rozegrany w takich warunkach nie dawał mi pełnego zadowolenia, w każdym jednak razie utwierdzał mnie w przekonaniu, iż wyrobiłem sobie nareszcie odpowiednią szybkość, którą za wszelką cenę postanawiam przez treningi zwiększyć jeszcze bardziej.

Mniejwięcej w tym czasie klub mój „Warszawianka", po uciążliwych staraniach i przezwyciężeniu olbrzymich trudności finansowych, przystąpił do budowy własnego stadjonu na terenach, udzielonych mu przez magistrat. Nie będę tu opisywał, jak byłem z tego szczęśliwy i dumny. Własny stadjon, własny gmach i lokal niewątpliwie przyczynią się do większego zogniskowania pracy w klubie i oczywiście podniosą prestiż jego nazewnątrz. Obecnie stadjon nasz znajduje się w trakcie budowy i jeśli tylko warunki finansowe dopiszą szczęśliwie, za dwa lata będzie całkowicie wykończony.

W każdym razie już dzisiaj mieści się tam sekretarjat oraz są już czynne korty tenisowe i treningowe boisko dla piłkarzy.

Jako następny mój start wybieram drużynowe mistrzostwa Warszawy, w których biegam na 5000 mtr., oraz w sztafecie „Warszawianki" 3×1000.

Bieg na 5000 mtr. rozgrywam niezwykle łatwo i wygrywam do Puchalskiego o przeszło minutę w czasie 14:58 przy dość niesprzyjających warunkach atmosferycznych. Pomimo dobrego czasu przychodzę zupełnie świeży, co wskazuje, że gdybym miał odpowiednie warunki, a przedewszystkiem konkurencję, niewątpliwie czas ten obniżyłbym conajmniej o 10 sekund. W sztafecie 3×1000 drużyna nasza przychodzi trzecia za A.Z.S. i Polonją przyczem na finiszu przegrywam o pierś do Maszewskiego, nadrobiwszy jednak na swoim kilometrze kilkadziesiąt metrów.

Uśmiałem się setnie następnego dnia, gdy wyczytałem w niektórych dziennikach alarmujące wiadomo-

ści, jakobym raptownie spadł z formy, gdyż „przegrałem nawet do Maszewskiego". Ci jednak panowie, którzy o tem pisali, zapomnieli widocznie o jednem, że miałem przecież kilkadziesiąt metrów wyrównania, których nie da się pokryć w ciągu jednego kilometra.

Rozdział XXXII.

Od 15-go maja PZLA organizuje na Bielanach w Ciwf'ie drugi kurs przedolimpijski, na którym znaleźli się najlepsi nasi lekkoatleci, a więc: Wajsówna, Schabińska, Brejerówna, Manteuflówna, Mikrut, Heljasz, Nowak, Pławczyk, Siedlecki, Kostrzewski i ja. Korzystając z doświadczenia z obozu poznańskiego, PZLA wprowadził cały szereg inowacyj w obecnym obozie, tak że czuliśmy się naogół na Bielanach doskonale. Nie uchroniło to nas jednak od nudy, którą musieliśmy znosić nie raz. Szczególniej dała się ona we znaki naszym kolegom zamieszkałym na prowincji. Jeśli chodzi o mnie, to szczerze mówiąc, obóz ten nie był dla mnie niezbędny, znajdowałem się bowiem w takiej formie, że indywidualny mój trening całkowicie gwarantował osiągnięcie niezbędnego minimum, potrzebnego na wyjazd do Los Angeles. Na Bielanach znalazłem się tylko dlatego, że po pierwsze, miałem blisko Klumberga, który rzeczywiście bardzo sumiennie zajął się moim treningiem, do tego stopnia, że sam mnie masował aż do wyjazdu na Olimpjadę, oraz dlatego, że nie chciałem aby mówiono i pisano o mnie, że jestem zbyt zarozumiały co do swojej formy.

Sumienna praca Klumberga już po kilkunastu dniach wydała owoce. Wajsówna, Pławczyk i Heljasz te największe nasze nadzieje olimpijskie z każdym niemal dniem poprawiali swoją formę, osiągając coraz lepsze wyniki. Ja również nie mogłem narzekać na swoje. Czułem się doskonale i wszystkie treningi regulowane wprawnym okiem Klumberga dawały mi rękojmię, że

mogę mieć szanse na tegorocznej Olimpjadzie. W odróżnieniu od moich niektórych kolegów, nie nudziłem się bynajmniej w obozie. Korzystając z uprzejmości kpt. Mierzejewskiego i p. Szlachciaka — kierowników obozu — przyjeżdżałem dość często do Warszawy, aby tu w gronie kolegów i przyjaciół rozerwać się i zapomnieć na chwilę o ciężkiej pracy treningowej.

Program dnia na Bielanach nie różnił się zasadniczo od programu obozu poznańskiego. I tak więc, rano gimnastykowaliśmy się, aby po śniadaniu odbyć krótki i lekki trening rozruszający w lesie.. Po obiedzie, po krótkim odpoczynku każdy z nas stosował swój indywidualny trening na świetnym stadjonie Ciwi'u, wieczorem zaś odbywały się gruntowny masaż i spacer.

Wyniki osiągane przez lekkoatletów przebywających w obozie nastrajały niezwykle optymistycznie, kierownictwo obozu przedewszystkiem zaś Klumberga, który rokował naszej drużynie duże sukcesy w Los Angeles. Szczególniej Wajsównie, Heljaszowi i mnie.

Chodziło teraz tylko, aby jak najczęściej startować, aby osiągnąć, że się tak wyrażę, zaprawę nerwową, którą przecież w pierwszym rzędzie osiąga się tylko na starcie, a która jest niezbędna i konieczna do osiągnięcia zwycięstwa. Pierwszym takim sprawdzianem miałyby być zawody, urządzane przez WOZLA na stadjonie AZS. Uzyskawszy zgodę kierownictwa obozu na wzięcie udziału w zawodach, zgłaszam próbę pobicia rekordu Polski na 1000 metrów, jedynego rekordu Forysia, który zdołał się do obecnej chwili utrzymać.Zawody te odbyły się przy licznym udziale zawodników, nie mogłem jednak pominąć przykrego faktu, który mnie specjalnie dotknął na nich. Zawody miały być eliminacją na doroczny mecz jaki rozgrywaliśmy z Belgami w Antwerpji. Ponieważ zgłosiłem próbę pobicia rekordu na 1000 metrów, nie chciałem biec na 1500, który to bieg znajdował się w programie zawodów. Tymczasem AZS urządził mi takiego figla, że skasował bieg na 1500 metrów, a wszystkich zapisanych do niego wystawił do biegu na 1000 me-

trów. Zaoponowałem przeciwko takiemu zarządzeniu, w końcu jednak musiałem się zgodzić, jednakże pod warunkiem, że wszyscy zgłaszający się otrzymają ode mnie wyrównanie. Chodzi mi o to, abym na ostatnich metrach miał kogoś, którego będę mógł gonić, a więc będę się mógł podciągnąć w czasie. Chodziło mi (biorąc pod uwagę moją formę, miałem powody tak sądzić) o osiągnięcie czasu poniżej 2:30. Tymczasem p. Kuźmicki nie zgadza się na wyrównanie i uważa, że jest dla mnie dostatecznym konkurentem, aby biegać ze mną od startu do mety.

Wobec kategorycznego stanowiska p. Kuźmickiego organizatorzy pozwalają mu biegać ze mną, co jednak wydaje mi się conajmniej niewłaściwe, biorąc pod uwagę, że przepisy PZLA wyraźnie powiadają, że w biegu w którym jeden z zawodników zgłosił próbę pobicia rekordu, zawodnik ten jest na prawach gospodarza i może decydować o startowaniu poszczególnych zawodników. Nie chcąc jednak zaostrzać sytuacji, zgadzam się na start Kuźmickiego, chociażby dlatego, aby położyć kres plotce, jaką rozpuścili organizatorzy, że boję się startować wspólnie z Kuźmickim, który znajduje się w doskonałej formie i który ma wszelkie widoki, aby mnie pobić na tym dystansie.

Już pierwsze okrążenie wykazuje moją przewagę nad nim. Otwieram niezwykle ostre tempo i w drugiem okrążeniu zaczynam dublować niektórych zawodników. Gdyby nie Kuźmicki, który rzeczywiście przeszkadzał mi zamiast pomagać, (bierzmy przykład z zagranicy!) z pewnością uzykałbym czas taki, jak przewidywałem, to jest poniżej 2:30. Mimo to jednak kończę bieg w rekordowym czasie 2:31 (rekord Forysia wynosił 2:33,9), który potwierdza już przedtem uczynione przeze mnie spostrzeżenia, że zdobyłem nareszcie tak niezbędną dla mnie szybkość.

Zawody te, pomimo dobrego wyniku, jaki na nich osiągnęłem, były dla mnie o tyle nieprzyjemne, że pomijając już sprawę AZS, o której wspomniałem wyżej,

skończyły się dla mnie rozbiciem przyjaźni z Żubrem, którego doprawdy bardzo lubiłem i szanowałem. Nie chcę się o tem rozpisywać, ale niestety, wszystko ma swoje granice.

Tymczasem wiele wrzawy w polskim świecie sportowym zrobił wywiad jednego z najpopularniejszych pism sportowych w Polsce z doskonałym długodystansowcem fińskim Lehtinenem, moim najgroźniejszym rywalem na Olimpjadzie, który właśnie teraz osiągnął na zawodach w Helsingforsie w biegu na 5 kilometrów czas 14:31,7, a więc o 3,5 sekundy gorszy od rekordu świata. Jak wiadomo, Lehtinen, Iso-Holo i Virtanen są uważani w Finladji za biegaczy jeżeli nie równych Nurmiemu, to w każdym razie stojących na tym samym poziomie, nic dziwnego więc, że wywiad wzbudził sensację i narobił wiele hałasu.

Oto co mówi Lehtinen:

— Kusociński jest największym i najgroźniejszym przeciwnikiem na świecie dla naszych długodystansowców i ma już dzisiaj wielkie szanse zdobycia dobrego miejsca w Los Angeles, w najgorszym wypadku ma zapewnione czwarte miejsce. Nikt, prócz Finów, nie pobije go.

— Na Olimpjadzie w biegu na 10 kilometrów zwycięży z pewnością Nurmi (nie było jeszcze wtedy definitywnie ustalone, czy dyskwalifikacja Nurmiego zostanie zatwierdzona) i to w czasie około 30:15. Drugie i trzecie miejsce przypadną Iso-Holi i mnie, myślę zaś, że Kusociński osiągnie czas 30:40, co wystarczy mu w zupełności na zajęcie czwartego miejscą.

— Kusociński jest bezwątpienia zawodnikiem pierwszej klasy — mówił Lehtinen — sądzę jednak, że swoje właściwe słowo powie dopiero w latach 1933 34, w których zapewne osiągnie szczytową formę, pozwalającą mu na pobicie wszystkich rekordów świata.

Na pytanie dziennikarza, do jakiego poziomu mogą zostać obniżone rekordy Nurmiego, a więc gdzie jest

granica możliwości wysiłku ludzkiego Lehtinen odpowiedział:

— Sądzę, że 10 kilometrów można przebiec w 30 minut, a granice możliwości ludzkiej w biegu na 5 kilometrów oznaczyłbym na czas 14:20. Rekord Ladoumegue'a na 1500 metrów uważam za doskonały i sądzę, że pobić go można najwyżej o ułamek sekundy.

Na pytanie dlaczego Finowie osiągają tak świetne wyniki w biegach długodystansowych i są prawie o klasę lepsi od zawodników innych krajów, Lehtinen odpowiedział:

— Sukcesy swoje zawdzięczają Finowie nie specjalnym talentom, jak to wielu sądzi, lecz wielkiemu rozpowszechnieniu i zrozumieniu sportu w społeczeństwie fińskiem, gdzie kultura fizyczna stoi bardzo wysoko. Nasze powodzenie jest owocem racjonalnego treningu, prowadzonego przez wiele lat, a pewność siebie i opanowanie nerwów są tylko czynnikami pomocniczemi, pozwalającemi nam na pokonanie przeciwników.

— Ja sam — mówi dalej Lehtinen — w roku 1925 osiągnąłem w biegu na 1500 metrów czas 5:25, a w roku 1928 — 16:20 na 5 kilometrów. Wyśmiewano mnie z tego powodu, lecz nie przestałem trenować, nie tracąc wiary w siebie i częściowo dzięki autosugestji doprowadziłem do tego, że swoje czasy obecnie poprawiłem o całą klasę.

Za najgroźniejszego ze swoich przeciwników na 10 kilometrów uważam oczywiście przedewszystkiem Nurmiego a następnie Iso-Hollę i Kusocińskiego, zaś na 5 kilometrów moimi najgroźniejszymi przeciwnikami są Iso-Hollo, Kusociński, Virtanen i Lermond.

Przytaczając powyższy wywiad z jednym z najlepszych długodystansowców świata i to w przededniu Olimpjady, chodzi mi w pierwszym rzędzie o podkreślenie, jak bardzo zagranica interesuje się naszą lekkoatletyką oraz moją skromną osobą.

Mniej więcej w tym samym czasie zwrócił się do mnie korespondent fińskiego pisma sportowego „Id-

rotdsbladet", z prośbą o kilka słów na temat ewentualnych moich startów na Olimpjadzie. Bez wahania odpowiedziłem mu, iż oczywiście za najgroźniejszego swojego przeciwnika na 10 klm. uważam Nurmiego, na 5 klm. obawiam się tylko Lehtinena. W każdym jednak razie — oświadczyłem mu — jeżeli przegram, to przegram z pewnością na ostatnich metrach. Walczyć jednak będę z pewnością do ostatniego tchu.

Mniejwięcej w połowie obozu specjalny lekarz P. Z. L. A. przeprowadzał badania zawodników, ażeby przedewszystkiem sprawdzić naszą kondycję zdrowotną, pozatem uchronić nas od tej „przyjemności", której każdy z cudzoziemców musi się poddać przy wjeździe do Stanów Zjednoczonych. Gdy mi Klumberg w kilka dni później zdradził tajemnicę owego badania, zmartwiłem się niepomiernie. Oto lekarz stwierdził, iż serce mam nie w porządku i nawet zabronił mi w najbliższych dniach trenować.

Jak wspomniałem, zmartwiłem się ogromnie, ale jedno cześnie byłem niesłychanie zdziwiony, gdyż czułem się doskonale i nigdy nie odczuwałem ani bicia, ani kłucia w sercu.

Nie zważam jednak ani na ujemne wyniki badań lekarskich, ani też na uwagi Klumberga, lecz trenuję dalej. I cóż się okazuje? Kiedy w parę dni potem na mistrzostwach Warszawy w biegu na 10 kilometrów zdobyłem, jako jeden z pierwszych, minimum olimpijskie i kiedy troskliwy Klumberg polecił lekarzom zaraz po biegu zbadać mnie, „nieporządki" sercowe, o dziwo, ustąpiły, miałem oddech zupełnie normalny, wykluczający jakiekolwiek zaburzenia w sercu. Wszystkich ogarnęło zdziwienie. Przedewszystkiem lekarza, potem Klumberga, a ja cieszyłem się na „całego". Nie trzeba przytem zapominać, że pomimo zupełnego braku konkurencji, w biegu tym osiągnąłem czas 30:31,4, który był w roku bieżącym najlepszym wynikiem w Europie. Najciekawsze, że wynik ten przewyższa również o 9 sekund wynik Nurmiego z przed tygodnia.

A więc wyjazd mój na Olimpjadę postanowiony! Nareszcie cel, do którego dążyłem, w pełni osiągnięty i wszystkie marzenia spełnione. Czyż ktokolwiek na świecie czuł się szczęśliwszym ode mnie? Napewno nie.

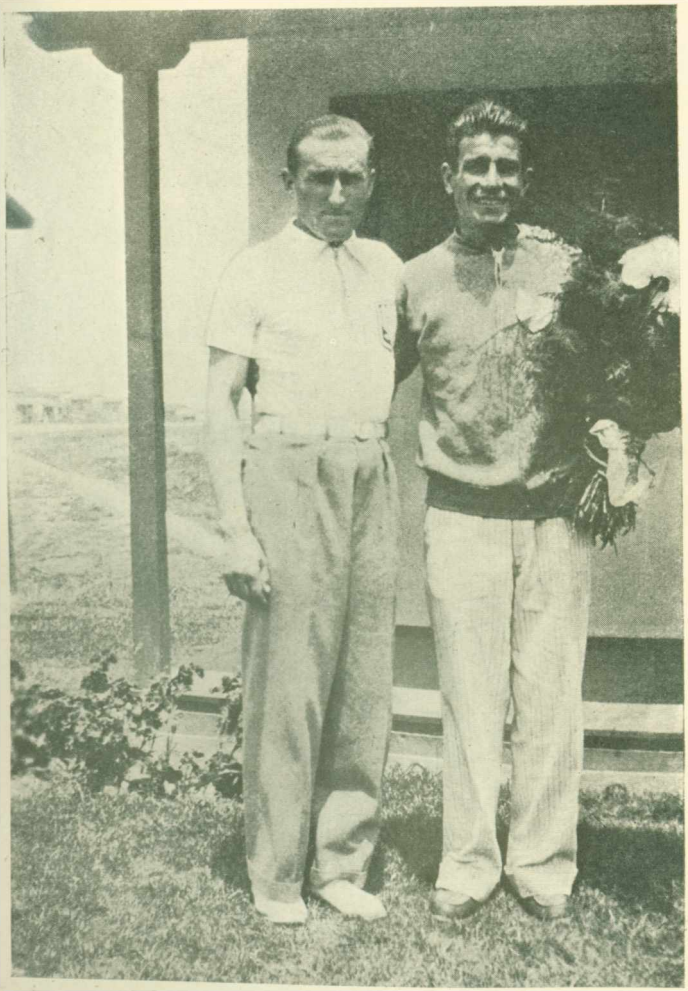
Rozdział XXXIII.

Mając już zapewniony wyjazd na Olimpjadę nie osiadłem bezczynnie „na laurach", przeciwnie. Pod okiem inżyniera Znajdowskiego i kochanego Klumberga, którzy wzięli mnie w obronę przed lekarzami, zabieram się z tem większą ochotą do treningu i staram się jak najczęściej startować. To też już pod sam koniec obozu wyjeżdżamy do Katowic, na zawody, gdzie koniecznie chcę wykreślić z tabeli polskich rekordów nazwisko Petkiewicza, które pozostało z dawnych jego dobrych czasów przy jednym tylko dystansie t. j. na 1500 metrów. Udaje mi się to w zupełności, uzyskuję doskonały czas 3:54, lepszy o 3,2 sekundy od rekordu Petkiewicza i zdobywam po raz drugi minimum olimpijskie (3:55), choć nie na swoim dystansie.

Naogół zawody w Katowicach udały się nadzwyczajnie. Olimpijczycy spisali się dzielnie. Padły aż 4 rekordy polskie oraz 1 światowy w sztafecie 3:800.

Dziwne może się to wydać, ale przed obozem olimpijskim myślano, iż niektóre rekordy polskie są tak wyśrubowane, że nie uda się ich tak łatwo pobić, tymczasem racjonalny trening i wszechstronne przygotowanie sprawiło to, że z rekordami temi „załatwiono się" więcej niż łatwo.

Po tych zawodach oraz po eliminacjach z innych dziedzin sportu, polski komitet olimpijski w porozumieniu z zainteresowanemi związkami ustalił, iż na Olimpjadę do Los Angeles jadą bronić barw polskich lekkoatleci, szermierze i wioślarze. Mieli jeszcze jechać bokserzy i kolarze, z powodu jednak swej zbyt słabej formy, nie mając szans musieli pozostać w kraju. Nie-



Na drugi dzień po zwycięstwie Zabali w maratonie złożyłem mu wizytę. Zdjęcie przed budynkiem wioski olimpijskiej.



Po Olimpjadzie odbył się w Domu polskim bankiet na cześć drużyny olimpijskiej, w którym wzięło udział przeszło 400 osób.

wątpliwie odgrywał tu rolę również wzgląd finansowy, brak bowiem funduszów nie pozwalał na wysłanie większej ekspedycji za ocean.

Tymczasem zbliżał się termin dorocznego międzypaństwowego meczu lekkoatletycznego w Antwerpji, dokąd zostaliśmy jak rokrocznie zaproszeni. Pomimo tego, iż, jak już mówiłem, chciałem jak najczęściej startować i pomimo, że w Belgji nas tak serdecznie przyjmują, jechałem do Antwerpji bez większego zadowolenia. Spowodowane to było tem, że niepotrzebnie rozreklamowano zarówno w prasie belgijskiej jak i w polskiej, iż zamierzam pobić rekord światowy Nurmiego na 3 kilometry. Nie leży w mojej naturze, abym naprzód mówił i rozgłaszał to, co mam robić. I nie lubię tego. To też „wylądowałem" w Antwerpji w jak najgorszym humorze.

Publiczność, która dowiedziała się, że zamierzam atakować rekord Nurmiego, licznie stawiła się na olbrzymim olimpijskim stadjonie. Przyznaję jednak otwarcie, że ani przed biegiem, ani nawet w pierwszej jego części nie przypuszczałem, abym mógł pobić rekord, który przecież sam Nurmi uważał, jako jeden ze swoich lepszych wyników. Tem więcej, nie przypuszczałem, że go pobiję, gdyż nie mając odpowiedniej konkurencji, nie miałem z kim walczyć.

Do biegu stanęło kilkunastu zawodników, otrzymuję przytem najgorsze miejsce, ostatnie bowiem z prawej strony. Mimo to, na strzał startera wysuwam się raptownym zrywem naprzód i z punktu obejmuję prowadzenie. Jak już powiedziałem, biegnąc przez pierwsze 1500 metrów, nie przypuszczałem, że uda mi się moja próba w zupełności, dopiero gdy spojrzałem na stoper i sprawdziłem, iż po 1500 metrach miałem czas 4:0,5 i gdy mi w chwilę potem, Kostrzewski krzyknął ten sam czas, dopiero wówczas zacząłem biec z myślą o zwycięstwie. Pobicie jednak tego rekordu przyszło mi niezwykle trudno. Trudno dlatego, że w drugiej części biegu nie byłem przez nikogo dopingowany, ani

też nie miałem nikogo przed sobą. Dopiero na ostatniem kole jeden z Belgów zatrzymał się specjalnie i podciągnął mnie tak, że przerywam taśmę w 8:18,8, zdobywając nowy rekord świata, lepszy o 1,4 sekundy od rekordu Nurmiego.

Z wyniku tego mogłem być zupełnie zadowolony, jeśli się zważy, że Nurmi już na miesiąc przed ustanowieniem tego rekordu zaczął się pilnie przygotowywać, a nawet wyjechał do Sztokholmu i tam na reprezentacyjnym stadjonie przez cały czas forsownie trenował. Pozatem, kiedy już zgłosił próbę bicia rekordu, sam bieg rozgrywał w doskonałej konkurencji światowej z Widem na czele. Walka też przez cały czas biegu była otwarta i dopiero na ostatnich metrach Nurmi wysunął się naprzód i wygrał do Widego o 2 metry w czasie 8:20,4.

Publiczność przyjęła mój wynik długo niemilknącemi okrzykami, to też musiałem wyjść z szatni z powrotem na bieżnię, przebiegając jeszcze jedno okrążenie. Nic dziwnego więc, że czułem się zadowolony i dumny.

Po biegu podszedł do mnie p. minister Jackowski, który w miłych słowach gratulował mi zwycięstwa i zaprosił do siebie do Brukseli. Uzyskawszy zgodę kierownika ekspedycji kap. Misińskiego, wyjechałem tam i bez przesady powiem, że te kilka dni, spędzonych w Brukseli, należy niewątpliwie do najprzyjemniejszych chwil mego życia. Był to bodaj pierwszy mój wyjazd zagranicę, który mogłem spędzić beztrosko i wykorzystać go rzeczywiście dla siebie.

W kilka dni po moim przyjeździe do Warszawy dowiaduję się z dzienników, że Lehtinen na eliminacyjnych zawodach olimpijskich w Helsingforsie pobił rekord światowy Nurmiego na 5.000 metrów uzyskując fenomenalny wprost czas 14:16,9, przeszło o 12 sekund lepszy od dotychczasowego. W tymsamym biegu wypadł drugi rekord światowy na 3 mile angielskie. Lehtinen trasę tę przebył w 13:50,6, a więc znów o kilkanaście sekund lepszy od rekordu Nurmiego.

Nic dziwnego, że po tak wspaniale uzyskanych czasach Lehtinen wysunął się na czoło długodystansowców świata i stał się ogólnym faworytem na zbliżającej się Olimpjadzie.

Mając już pewność, że wyjadę na Olimpjadę, gdy tylko przybyłem z Brukseli do Warszawy, zacząłem przygotowywać się do długiej i męczącej podróży, jaka mnie niebawem czekała. Z tego też względu nie miałem zamiaru startować przed wyjazdem. Tymczasem jednak w kilka dni potem odbyły się mistrzostwa Polski w Warszawie i Związek nalegał gorąco, abym wziął udział. Dopiero na trzy dni przed zawodami, zdecydowałem się na start, ale pod warunkiem, że będę biegał tylko 800 metrów. I rzeczywiście biegałem na tym dystansie ku zmartwieniu W. O. Z. L. A., który do dzisiejszego dnia nie może mi tego przebaczyć. Przychodzę pierwszy w doskonałym czasie 1:56,6, którego nie osiągnął żaden z zawodników polskich po ustanowieniu rekordu przez Kostrzewskiego (1:55). Naogół mistrzostwa stanęły na bardzo wysokim poziomie, niemal we wszystkich dziedzinach lekkiej atletyki. Na zawodach tych Heljasz pobił rekord świata w kuli oburącz, Pławczyk zaś osiągnął w skoku wzwyż 196 cm., który to wynik był najlepszym z uzyskanych w Europie.

Jak już wspomniałem, na Olimpjadę wyjechać mieli z ramienia Polski lekkoatleci, szermierze i wioślarze. Obecnie już został definitywnie ustalony skład naszej reprezentacji . I tak z lekkoatletów wyjeżdżają: Weissówna i Schabińska oraz Pławczyk, Siedlecki, Heljasz i ja, z szermierzy: Papee, Nycz, Dobrowolski, Suski, Segda i Frydrych oraz wioślarze: Budziński, Mikołajczak, Braun, Urban, Ślązak, Kobyliński, Skolimowski. Pozatem jechali trenerzy Klumberg Schombatelli i Haspel. Kierownictwo kursu: konsul Hulanicki i kpt. Baran i przestawiciel P. U. W. F. generał Ruppert, kpt. dr. Barhenbachem oraz przedstawicielka PATA p. red. K. Muszałówna i prasy red. Erdman. W Nowym Jorku przyłączyć się miała do nas znakomita sprinterka, mi-

strzyni świata Stanisława Walasiewiczówna, która wyraziła chęć startowania na Olimpjadzie w barwach polskich.

Ekspedycja nasza wyjechać miała 2 lipca z Gdyni na okręcie „Pułaski", ja zaś, ponieważ nie mogłem tyle dni zostawać bez treningu, miałem wyjechać wcześniej do Cherbourga i stamtąd na „Mauretanii", jednym z najszybszych okrętów na świecie, odbyć podróż przez ocean.

Na kilka dni przed wyjazdem w Poznaniu odbyć się miał mecz lekkoatletyczny z reprezentacją Wiednia. Poznański okręg lekkoatletyczny prosił mnie usilnie, abym zgodził się jeszcze raz startować na tych zawodach na dystansie czterech mil angielskich i, jeśli to jest możliwe, zaatakować rekord Nurmiego. Nie mogłem odmówić kochanym Poznaniakom, to też, jakkolwiek nie miałem najmniejszej chęci do startu, wyjechałem do Poznania na zawody. Gdy jednak stanąłem już na bieżni i kiedy grzmot oklasków posypał się z przepełnionych trybun, zacząłem na serjo myśleć o zaatakowaniu rekordu.

Po sprawdzeniu stoperów i oznaczeniu sobie poszczególnych odcinków na bieżni, ruszam sam jeden naprzód. Po przebiegnięciu 1437 mtr. rozpoczynają start zawodnicy do biegu na 5 klm. Już pierwsze okrążenia wskazują na to, że rekord wisi na włosku, bowiem tempo, pomimo, że go specjalnie nie reguluję, mam równe i pomimo olbrzymiego upału, czuję się świetnie. Dystans, jaki dzieli mnie od pozostałych zawodników, niemal z każdem okrążeniem się zmniejsza i po jedenastem okrążeniu zaczynam mijać po kolei wszystkich. Ostatnie dwa okrążenia biegnę w bardziej przyśpieszonem tempie i wśród ogłuszających braw i okrzyków, rwę taśmę bez śladu zmęczenia o dobre 80 metrów przed innymi.

Jakkolwiek nie wiedziałem zaraz po biegu czy rekord został pobity, zorjentowałem się jednak, że jeśli nawet nie pobiłem go, to w każdym razie uzyskałem czas bardzo zbliżony.

Jakżeż czułem się szczęśliwy, i uradowany, kiedy w kilka chwil potem megafon obwieścił wszystkim, że rekord Nurmiego na cztery mile angielskie został pobity o całe 13 sekund. Teraz już bez przesady mogę powiedzieć, że miałem prawo być dumny z tego bodaj największego sukcesu, jaki odniosłem w swojem życiu. Był to już drugi rekord, jaki odebrałem Nurmiemu i to w najtrudniejszych warunkach, bo w walce z czasem. Dlatego dziś wolno mi już mówić o tem, że Nurmi w swojej karjerze sportowej popełnił zasadniczy błąd, gdyż powinien był jak najczęściej atakować swoje rekordy światowe, miał bowiem daleko większe możliwości, niż ja, Lehtinen, czy Iso Hollo. Gdyby to robił, napewno długie lata jeszcze upłynęłyby, zanim znalazłby się drugi Nurmi, któryby mógł go wymazać z tabeli rekordów światowych. Niewiadomo jednak, czy gdyby Nurmi chciał stale atakować swoje rekordy, zdołałby się tak długo utrzymać w formie.

Pomimo tak wspaniałego wyniku, jaki osiągnąłem w Poznaniu, mam niezbyt przyjemne wspomnienia z pobytu w tem mieście, gdyż organizatorzy zachowali się w stosunku do mnie nielojalnie. Sam wszystko musiałem załatwiać, nikt mną się nie zaopiekował.

Po przyjeździe do Warszawy zacząłem już gorączkowo przygotowywać się do podróży, za dwa dni bowiem przejeżdżałem przez Berlin i Paryż do Cherbourga. Nie dziwcie się, że pomimo tego, iż tyle podróży odbyłem w swojem życiu, nie wiedziałem doprawdy, jak się do tej przygotować. To też pakowałem się do niej kilka razy.

Rozdział XXXIV.

Aż wreszcie nadszedł ten pamiętny dla mnie dzień 30 czerwca. Już na godzinę przed odejściem pociągu znalazłem się na dworcu, nie mogąc się doczekać chwili odjazdu. Razem ze mną przybyli przedstawiciele związku oraz koledzy klubowi p. płk. Geblem na czele. W czasie pożegnania sprawili mi oni wielką niespodziankę i jednocześnie dali jeszcze raz dowód swojej

przyjaźni i sympatji dla mnie, wręczając mi wspaniały sygnet klubu „Warszawianki", jako nagrodę za zdobycie pierwszego rekordu światowego. Wśród miłego nastroju i mnóstwa życzeń upłynął mi czas do odejścia pociągu. Z radością, a jednocześnie z jakimś podświadomym żalem wyjeżdżałem z Warszawy. Gdy tylko pociąg ruszył, zaczęły mi się tłuc po głowie myśli, nie dając spokoju: zwycięstwo czy klęska. Starałem się zapomnieć o tem i zdobyć równowagę, nie na wiele mi się to jednak przydało. Jakkolwiek bez żadnych przygód, dzięki załatwieniu wszystkich formalności przez Związek przyjechałem jednak zdenerwowany następnego dnia rano do Paryża. Tu spotykam na stacji swojego starego znajomego, urzędnika konsulatu p. Gryżewskiego, od którego dowiaduję się, iż mam kilka godzin czasu do odejścia pociągu do Cherbourga. Korzystając z tego jedziemy na boisko, gdyż nie chcę tracić żadnej okazji.

Przyjeżdżamy na boisko, na którem w roku zeszłym zdobyłem nagrodę Jean Bouin'a. Dowiaduję się, że niema zarządzającego, i że popołudniu mają się odbyć zawody. Wobec tego nie uzyskałem pozwolenia na odbycie treningu. Niewiele również pomogła protekcja p. Ladoumegue, matki słynnego biegacza francuskiego, do której zwróciłem się o pomoc. Rozbrajający był widok, kiedy maleńka, 5-letnia córeczka p. Ladoumegue oburzała się na to, że nie pozwalają biegać zawodnikowi, który przecież zdobył nagrodę największego sportowca Francji. Podziwu godnym jest fakt że to 5-letnie dziecko znało doskonale wszystkie wyniki i czasy lepszych zawodników, którzy startowali na tym stadjonie w ciągu ostatnich lat.

W pierwszej chwili nie wiedziałem gdzie się udać, dopiero p. Gryżewski poradził mi i pojechaliśmy na boisko trawiaste Racing-Clubu, gdzie odbyłem normalny trening oraz wykąpałem się, odświeżając się w ten sposób po podróży.

Po drodze na dworzec, po załatwieniu kilku drobiazgów wstąpiliśmy do Cocheta, ale niestety „białego" mi-

strza nie zastaliśmy w domu. Na dworcu dowiadujemy się, że tym samym pociągiem ma odjeżdżać olimpijska reprezentacja Finlandji z Nurmim na czele. Po wyjściu na peron łapie nas kilkunastu dziennikarzy, prosząc o wywiady, jednocześnie fotografowie migają nam aparatami przed oczami.

W chwili gdy już miałem wsiadać do pociągu, naraz, o dziwo, podchodzi do mnie Nurmi i uśmiechając się życzliwie, ściska mi serdecznie dłoń. Zdumiałem się niepomiernie. W oka mgnieniu przypomniałem sobie nasze zeszłoroczne spotkanie w Warszawie, kiedy to wielokrotny mistrz świata raczył mi zaledwie dwuch palców użyczyć.

Niemal równocześnie ze mną przybył na dworzec konsul Chmieliński, który nadzwyczaj serdecznie pożegnał się ze mną, życząc mi powodzenia.

Punktualnie o jedenastej przepełniony do ostatniego miejsca pociąg rusza, aby w niespełna cztery godziny zawieść nas do Cherbourga. W pociągu zapoznałem się z Finlandczykami, którzy jednak odnosili się do mnie z rezerwą badając mnie od stóp do głowy.

Ponieważ byłem głodny, o g. 1 zjadłem solidny obiad, zapominając zupełnie o przestrogach i nauczkach, jakie mi dawali koledzy jeszcze przed wyjazdem z Warszawy. Dopiero, gdy zobaczyłem Nurmiego, jak wszedł do wagonu restauracyjnego i wypił filiżankę rosołu i zjadł bułkę, przypomniało mi się, że przecież jeszcze dziś wsiądę na okręt i o zgrozo, że z pewnością jeszcze dziś czeka mnie morska choroba.

Przykre zajście miałem w pociągu z celnikami, którzy zażądali ode mnie dwóch dolarów, jak tłumaczyli, za wjazd do Ameryki. Pieniędzy oczywiście im nie dałem. Wreszcie wjechaliśmy w centrum Cherbourga.

Pociąg stanął prawie w samym porcie. W jednej chwili „rzucili się" na nas przedstawiciele linji okrętowej, do której należy „Mauretania", aby ułatwić nam wszystkie formalności. Tutaj bodaj po raz pierwszy w życiu miałem możność sprawdzić, co może

dać pomysłowość i świetna organizacja. Nie troszcząc się o nic, nawet o swoje bagaże, pasażer niemal w okamgnieniu po wyjściu z pociągu znajduje się w małym stateczku, który odwozi wszystkich do „Mauretaniii", stojącej przy zewnętrznem molo w porcie. Korzystając z tego że do odpłynięcia okrętu pozostało kilkanaście minut, napisałem pierwsze listy do kraju. Następnie nie mogłem nadziwić się wspaniałym urządzeniom i niemal przepychowi jakie posiada „Mauretania". Cóż to za kolos. Blisko 30.000 tonn pojemności, a mimo to jest jednym z najszybszych okrętów świata. Pierwsze spojrzenie na pokład, który w obwodzie przypuszczalnie miał ponad 300 metrów, usunęły moje obawy co do treningu. Miałem nadzieję, że albo w porze obiadowej, albo też wieczorem, kiedy na pokładzie będzie najmniej osób, będę mógł trenować.

Wreszcie po przeładowaniu poczty i bagażów, przy dźwiękach orkiestry i przeraźliwego ryku syren podnieśliśmy kotwicę, aby w kilka chwil potem wypłynąć na pełne morze. Nigdy nie zapomnę tego widoku, jaki wówczas przede mną się roztoczył. Niezwykłego uroku dodawała przepyszna czerwona kula słoneczna, która chyliła się ku zachodowi. Stojąc na pokładzie i patrząc na pozostające w oddali wspaniałe gmachy portowe, byłem jakby oszołomiony i oczarowany. Wreszcie horyzont zakrył nam brzeg i znaleźliśmy się sami na bezkresach oceanu.

Po odszukaniu swojej kabiny w klasie turystycznej, co zresztą nie należało do rzeczy zbyt łatwych, jak na złość bowiem nie było ani jednego pasażera Polaka, zacząłem się rozpakowywać. Zajęło mi to nie wiele czasu, przyzwyczaiłem się bowiem już w czasie swojej podróży zagranicę obywać się bez bagażów. Miałem tylko walizkę i mały neseser. W kilka minut po wejściu do kabiny wszedł mój towarzysz podróży (kabiny są dwuosobowe), który przedstawił mi się bardzo

grzecznie za bogatego Araba, odbywającego podróż naokoło świata. Po bliższem jednak przyjrzeniu się i po zamienieniu kilka słów w języku niemieckim powziąłem pewne wątpliwości, co do jego arabskego pochodzenia. Okazały się one zresztą potem słuszne. Miał być Arabem, a był poprostu Żydkiem palestyńkim. Nie przeszkadzało to jednak, że okazał się towarzyszem bardzo sympatycznym i nawet w wielu wypadkach pomocnym. Na okręcie przeważali Anglicy, którzy też opanowali niemal cały okręt, czując się i zachowując, jak u siebie w domu. Niezwykłą radość sprawiło mi poznanie następnego dnia pewnego marynarza, Polaka, który pełnił służbę już od kilku lat na tym okręcie.

Pierwszy dzień upłynął mi względnie spokojnie. Oszołomiony tyloma wrażeniami, po zwiedzeniu okrętu, położyłem się dość wcześnie spać, nie jedząc oczywiście kolacji. Mam wrażenie, że postąpili tak samo wszyscy pasażerowie okrętu, którzy po raz pierwszy udawali się za ocean.

Następnego dnia, po otworzeniu oczu, pierwszą myślą moją było jak się uchronić przed morską chorobą. Jak dotąd, wprawdzie, nie odczuwałem żadnych objawów, któreby ją zwiastowały, w każdym jednak razie jeszcze przez dwa następne dni żyłem stale pod strachem tej nieprzyjemnej choroby. Największego stracha miałem drugiego dnia podróży, kiedy morze stawało się trochę niespokojne. Przyszła dość duża fala i zaczęło się lekkie bujanie. Pierwsze też dwa dni nic właściwie nie robiłem, spędziłem je przeważnie w kajucie na czytaniu książek.

Program dnia na okręcie nie przewidywał żadnych specjalnych przyjemności, i przedstawiał się dość monotonnie. O godz. 8 rano olbrzymi donośny gong budził nas na pierwsze śniadanie które spożywaliśmy w luksusowo urządzonej restauracji. O godzinie 11-ej kelnerzy roznosili w filiżankach rosół z bułeczką tam,

gdzie kto w danym momencie przebywał. O g. 1-ej schodziliśmy do restauracji na obiad. O godz. 5-ej kelnerzy znów roznosili podwieczorek, tak jak drugie śniadanie i wreszcie o g. 7-ej odbywała się kolacja przy dźwiękach orkiestry.

Podróż trwała 5 dni. W czasie podróży dwa razy zorganizowano dancing, a w przeddzień przyjazdu do Nowego Jorku pożegnalną kolację, t. zw. „wieczór kapitański", która odbyła się niezwykle uroczyście.

W dancingach udziału nie brałem, gdyż wstyd mi było prosić panie do tańca, kiedy ani be, ani me nie umiałem po angielsku. Może zaryzykowałbym, gdybym był w takiej gromadzie, jak Finowie. To też ze złością patrzyłem na Lehtinena, Virtanena i Iso - Hollę, którzy tańczyli, aż im się „uszy trzęsły", pomimo, że żaden z nich również nie włada językiem angielskim, z tancerkami porozumiewali się za pomocą słownika.

Początkowo czułem się bardzo osamotniony. Pomału jednak, biorąc przykład z Finów, których coraz częściej widziało się na pokładzie, i ja zacząłem przychodzić do siebie. Zobaczywszy więc, że oni trenują i ja poszedłem w ich ślady, odbywając niemal codziennie normalny trening wieczorami. Rano gimnastykowałem się w kajucie, odczuwałem tylko brak masażysty.

Po trzech dniach podróży zbliżyłem się na tyle do Finów, którzy zostawili widocznie na brzegu swoją nieufność, jaką mi okazywali w pociągu,że stałem się prawie nieodłącznym towarzyszem ich gier i zabaw. Porozumiewaliśmy się oczywiście na migi. Początkowo nie bardzo rozumieliśmy wzajemnie o co chodzi, potem jednak nabraliśmy wprawy tak dalece, że nawet nie odczuwało się żadnych trudności. Nauczyłem się wtedy grać w fińskie gry oraz dawałem „szkołę" Finom w grze w warcaby.

Pewnego dnia mój towarzysz - „Arab" zapoznał mnie z pewną Amerykanką, która wracała do Nowego Jorku ze studjów w Paryżu. Okazała się bardzo sympatyczną i miłą towarzyszką podróży i nawet później,

już w Los Angeles odtrzymałem od niej listy z gratulacjami.

Największą uciechą, jaką mieli pasażerowie na okręcie, były bezwątpienia popisy robotników w boksie. Ku uciesze Anglików i Amerykanów, urządzali oni całe przedstawienia, parodjując w ogromnie śmieszny sposób ten, tak popularny dziś na całym świecie, sport.

W ciągu ostatnich dwuch dni podróży, ocean uspokoił się zupełnie i przedstawiał zachwycający widok — zwierciadło. Korzystając z tego kapitan polecił puścić w ruch wszystkie maszyny, tak, że całą siłą pary zbliżaliśmy się z każdą chwilą do celu podróży.

Jak już wspomniałem, ostatniego dnia podróży odbyła się na okręcie wielka zabawa, która przeciągnęła się razem z kolacją w miłym nastroju, do późna w noc.

W odróżnieniu od poprzednich nocy, ostatnią spędziłem bardzo źle. Nie mogłem zasnąć, a gdy zasnąłem wreszcie, śniły mi się rzeczy okropne, tak, że budziłem się co chwila. Zmęczony i zniecierpliwiony, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie dobijemy do Nowego Jorku, wstałem, ubrałem się i wyszedłem na pokład. Wreszcie w oddali zarysował się gigantyczny posąg Wolności, na nieporównanem tle strzelających w niebo drapaczy chmur. W pół godziny później okręt stanął na t. zw. kwarantannie. Wszyscy pasażerowie, którzy chcieli wysiąść na ziemi amerykańskiej, zmuszeni byli poddać się badaniu specjalnej komisji lekarskiej, która orzeka, czy dany pasażer jest zdrów czy też chory. W tym drugim wypadku musi bezpośrednio wracać zpowrotem.

W czasie, gdyśmy stali na kwarantannie, przybyli na okręt celnicy i rozpoczęła się rewizja. Chodziło o stwierdzenie, czy też który z pasażerów nie chce złamać prawa prohibicyjnego i nie wiezie przypadkiem zakazanego płynu do krainy Yankesów. Razem z celnikami przybył radca handlowy naszego konsulatu w Nowym Jorku, dr. Fisch, który, aby dostać się na nasz okręt, musiał od 6 rano razem z celnikami odbyć rewizje na kilku okrętach. Spotkawszy dr. Fischa uczułem

się niezmiernie zadowolony i szczęśliwy, a przedewszystkiem już nie tak samotny. Dr. Fisch wziął mnie zaraz w opiekę i za chwilę miałem możność przekonać się, jak tu, w Ameryce, każdą najmniejszą rzecz wyzyskuje się dla celów propagandowych i reklamowych. Jedna z wytwórni filmowych, dowiedziawszy się, że okrętem „Mauretania" przybywa ekspedycja Finów, przysłała całą aparaturę dźwiękową, aby porobić z nimi zdjęcia. Dr. Fisch skorzystał z tej okazji i ja również uwieczniony zostałem na tych zdjęciach.

Kiedy znalazłem się już na lądzie, przywitali mnie przedstawiciel konsulatu p. Wasilewski, korespondent PAT-a dr. Morawski, prezes komitetu reprezentacyjnego nowojorskiej Polonji p. Piotrowski, oraz sekretarz, p. Umiński.

Po załatwieniu formalności, pierwszą moją myślą było uczciwie potrenować na ziemi, gdyż bieganie bez masażu po statku bardzo mi dokuczyło. To też za chwilę z towarzyszącymi mi panami znalazłem się w podziemnej kolejce, która zawiozła nas do hotelu „Lincoln", gdzie zostawiłem rzeczy, przebrałem się i odświeżyłem po podróży.

Po wyjściu z hotelu, udając się na boisko, miałem możność obejrzeć zbliska i podziwiać owe słynne drapacze chmur, o których tyle się nasłuchałem. Zarówno ogromem tych kolosów, jak i niezwykle ożywionym ruchem ulicznym zostałem tak oszołomiony, że niewiele brakowało, abym zgubił się w tłumie.

Na boisku spotkałem już Finów, którzy trenowali. Rozebrałem się szybko i wybiegłem na bieżnię. Trening zrobił mi doskonale, czułem się świetnie, a byłem więcej niż zadowolony, gdy stwierdziłem na stoperze, że na treningu zdołałem przebyć dwa kilometry poniżej 6 minut. Nie wiedziałem poprostu skąd mi to przyszło. Przecież te same dwa kilometry na treningu w Agrykoli biegałem ponad 6 minut. Po treningu wziąłem łaźnię i upragniony masaż. Po tem wszystkiem byłem więcej niż szczęśliwy. Brak czasu nie pozwolił na bliższe zwie-

dzanie miasta. W Nowym Jorku popasałem zaledwie 7 godzin i już popołudniu byłem na dworcu. Finowie zostali jeszcze jeden dzień w Nowym Jorku, gdyż chcieli odpocząć po podróży morskiej. Byłem innego zdania, uważałem, aby jaknajprędzej znaleść się na miejscu w Kalifornji, a wtedy dopiero, zależnie od tego, jak się będę czuł, — odpoczywać.

Obładowany owocami i najróżnorodniejszemi smakołykami przez tamtejszy polski komitet przyjęcia drużyn olimpijskich, wsiadłem do pociągu, odjeżdżającego do Chicago.

Na każdym kroku organizacja i rozmach jej, a przy tem ogromna drobiazgowość i wnikanie w szczegóły, rzucały mi się w oczy i przekonywały mnie, że ten legendarny rozmach amerykański bynajmniej nie jest legendą, a rzeczywistością, dla której trzeba być z najwyższem uznaniem.

Weźmy chociażby koleje. Znajdują się one w prywatnych rękach, należąc do kilku towarzystw akcyjnych. Jakiż panuje tu porządek i jak wszystko idzie składnie. Gdy tylko znalazłem się na dworcu, w tej samej chwili podszedł do mnie przedstawiciel towarzystwa kolejowego, załatwił mi wszystkie formalności, służył wszelkiemi udogodnieniami, tak, że tylko ptasiego mleka brakowało w czasie podróży. Nawet nie czułem się tak osamotniony, jak na okręcie, pomimo, że jechałem tu sam. Niewiadomo kiedy minął mi czas i oto Chicago. Przybyłem tu o g. 2 po południu następnego dnia. Na dworcu witali mnie konsul Bujnowski, konsul Rathaus, konsul Lipaczyński, przewodniczący Komitetu Olimpijskiego w Ameryce dr. Kalisz, oraz reprezentant „Dziennika Związkowego" p. Jaworski.

Po nadzwyczaj miłem i serdecznem przywitaniu pojechałem do Lake Share klubu lekkoatletycznego na brzeg jeziora Michigan, gdzie trenowałem normalnie. Po treningu przyjął mnie jeneralny konsul p. Zbyszewski obiadem, a następnie kilka godzin, które miałem

do odejścia pociągu, spędziłem w miłem towarzystwie dr. Kalisza i jego najbliższej rodziny. Wreszcie objuczeni różnemi paczuszkami pojechaliśmy na dworzec, skąd miałem już odbyć bezpośrednią drogę do Los Angeles.

Podróż trwała trzy noce i dwa dni. Specjalnie wybrałem sobie ten rozkład jazdy, aby jechać nocami, ponieważ w wygodnych wagonach amerykańskich mogłem spać i nie czułem się wtedy tak zmęczony. W czasie podróży mogłem przekonać się naocznie, że urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą. Szczęście dopisywało mi na całej linji. Prawie przez cały czas podróży padał deszcz, którego z takiem utęsknieniem oczekują wszyscy podróżni, odbywający dalszą drogę w Ameryce. Skutkiem deszczu upał nie dawał się tak we znaki, a i największy wróg podróżującego — kurz nie dokuczał.

W pociągu wszyscy już wiedzieli, że jestem jednym z przedstawicieli Polski na tegorocznej Olimpjadzie (usłużny przedstawiciel Towarzystwa nie omieszkał zrobić mi jeszcze na stacji odpowiedniej reklamy), stałem się więc tematem rozmów i obserwacyj. Przechodząc z przedziału do przedziału, w jednym z nich spostrzegłem towarzystwo, grające w brydża. Ponieważ sam jestem zapalonym brydżystą, zacząłem kibicować. W pewnej chwili widzę, że jeden z partnerów ma doskonałe karty i zupełnie źle licytuje, a kiedy już dopuszczono go do gry, chciał wyjść jak najfatalniej dla siebie. Nie wiem skąd nabrałem tyle śmiałości, ale zwymyślałem go po polsku (czego oczywiście nie zrozumiał), a następnie wyrwałem mu formalnie karty z ręki i ku ogólnemu zdumieniu rozegrałem grę, zdobywając szlemika. Towarzystwo, które z początku miało ogromnie niewyraźne miny, po tym moim występie zaprosiło mnie do siebie i razem z nimi miło i przyjemnie spędziłem resztę podróży.

Drugiego dnia pod wieczór niecierpliwość moja doszła do ostatnich granic. Chciałem już jak najprędzej

stanąć w Los Angeles, a tu, jak na złość, godziny wlokły się niepomiernie. Ze zdenerwowania nie wiedziałem, co mam robić. Pakowałem się, to znów rozpakowywałem walizki. Nic jednak nie pomagało. Wkońcu położyłem się jak najwcześniej spać, aby przynajmniej być wypoczęty.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział I.

Wreszcie ku nieopisanej radości przed godziną 8-ą wjechaliśmy na dworzec w Los Angeles. Trudno opisać wrażenia jakich wówczas doznałem. Z jednej strony obawa, jak się zakończą moje starty na Olimpjadzie, z drugiej znów dumny byłem i szczęśliwy, że znalazłem się tu, jako pierwszy Polak, mający wziąć udział w Olimpjadzie. Na dworcu czekał już przedstawiciel Komitetu Amerykańskiego z Kolonji Polskiej p. Romanowicz, oraz liczni przedstawiciele kolonji Polskiej w Los Angeles. W pierwszej chwili byłem tak zażenowany i skrępowany, że nie wiedziałem, co robić i jak się zachować. Po serdecznych przywitaniach i wspólnem śniadaniu p. Romanowicz zawiózł mnie do wioski olimpijskiej, gdzie miałem w ciągu najbliższych trzech tygodni zamieszkać razem z całą naszą drużyną.

Po 20-minutowej podróży samochodem stanęliśmy przed wspaniałym budynkiem, w którym mieściły się biura wioski olimpijskiej. Po załatwieniu wszelkich formalności, a więc przedstawieniu karty zawodnika i paszportu, otrzymałem klucz od domku oraz kartę wstępu na teren wioski.

Nareszcie znalazłem się na miejscu przeznaczenia. Po tylu wrażeniach, po oglądaniu tylu wspaniałych widoków czułem się oszołomiony tem wszystkiem. To też gdy nareszcie wszedłem do „swego domku" odetchnąłem z ulgą. Należał mi się wprawdzie odpoczy-



Lekkoatleci odjeżdżają z Los Angeles do Chicago. Licznie zebrana kolonja polska z żalem nas żegnała.



Po zawodach w Chicago, w wolnych chwilach od przyjęć i bankietów, spędzało się czas w miłem towarzystwie.

nek, ale pełen wrażeń nie czułem zmęczenia. To też gdy tylko rozpakowałem się jako tako i przebrałem po podróży, wyszedłem na teren wioski olimpijskiej, aby ją dokładnie zwiedzić.

Wioska przedstawiała się imponująco. Położona na falistej przestrzeni obok samego miasta, zajmowała dość znaczny obszar, przeważnie ogrodzony. Pomysłowi i drobiazgowi Amerykanie pomyśleli o wszystkiem. Pięćset małych, ale wygodnych domków, rozstawionych wśród powodzi kwietników i pięknych trawników, sprawiało nadzwyczaj miłe wrażenie. Każdy domek przeznaczony był dla czterech zawodników. Domki ustawiono rejonami, dla każdej drużyny oddzielnie. Nasza drużyna miała do dyspozycji pięć domków.

Wewnątrz wioski mieścił się szpital, poradnia lekarska oraz prowizorycznie urządzona łaźnia, zresztą bardzo wygodna. Obok tych budynków mieścił się kinoteatr, gdzie codziennie wyświetlano różne filmy, bardzo dobre, przyczem w kinie zjawiały się gwiazdy i gwiazdory z pobliskiego Hollywoodu, zawiązując z nami stosunki towarzyskie. Już po zaczęciu zawodów olimpijskich, codziennie wieczorem wyświetlano zdjęcia ze wszystkich konkurencyj, tak, że ci zawodnicy, którzy brali w nich udział, już tego samego dnia wieczorem mogli zobaczyć siebie na ekranie.

Wszystkie biura wioski oraz kancelarje mieściły się w bardzo efektownym budynku przy wejściu do wioski.

W obrębie 50 klm. za miastem znajdowały się boiska treningowe, przyczem każda drużyna miała do rozporządzenia jedno boisko. Między boiskami pobudowano specjalne szosy, na których co 10 minut kursowały luksusowe autobusy. Autobusami temi zawodnicy wyjeżdżali i przyjeżdżali do wioski.

Rygor w wiosce panował dość duży, a wstęp do niej mieli tylko zawodnicy. Porządku strzegli pilnie oryginalni cowboye na koniach, szczególnie w miejscach nieogrodzonych. Przypomina mi się zabawny obrazek, którego byłem świadkem, kiedy pewnego dnia cowboy zła-

pał na lasso jakąś niewiastę, która bez przepustki wdarła się w obręb wioski i pomimo rozpaczliwych protestów z jej strony, ciągnął ją na sznurze do biura.

Wioska obliczona była na dwa tysiące zawodników. Kiedy się patrzyło na nią zdaleka, wyglądała przepięknie, a cudowne położenie dodawało jej niezwykłego uroku. Małe domki wyglądały, jakby zrobione z kart. Obok wioski znajdował się wspaniały park samochodowy, w którym mogłem podziwiać wspaniałe Lincolny i Chryslery.

Zwiedziwszy dokładnie wioskę, w której znajdowała się już przeszło połowa olimpijczyków, a więc drużyny: brazylijska, argentyńska, japońska, kanadyjska, francuska, amerykańska i angielska, wróciłem do domku, aby się przebrać. I tego samego dnia po południu w kostjumie kąpielowym biegałem już po trawnikach, aby rozruszać mięśnie. Gdy tylko ukazałem się w kostjumie, niewiadomo skąd obległa mnie chmara fotografów oraz dziennikarzy. Zasypywali mnie pytaniami, prosząc o wywiady. Byłem zażenowany i mile zdziwiony. Obsługa rekrutowała się przeważnie ze studentów, którzy nadzwyczaj miło odnosili się do zawodników, byli ogromnie usłużni. Dumny byłem z tego, że tratkowali mnie, jak swego dobrego znajomego.

Niezwykle czułem się uszczęśliwiony i dumny, kiedy zaraz po moim przyjeździe do wioski, wciągnięto na maszt flagę polską, na znak, że drużyna polska bierze udział w X Olimpjadzie. To samo zrobiono już w samej wiosce na terenach, które zajmowały domki, przeznaczone dla nas oraz przy naszem boisku treningowem.

Tego dnia wspólnie z p. Romanowiczem załatwiliśmy wszystkie formalności oraz dostałem masażystę, jakiegoś Argentyńczyka, który masował mnie ku całkowitemu zadowoleniu. Na terenie wioski spotkałem wielu swoich starych znajomych z różnych europejskich zawodów.

Następny dzień był wielką atrakcją. Przyjechali do wioski Finowie. Jak wielkiem zainteresowaniem

cieszyli się Finowie w Ameryce, dowodzi to, że wszystkie niemal drogi oraz ulice miasta przepełnione były publicznością, która chciała zobaczyć najlepszych długodystansowców świata. Cała wioska olimpijska również stanęła na nogi. Kto żyw, śpieszył oglądać Finów.

Około południa pojechałem na nasze boisko treningowe, żeby zobaczyć jak wygląda bieżnia. Niestety jednak, niezbyt mi odpowiadała. To też wybrałem sobie boisko tuż przy uniwersytecie, którego bieżnią byłem zachwycony. Pierwszy właściwy trening, który odbyłem tego samego dnia zadowolnił mnie wzupełności, ponieważ, że się tak wyrażę, mój sprawdzian treningowy, t. j. dwa kilometry, przebiegłem w 5 min. 51 sek., co przy dużym upale, jaki wówczas panował, należało uważać jako świetny wynik.

Kiedy rodacy nasi, stale zamieszkali w Los Angeles dowiedzieli się, że trenuję na tem boisku, odwiedzali mnie dość często. Porobiłem więc wiele badzo miłych i sympatycznych znajomości. Między in. poznałem p. Basisa, który był na tyle uprzejmy, że oddał mi do dyspozycji swojego Chryslera, na którym zacząłem kontynuować naukę prowadzenia samochodu, zapoczątkowaną jeszcze w Warszawie na kursach inż. Froma.

Najwięcej jednak uprzyjemniał mi pobyt przez te parę dni, to znaczy do przyjazdu naszej drużyny, p. Danielski, sekretarz miejscowego Komitetu Olimpijskiego. Z nim i z jego najbliższą rodziną porobiliśmy cały szereg niezwykle przyjemnych wycieczek samochodowych po okolicy, która wydała mi się więcej niż piękną. On też uprzystępnił mi dojazd do boiska, użyczając mi swojego samochodu. W szczególności, wdzięczny jestem p. Danielskiemu za to, że na jego samochodzie dokończyłem swojej edukacji szoferskiej. A ponieważ samochód, a szczególniej prowadzenie jego jest moją pasją, nic więc dziwnego, że wszystkie te wycieczki były bardzo miłe i przyjemne.

Dzień cały miałem dokładnie wypełniony. Rano, jak zwykle, gimnastyka, potem jechałem na trening, póź-

niej masaż. Po południu też przeważnie trenowałem, albo, jak już wspomniałem, jeździłem z państwem Danielskimi na przejażdżkę. W czasie jednej z takich wycieczek pojechaliśmy do Hollywoodu, gdzie zbliska, choć tylko zewnętrznie, mogłem się przyjrzeć temu wspaniałemu przedmieściu Los Angeles. Niema poprostu słów do opisania, jak tam jest ślicznie i jakie wspaniałe ogrody i pałace, na każdym kroku przepych i bogactwo. Obiecywałem sobie po Olimpjadzie zwiedzić dokładnie same wytwórnie filmowe, teraz, niestety, uczynić tego nie mogłem ze względu na to, że akurat kończono nagrywanie filmów.

Jednego dnia wybraliśmy się na brzeg oceanu, na plażę. Widok wspaniały, poprostu oczu nie można od niego oderwać. Obok plaży znajduje się najwspanialszy na świecie Luna park — istne cudo. To, co widziałem dotychczas w Berlinie, Wiedniu czy Paryżu, nie może się nawet w drobnej części równać z Luna parkiem w Los Angeles. Zwiedziłem go dokładnie. Nie chciało się poprostu wychodzić. Pamiętam m. in. zatrzymałem się przed pawilonem pewnego jegomościa, który na oko określał wagę danego człowieka. Miał on opinję człowieka, który się nigdy nie pomylił. I rzeczywiście określił, niemal z dokładnością do jednego kilograma wagę moich towarzyszy. To też niezmiernie byłem zdziwiony, że gdy przyszła kolej na mnie, pan ów pomylił się w ocenie aż o 6 kilo, powiedział bowiem, że ważę 67, kiedy ja ważyłem tylko 61. Wygrałem za to dużą paczkę czekolady, a towarzystwo moje uważało fakt ten za dobry prognostyk dla mnie na Olimpjadzie.

Kiedyśmy wracali z Lunaparku, spostrzegłem przy brzegu wspaniały olbrzymi jacht, który, jak mi wytłumaczono, był pływającem „Monte Carlo". W luksusowo urządzonych kabinach tego statku grano w ruletę i inne gry hazardowe. Zdziwiłem się tą ekstrawagancją Amerykanów, ale objaśniono mnie, że przepisy amerykańskie nie pozwalają na utrzymywanie domów gry na lądzie, pomysłowi Amerykanie zrobili więc luksusowy

statek, który kursował przy brzegu i w ten sposób obeszli prawo.

Tymczasem z każdym dniem napływało do wioski olimpijskiej coraz więcej zawodników. Dni te przeszły dla mnie jak z bicza trzasł, ale zato bez żadnych zmartwień i kłopotów i niewątpliwie należały do najmilszych, spędzonych w Ameryce.

Klimat Kalifornji, gorętszy od naszego, bardzo mi odpowiadał, czułem się znakomicie. W dzień suche, gorące powietrze łagodziły wiatry z oceanu. W nocy ochładzało się, a ziemia była tak zroszona, że można się było w niej myć. Niemal w całej Kalifornji od początku lutego aż do późnej jesieni nie spadła ani jedna kropla deszczu. To też warzywa nie są tam tak smaczne, jak u nas. Sztuczne nawadnianie i sztuczne deszcze nie mogą zastąpić naturalnego.

Nie bojąc się niepogody, Kalifornijczycy budują niemal wszystkie stadjony sportowe bez dachów. Tak samo i stadjon olimpijski dachu nie posiadał.

Jedna rzecz mnie tylko martwiła. Koniecznie chciałem zobaczyć bieżnię olimpijską, po której miałem biegać. Tymczasem jednak aż do dnia otwarcia olimpjady stadjon zamknięty był dla wszystkich. Mogłem go tylko podziwiać zdaleka. Obawiałem się, że wskutek nadmiernych upałów, jakie są tutaj w lipcu i sierpniu, bieżnia może być za twarda, a ja przecież biegać na takiej nie jestem przyzwyczajony.

Rozdział II.

Reprezentacyjny stadjon olimpijski robi niewątpliwie na każdym, kto go zobaczy, wrażenie imponujące, jeżeli nie przygniatające swoją wielkością. Ma kształt olbrzymiej elipsy, której ozdobę stanowią arkady, wsparte na kolumnach. Pomieścić on może przeszło 125 tysięcy osób, a więc jest największym stadjonem na świecie, następny bowiem co do wielkości Soldier

Field w Chicago, obliczony jest na100 tysięcy miejsc. Wszystkie miejsca są siedzące. Najwyższy rząd znajduje się 24 metry nad poziomem boiska i jest oddalony o 60 metrów od środka.

Nowością i niezwykłem udogodnieniem dla startujących jest fakt, że stadjon, ten, jako pierwszy na świecie, posiada 200-metrową bieżnię w linji prostej. Szerokość jej wynosi 10 metrów. Start do biegu na 200 metrów wrzyna się głęboko w formie tunelu w trybuny. Tunel ten stanowi jednocześnie główne wejście, przez które defilować będą wszystkie drużyny na otwarciu Olimpjady.

Obwód bieżni, okalającej boisko wynosi ponad 400 metrów. Bieżnia, jak mi mówiono, i o czem się miałem możność przekonać później jest nadzwyczaj twarda. Pokryta jakąś mieszaniną torfowo-gliniastą, a nie jak wszędzie żużlem. Wskutek słońca i upałów, ogromnie się rozpala, nieprzyjemnie piekąc w stopy.

Olbrzymie boisko pokryte jest trawą, pielęgnowaną niezwykle starannie.

Na stadjonie olimpijskim, który jest stadjonem reprezentacyjnym odbędą się wszystkie zawody lekkoatletyczne, hokej na trawie i t. p. Zawody bokserskie będą się odbywały w t. zw. olimpique auditorium", gdzie również odbędą się konkursy dźwigania ciężarów, atletyczne i szermercze.

Jest to olbrzymi budynek żelbetonowy, posiadający blisko 20 tysięcy miejsc siedzących, rozmieszczonych amfiteatralnie. Urządzony bardzo modern, sprawia miłe wrażenie. Szatnie mieszczą się pod właściwą widownią, na niej zaś znajduje się ruchomy ring, który, opuszcza się, jak dźwig, aby zmieniać pary walczących.

Dla wioślarzy przygotowano idealny wprost tor regatowy, położony tuż nad brzegiem oceanu Spokojnego w miejscowości kuracyjnej Long Beach, oddalonej od Los Angeles o około 30 klm. W basenie woda stojąca, tor idealnie prosty, o długości 2 tysięcy mtr., stwarzają warunki wprost idealne. Jedyną niedogodnością

jest tylko to, że wieje tam zawsze wiatr od strony Backboardu.

Miło i przyjemnie upłynęło mi pierwszych 10 dni pobytu w Los Angeles i ani się spostrzegłem, jak trzeba było wyjeżdżać na dworzec, aby przyjąć naszą drużynę olimpijską. O losach jej dowiadywałem się z prasy, która bardzo żywo interesowała się nią, szczególniej, jeśli chodzi o dzienniki polskie, wychodzące w Ameryce. Ubrawszy się po „służbowemu", a więc w oficjalny strój olimpijski, korzystając z uprzejmości państwa Danielskich, pojechaliśmy na dworzec samochodem, który prowadziłem już bez zarzutu.

Jakkolwiek czułem się tu doskonale, lecz teraz, kiedy miałem powitać swoich bliskich, zrozumiałem dopiero co to znaczy rozłąka, daleko od kraju i co to znaczy być samemu na obczyźnie. Byłem uszczęśliwiony, że za kilka chwil będę mógł uściskać wszystkich naszych zuchów po tak, jak mi się zdawało, długiem niewidzeniu się.

Kiedy przyjechaliśmy na dworzec, na peronie zebrała się już poważna grupa przedstawicieli tutejszej kolonji polskiej z członkami Komitetu Olimpijskiego na czele. Żywo zabiło mi serce, a przekonany byłem, że to samo uczucie mieli wszyscy obecni, kiedy w oddali zauważyłem zbliżający się pociąg. Jeszcze chwila i olbrzymi kolos parowy, ciągnący cały szereg wagonów, ze świstem i zgrzytem stanął na peronie.

Instynkt w oka mgnieniu pchnął mnie do wagonu, którym jechali nasi zawodnicy. To też byłem pierwszy. Mogłem witać i ściskać naszych chłopców. Za chwilę wysiedli wszyscy z wagonu i, doprawdy przyjemnie było patrzeć, jak entuzjastycznie witała ich cała kolonja polska. Panie ze wzruszenia miały łzy w oczach, patrząc na najlepszych przedstawicieli sportu polskiego, którzy przyjechali tu rozsławić imię jego i stoczyć bój z takiemi potęgami sportu, jak Ameryka, Niemcy, Francja, Finlandja.

Jakkolwiek wszyscy bez wyjątku byli uśmiechnięci i weseli, zauważyłem jednak, że niektórzy daleko gorzej wyglądali teraz, niż przed wyjazdem. Na twarzach widać było zmęczenie daleką i długotrwałą podróżą. To mnie niepomiernie zmartwiło.

Po szeregu przemówień powitalnych, po niezliczonej ilości fotografij, wziąłem Klumberga i Heljasza pod swoją opiekę, zapakowałem ich do samochodu, którym przyjechałem na dworzec i zawiozłem do wioski olimpijskiej. Pierwszą moją myślą było pochwalić się, że nauczyłem się już dobrze prowadzić samochód. To też jechałem, jak się mówi, po kawalersku. I niewiele brakowało, ażeby, zresztą nie z mojej winy, doszło do katastrofy. Na wspaniałej szosie, specjalnie zbudowanej, a prowadzonej od dworca kolejowego do samej wioski, ruch był olbrzymi. W pewnej chwili jakiś murzyn nie przepisowo zajechał mi przed samochód, to też niemal w ostatnich ułamkach sekundy, na całe szczęście, zdołałem zatrzymać samochód i uniknąć katastrofy. Murzyna nie minęła kara, bowiem na drogach amerykańskich przepisy są bardzo surowe i policjant, który zjawił się natychmiast, jak z pod ziemi, spisał protokół. W wiosce byliśmy pierwsi. Dopiero w pół godziny potem przyjechała cała drużyna, a my ku swojej uciesze wystąpiliśmy w roli gospodarzy, witając swoich olimpijczyków. Miałem doskonały humor, czułem się dobrze, byłem wesoły. To też niezwykłą przykrością było dla mnie, gdy jeden z kierowników drużyny, widocznie źle zrozumiał moje entuzjastyczne powitanie i zadowolenie z przyjazdu polskiej drużyny.

W pewnym momencie powiedział mi: — No, no, czuję, że będzie fiasko z tej całej Olimpjady, bo Kusociński zdaje się za bardzo wesoło przepędził w Los Angeles te kilka dni.

Zmartwiło mnie to tem bardziej, że sam doskonale rozumiałem powagę chwili, zdawałem sobie najlepiej może sprawę z tego, jak jestem odpowiedzialny za swój przyjazd, bo przecież Polski Komitet Olimpijski przy-

znał mi wszystkie ulgi i ułatwienia jak nikomu innemu.

Na szczęście, zapomniałem już w parę minut o całem zajściu i w najlepszej zgodzie, w doskonałych humorach, ulokowali się nasi w domkach, aby po krótkim odpoczynku zabrać się do treningowania. Pobieżne obserwacje, poczynione na dworcu i już po pierwszych treningach naszych olimpijczyków narzucały mi myśli, że, niestety, nie możemy liczyć na poważniejsze sukcesy na olimpjadzie. Jakkolwiek koledzy starali się unikać rozmów na temat swoich ostatnich wyników, a szczególniej w podróży, to jednak już pierwsze treningi wykazały, poza małemi wyjątkami, szczególniej, jeżeli chodzi o lekkoatletów, że nie są oni w najlepszej formie. Heljasz rzucał daleko poniżej swego poziomu, uzyskanego zresztą nadzwyczaj łatwo przed kilku tygodniami, Pławczyk, pomimo największych wysiłków, nie mógł również osiągnąć nawet swego minimum, uzyskanego przed wyjazdem. Siedlecki był tak samo, jak i poprzednio nie w „sosie".

Nic dziwnego, że kierownictwo zwróciło przedewszystkiem baczną uwagę na Weissównę i Walasiewiczównę (mówię ciągle o lekkoatletach), ponieważ te ostatnie wykazywały na treningach, że nie straciły nic na swej formie i że przedewszystkiem mają szanse na zajęcie pierwszych miejsc.

Porównującemu wyniki nasze z wynikami innych, nasuwały się mimowoli pytania, dlaczego wysyłając drużynę olimpijską tak daleko w podróż, nie wykorzystano wszystkich możliwości, aby zwiększyć nasze szanse na zawodach. Klumberg, którego nietylko ja zresztą uważam za wyrocznię w takich wypadkach, chodził chmurny i gniewny, pomimo, że starał się nie pokazywać nikomu, ani tembardziej dawać do zrozumienia, że ma duże wątpliwości.

Dlatego piszę o tem wszystkiem tak otwarcie, że po pierwsze, wspomnienia moje ukażą się już po wszystkiem, po drugie zaś, zastrzegłem na początku, że będę szczery.

BIBLJOTEKA UNIW. JAGIELL.

Po zwiedzeniu wioski i, że tak powiem, zaaklimatyzowaniu się w niej, następny dzień upłynął drużynie naszej na ogólnem czyszczeniu się i doprowadzeniu wszystkiego do porządku. Tego samego dnia zjawili się dziennikarze i fotografowie, którzy naogół bardzo przyjaźnie odnosili się do Polaków i, jak później można było sprawdzić, wiele przyjaznych artykulików i wzmianek o nas ukazało się w prasie amerykańskiej.

Po krótkich odpoczynkach i wycieczkach zabraliśmy się szczerze do pracy. Drużyna trenowała na przyznanem nam boisku treningowem, ja zaś, przyzwyczajony do samotności, trenowałem sam, wybierając godziny takie, żeby mi nikt nie przeszkadzał. Jeśli chodzi o mnie, interesowałem się w pierwszym rzędzie Finami — najgroźniejszymi moimi rywalami, ale, niestety, nic konkretnego nie mogłem dowiedzieć się o ich treningach. Wiedziałem tylko tyle, że pracowali nadzwyczaj usilnie i jak zwykle milczący i skryci, nikomu nie zwierzali się ze swych wyników. Przez „zamknięte drzwi" ich boiska treningowego nie przedostała się żadna wiadomość, ani do prasy, ani też do wioski. Po usilnych staraniach dowiedziałem się tylko tyle, że Iso Hollo, Lehtinen i Virtanen trenowali po kilka razy dziennie, a naprzykład taki Lehtinen, wiem z pewnością, że trenował po cztery razy dziennie. Nic więc dziwnego, że przetrenował się i na Olimpjadzie nie uzyskał wyników, które niewątpliwie w normalnych warunkach mógłby osiągnąć.

Rozdział III.

Niewątpliwie ośrodkiem zainteresowania nietylko całej wioski olimpijskiej, ale i całej Ameryki była osoba Nurmiego. Wprawdzie już na kilka tygodni przed Olimpjadą obiegały pogłoski w prasie, jakoby Nurmi został zdyskwalifikowany za pobieranie wygórowanych zwrotów kosztów podróży przy startach zagranicznych i jakkolwiek, szczególniej prasa niemiecka podawała jakoby

ścisłe dane „honorarjów" Nurmiego, to jednak światowa społeczność sportowa nie przesądzała faktu, że wielki Paavo potrafi odeprzeć zarzuty, skierowane przeciwko niemu i że chwilowe zawieszenie go w prawach amatora zostanie całkowicie wyjaśnione na Kongresie Międzynarodowym Federacji lekkoatletycznej, który miał odbyć się w Los Angeles. Nie zawaham się powiedzieć i przypuszczam, że będę ścisły, jeśli zaznaczę, że przynajmniej 70 procent ludzi, którzy na tygodnie przed rozpoczęciem Olimpjady wykupili bilety wejściowe na stadjon, uczynili to tylko dlatego, że zwabiła ich sława nazwiska Nurmiego. Nikt nie liczył się z tem, że Nurmi może nie wystąpić na Olimpjadzie.

Tymczasem rzeczywistość wypadła zupełnie inaczej. Nurmiego zdyskwalifikowano, dowiedziono mu, że rzeczywiście brał wynagrodzenia za swoje starty i Amerykę pozbawiono niezwykłej sensacji, na którą liczyła.

Jeśli chodzi o mnie, to wiadomość o zdyskwalifikowaniu Nurmiego przyjąłem niemal z płaczem. Przecież największem mojem marzeniem i celem, do którego wytrwale dążyłem, było właśnie spotkać się na bieżni z Nurmim i to w tak decydującej chwili, jak Olimpjada. Przeklinałem w duchu sędziów i świat cały, że zdyskwalifikowali go przed Olimpjadą, że pozbawili mnie możności zmierzenia się z największą uznaną potęgą świata w sporcie, bo przyznam się szczerze, nawet zwycięstwo nad czasami jego, jakkolwiek zadawalało mnie, to jednak nie przynosiło mi pełnej satysfakcji.

Chodziłem jak struty. Przyzwyczaiłem się już nie brać wielu rzeczy do serca, jednakże cios ten spadł na mnie tak niespodziewanie, że nawet świadomość tego, że przecież będę musiał stoczyć walkę niemniej zaciętą z takiemi potęgami światowemi, jak Lehtinen i Iso Hollo, nie wytrąciła mnie z apatji, w którą dyskwalifikacja Nurmiego mnie wtrąciła. Czas jednak robi swoje. A i Klumberg przyszedł mi tu z pomocą, tłumacząc i perswadując całą sprawę.

Załamanie się moje trwało niedługo. Następnego dnia znów byłem przy pracy, znów trenowałem i nie mogłem być niezadowolony ze swoich wyników. Przychodziły nadspodziewanie łatwo i dawały mi duże szanse.

Jeszcze na tydzień przed rozpoczęciem Olimpjady drużyna nasza urządziła wycieczkę w góry, M-t Love, ja jednak nie pojechałem na nią, uważając, że tego rodzaju przyjemności, jakkolwiek są bardzo pożyteczne, lecz nie powinny być tolerowane przed tak poważnym startem, jakim jest Olimpjada. W dwa dni później urządzono drugą wycieczkę na wyspę Catalia, ale i w tej też nie wziąłem udziału. Opowiadano mi tylko cuda o niej, bowiem pojechano statkiem, który miał dno szklane i można było obserwować przez nie całą faunę i florę dna morskiego.

Przed Olimpjadą jedyną moją przyjemnością były od czasu do czasu krótkie wycieczki samochodowe, przyczem sam prowadziłem samochód. Pamiętam, jak na jednej z nich o mały włos nie doszło do przykrego zajścia z policją.

Pojechałem do Hollywoodu na premjerę jednego z filmów. Cóż to był za widok, roje najwspanialszych samochodów świata przesuwały się szerokiemi ulicami miasta, pełne gwiazd i gwiazdorów. Nie orjentując się dobrze jeszcze w przepisach amerykańskich rozwinąłem za dużą szybkość. W jednej chwili zjawił się policjant, który chciał spisać protokuł i groził konsekwencjami. Z kłopotu wybawili mnie przyjaciele, którzy wytłumaczyli policjantowi, iż jestem zawodnikiem olimpijskim. To poskutkowało. Wogóle słowo „Olimpic games" było najlepszą rekomendacją i otwierało wszędzie wrota. Zresztą, wypada nadmienić, że nawet został wydany w czasie tym przez władze miasta specjalny okólnik. aby olimpijczykom wszyscy, w miarę możności, ułatwiali i uprzyjemniali pobyt.

Jednakże na premjerze filmu nie byłem po pierwsze dlatego, że bilet na taką uroczystość kosztuje aż 5 do-

larów, po drugie nie miałem już czasu. W każdym jednak razie podziwiałem niezwykłe zainteresowanie całej niemal ludności Hollywoodu i Los Angeles dla najmniejszego nawet przejawu z życia filmowego, a nieprzebrane tłumy, które zalegały wszystkie ulice, zachowując się entuzjastycznie wobec gwiazd, były najlepszym dowodem, jak tutaj ludzie kochają film i jego artystów. Tem więcej mnie to zastanawiało, że był to powszedni dzień.

Na kilka dni przed Olimpjadą jedno z towarzystw radjowych urządziło specjalną audycję na cześć Olimpjady. Na audycji tej przedstawiciele każdego kraju, biorącego udział w Olimpjadzie, mieli wygłosić do mikrofonu jednominutowe przemówienie. Miałem okropną tremę, gdy z naszej drużyny zostałem wydelegowany na przedstawiciela. Po południu przed wioskę zajechały luksusowe Packardy tego towarzystwa i w kilka minut potem jechaliśmy do Studia, gdzie w porządku alfabetycznym każdy z zawodników przemawiał. Przed każdem przemówieniem odegrany został hymn narodowy danego kraju. Byłem ogromnie stremowany i nieśmiały, wyobrażam więc sobie, jak musiało wypaść to moje przemówienie.

Tego samego dnia miałem przykre zajście z kierownictwem. Po powrocie do wioski spotykam w biurze pp. Danielskich, którzy chcieli zawieść nas na spacer, t. j. Heljasza, Klumberga i mnie. Ja jednak zaproponowałem, abyśmy pojechali na herbatkę do Domu Polskiego i tam potańczyli. Zebrani przyjęli moją propozycję i wyszło z tego całe qui-pro-quo. Okazało się bowiem, że kierownictwo drużyny zabroniło (nie wiem dlaczego) uczestniczenia zawodnikom na tym wieczorku. Z tego powodu po przyjeździe naszym do wioski, kpt. Baran miał sążnistą przemowę, a następnego dnia konsul Hulanicki poprawił jeszcze. Tutaj dopiero wyszło na jaw, że mieliśmy o dziesiątej wieczorem być już w łóżkach i że to było zarządzenie kierownictwa. Nie mogłem oczywiście zgodzić się na to, ponieważ przy-

zwyczajony byłem do tej pory chodzić spać o godz. 11 względnie 12 i na kilka dni przed Olimpjadą nie chciałem zmieniać swego trybu życia. Prosiłem więc p. konsula, żeby mnie zwolnił, gdyż nie chciałbym być niekarnym zawodnikiem, a z drugiej strony — nie mógłbym podporządkować się temu zarządzeniu. Wogóle przed samą Olimpjadą chciałem jaknajmniej myśleć o swoim starcie.

Jak na złość, na kilka dni przed Olimpjadą, zaczyna mi dokuczać ból reumatyczny w prawej kostce. Jak zresztą potwierdził kpt. Bartenbach, nastąpiło to wskutek wilgotnych nocy. Zaopiekował się mną dr. Potasz, nasz rodak, który miał w Los Angeles swoją lecznicę i zacząłem chodzić tam do niego na naświetlania. Krótki jednak czas, jaki dzielił mnie od Olimpjady, nie pozwolił na przeprowadzenie gruntownej kuracji, trzeba było chwycić się jakiegoś środka radykalniejszego. I tu muszę gorąco podziękować gen. Ruppertowi, który dał mi do dyspozycji swoje lekarstwo. Pomogło ono nadzwyczajnie.

Tymczasem zasypywani byliśmy listami, oraz odwiedzinami różnych młodzieńców, którzy wprost natrętnie prosili nas o autografy. Zresztą, był nawet rozpisany w Los Angeles konkurs, który dawał zwycięzcy 1000 dolarów nagrody, jeśli wykaże się największą ilością autografów zawodników, biorących udział w Olimpjadzie.

Tak więc dzień za dniem upływał zbliżając nas do decydującego momentu. Gdyby nie ból w nodze, czułbym się zupełnie zadowolony. Nie zważam jednak na to, i obojętny na wszystko trenuję nadzwyczaj usilnie, aby ze swej strony zrobić wszystko i nie znaleźć się w położeniu, uprawniającem kogokolwiek do wysunięcia przeciwko mnie choćby najmniejszego zarzutu, że nie wywiązałem się z pokładanych we mnie nadziei.

Na dwa dni przed rozpoczęciem Olimpjady, odbył się w Los Angeles międzynarodowy kongres federacji lekkoatletycznej, na którym miano zatwierdzić ostatnio

zdobyte rekordy światowe. Z niemałem zdumieniem i przykrością dowiaduję się, że protokuły z ostatnich moich startów, które, jak wiadomo, zakończyły się pobiciem rekordów światowych, nie zostały przesłane do Ameryki i wskutek tego rekordy moje nie będą obecnie uznane.

Nie dziwiłem się zbytnio, że Belgowie nie pośpieszyli z wysłaniem protokułu, zmartwiłem się natomiast poważnie, że nie przybyły protokuły z Polski.

Naprężenie doszło do kulminacyjnego punktu. Los Angeles zapełniło się przyjezdnymi tak dalece, że trudno było formalnie przejść ulicą. Przytłaczało wprost swym ruchem. Według obliczeń dzienników amerykańskich, do Miasta Aniołów zjechało przeszło 300.000 osób oraz ze sto tysięcy samochodów. Oczywiście wszystkie reprezentacje są już na miejscu, a wioska olimpijska może się pochwalić przeszło 1800 zawodnikami, reprezentującymi 49 państw.

Jak wielkiem zainteresowaniem będzie się cieszyła X Olimpjada, świadczy fakt, że zjechało na nią około 1000 dziennikarzy. Najwięcej, oczywiście, ze Stanów Zjednoczonych, ale nie brak dziennikarzy z żadnego kraju, który występuje na Olimpjadzie. Z Polski razem z naszą drużyną olimpijską przybyło dwoje: p. Muszałówna i p. Erdman. Organizatorzy niezwykle pieczołowicie zajęli się przedstawicielami prasy, ułatwiając im na każdym kroku, trudne zadanie. Na specjalnej loży prasowej umieszczono kilkaset teleskryptorów, które natychmiast po każdej konkurencji notowały wyniki. Niezależnie od tego zainstalowano masę aparatów telefonicznych do rozmów międzymiastowych, a nawet zagranicznych, oraz pocztę i telegraf.

Już w przeddzień Olimpjady wszystkie bilety na otwarcie zostały sprzedane. Zresztą tłumy stały przed kasami wykupując je na kilka dni naprzód.

Jeśli mówić (a mówiło się o tem wiele) o formie naszych zawodników, to stwierdzić trzeba, że panie górowały pod każdym względem. Zarówno Walasiewi-

czówna, Schabińska jak i Weissówna nie pozostawiały nic do życzenia. Natomiast panowie, a szczególniej Heljasz i Siedlecki, którzy nad wyraz ciężko odczuwali podróż, czuli się niezbyt dobrze i wyniki mieli stosunkowo słabe.

I tak przychodzi ostatni piątek i ostatni trening drużyny. Dzień ten minął wbrew przypuszczeniom nadzwyczaj szybko i obudziliśmy się wreszcie w sobotę rano, aby przygotowywać się do otwarcia igrzysk. Ponieważ Heljasz, Pławczyk i ja zwolnieni zostaliśmy z defilady, gdyż następnego dnia miał się odbyć nasz start, korzystając z tego, udaję się rano na swój ostatni trening. Wypadł on lepiej, niż przypuszczałem. Lepiej nawet, niż marzyłem. Trzy klm. przebiegłem w 8 min. 58 sek. bez najmniejszego śladu zmęczenia.

Rozdział IV.

Przed godziną pierwszą wsiedliśmy z Pławczykiem i Heljaszem do autobusu, który zawiózł nas na stadjon. Brak słów na określenie tego, co się tam działo. Olbrzymi przeszło 100-tysięczny stadjon zapełniony był do ostatniego miejsca publicznością. Istna wieża Babel. Słowa wypowiadane w różnych językach, czyniły gwar i hałas poprostu nie do zniesienia. Oczywiście nad wszystkiemi górowała mowa anglosaska. Polonja polska stawiła się licznie z chorągiewkami biało-czerwonemi w rękach. Nad stadjonem krążył olbrzymich rozmiarów sterowiec. Udaję się na trybuny, gdzie spotykam wielu znajomych, a przedewszystkiem Finów, którzy również zwolnieni zostali od defilady. Mając aparat w ręku, robię masę zdjęć. Wreszcie gwar milknie, rozlegają się dźwięki orkiestry, która gra „hymn Gwiaździsty" i w loży honorowej ukazuje się wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Curtis, który za chwilę w imieniu prezydenta Hoovera ma otworzyć igrzyska X Olimpjady. Za nim postępują członkowie rządu, przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych oraz korpus wyplomatyczny.



Burmistrz miasta Nowego Jorku dał nam swój statek, którym objechaliśmy to gigantyczne miasto naokoło.



Przez długich dwanaście dni trwającą podróż na „Pułaskim" uprzyjemniało się jak kto mógł. Ja segregowałem fotografje z Olimpjady.

Na olbrzymiem boisku ustawione są drużyny w porządku alfabetycznym, z drużyną Grecji na czele.

Po odegraniu marsza prezydent Curtis wygłasza przemówienie, kończąc je słowami: „Ogłaszam otwarcie igrzysk olimpijskich w Los Angeles dla uczczenia X Olimpjady ery nowożytnej". W tej chwili na olbrzymi maszt olimpijski wciągają flagę Stanów Zjednoczonych, jako państwa organizującego igrzyska oraz flagę olimpijską z pięcioma kolorowemi kołami na białem tle.

Następnie twórca olimpjad nowoczesnych, Markiz Piotr de Coubertin witany entuzjastycznie przez widzów, wygłasza okolicznościowe przemówienie.

W przemówieniu markiza de Coubertin, porucznik marynarki amerykańskiej, Calnan, szermierz, uczestnik czterech olimpjad, a więc najstarszy olimpijczyk na boisku, odczytuje rotę przysięgi, którą wszyscy zawodnicy powtarzają w skupieniu. Jednocześnie z odczytywaniem przysięgi, jedenaście strzałów armatnich obwieściło miastu, że Olimpjada została zaczęta. W tej samej chwili kilka tysięcy gołębi pocztowych zerwało się z boiska, aby zanieść w najdalsze zakątki Ameryki wiadomość o otwarciu Olimpjady.

W chwilę potem, przy dźwiękach orkiestry rozpoczęła się defilada. Jak już wspomniałem, w porządku alfabetycznym zaczęły przeciągać drużyny w ubiorach reprezentacyjnych. Równy krok, uśmiechnięte postacie sprawiają wrażenie imponujące, wszyscy zdążają do loży honorowej. Wreszcie przychodzi i kolej na naszych. Ubrani w granatowe marynarki, białe spodnie, prezentują się nadzwyczaj okazale. Na przedzie imponujący budową i postawą wioślarz warszawski Ślązak niesie sztandar. Za nim kroczą: kierownictwo drużyny, następnie trójka pań, a za niemi pozostali zawodnicy, uszeregowani w czwórkach. Na trybunach zrywają się oklaski i okrzyki:

— Hallo, Polend! — miesza się z okrzykami: Brawo Polska!

Przechodząc przed lożą honorową, wznoszą okrzyki: Czołem!

Wreszcie mija lożę honorową ostatnia drużyna. Gwary milkną i największy chór na świecie, złożony z przeszło 2000 osób śpiewa hymn amerykański.

Uroczystość otwarcia X Olimpjady trwała przeszło trzy godziny. Na stadjonie reprezentacyjnym tego dnia nie odbywały się żadne konkurencje, tylko nad wieczorem w „Atletic auditorium" odbyły się pierwsze zawody w podnoszeniu ciężarów. Właściwe zawody lekkoatletyczne miały się rozpocząć dopiero następnego dnia. Z drużyny naszej mieli startować: Pławczyk, Heljasz i ja w biegu na 10 kilometrów.

Po powrocie do wioski olimpijskiej, w dobrych humorach zjedliśmy kolację, a później z Heljaszem poszedłem do pp. Danielskich z wizytą. Chodziło mi w pierwszym rzędzie o to, aby nie myśleć o jutrzejszym swoim starcie. I rzeczywiście zdawało mi się, że zapomniałem o tem. Byliśmy z Heljaszem w tak doskonałych humorach, że szliśmy do pp. Danielskich w podskokach mazurowych. Ludzie z pewnem zgorszeniem oglądali się za nami. Przed godziną 11-tą byliśmy już z powrotem w wiosce olimpijskiej. Tu, oczywiście, o niczem innem nie mówiło się, jak o jutrzejszym dniu. Gdy się zwracano do mnie z jakiemikolwiek pytaniami, względnie pouczeniami, co do mego jutrzejszego startu, odwracałem się i nie chciałem absolutnie na ten temat z nikim rozmawiać. Zapowiedziałem zresztą odrazu, że nie chę i nie będę poruszał tematu swojego jutrzejszego startu.

Przed położeniem się spać mogliśmy podziwiać otwarcie Olimpjady po raz drugi... na filmie. Wieczór ten był i z tego jeszcze względu uroczysty, że po raz pierwszy, od czasu przyjazdu do Los Angeles, mieliśmy zaszczyt gościć na terenie wioski olimpijskiej, panie, które przyjechały obejrzeć film. Przed wyświetleniem tego filmu markiz de Coubertin przemówił płomiennie do zebranych sportowców.

Przed godziną 12 leżałem już w łóżku i, jak nigdy, prędko zasnąłem. Spałem doskonale. Obudziłem się wy-

poczęty, w doskonałem usposobieniu, a ponieważ umówiłem się jeszcze wczoraj z Weissówną, że przyjadę po nią, aby zabrać ją do polskiego kościołka, znajdującego się w mieście, więc zerwałem się z łóżka i po krótkiej gimnastyce i śniadaniu, byłem już przed wioską. Tutaj czekał na mnie p. Woźniak ze swoim przepięknym dwuosobowym Buickiem, którym pojechaliśmy do siedziby zawodniczek.

Niedługo czekaliśmy na Jadzię. Stąd pojechaliśmy do kościoła na mszę świętą, a następnie udaliśmy się do miejscowego proboszcza który nas przyjął nadzwyczaj serdecznie i ugościł.

Przed godziną 1-szą odwiozłem Weissównę do domu, sam wróciłem do wioski, aby zjeść obiad. Ponieważ za trzy godziny miałem startować (bieg na 10 klm. odbyć się miał o godz. wpół do piątej), zjadłem obiad zupełnie normalnie i kiedy drużyna nasza wyjechała na stadjon, gdyż Heljasz i Pławczyk, startowali już w pierwszych konkurencjach, ja zostałem w wiosce sam, ponieważ nie chciałem niepotrzebnie denerwować się, gdybym pojechał na stadjon.

Dwie godziny czasu, które miałem jeszcze, zużytkowałem na załatwienie wszelkiej korespondencji do kraju i na półtorej godziny przed startem siedziałem już w autobusie. Jeszcze przed wyjazdem dowiedziałem się, o niepomyślnych wynikach Heljasza. Biedakowi zabrakło 2 cm, aby wejść do finału. Wyprzedził go Sievert. Po przybyciu na stadjon, znalazłem Klumberga, z którym udaliśmy się do szatni. Tu przebrałem się i chciałem udać się na bieżnię, aby wyprobować ją, jednakże nie wpuszczono mnie tam. Wobec tego rozruszałem mięśnie na trawnikach, okalających stadjon. Po tym, że tak powiem treningu, Klumberg dobrze mnie rozmasował i na 15 minut przed startem, razem z 18-ma zawodnikami na zgłoszonych 26, wchodzę na bieżnię. Miedzy innymi wycofali się Argantyńczyk, Zabala, który chciał zarezerwować siły na Maraton i Francuz Rochard, który wolał startować na 5 klm. Za największego

swego konkurenta uważam oczywiście Iso Hollę, którego zresztą Nurmi przed startem raczył mianować swoim następcą. Kiedy jeden z dzienikarzy zwrócił się do Nurmiego, aby powiedział swoje zdanie o mnie, ten odpowiedział, iż: „Polak nie dorósł jeszcze do Finów i nie może, a szczególniej Iso Holli poważnie zagrozić".

Rozdział V.

Niewątpliwie bieg na 10 klm. stał się sensacją dla kilkudziesięsiotysięcznej publiczności. Przed samym biegiem rozdają nam numery. Ja otrzymuję Nr. 364, a więc (nie jestem przesądny, ale...) numer bardzo szczęśliwy dla siebie, bowiem w sumie daje trzynastkę, a cyfrę tę uważam za bardzo dla siebie przyjazną. Wszak pierwszy rekord, jaki zdobyłem w życiu przed kilku laty, był właśnie wtedy, gdy biegałem z cyferką 13. Na chwilę przed biegiem ustawiają nas na starcie w jednym rzędzie. Otrzymuję drugie miejsce od bandy, obok Virtanena i Iso Holli.

Na dany strzał, odrazu zrywam sprintem i obejmuję prowadzenie. Za mną podąża Szwed, Lindgren, trzeci — Pentti (Finlandczyk w barwach U.S.A), czwarty Japończyk, Kitamoto. Dalej biegną Savidan, Iso Hollo, Virtanen i inni. Już pierwsza runda, którą przebiegłem w 66 sekund, wykazała, że nie wszyscy zdołają utrzymać się przy mojem tempie, bowiem w drugiej kolejność biegnących za mną zmienia się już, przybliża się do mnie Iso Hollo i Sevidan. Druga runda mija w 69 sekund, ja ciągle prowadzę. Iso Hollo, jakby chciał wypróbować moją taktykę inicjuje w czasie trzeciej rundy szereg spurtów. Na prostej idzie przez dłuższy czas razem ze mną, dając do zrozumienia, że chce mnie wyprzedzić, ja jednak wytrzymuję te próby ataków z łatwością i nie daję sobie odebrać prowadzenia. Już w tej rundzie Lindgren i Syring nie wytrzymują mojego tempa i stopniowo zostają w tyle. Widać już, że nie

odegrają żadnej roli w biegu. Natomiast Virtanen, który do tej pory biegł na końcowych miejscach, zrywa się i po pewnym czasie dochodzi do Iso Holli. W ten sposób we trzech biegniemy dalej. Czas trzeciej rundy jest trochę słabszy — 72 sekundy.

Aby nie zmniejszyć tempa przyśpieszam trochę, gdyż postanowiłem jeszcze przed biegiem, że niezależnie od tego czy wygram czy przegram, bieg rozegrać muszę w granicach 30 minut. Czas 68 — 72 jest mi właśnie potrzebny, aby uzyskać taki wynik. Przypuszczałem bowiem, że jeżeli mi się uda uzyskać czas 30 minut, wówczas mogę być spokojny nawet o Iso Hollę.

Pierwszy kilometr przebiegam w 2:51.

Biegnąc tak stale pierwszy, zaczynam przemyśliwać nad tem, jaką też Finowie zastosują taktykę co do biegu i czy uda im się „zamknąć" mnie, co oczywiście będą chcieli zrobić. W to nie wątpiłem ani na chwilę. Jeśli chodzi o mnie, to jeszcze przed wyjazdem do Los Angeles powiedziałem sobie, że biegać będę na tempo i zdania tego nie zmieniłem. Bieg rozegrać chciałem na czas i w ten sposób starać się, jeśli nie Iso Holle to w każdym razie Virtanena tak osłabić tempem, aby w decydującej chwili znalazło się na bieżni nas dwu, a nie trzech. Rozumiałem bowiem dobrze, że jeśliby Virtanenowi udało się utrzymać przy nas do ostatniego okrążenia, byłbym zgubiony.

W czwartej rundzie szybkim szpurtem mija mnie Iso Hollo i na wirażu, zrywając się, przyśpiesza, jakby chciał oderwać się ode mnie. Przeczuwając jego manewr, momentalnie paraliżuję go i po 200 metrach na następnym wirażu, stosując kontratak, wychodzę naprzód. 1600 metrów wystarczyło, aby pole zawodników rozciągnęło się na blisko 60 metrów. Virtanen, Lindgren, Syring i Savidan trzymają się za nami o kilka metrów. Kitamoto i Penti są już o 30 metrów w tyle. Czas czwartego okrążenia — 70 sek.

Pierwsze 1500 metrów przebiegłem 4:17 sekund.

W piątem okrążeniu Iso Hollo bez żadnej przeszko-

dy z mej strony mija mnie znów. Kolejność w tem okrążeniu nie ulega żadnej zmianie. Przebiegając po tem okrążeniu przez linję startu, spoglądam na sztoper: 5 min. 48 i pół sekundy. A więc doskonale, wszystko jest w porządku, bieg rozgrywam, tak, jak chciałem. Tempo, w jakiem biegliśmy, odpowiadało niewątpliwie nowemu rekordowi świata grubo poniżej 30 minut.

W pewnej chwili widzę ze zdumieniem, że Iso Hollo wyraźnie zwalnia. Aha — myślę sobie — już cię mam. Staje się widoczne, że widząc, iż Virtanen zostaje się w tyle, Iso Hollo zaczyna stosować taką taktykę, aby Virtanen nas doszedł i abyśmy w trójkę biegli dalej. Na to oczywiście nie mogłem się zgodzić. Wiedziałem dobrze, co mnie czeka. Próbuję więc wyjść naprzód, ale Iso Hollo nie puszcza mnie. Dopiero na przeciwległej prostej udaje mi się wyprzedzić go i momentalnie zwiększyć tempo. Czas rundy 73 sekundy, a więc zwolnienie przez Iso Hollę odbiło się dość wyraźnie na wyniku. Wszyscy biegnący podzielili się wyraźnie już na cztery grupy. W pierwszej biegniemy w trójkę, a w drugiej Savidan chce wyprzedzić Lindgrena, trzecia grupa już jest o 30 metrów w tyle za drugą, a blisko o 70 za mną. Należą do niej Bricker, Ottey, Pentti i Kitamoto, czwarta, to rozbitki, którzy biegną już o kilkaset metrów.

Szóste koło mijam bez zmiany. Ja tylko zwiększam tempo i ciągle marzę o tem, aby jak najbardziej zmęczyć swoich rywalów i może wtedy uda mi się od nich oderwać. Gdyby się to udało, wtedy niewątpliwie będę szedł na rekord. Iso Hollo, widząc, że przejrzałem jego taktykę, pozostawia mi inicjatywę biegu i pozwala na prowadzenie aż do 6 klm. Tak mijają siódma, ósma, i dziewiąta runda, których czasy wynoszą mniej więcej po 73 sekundy.

Virtanen wciąż trzyma się nas, ale przecież jest to właściwie początek biegu. Już teraz widzi się, że niezdolny on jest wytrzymać naszego tempa i, jak później

się sprawdziło, nie odegrał właściwie żadnej roli w biegu.

W dziesiątej rundzie różnica między nami a pozostałymi zawodnikami, wynosi już kilkadziesiąt metrów. Różnica ta niemal z każdym metrem się zwiększa. Czas jej, jak i w poprzednich 73 sekundy.

Jedenasta runda mija również bez zmian w 74 sekundy. Prowadzę w dalszym ciągu. Dwunasta jest cokolwiek lepsza i wynosi 73.

W trzynastej rundzie podejmuję pierwszą próbę oderwania się od Finów. Zwiększam tempo i prąc silnie naprzód dubluję Brazylijczyka. Jednak Finowie nie są jeszcze zmęczeni po kilkunastu metrach wytrzymują tempo, aby znaleźć się znów koło mnie. Czas jedenastego okrążenia 72 sekundy, pięciu zaś kilometrów poniżej piętnastu, bo 14:54,5 co jest, mówiąc bez przesady niezwykłym rekordem, jakiego dotychczas nikt na świecie nie uzyskał, biegnąc na 10 klm. Nurmi, który ustanawiał rekord światowy na tym dystansie, jak wiadomo przebył pierwsze pięć klm. w 15 minut, następne w 15:06. Kiedy zobaczyłem to na stoperze, jak mi później mówiono, aż uśmiechnąłem się z zadowolenia. Mając tak wspaniały czas za sobą, nie przypuszczałem nawet, że będę się czuł tak świeży, jak teraz i tak silny. Zdawało mi się, że i następne 5 klm. przebiegnę również poniżej 15 minut.

Czternasta runda nie przynosi żadnych zmian. Ciągle jestem na przedzie, tylko dalsze grupy toczą ze sobą zaciętą walkę o dalsze miejsce. Czas w dalszym ciągu jest prawie identyczny, jaki poprzednich 73 z ułamkiem.

W piętnastej rundzie zaczynam odczuwać lekki ból w stopach, który zwiększa się niemal z każdym metrem. Szczególniej mi dokucza, gdyż mam system biec na przedniej półstopie. To też zwalniam cokolwiek, ale mimo to jestem stale na przedzie. Czas tej rundy 75 sekund.

Iso Hollo, który niewątpliwie musiał odczuć różnicę czasu, myśląc, że zaczynam „puchnąć", przyśpiesza

kroku, atakuje mnie i wychodzi naprzód. Nie przeszkadzam temu zupełnie, pozwalam mu prowadzić, ale atak jego wytrzymuję w zupełności. Nie wytrzymał go tylko Virtanen, który stracił przez to około 5 metrów. Czas tej rundy znów 73 sekundy.

W siedemnastej Iso Hollo znów próbuje się oderwać i wyjść naprzód. Ja jednak intuicyjnie wyczuwając niemal każdy krok jego, wytrzymuję te zrywy. Ale czuję jednocześnie, że stanie się jakaś tragedja. Stopy bolą mnie niesłychanie, każde stąpnięcie odczuwam, tak, jakbym biegł gołą stopą po szpilkach. Czuję, że jeżeli nie potrafię stropić w jakiś sposób Iso Holli i nie dam mu poznać, że prowadzi on tylko dlatego, że ja tak chcę, a nie, że nie mogę, będzie źle. Ból już jest tak wielki, że trudno to znieść. Pantofle, które były dobre na trawie, tutaj, na twardej bieżni, cisną mnie okropnie. Ból mój potęguje jeszcze upał: nogi rozgrzały i rozszerzyły się — pieką mnie tak, jakbym trzymał je w ogniu.

Aby więc nie dać poznać po sobie, że przeczuwam katastrofę, tłumię ból i w osiemnastej rundzie wychodzę na czoło. W ten sposób mijają trzy okrążenia 72, 73, 74 sek. Virtanen, który dotychczas starał się za wszelką cenę utrzymać za nami o kilka metrów — teraz wyraźnie słabnie i zostaje. Odległość jego od nas wynosi już kilkanaście metrów i jestem pewny, że ten, który według planu fińskiego, miał mnie zamknąć na ostatniem okrążeniu i w ten sposób utorować drogę do zwycięstwa swemu rodakowi, w biegu nie odegra żadnej roli i już do mnie nie dojdzie. W ciągu tych trzech okrążeń, dublujemy kilku zawodników, a więc Lindgrena, Syringa i Rodrigera. Z tym ostatnim była pociecha. Kiedy zobaczył, że zbliżamy się do niego, ni stąd ni zowąd zaczął sprintować przynajmniej ze 200 metrów, aby później formalnie stanąć. Za chwilę minęliśmy go po raz drugi. Virtanen goni ostatkiem sił, i teraz mam już nad nim przewagę przeszło 70 mtr. Już teraz mogłem dziękować sobie, że obrałem taktykę — najszybsze tempo — przynajmniej o jednego rywala mniej.

W czasie tych trzech okrążeń i tego morderczego tempa, przeżywałem cierpienia, których nie da się opisać, a przytem załamanie psychiczne. Jestem najmocniej przekonany, że gdyby w tym momencie Iso-Hollo minął mnie, z pewnością przegrałbym. Nie byłem zdolny do walki na dwuch frontach — walczyłem z sobą. Z walki tej wyszedłem wprawdzie zwycięsko, ale zupełnie zobojętniały na wszystko. Nie patrzyłem już na stoper, tak samo jak przestałem już marzyć o próbie pobicia rekordu.

Idąc tylko na wynik w 22 rundzie specjalnie zwalniałem, aby wypuścić Iso-Hollę. Ten jednak nie chce wyjść — to też idziemy prawie „spacerkiem". Iso-Hollo przeczuł, że naumyślnie zwolniłem, aby zachować siły na ostatnią chwilę, robi więc to samo. Po kilkudziesięciu metrach jednak, mimo niechęci, wychodzi naprzód. Tymczasem mijamy Lindgrena, który przypadł do nas i stara się wytrzymać jak najdłużej. Virtanen mimo tego, że runda ta była najsłabszą w całym biegu (81 sek.), stale zostaje w tyle. Odległość między nami wynosi już blisko 100 metrów.

Gdy Iso-Hollo objął z powrotem prowadzenie, zaczyna przyśpieszać. Idę za nim jak cień. Z szalonego bólu nikogo i nic nie widzę, tak samo jak nic nie słyszę. Majaczy tylko przedemną niebieska koszulka, która jak magnes ciągnie mnie i zachęca do wysiłku. Czas 23 rundy już jest lepszy i wynosi 76 sek.

W tym samym porządku zaczynamy 24 rundę. Iso Hollo biegnie swoim miarowym długim krokiem. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że jest on taksamo świeży i równy jak w pierwszych okrążeniach, czuję jednak instynktownie, że Fin jest już ‚nadszarpnięty". Lindgren, który trzymał się nas kurczowo, nie może dalej wytrzymać tempa i odpada. Raczej bezwładnością swoją, niż wysiłkiem trzymam się niebieskiej koszulki. W głowie mej, jak sto młotów bije tylko jedno zdanie: — Czy wytrzymasz?!

Ból w nogach już mi tak dokucza, że niezwykłego wysiłku woli potrzebuję na to, ażeby stłumić jęk, jaki mi się przy każdem stąpnięciu wyrywa na usta. Mimo to biegnę dalej, ani na jeden centymetr nie odsunąwszy się od Iso Holli. W ten sposób mijamy oba wiraże i wychodzimy na prostą. Virtanen jest już o przeszło 100 metrów wtyle. Czas tej rundy już jest znacznie lepszy od poprzednich i wynosi 74 sekundy.

W pewnej chwili, kiedy znalazłem się przed miejscem startu i jednocześnie metą, słyszę dzwonek. Momentalnie oprzytomniałem, zapomniałem o bólu, o zmęczeniu, i rzuciłem się naprzód. Wszak to ostatnia 25 runda. Jedno mi huczało, o jednem tylko myślałem: — zwyciężyć! W jednej chwili zrównałem się z Iso Hollo. W tej samej chwili ten poderwał się do finiszu. W mgnieniu oka przeszło mi przez głowę: jeśli teraz zaczął finiszować, to musi przegrać. Po 24 okrążeniach nawet Iso Hollo tej szybkości nie wytrzyma, tembardziej, że cały był w potach, koszulka jego była tak mokra, że niemal przylgnęła do ciała. Ja zaś, nie wiem dlaczego, czułem się zupełnie świeży, tak dalece, jakbym wcale nie biegał.

Kilkadziesiąt metrów biegniemy razem obok siebie. Na wirażu Iso Hollo jest na chwilę pierwszy, na prostej jednak prawie bez walki mijam go i obejmuję prowadzenie. Z każdym niemal metrem zwiększam tempo, lecz nie finiszuję jeszcze, bojąc się, że w ostatniej chwili może się coś takiego stać z moją nogą, że nie mógłbym dokończyć biegu. Chcę do ostatniej chwili uniknąć niespodzianki.

Nagle na 250 metrów przed taśmą mija mnie jakiś zawodnik w białej koszulce. Zdębiałem, skąd się tu wziął? W pierwszej chwili zdawało mi się, że to Iso Hollo, a jego niebieską koszulkę wziąłem za białą. Ale nie, to jeden ze zdublowanych zawodników. Mimo to jednak, już na nic nie zważam, ani też nie czekam. Zrywam się do finiszu, momentalnie odrywam się od Iso Holli, który nie jest już wstanie przyjąć walki, mijam tego zawodnika w białej koszulce i prę naprzód naj-

większem, na jakie było mnie stać, tempem. Teraz już byłem pewny zwycięstwa. W pewnej chwili oglądam się za siebie — Iso Hollo jest już o kilka metrów wtyle. Podrywam się jeszcze bardziej, ale sił mi starczyło tylko do 50 metrów przed taśmą. Nie dlatego, żebym był zmęczony, ale po tak emocjonującej rundzie, po tak wielkim wysiłku nerwowym, w czasie którego zapomniałem o bólu, teraz, gdy już miałem świadomość, że zwyciężę, ból zaczął dokuczać mi w dwójnasób. Poprostu przystanąłem z bólu. Obejrzawszy się w tym momencie jeszcze raz za siebie, widzę Iso Hollę już o jakieś 20 metrów. Dlatego też zwalniam, przestaję finiszować i niemal truchcikiem dochodzę do taśmy. Za chwilę rwę, ją, jako zwycięzca.

Iso Hollo jednak nie zwalnia, przez cały czas finiszuje i dlatego poprawia znacznie różnicę, jaka była między nami, przychodząc jako drugi o 8 metrów w tyle.

Czas ostatniego okrążenia jest wprost fenomenalny i nie do wiary, wynosił bowiem 60 i cztery dziesiąte sekundy!

Gdy przerwałem taśmę i znalazłem się o kilka metrów za metą, nie wiedziałem, co ze sobą robić. Ogarnęło mnie tak dziwne uczucie, jakiego nigdy w życiu nie doznawałem. W pierwszej chwili nie miałem nawet możności cieszyć się ze swego zwycięstwa. Jedynem mojem pragnieniem było zrzucić pantofle. Mało to jednak pomaga. Miękka ziemia, na której staję gołemi stopami, tak samo uciska jak twarde pantofle. Z przyjemnością usiadłbym, ale cóż, kiedy nie wypada. Teraz dopiero rozglądam się po trybunach. Wszyscy stoją, klaszczą, krzyczą i gwiżdżą. Kolonja polska, uplasowana w jednej części trybun, macha chorągiewkami biało-czerwonemi, wiwatując najgłośniej. W tej chwili podchodzi w milczeniu do mnie Iso Hollo i podaje mi rękę. Za chwilę robią to samo Lehtinen, Virtanen i kilkunastu innych. Później winszują mi sędziowie.

Chcę uciekać jaknajprędzej do szatni, ale, niestety, ciągną mnie do megafonu i mikrofonu. Nogi mnie tak

bolą, że poprostu nie mogę swobodnie myśleć. Z trudnością też znalazłszy się przed mikrofonem, wykrztusiłem parę zdań:

— Jestem szczęśliwy, że mogłem swoim wynikiem przyczynić się do rozsławienia imienia Polski i do uświetnienia wielkości sportu polskiego.

Za chwilę znalazłem się w szatni, w rękach swoich przyjaciół, którzy całowali mnie serdecznie i ściskali. Znalazł się też dr. Bartenbach, który zaczął oglądać mi nogi. A wyglądały one strasznie. Szereg nabrzmiałych krwią, ogromnych odcisków pod palcami i pod stopami, sprawiało wprost straszny ból. Kpt. Bartenbach zajął się niezwłocznie opatrunkiem, ale niestety, przerwano mu w pracy, ku mojemu nieopisanemu żalowi. Musiałem wyjść zpowrotem na stadjon, gdyż zaczynało się „ceremonie protocolaire olimpique". Wszyscy wstają; staję na niskiem wzniesieniu, w rodzaju schodów, mając niżej po lewej stronie Iso Hollę, po prawej — Virtanena. W tej samej chwili orkiestra gra „Jeszcze Polska nie zginęła".

Boże, cóż to był za widok, jakież przeżywałem uczucia. Przecież tyle razy wysłuchiwałem na ziemi obcej w meczach międzypaństwowych Mazurka Dąbrowskiego. Nigdy jednak nie wydał mi się tak piękny, i tak drogi mojemu sercu. Z trudnością mogłem powstrzymać łzy szczęścia, cisnące się do oczu. Patrząc na kolonję polską, wiedziałem, że każdy z nich przeżywa to samo, co i ja.

Po skończeniu ceremonji, udekorowano mnie złotym medalem olimpijskim. Znów zrywają się okrzyki i brawa.

Odprowadzony przez kolegów, poszedłem do szatni i tu, ubrawszy się jak najprędzej, za chwilę siedziałem już w aucie, zaniesiony formalnie do niego na rękach kolegów. Nogi mnie tak bolały, że już nie mogłem wcale stąpać. W kilkanaście minut potem znalazłem się w wiosce olimpijskiej. Tu po przepisowej łaźni i masażu, zabrał się do roboty kpt. Bartenbach, który troskliwie

opatrzył moje nogi. Jednakże po tak wielkiem szczęściu spotkało mnie nieszczęście, gdyż doktór zawyrokował, iż o moich dalszych startach na Olimpjadzie mowy być nie może. Kuracja nóg potrwa przynajmniej kilka dni. Tymczasem przedbiegi do 5 klm. odbywały się już za dwa dni, a bez nich nie dopuszczą mnie przecież do finału.

W tym czasie, kiedy odbywały się ceremonje olimpijskie w biegu na 10 klm. ogłaszano oficjalnie wyniki. I tak w kolejności za mną przyszli: 2) Volmari Iso Hollo (o 8 mtr.), 3) Lauri Virtanen o 110 mtr., 4) John Savidan (Nowa Zelandja) o 270 mtr., 5) Maks Sering (Niemcy) o 390 mtr., 6) Gunnar Lindgren (Szwecja), 7) Fernando Remirez (Meksyk), 8) Masamihi Kitamoto (Japonja), 9) Shoihiro Takenaka (Japonja), 10) Fernando Chacarelli (Agentyna), 11) Adal berto Cardoso (Brazylja), 12) Jose Ribas (Argentyna), 13) Thomas Ottey (U. S. A.), 14) Louis Gregory 15) Eino Pentti (U. S. A.), 16) Cliff Bricker (Kanada). Meksykańczyk Rodriguez i Brazylijczyk Giorgi nie skończyli biegu.

A teraz trochę statystyki. Czas każdego okrążenia podawałem wcześniej, więc nie chcę tu powtarzać. Na 25 okrążeń, tylko przez siedem prowadził Iso Hollo. Tak więc cały ciężar biegu spoczywał na mnie, gdyż przez 18 okrążeń byłem na przedzie. Pierwszy kilometr przebiegłem 2 : 51, pierwsze dwa kilometry 5 : 48,5, pierwsze trzy kilometry 8 : 49, pierwsze 5 klm. 14 : 54,5, sześć klm. — 18 : 02, osiem klm — 24 : 06, wreszcie cały bieg 10 klm. — 30 : 11,4, który to czas jest nowym rekordem olimpijskim i nowym rekordem polskim. Od rekordu światowego Nurmiego gorszy o 5,4 sekundy.

Po biegu, gdy zważyłem się, poprostu oniemiałem: ubyło mi w czasie trwania biegu 2 i pół klg. Była to po raz pierwszy w mojem życiu notowana tak poważna strata wagi w czasie biegu. Jak nigdy ważyłem wtedy poniżej 60 klg. Ponieważ ukończyłem bieg

względnie świeży, mógłbym sobie zjawisko to tłumaczyć walką z bólem, a właściwie opanowywaniem nerwów.

Jeśli chodzi o znaczenie mego zwycięstwa z punktu widzenia ogółu sportu polskiego reprezentowanego na Olimpjadzie, ze zrozumiałych względów nie będę pisał. Jeśli zaś chodzi o mnie osobiście, to cieszyłem się niezmiernie z dwuch powodów, przedewszystkiem, dumny byłem z tego, że mnie właśnie, jako jedynemu sportowcowi na świecie przypadł w udziale zaszczyt złamać hegemonję Finów, którzy od kilkunastu lat zawładnęli biegami długodystansowemi i na poprzednich olimpjadach byli bez konkurencji w tym poważnym dziale lekkiej atletyki. Z drugiej strony szczęśliwy byłem, bo zdobyłem przecież najwyższy zaszczyt, do jakiego dąży każdy sportowiec — laur olimpijski. Tembardziej, że byłem właśnie pierwszym Polakiem, który go zdobył. Cieszyło mnie to tembardziej, że już obecnie panie nasze nie będą miały powodu do chwalenia się, iż tylko kobiety w Polsce uprawiające sport, zrównały się z klasą europejską i światową.

Rozdział VI.

Wieczorem czułem się jeszcze gorzej, niż po obiedzie. Nie mogłem spać, budziłem się co chwila — tak mi dokuczał ból w nogach. Na drugi dzień nie wychodziłem zupełnie z domu. Z rana przyszedł dr. Bartenbach, któremu do dzisiejszego dnia jestem wdzięczny za tak troskliwą opiekę i zmienił mi opatrunek. Od czasu do czasu odwiedzali mnie koledzy, a nawet zagraniczni zawodnicy, którzy mam wrażenie, przychodzili tylko przez ciekawość, aby obejrzeć chorego mistrza olimpijskiego. Kolację zjadłem również w domku, a nie w jadalni. Kiedy zostawałem sam nadchodziły mnie czarne myśli — co dalej będzie? Ale cóż było robić, trzeba się

było pogodzić z losem. Przed położeniem się spać, kpt. Bartenbach zrobił mi jeszcze raz opatrunek, który ulżył memu cierpieniu.

Byłem niezmiernie zdziwiony, że wypadek mój wywołał tak duży oddźwięk w otoczeniu. Niewątpliwie było mi z tego powodu bardzo przyjemnie. Nawet gen. Ruppert opiekował się mną nadzwyczaj troskliwie, interesując się niemal co chwila, jak się czuję i czy czego nie potrzebuję.

Przepraszam, że odbiegam trochę od tematu, ale dziś stwierdzić muszę pewien fakt i napiętnować go. Oto znaleźli się tacy ludzie, którzy uważali, iż choroba moja była tylko... wymysłem i że mogłem startować na 1500 metrów i na 5000, a nie startowałem tylko dlatego, ponieważ nie chciałem ponieść ewentualnej porażki. Pomijając już, że cała drużyna nasza jest świadkiem, jak bardzo cierpiałem, najlepiej może w tym wypadku oddać głos kpt. Bartenbachowi, który jaknajkategoryczniej zabronił mi nietylko startu, ale nawet treningu, ponieważ z jednej strony było to niemożliwe ze względu na przekrwione bąble, z drugiej — groziło dużemi komplikacjami, które mogły się skończyć dla mnie, jako dla zawodnika — katastrofą. Ci sami zarzucają mi, iż nie powinienem był biegać w nowych pantoflach, ale, niestety, nie orjentują się i nie wiedzą, że te, które zabrałem ze sobą z Polski, były przystosowane do normalnych bieżni, jakie znajdują się w Europie, a więc elastycznych. Miały one długie i grube kolce, które absolutnie nie nadawały się do twardej bieżni w Los Angeles. Nie decydowałem o tem sam zresztą, ale mój najlepszy przyjaciel Klumberg poradził mi założyć pantofle fińskie, specjalnie przystosowane do bieżni twardych, z krótkiemi i cienkiemi kolcami.

Zresztą mniejsza o to. —

Na drugi dzień obudziłem się bardzo wcześnie. Ból jednak nie dokuczał mi już tak, jak poprzedniego dnia i nie odczuwałem pieczenia, które dzięki lekarstwom i opiece kpt. Bartenbacha ustąpiło. Mimo to jednak

nogi mnie bolały. W pierwszej chwili sądziłem, że będę mógł chodzić, kiedy jednak stąpnąłem, okazało się, że o tem mowy być nie może, z powrotem bowiem każde stąpnięcie odczuwałem tak, jakby mi kto miljony igieł wpychał w stopy. Chodziłem więc, jak kaleka na piętach.

Dzięki usilnym staraniom kpt. Barana i moim prośbom, przydzielono do mojej dyspozycji samochód, którym mogłem udawać się na zawody.

Korzystając z tego, pojechałem popołudniu na stadjon i mogłem podziwiać, jak Walasiewiczówna odnosiła sukces za sukcesem w przedbiegach na 100 metrów. Cóż to za fenomenalna sportsmenka. Poprostu oderwać oczu nie można, patrząc na jej bieg. Nie darmo od kilku lat nosi miano najszybszej kobiety świata. Biegnie wspaniale i szybko, jak torpeda.

Niemal wszystkie konkurencje, które odbywały się tego dnia, były dla sportowca sensacją. Z niekłamaną zazdrością patrzyłem na niezwykle wysoką klasę wszystkich bez wyjątku zawodników, szczególniej zazdrościłem Amerykanom ich ekstra-formy, dzięki której mogli bez wyjątku w każdej konkurencji liczyć na punktowane miejsce.

Po zawodach pojechałem do państwa Danielskich, z którymi udaliśmy się na przejażdżkę po okolicach Kalifornji. Nogi mniej mnie bolały, ale w każdym razie stąpać jeszcze nie mogłem. Po powrocie i nowym opatrunku, zasnąłem. Spałem nieźle. Następnego dnia, już przed ósmą godziną obudził mnie konsul Bujnowski, który doręczył mi pierwszą depeszę z kraju.

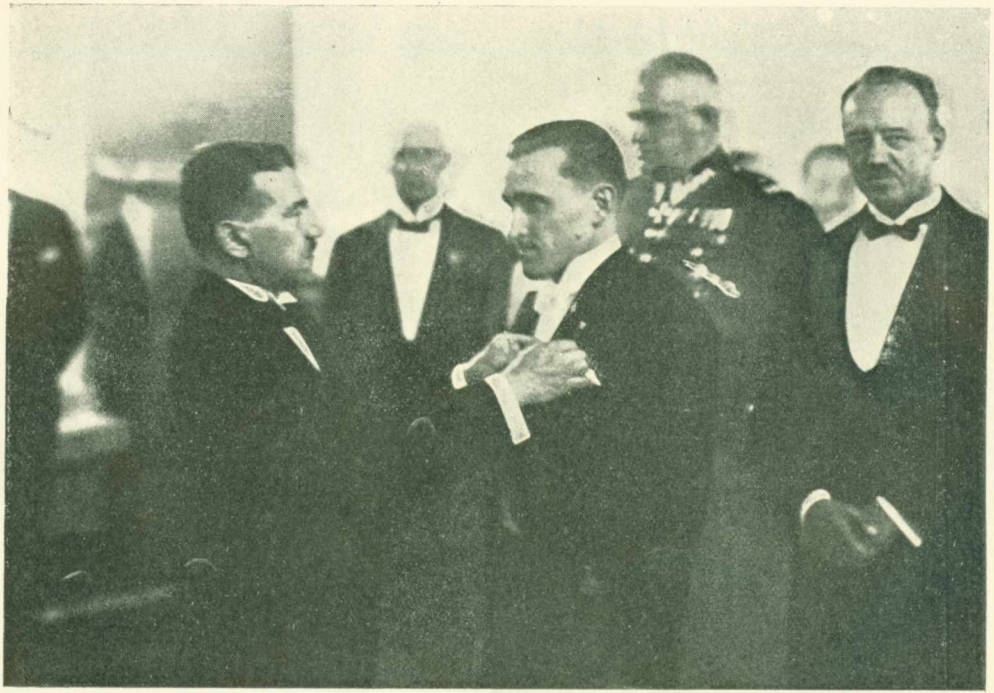
Boże, jaką sprawiła mi przyjemność. Otwierałem ją z drżeniem rąk. Była to depesza z Warszawy: „Brawo Janusz, ale 1500 lepiej zrezygnuj — Olek" (Aleksander Szenajch — przyp. aut.).

Depesza sprawiła mi nieopisaną przyjemność. Z drugiej jednak strony nie chciało mi się wierzyć, że w Warszawie nie wiedzą nic o moim wypadku.

— Gdybyś wiedział, drogi przyjacielu — pomyślałem sobie — jak drogo i czem okupiłem swoje zwycię-



Moje mieszkanie w Łazienkach, udekorowane na moje przyjęcie przez Zarząd Łazienek



Wiceminister Zawadzki dekoruje mnie Krzyżem Zasługi na trzeci dzień po powrocie z Olimpjady podczas bankietu.

stwo, nie przysłałbyś takiej depeszy. Napewno, gdyby nie moje obolałe nogi, nie posłuchałbym Twojej rady. Czułem się tak silny i tak chętny i żądny startu, że żadna siła nie powstrzymałaby mnie od dalszych startów bez względu na to, czy przegram, czy wygram.

Niemal w chwilę potem zaczęły nadchodzić dalsze depesze. A więc od konsulów: Kubisza i Zbyszewskiego oraz inne.

Nie mogę sobie odmówić tej przyjemności, aby pominąć milczeniem teksty depesz, które w ciągu dwóch dni otrzymłem. A więc zachowując kolejność ich otrzymałem: „Gratulujemy Adolf Dymsza, Władysław Dan", — „Gratulujemy zwycięstwa — Warszawianka", „Winszujemy — PZLA", „Serdecznie gratulujemy mistrzostwa Olimpjady, życząc dalszych sukcesów — „Nowiny Codzienne", „Serdeczne gratulacje przesyła Panu Sokolstwo polskie w Ameryce. Życzenia dalszej pomyślności reprezentacji Polski. Pozdrowienie Czołem! Kłosowicz — sekretarz", „Niech żyje Polska. Powinszowania od rodaczki z Los Angeles — Katherine Rousseau", „Upon this occasion the Chicago womens club group 2582 Polish National Alliance extends greetings our hearts rejoice in happiness together with Poland upon your victory in the 10. the Olympiad — Stephany Kalisz President", „Serdeczne gratulacje — „Przegląd Sportowy". Warszawa", „Zwycięstwem wczorajszem zdobyłeś nietylko laur olimpijski, lecz przysporzyłeś chwały Ojczyźnie i całemu narodowi polskiemu. Przyjmij serdeczne gratulacje, wyrazy podziwu i głębokiej wdzięczności — Kubisz, konsul Nowy Jork", „Proszę przyjąć, Drogi Panie, serdeczne życzenia z powodu zdobycia lauru dla barw polskich tak chlubnie przez Pana reprezentowanych — Zbyszewski Chicago", „Z głębi serca płynące powinszowanie przesyła redakcja „Rekordu Codziennego" Detroit", „Wyraz serdecznej radości z Twego zwycięstwa śle okręg XIII Sokolstwa polskiego — Kusiorski prezes, Zymalski sekretarz. Detroit", „Wieść o zdobyciu światowego rekordu przez

Pana na Olimpjadzie, napoiła mnie szczerą radością. Serdecznie gratuluję i życzę Panu oraz całej drużynie polskiej dalszych sukcesów — F. Z. Świetlik, cenzor ZNP — Milwauke", „Sincerest congratulations to Polands gallant sons on victory you have won vor Poland — Dziennik Polski w Detroit", „Polish 10.000 meter champion olympic village Los Angeles calif congratulations on your superb work in the Xth olympias may your visit here be most and successful — Dyas Sporting Goods 7th at olive sts Los Angeles calif".

Później, niemal w miesiąc po swojem zwycięstwie, już po przyjeździe do Warszawy dowiedziałem się, o pewnej depeszy, której, nie wiem dlaczego, nie miałem zaszczytu oglądać. Chodzi o depeszę wysłaną przez p. ministra spraw zagranicznych, dr. Augusta Zaleskiego. Było tak: kiedy przyjechałem do Warszawy, udałem się w towarzystwie por. Olchowicza do ministerstwa spraw zagranicznych, aby podziękować serdecznie min. Szumlakowskiemu za troskliwą opiekę i tyle życzliwości, jaką mi okazał. Od niego dowiaduję się, że p. min. Zaleski był łaskaw po zwycięstwie mojem wysłać depeszę do Los Angeles na ręce p. konsula Hulanickiego. Gdy p. min. Szumlakowski oświadczył mi to, znalazłem się w przykrej sytuacji, gdyż nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć — przecież żadnej depeszy takiej nietylko nie dostałem, ale nie wiedziałem nawet, że nadeszła. W toku rozmowy min. Szumlakowski pokazał mi nawet jej odpis. Podziękowawszy serdecznie min. Szumlakowskiemu jeszcze raz i prosząc go o wyrażenie mojego poważania p. min. Zaleskiemu, do dzisiejszego dnia nie wiem, co mam sądzić o tym fakcie. Gdy po przyjeździe do Warszawy wyczytałem w jednem z pism wzmiankę o tej depeszy, zdumiałem się ogromnie, naprawdę bezradny byłem wtedy dopiero, gdy druga gazeta podała wiadomość, jakobym wysłał odpowiedź na tę depeszę, dziękując min. Zaleskiemu za pamięć.

Cieszyłem się z tych wszystkich depesz, otrzymanych w Los Angeles, jak dziecko. Niewątpliwie naj-

większą przyjemność sprawiły mi poza depeszami od mego klubu i Olka Szenajcha, depesze od Dymszy i Dana, oraz od redakcji „Nowin Codziennych", pisma, które od początku jego istnienia zawsze jak najbardziej przychylnie odnosi się do sportu.

Przez pierwsze dwa dni po starcie czułem się fatalnie. Jak już pisałem, nie mogłem zupełnie chodzić i każdy krok sprawiał mi okropny ból. Do tego zmartwienia doszło jeszcze i to, że przecież po tak forsownym biegu, powinienem właściwie pobiegać gdzieś od czasu do czasu na miękkim, trawiastym terenie, a nie siedzieć bezczynnie i czuć, jak mi mięśnie tężeją. Cóż jednak było robić. Musiałem się z losem pogodzić. Całe szczęście jeszcze, że mogłem być na stadjonie i podziwiać wyniki najlepszych lekkoatletów świata.

Zachwycony byłem w pierwszym rzędzie Walasiewiczówną. Pracowała doprawdy w pocie czoła. Już, jak wspomniałem, tego samego dnia kiedy ja wygrałem bieg, Walasiewiczówna zachwyciła cały stadjon swoim doskonałym sprintem. W dzień później Walasiewiczówna startuje dwa razy w następnych przedbiegach, oczywiście bijąc na głowę swoje konkurentki, a przecież dodać trzeba, że walczyć musiała z najwyższą ekstraklasą światową. Zarówno w przedbiegu, jak i w półfinale, Walasiewiczówna okazała się niewątpliwie najlepszą biegaczką świata, tembardziej, że zarówno w jednym, jak i w drugim wypadku miała spóźnienie na starcie.

Wszyscy oprócz, oczywiście Amerykanów przyjęli zwycięstwa Stasi huraganami braw.

Niemal jednocześnie odbywały się rzuty dyskiem pań. Gryzłem formalnie ze złości paznokcie, patrząc, jak ani jeden rzut nie udaje się Weissównie. Przecież jeszcze tak niedawno Jadzia rzucała zupełnie lekko i bez specjalnego wysiłku, zawsze ponad 40. Teraz wprost wierzyć się nie chce, że pomimo gorączki wysiłku, nie wychodzi ani jeden rzut. Dwa pierwsze są poniżej 37 metrów, trzeci zaledwie 38. Oczywiście, wchodzi do

finału jako druga z wynikiem 38 mtr. 13 cm., za Osburn (40 mtr. 12 cm.). Trzecią w eliminacji jest Fleischer z rzutem około 36 mtr. Czwartą Heublein (34 mtr.). Piątą jest Copeland (niecałe 34 mtr.). Szóstą Walasiewiczówna (33 mtr. 60 cm.).

Ostatecznie Weissówna poprawia się w finale do 38 mtr. 74 cm., zajmując trzecie miejsce. Szóste miejsce zatrzymuje Walasiewiczówna.

Przykro mi było patrzeć na Jadzię, która poprostu ze łzami w oczach przyjęła wiadomość o swojej porażce. Nie można się jednak jej dziwić, boć przecież nierzadko się zdarza, że nerwy są silniejsze od woli, a start w takiej konkurencji i w obliczu tylu tysięcy ludzi, z pewnością podciął wrażliwe nerwy Weissówny, która nie potrafiła oprzeć się tak, jak, powiedzmy, oparła się Walasiewiczówna, przyzwyczajona od lat do międzynarodowych startów.

Dziś można już stwierdzić, że właściwie z pośród całej drużyny naszej na Olimpjadzie z zimną krwią startowało nas tylko troje, t. j. Walasiewiczówna, por. Suski, który w najbardziej krytycznym momencie umiał zapanować nad nerwami i przeważyć szalę zwycięstwa na naszą stronę, oraz ja.

Tego samego dnia odbywały się przedbiegi na 5.000 metrów. Nie chciało mi się nawet patrzeć na nie i rozgoryczać. Tylko zawodnik może odczuć to, gdy patrzy na konkurencje, w których nie bierze udziału, a które mogłyby skończyć się dla niego dodatnio. To też pewny jestem, że Nurmi, który całą Olimpjadę przesiedział na trybunach, więcej przecierpiał od tych wszystkich, którzy wyszli z zawodów pokonani.

Następnego dnia czuję się już znacznie lepiej. Po odparowaniu nóg, przeciąłem pęcherze, tak że po „operacji" tej mogę powolutku chodzić. Wprawdzie tego dnia odbywał się bieg na 1500 mtr., ale o starcie moim nawet mowy być nie mogło.

W tym samym dniu biedny Heljasz przegrywa w dysku, a Schabińska w przedbiegach w biegu z płotkami wchodzi do półfinału, aby następnego dnia definitywnie odpaść.

Bieg na 1500 metrów stał się triumfem Włocha Beccalego, który zdecydowanym finiszem oderwał się jak z procy od swoich konkurentów, wygrywając w taki sam sposób, w jaki ja wygrałem od niego rok temu w Poznaniu na meczu naszym z Włochami.

Rozdział VII.

Tak więc po tych pierwszych kilku dniach z lekkoatletów naszych pozostał tylko Siedlecki, którego dziesięciobój rozpoczynał się za dwa dni. Szermierze i wioślarze startowali dopiero w końcowej fazie Olimpjady.

Tymczasem Siedleckiemu wyraźnie się nie powodzi, prześladuje go jakiś pech. Jak już wspominałem, skutkiem uciążliwej podróży spadł on z formy i do dzisiejszego dnia nie mógł jeszcze dojść do siebie. Uciążliwe treningi do dziesięcioboju wyczerpywały go oczywiście, a wyniki, osiągane na nich, nie rokowały żadnych nadziei, aby mógł uzyskać jakieś punktowane miejsce. Na trzy dni przed startem swoim, trzeba jeszcze nieszczęścia, Siedlecki skręcił sobie nogę na jednym z treningów. To go oczywiście tak przygnębiło, że żal mi było patrzeć na chłopaka, który przenosić musiał okropne męki. Psychicznie załamał się zupełnie.

Tak schodził dzień za dniem. Wieczorami chodziliśmy do Domu Polskiego. Stasia Walasiewiczówna, Jadzia Weissówna i ja specjalnie byliśmy tam wyróżniani i honorowani, do tego stopnia, że krępowało nas to. Najmilszą jednak rozrywką dla mnie były wycieczki samochodowe, z których jednak nie mogłem zbyt często korzystać. Tak się zawsze jakoś układało,

że ile razy znalazła się jakaś okazja, zjawiał się któryś z kierowników drużyny i zabierał nas na oficjalne wizyty. Z biegiem czasu wizyty te stawały się okropne nużące, nic więc dziwnego, że byłem niezmiernie zadowolony, jeśli mogłem od jakiej się wykręcić. W ciągu tych kilku dni staliśmy się tak popularni, że nawet na ulicy zjawieniem się swojem robiliśmy sensację. Czułem się, jak na cenzurowanem.

Powoli przychodzę do siebie. Wprawdzie odczuwam jeszcze przy stąpaniu lekki ból, ale w każdym razie mogę swobodnie chodzić. W tym samym czasie otrzymaliśmy zaproszenie od Brekwestklubu na śniadanie na godz. 8 rano. Po raz pierwszy w życiu widziałem coś podobnego. Na ogromnem podwórzu zastawiono stoły na kilkaset osób. Punkt o 8 zasiedliśmy do śniadania. Zaczęło się ono od marsza powitalnego, po którym zaczęto wygłaszać przemówienie. Gdyśmy zaczęli jeść, jeden z organizatorów wstał i... za jego wskazówką zaczęliśmy się gimnastykować. A więc ruchy rąk, nóg, głowy i tułowia. Następnie odbył się cały szereg występów artystów i orkiestra zagrała marsza pożegnalnego. W jednej chwili wypadło na podwórze kilkunastu fotografów, którzy nie próżnowali. I ja również zrobiłem sobie kilka cennych zdjęć, utrwalając w albumie swoim cały szereg wybitnych osobistości amerykańskich ze świata politycznego, artystycznego i sportowego.

Po śniadaniu pojechaliśmy samochodami zwiedzić wytwórnię filmową Universal Pictures Corporation. Przedstawia się ona imponująco. Położona na olbrzymim obszarze, posiada cały szereg domów, hal i pałaców. Wygląda zupełnie jakby była miastem w mieście. Na każdym kroku jakaś niespodzianka. Tu skopjowano całą ulicę Berlina, potrzebną do akcji jakiegoś filmu. Obok niej znów wierna kopja ulic Paryża, jeszcze dalej widać zbudowany fronton katedry Notre Dame z Paryża i t. d. i t. d.

Na każdym kroku podziwiało się urządzenia techniczne z jednej strony, z drugiej — przepych i bogactwo pomysłów. W wytwórni zapoznaliśmy wiele gwiazd, a m. in. Toma Mixa, który serdecznie mi gratulował i z którym zaprzyjaźniliśmy się.

Piątego dnia po wypadku czuję się na tyle dobrze, że wybrałem się na trawiaste boisko do gry w golfa, po którem trochę pobiegałem w gumowych pantoflach. Teraz dopiero mogłem odczuć, jak bardzo odbił się wypadek na moich mięśniach. Czułem się, jakby cały sztywny, tak że pomalutku, stopniowo musiałem rozruszać mięśnie, by zacząć normalnie trenować. Po treningu wziąłem łaźnię i masaż, które mi się bardzo przydały.

Tego samego dnia rozpoczynał się dziesięciobój, w którym startował Siedlecki, oraz finał biegu na 5 klm. Znalazłem się na trybunach i zdaleka obserwowałem cały bieg. Kiedy po dzwonku startera zobaczyłem zawodników na starcie, przeżywałem to samo, co niegdyś w Warszawie, gdy Petkiewicz biegał z Nurmim. Faworytami tego finału byli oczywiście Finowie — Lehtinen i Virtanen. O Hillu — Amerykaninie, nic się nie mówiło, gdyż nikt nie przypuszczał, aby zawodnik ten znalazł się na Olimpjadzie w tak świetnej formie, jaką wykazał w akcji. Po strzale startera puściłem stoper i zacząłem mierzyć okrążenia. Już pierwsze wykazują, że biegną oni w ścisłem porozumieniu, prowadząc na zmianę. Hill cały czas był na końcu. Po kilku okrążeniach Amerykanin nadspodziewanie zaczyna rozwijać doskonałe tempo, mija po kolei kilku zawodników i plasuje się w pierwszej grupie obok Virtanena i Lehtinena. Na dwa okrążenia przed końcem Hill mija Virtanena i zaczyna zagrażać poważnie Lehtinenowi.

Do tej pory siedziałem spokojnie, jakkolwiek zarówno taktyka, jak i forma Hilla zaczęły mnie zaciekawiać. Gdy jednak zaczęło się ostatnie koło, a po

kilkudziesięciu metrach zawodnicy rozpoczęli finisz, zdenerwowałem się tak, że trzęsłem się jak w febrze. Przez kilkaset metrów Hill szedł równo z Lehtinenem, ale już blisko mety nie mogłem odróżnić, który z nich został pokonany. W chwilę potem ogłosił megafon zwycięzcą Lehtinena. Na to zerwała się straszna wrzawa na trybunach, którą udało się dopiero po kilku minutach uciszyć speakerowi. Uspokajał on przez megafon swoich rodaków i nawoływał do „gościnności".

Jak się dowiedziałem, podobno Lehtinen nie pozwalał minąć się Hillowi, zastawiając się łokciami. O ile mi się zdaje, to tylko dlatego nie zdyskwalfikowano Lehtinena, że sędziowie amerykańscy byli stosunkowo objektywni i grzeczni dla zagranicznych.

Jednocześnie Siedlecki startował w dziesięcioboju i, jak było do przewidzenia, po pięciu konkurencjach znalazł się w pierwszej dziesiątce. Gdy wieczorem zobaczyłem go na kolacji, siedział jak struty. Współczułem mu bardzo, widać było, że człowiek ten jest bardzo osłabiony fizycznie. Załamanie się jego psychiczne odbierało mu energję do dalszej walki. Po kolacji z konsulem Bujnowskim udaliśmy się na wyścigi samochodowe do Passadenu — na olbrzymi tor, gdzie po raz pierwszy w życiu miałem możność podziwiać walkę smoków motorowych.

W międzyczasie rozpoczęły się pertraktacje co do olbrzymich zawodów, jakie związki sportowe w Chicago chciały urządzić zaraz po Olimpjadzie. Miały one być drugą niejako nieoficjalną Olimpjadą. Oczywiście i nasza drużyna otrzymała zaproszenie, na które odpowiedziano pozytywnie.

Następnego dnia trening przechodzi daleko łatwiej i lepiej. Noga już nie dokucza zupełnie, to też cieszyłem się, że będę mógł zabrać się do pracy przed tak ważnym występem, jakim miał być mój start w Chicago.

Dnia tego zaszedł fakt, który wywołał wielką burzę, szczególnie w naszej drużynie. Mianowicie nadeszły z Berlina depesze o tem, jakoby jeden z dzienników niemieckich podał „rewelacje" na temat mojego amatorstwa. Autor tego artykułu, p. Nürnberg, podawał, że za kilka dni odbyć się ma konkres Związku Międzynarodowego i że na tym kongresie ma być poruszona sprawa mojego amatorstwa. Wniosek taki ma złożyć von Halt i Etström, a więc dwu tych samych panów, którzy swojego czasu oskarżyli Nurmiego o zawodowstwo. Mało tego, depesza ta podawała, że ciż sami panowie mają na kongresie zaproponować przywrócenie praw amatorskich Finowi i gdyby on upadł, zaproponują skreślenie mnie z rzędu amatorów. Argumentami, które mają posłużyć im do wystąpienia, według p. Nürnberga, była korespondencja, jaką prowadziłem z Finami.

Czytaliśmy te depesze ze zdumieniem, szczególniej ja oburzałem się na tego rodzaju wystąpienia niemieckiego pisma. Kierownicy moi uspakajali mnie, jak mogli. Intryga niemieckiego dziennikarza była aż nadto widoczna, ani jeden bowiem fakt, opisany w tym artykule, nie odpowiadał prawdzie. Niezwłocznie po przeczytaniu depeszy kpt. Baran zwrócił się w tej sprawie do ekspedycji fińskiej, Finowie jednak kategorycznie zaprzeczyli, jakoby posiadali wspomniane dowody i wogóle jakoby zamierzali wystąpić przeciwko mnie.

Co jeszcze było dziwniejsze, że tego samego dnia, kiedy wybrałem się z Heljaszem na spacer do miasta, podszedł do nas jeden ze znanych menegerów amerykańskich i zaproponował mi 50.000 dolarów za 10 startów z Nurmim, bez względu na rezultat. Starty te chciał on urządzić w ciągu najbliższych tygodni w większych miastach amerykańskich. Odmówiłem kategorycznie, a przypomniawszy sobie całą awanturę z depeszą, tak byłem wzburzony, że nie chciałem kończyć z nim rozmowy.

Następnego dnia odbywały się ostatnie konkurencje lekkoatletyczne, a więc dokończenie dziesięcioboju. Siedleckiemu nie powodziło się coraz bardziej i kiedy w ósmej zkolei konkurencji w skoku o tyczce zrzucił poprzeczkę na wysokości 3 mtr. 20 cm., wycofał się zupełnie z dziesięcioboju. Namowy kpt. Barana i kolegów nie odniosły żadnego skutku. Siedlecki ubrał się i przyszedł do nas na trybuny. Ja również zacząłem go przekonywać i namawiać, aby kończył bez względu na rezultat, ale nie chciał się zgodzić. Gdy zaraz potem wyszedłem ze stadjonu, spotkałem kolegów i opowiedziałem im o wypadku z Siedleckim, byli formalnie zaskoczeni.

Następnego dnia odbył się już tylko maraton, w którym triumfował Argentyńczyk Zabala (2:31:36) przed Anglikiem Ferrisem i Finem Toivonenem.

Przed samym wyjazdem do Chicago odbyło się w Hollywood-Bovl — wielkim amfiteatrze, uroczyste przedstawienie, na którem wykonano cały szereg pieśni i tańców narodowych wszystkich państw, biorących udział w Olimpjadzie. Pomimo ogromnej chęci zobaczenia tego widowiska, nie byłem tam, gdyż był tak szalony ścisk i tłok, że nie można było się dostać. Już na kilka dni przed przedstawieniem wszystkie bilety były rozsprzedane. Tego samego dnia cała drużyna polska podejmowana była oficjalnym bankietem przez kolonję polską w Los Angeles. Gdyby nie długie i nużące przemówienia, bankiet udałby się doskonale.

Rozdział VIII.

Wreszcie nadszedł dzień odjazdu. Czułem się dość silnie i dobrze, wprawdzie nie tak, jak przed swoim startem olimpijskim, w każdym jednak razie stan mego zdrowia dawał mi rękojmię, że po kilku treningach, jakie jeszcze odbędę przed zawodami w Chicago, mogę

mieć pewne szanse. Ze względu na bliski termin zawodów zaproponowałem kpt. Baranowi, abyśmy do Chicago wyjechali samolotami, a nie tłukli się trzy dni w pociągu. Podróż taka, gdybyśmy ją nawet odbywali w najidealniejszych warunkach, musiałaby nas zmęczyć i osłabić przed zawodami. Z różnych powodów projekt mój upadł. I tak wspólnie z Klumbergiem znaleźliśmy się w wagonie.

Po drodze kierownictwo nasze postanowiło wspólnie z nami zwiedzić Grand Canion — niezwykłą osobliwość natury. Wprawdzie ciekaw byłem ogromnie, jak on wygląda, zaoponowałem jednak przeciwko przerywaniu podróży i opóźnianiu przez to naszego przyjazdu do Chicago o cały dzień. Zdaję sobie dokładnie sprawę z tego,że bieg mój na 5 klm. z Lehtinenem i Hillem w Chicago będzie niejako powtórzeniem biegu olimpijskiego i ma rozwiązać tajemnicę, który z nas jest lepszy. Dlatego każdą przerwę w treningu uważałem dla siebie za niepowetowaną stratę.

Pomimo moich próśb zatrzymaliśmy się po drodze, aby zwiedzić wąwóz. Widok był rzeczywiście wspaniały. Odłączywszy się od reszty towarzystwa z Weissówną i Walasiewiczówną, zeszliśmy przynajmniej z kilometr wdół po stromych zboczach, aby dostać się na dno wąwozu. Ale gdzietam, dna widać nie było, a my baliśmy się dalej ryzykować, aby nie zgubić kolegów.

Korzystając z tego, że obok Canionu znajdował się stadjon, na którym popisywali się cowboye i rozgrywano walki byków, udaliśmy się tam na trening, który nam doskonale zrobił.

Wieczorem mieliśmy możność oglądać oryginalnych Indjan, którzy przyszli do nas gromadą, popisując się swojemi tańcami.

Niedługo potem siedzieliśmy znów w pociągu. Na jednej ze stacyj, korzystając z tego, że pociąg zatrzymał się przeszło godzinę, ubraliśmy się w kostjumy treningowe i zaczęliśmy trenować... na peronie, po uprzed-

niem porozumieniu się z zawiadowcą ruchu. Był na tyle uprzejmy, że nietylko nam nie zabronił, ale nawet służył wszelkiemi ułatwieniami. Ciekaw jestem, czy coś podobnego jest do pomyślenia u nas w Polsce. Z pewnością nie. Bez specjalnych przeszkód i przygód dotarliśmy wkońcu do Chicago. Po porozumieniu się z konsulatem ulokowaliśmy się w hotelu.

Do zawodów zostało nam cztery dni, intensywnie też zabraliśmy się do pracy. Wszyscy prawie trenowaliśmy codziennie, ja nawet czasami biegałem dwa razy dziennie. Wreszcie nadszedł dzień zawodów.

Ze względu na olbrzymie upały, zawody miały rozpocząć się o godz. 8 wieczór przy świetle olbrzymich reflektorów. Odbywały się one na olbrzymim stadjonie sportowym, drugim co do wielkości na świecie. Zmieścić on może przeszło 100.000 osób i ustępuje pod względem wielkości tylko stadjonowi w Los Angeles.

Na długo przed zawodami zaczęły już płynąć fale tłumów, aby zapełnić cały stadjon po brzegi. Przed zawodami nie czułem się zbyt dobrze. Wiedziałem doskonale, że nie jestem w formie, w dodatku męcząca podróż dała mi się we znaki. Mimo to jednak z niecierpliwością oczekiwałem na spotkanie z Lehtinenem, któremu chciałem pokazać, że nie dlatego nie wziąłem udziału w biegu na 5 klm. na Olimpjadzie, że się bałem, lecz dlatego, że nie mogłem.

Nigdy nie zapomnę tego startu ze względu na przykry incydent z Finami. Zostałem zgłoszony do trzech biegów: na 10 klm., 5 klm. i 1500 mtr. Tymczasem dowiadujemy się, że podobno Finowie jedynie dlatego zgodzili się na start w Chicago, że organizatorzy zawodów obiecali, iż ja będę biegał tylko na 10 klm., a Lehtinen i Hill tylko na 5 klm.

W szatni spotykam Lehtinena, który spostrzegłszy mnie, jak się przebierałem w kostjum lekkoatletyczny, zrobił ogromnie zdziwioną minę. Gorączkowo zaczął mi dawać znaki na migi, dlaczego się rozbieram, kiedy

przecież nie startuję w biegu na 5 klm. Akurat w tej samej chwili podszedł do nas Klumberg, który odpowiedział Lehtinenowi po fińsku, że startuję i to właśnie startuję z nim, tak, jak to było zapowiedziane. Lehtinen się speszył, zmieszał i bez słowa odszedłszy w głąb szatni, zaczął się ubierać. Za chwilę dowiedziałem się od Klumberga, że Lehtinen oświadczył, iż ze mną startować na 5 klm. nie będzie. Z jego oświadczenia wynikało, że kierownik ekspedycji fińskiej umówił się z organizatorami zawodów chicagoskich, że odbędą się dwa biegi na 5 klm. W jednym będę biegał ja z Virtanenem, w drugim Lehtinen i Hill.

Jednem słowem sprawa zaczynała przybierać formę skandalu. W szatni powstał zgiełk, wszyscyśmy się zdenerwowali; zaczęły się rozmowy i pertraktacje. W jednej chwili znalazł się kpt. Baran, który starał się przeciąć dyskusję najpoważniejszym argumentem: statut Międzynarodowej Federacji Lekkoatletycznej wyraźnie zastrzega się przeciwko temu, aby na jednych i tych samych zawodach mogły odbywać się dwa biegi o tym samym dystansie. Oświadczenie kpt. Barana jednakże nie poskutkowało i zanosiło się na formalną burzę. Wyprowadzony z równowagi kpt. Baran oświadczył, że jeśli organizatorzy nie zastosują się do statutu i nie pozwolą mi biegać razem z Lehtinenem, to wniesie skargę do Międzynarodowej Federacji Lekkoatletycznej i nie pozwoli ani jednemu lekkoatlecie wziąć udziału w zawodach.

Byłem tem wszystkiem tak zdenerwowany, że odeszła mnie chęć wogóle do startu i poprosiwszy Klumberga, żeby w mojem imieniu nawymyślał Finom, których przestałem uważać za lojalnych zawodników, — ubrałem się i nie chciałem wogóle startować. Poczciwy Klumberg uratował sytuację. Najpierw mnie uspokoił, a następnie z kpt. Baranem poszli do startera i wyłuszczywszy mu wszystkie powody zatargu, zwrócili się do niego, jako do międzynarodowego sędziego,

z prośbą, ażeby nie puszczał biegu do tej chwili, dopóki wszyscy zawodnicy nie staną na starcie. Ten oczywiście zgodził się na to i wyraził zdziwienie, że Finowie mogli zająć tak niesportowe stanowisko.

Po powrocie do szatni kpt. Baran kazał mi się rozebrać i powiada:

— Chodź za Lehtinenem jak cień, nie opuszczaj go ani na chwilę i startuj wtedy, kiedy on będzie startował. Nie zważaj na nic i na nikogo i nie bój się niczego. My im pokażemy!

W to mi graj. Przecież dla mnie była to jedyna okazja, żeby pokazać wszystkim, iż się nie obawiałem Lehtinena na Olimpjadzie, że dlatego tylko nie startowałem na 5 klm. w Los Angeles, bo nie mogłem, no i że będę mógł wreszcie pokazać, iż potrafię być szybszy od „spadkobiercy" Nurmiego.

Tymczasem wieść o tem zajściu przedostała się gdzieniegdzie na trybuny, wywołując zresztą nieprzychylnie komentarze dla Finów, a szczególniej dla Lehtinena. Jakto? — pytali zdziwieni Amerykanie — więc rekordzista świata i mistrz Olimpjady boi się wziąć udział w zawodach?

Za chwilę rozlega się gwizdek startera, nawołujący zawodników na start do biegu na 5 klm. Serce uderzyło mi żywiej i trzymając się stale Lehtinena, razem z nim wpadam na bieżnię. W tej samej chwili podchodzą do nas inni zawodnicy z Virthanenem i Hillem na czele.

Mimowoli spojrzałem na kapt. Barana, który z zadowolenia zacierając ręce, wołał do mnie:

— Trzymaj się, Kusy; już pierwsze zwycięstwo odnieśliśmy. Teraz pokaż im, że odniesiemy i drugie.

Strzał startera poderwał nas naprzód. Momentalnie wysuwam się i obejmuję prowadzenie. Tak biegniemy kilkaset metrów. Naraz raptownym zrywem wychodzi Lehtinen na czoło, odrywa się momentalnie o jakieś 10 metrów i zaczyna prowadzić tempem tak szalonem, że

odpowiada ono fantastycznemu rekordowi na tym dystansie — około 14 minut. W pierwszej chwili nie zorjentowałem się, o co mu chodzi. To było tak raptowne, że nie przyszło mi jeszcze wtedy na myśl, iż był tutaj uplanowany na mnie cały atak, sprytnie pomyślany. Chodziło jemu poprostu o zmęczenie mnie i zmuszenie do kapitulacji. — Nie wygram ja — pomyślał sobie Lehtinen — to i tobie nie dam wygrać.

Przyjmuję atak Lehtinena, przyśpieszam kroku, tak że zaczynamy biec razem okrążenie za okrążeniem i odległość między nami zamiast się zwiększać — zmniejsza się.

Po dwuch okrążeniach zdołałem nadrobić nawet te 10 metrów, zbliżając się do niego. Inni zawodnicy, oczywiście zostali w tyle, w odległości kilkudziesięciu metrów. Tak biegliśmy jeszcze dwa okrążenia. Gdy w piątem okrążeniu chciałem Lehtinena minąć i już go obchodziłem z prawej strony, ten z niewiadomych powodów przystanął i zszedł z bieżni. Na trybunach powstało zamieszanie, krzyki, niemal awantura. Zdębiałem. Przez moment zatrzymałem się w miejscu. Wszystkiego się mogłem spodziewać i wszystko przypuszać, ale nigdy to, żeby ten największy biegacz fiński, mistrz Olimpjady i rekordzista świata, mógł wycofać się z biegu.

Po opanowaniu się, ruszyłem dalej, choć bez najmniejszej chęci do dalszej walki. Zresztą z kim miałem walczyć. Virtanen i Hill byli daleko poza mną i gdybym nawet w normalnym tempie chciał bieg ukończyć, nigdyby do mnie nie doszli. Nie wiedziałem wprost co robić ze sobą. Tak, jak przedtem czułem, że nikt nie zdołałby się oderwać ode mnie, tak teraz nie wiedziałem, czy czekać na pozostałych zawodników, czy też kończyć bieg na czas.

Po przebiegnięciu jednego okrążenia, opanowałem się już na tyle, że postanawiam biec tak, ażeby o ile możności ukończyć bieg, nie pozwalając dojść innym za-

wodnikom. Jednak nie udaje mi się. Pomimo, że nie czułem się zmęczony, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Zbyt silne wrażenia, jakich doznałem w ciągu ostatnich kilku godzin, zdezorjentowały mnie zupełnie. Nawet nawoływania Klumberga, który przyśpieszał mnie po każdem kole, wołając, że Hill dochodzi do mnie, nie odniosły skutku. To też, gdy na dwa okrążenia przed końcem biegu znów namyślałem się, czy dać zbliżyć się Hillowi i grać na finisz, czy też przyśpieszyć, zdecydowałem się na to pierwsze, tembardziej, że te trzy początkowe koła przebyte w warjackiem tempie, teraz dopiero zaczynały odbijać się na mnie. Wolałem więc trochę odpocząć, aby zostawić siły na finisz.

Na 600 metrów przed metą, wśród ogłuszających ryków trybun, Hill dochodzi do mnie. I tak przez 200 mtr. biegniemy razem, chociaż ja jeszcze wciąż znajduję się na czele. Na początku ostatniego okrążenia Hill przypuszcza atak, zrywa się, i mija mnie wśród ogłuszających braw Amerykanów. Brawa te, które miały już dziękować Hillowi za zwycięstwo, przyniosły mu klęskę. Jakby poderwany niemi z ziemi niewiadomo skąd zdobywam się na zryw, podrywam się, mijam Hilla i niemal w ułamkach sekundy odrywam się od niego na przeszło 20 metrów. Hill był już tak wyczerpany, że nie był w stanie przeciwstawić się, nie wytrzymał ataku i przegrał. Ta odległość, którą przecież musiał nadrobić, aby mnie dojść, wyczerpała jego siły. Mój finisz wykończył go do reszty.

Po biegu następuje druga awantura. Megafon ogłaszając mnie zwycięzcą, zaznacza, że bieg wygrany został w 14:59,6, kiedy zarówno na moim stoperze, jak i na stoperach kpt. Barana i Klumberga wykazywał równo 14:52. Oburzony byłem na taką stronniczość sędziów, nie przejmowałem się jednak tem bardzo, boć przecież nie chodziło w biegu tym o czas, ale o wynik.

Niemal zaraz po moim biegu startowała Stasia Walasiewiczówna, która dystansuje wszystkie swoje ry-



Miła pamiątka z jednej z licznych wizyt po przyjeździe z Olimpjady. Od prawej stoją: kpt. St. Kaczmarski, chor. Danek, kpt. Fedorowicz i chor. Kozakiewicz.



Tenis interesuje mnie bardzo. Z wizytą na kortach „Legji". Od lewej: Tłoczyński, rtm. Szanter i K. Gryzewski

walki i po raz, nie wiem który, potwierdza swoją fenomenalną klasę. W biegach na 100 i 200 metrów przychodzi oczywiście pierwsza. Starty Heljasza i Pławczyka wykazały, że nie są oni jeszcze w formie; zato Weissówna zrehabilitowała się za swój występ na Olimpjadzie w zupełności.

Zaczęła kiepsko, pierwszy rzut był poniżej 38 mtr. Zrzedły nam miny, rozgorączkowani biegaliśmy po boisku, prosząc Boga, aby rzuciła lepiej. Jednak do ostatniego, t. j. do piątego rzutu, prowadzi Didrickson jeszcze lepszym rzutem, jak na Olimpjadzie. Tymczasem w piątym rzucie Weissówna wspaniale się odbija i umieszcza dysk w odległości 41 metrów 98 i pół cm. Hurra! Zwycięstwo! Nowy rekord światowy!

Tymczasem Amerykanie zaczynają jakoś dziwnie mierzyć tę odległość i stawiają opozycję w przyznaniu zwycięstwa Weissównie. Jednak kpt. Baran pokazał jeszcze raz swoje zęby i radzi nie radzi sędziowie musieli orzec tak, jak było...

Zawody chicagoskie kończą się naszym pełnym sukcesem. Mieliśmy prawo być dumni, że drużyna nasza, bodaj najmniej liczna ze wszystkich, w ogólnej klasyfikacji zajęła drugie miejsce za Ameryką, dystansując 16 państw.

Entuzjazm Polaków chicagoskich nie miał granic. Po zawodach oblegli oni szatnie, gdzieśmy się ubierali i na rękach niemal wyniesiono nas ze stadjonu. Po raz pierwszy w życiu widziałem coś podobnego.

Po zawodach konsul Zbyszewski zaprosił nas do siebie na herbatkę potem zaś liczne grono kolonji naszej zaprosiło nas na kolację. Upierałem się, bo byłem zmęczony. Ci jednak obstawali przy swojem i wkońcu zmylili mnie. Wsiedliśmy do taksówki; miano mnie zawieźć do domu tymczasem zawieziono do restauracji polskiej, jakich wiele można spotkać w Chicago. Zły byłem, tak że po kilku minutach, korzystając z okazji, uciekłem do domu. Ale jak tutaj dojść do niego, kiedy

miasta zupełnie nie znałem, a po angielsku ani w ząb! Mimo to zatrzymuję taksówkę, zaczynam na migi tłumaczyć szoferowi, o co mi chodzi, ale jak na złość zapomniałem nazwy hotelu, w którym się zatrzymaliśmy. Wiedziałem tylko, że znajduje się on niedaleko jeziora. Jakież było moje zdziwienie, gdy tak mu tłumaczyłem, kiedy szofer w pewnej chwili uśmiechnął się i powiada do mnie:

— Niech pan lepiej mówi po polsku, to się prędzej dogadamy!

Następnego dnia z Saint Louis w przejeździe z Los Angeles przybyła cała nasza drużyna i teraz dopiero zaczęły się dla nas wszystkich istne męki Tantala: przyjęcia, bankiety, akademje. Staliśmy się przedmiotem olbrzymich owacyj całego Chicago, bo przecież to po Warszawie największe zbiorowisko ludności polskiej.

Polski Komitet Olimpijski w Chicago woził nas wszędzie i przedstawiał wszystkim. To też już tego samego dnia odbyła się wielka akademja z udziałem kilkudziesięciu tysięcy osób. Oczywiście przemówienia za przemówieniami, a kiedy już się cała oficjalna część skończyła, przewodniczący akademji zaczął nami dyrygować i, nie pytając się, czy chcemy czy nie chcemy, po kolei zapraszał nas na mówców. Oczywiście i mnie nie pominął. Ponieważ nie byłem przygotowany na to (wiecie już wszyscy, że jestem małomówny), szło mi jak z kamienia. Wierzcie mi, że przemówieniem tem więcj się spociłem niż swoim biegiem olimpijskim.

Tak codziennie zajęci byliśmy od rana do wieczora przyjęciami, obiadami i bankietami. Z prawdziwą przyjemnością wyrwałem się któregoś popołudnia, aby zwiedzić miasto. Wstąpiliśmy do jednej z kawiarń i tu naocznie mogłem się przekonać o tem, jak to się w Ameryce przestrzega prohibicji. Wygląda to bardzo niewinnie: jegomość siedzi sobie przy stoliku i pije lemoniadę z lodem, tylko od czasu do czasu sięga do kieszeni marynarki i wyjmując płaską, ciemną butelkę,

dolewa jakiegoś płynu do kufla. Z początku nie wiedziałem, co to ma znaczyć, dopiero towarzysze wytłumaczyli mi, że jest to poprostu wiski. Ponieważ rozglądając się po sali, zauważyłem, że niemal na każdym stoliku stały kufle z „lemoniadą", nie potrzeba więc długo się namyślać, żeby dojść do wniosku, że pomimo prohibicji niewielu abstynentów zamieszkuje drugą półkulę.

W ostatnią niedzielę naszego pobytu w Chicago odbyła się podniosła uroczystość obchodu święta Oręża Polskiego. Oczywiście wzięliśmy w niej udział. Wypadła imponująco. Trwała chyba z pięć godzin i byłaby niewątpliwie interesującą, gdyby... nie przemówienia.

W przeddzień wyjazdu wybraliśmy się z Dobrowolskim, Walasiewiczówną, Weissówną i Heljaszem do rodaka naszego, p. Męczyńskiego, który ma swoje biura w odległości 80 klm. od Chicago. Wspaniałym Studebackerem „pruliśmy" szosę, aż miło. W pewnej chwili policjanci na motocyklach, patrolujący szosy, zauważyli olimpijskie kostjumy w samochodzie, wyprzedzili nas i z kurtuazją zaczęli niesamowitym rykiem syren spędzać wszystko z szosy, torując nam dalszą drogę. (Policja amerykańska posiada specjalne sygnały, na których dźwięk wszystko, co żyje, usuwa się z drogi). W ten sposób dojechaliśmy na miejsce. Po miłym obiedzie i spacerze wracaliśmy co koń wyskoczy z powrotem. Po powrocie spotkała nas niesamowita bura od kpt. Barana:

— Dlatego, że zostaliście mistrzami — krzyczał — zdaje się wam, że możecie wszystko robić, co się wam podoba!

W dzień naszego wyjazdu z Chicago wielotysięczny tłum odprowadził nas na dworzec, a wielu z tych, doprawdy dobrych i zacnych ludzi, miało łzy w oczach ze wzruszenia. Przez tych kilka dni zdołaliśmy się poznać i polubić, tak że i nam, pomimo że śpieszno było do kraju, przykro było wyjeżdżać.

Rozdział IX.

Dwudziestogodzinna podróż do Filadelfji zmęczyła nas bardzo, tembardziej, że upał dał się nam porządnie we znaki.

Kiedyśmy dojeżdżali do Filadelfji i pociąg miał się zatrzymać już na stacji, wyjrzałem przez okno. Nieprzebrane tłumy zaległy peron. To nasi rodacy przyszli gremjalnie witać drużynę olimpijską. Przy dźwiękach marsza i gromkich okrzykach, wysiadaliśmy z wagonu. Po serdecznych powitaniach i przemówieniach ulokowano nas w samochodach, których kilkanaście oczekiwało przed dworcem. Nigdy nie zapomnę tej kawalkady. Na przodzie jechał samochód przybrany flagami polskiemi i amerykańskiemi, a w nim dwie panie w narodowych strojach polskich i amerykańskich. Miało to być symbolem zbratania się obu narodów Za niemi podążały liczne samochody, w których ulokowana była drużyna olimpijska w przepisowych mundurach. W ten sposób objechaliśmy całą Filadelfję, wywołując ogólne zainteresowanie. Spotkani po drodze Polacy głośno wyrażali swą radość z naszego przybycia.

Zmęczeni do ostatnich granic, już koło południa znaleźliśmy się w hotelu, ale czasu na odpoczynek nie było. Ledwie zdołaliśmy się pomyć i jako tako oczyścić z podróży, a już trzeba było wyjeżdżać do Domu Polskiego, gdzie przygotowany był dla nas uroczysty obiad.

Tak jak w Chicago zaczęły się znów przyjęcia, bankiety, obopólne przedstawiania się i... mowy, mowy i jeszcze raz mowy.

Tego samego jeszcze wieczora odbył się bankiet na naszą cześć w hotelu „Pensylwanja", na którym poznałem wiele wybitnych osobistości z tutejszej kolonji polskiej oraz amerykańskich. Jednak największą przyjemność sprawiło mi poznanie olimpijki — mistrzyni świata — ms. Chilley. To też zmartwiłem się okropnie, kiedy po bankiecie rodzice zabrali ją do domu, tak, że zdołałem tylko przetańczyć z nią jednego bostona. A tańczy świetnie.

Następnego dnia od rana zwiedziliśmy miasto. Jest prześliczne. Pokazano nam bibljotekę, historyczny gmach, w którym swojego czasu ogłoszono wolność Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, oraz cały szereg wspaniałych zabytków.

Wieczorem kolonja polska zaprosiła nas na zabawę, specjalnie urządzoną, celem uświetnienia naszego pobytu w Filadelfji. Bawiliśmy się doskonale, niemal do samego rana. Niewiele czasu pozostawało na odpoczynek, trzeba się było śpieszyć na dworzec. Gościnni nasi rodacy, tak samo jak po przyjeździe, tak i teraz użyczyli nam swoich samochodów, odprowadzając nas na dworzec.

Wreszcie nadeszła chwila odjazdu; pomimo, że tak krótko bawiliśmy w Filadelfji, z liczebności odprowadzających nas rodaków można było wnioskować, jak bardzo byli zadowoleni z naszego przyjazdu i jak żałowali, że już odjeżdżamy.

W pociągu zauważyłem brak Weissówny. Nie wiedziałem o tem, że Jadzia otrzymała w Filadelfji zwolnienie na dwa dni, aby odwiedzić swoją rodzinę, zamieszkałą koło miasta. Przykro mi się zrobiło, wszak i ja również prosiłem kierownictwo jeszcze w Chicago o zwolnienie mnie, ale zwolnienia tego wtedy nie uzyskałem.

Podróż do Nowego Jorku przeszła nam jako[illegible] dość szybko. Na dworcu oczekiwał naszego przyjazdu, poza liczną kolonją polską, konsul Kubisz oraz dr. Fisz na czele całego komitetu olimpijskiego. W Nowym Jorku zatrzymaliśmy się dwa dni, ponieważ dopiero za dwa dni odchodził „Pułaski" do Gdyni.

Cały dzień po przyjeździe wypoczywaliśmy. Nazajutrz zaś, korzystając z uprzejmości majora Nowego Jorku, który dał nam do dyspoyzcji swój reprezentacyjny statek, odbyliśmy wspaniałą wycieczkę dookoła miasta. Ponieważ żadna inna drużyna, przejeżdżająca przez Nowy Jork, nie korzystała z tego statku, należy uważać ten gest majora największego miasta na świe-

cie za specjalne wyróżnienie naszej drużyny. I w Nowym Jorku nie ominęły nas bankiety. Wieczorem odbył się właśnie w Domu Polskim, i tu od kierownictwa miejscowego komitetu olimpijskiego otrzymaliśmy pamiątkowe plakiety.

Następnie pewien amerykański miljoner zaprosił nas do Mambridge, swojej posiadłości pod Nowym Jorkiem. Nie miałem najmniejszej ochoty tam jechać, wolałem zostać w hotelu i odpocząć. Nie wiem, jak czuli się moi koledzy, ale ja byłem tak strasznie zmęczony nietyle podróżą, co wszystkiemi przyjęciami i bankietami, że ledwo włóczyłem nogami. Nie było jednak rady.

Miljoner nasz okazał się jednak bardzo oszczędnym człowiekiem. Pomimo że obiecał odstawić nas zpowrotem do domu, polecił szoferowi zawieźć nas tylko do najbliższej stacji kolejowej. Trzeba trafu, że spóźniliśmy się na pociąg i dopiero po telefonicznych pertraktacjach szofera z miljonerem, odwieziono nas do przystanku podziemnej kolejki na jednem z przedmieść Nowego Jorku. Wieczorem byliśmy w kinie, a właściwie w music-hallu, których w Nowym Jorku pełno.

Tak minął nam ostatni dzień pobytu na ziemi Waszyngtona. O północy w hotelu napisałem jeszcze listy do kraju, które o kilka dni wcześniej miały być ode mnie w Polsce. Z rana byliśmy już na statku.

„Pułaski" pomimo, że jest stosunkowo malutkim okrętem, podobał mi się ogromnie. Z tem większą przyjemnością wchodziłem na jego pokład, że już jak najprędzej chciałem być w domu. Razem z nami wracało kilkaset osób, przeważnie Polaków, udających się do kraju.

Chwila odbicia nadchodziła. Stanęliśmy przy burcie, patrząc na kilkutysięczny tłum odprowadzających. O godz. 12 wśród dźwięku hymnu amerykańskiego i ryku syren okrętowych, odpłynęliśmy. Długo jeszcze słychać było okrzyki i widać powiewające chusteczki, pozostałych na lądzie. Raz jeszcze przesunęła się przed

oczyma panorama wielkiego miasta, potężna Walstreet, białe dachy nadbrzeżnych składów i olbrzymia statua Wolności.

Rozdział X.

Kiedy tylko straciliśmy z oczu ląd, udałem się do swojej kajuty i położyłem się spać. Z jaką rozkoszą rozmyślałem teraz o tem, że przynajmniej przez długich 12 dni nie będzie przyjęć, bankietów i przemówień, że nareszcie można będzie przynajmniej odpocząć. Obudziłem się właśnie tedy, kiedy dobijaliśmy do Halifaxu. Kapitan Knoetgen, najmilszy człowiek, uprzedzał nas, że nie warto wysiadać, gdyż Halifax jest mieściną małą, brudną i podłą. Jednak uparliśmy się, boć przecież trzeba było choć na krótko wstąpić na ziemię Kanady. W każdym razie, kpt. Knoetgen miał rację. Nie radziłbym nikomu mieszkać w Halifaxie.

Od Halifaxu do Kopenhagi widzieliśmy już tylko wodę i... siebie.

Na statku niemal od pierwszego dnia zaprzyjaźniłem się ze wszystkimi swoimi sąsiadami, a przedewszystkiem z załogą okrętu. Kpt. Knoetgen czuwał osobiście, aby nam niczego nie brakowało. To też do dzisiejszego dnia mile go wspominam i tą drogą jeszcze raz serdecznie mu za wszystko, co dla nas zrobił, dziękuję.

Mimo pewnej monotonji, podróż upływała nam miło i przyjemnie. Ja całemi dniami przesiadywałem w kabinie radjotelegraficznej. Tu dowiadywałem się, jako pierwszy pasażer statku, o wszystkich wiadomościach, jakie nadchodziły do nas przez radjo. Zdziwiony byłem niepomiernie, kiedy pewnego dnia nadeszła depesza z Warszawy, iż P. Z. L. A. zakontraktowało trzy mecze międzypaństwowe w ciągu jednego tygodnia: w Pradze, Wiedniu i Budapeszcie. Myślałem, że po przyjeździe można będzie odpocząć, a tu masz: trzy występy w tak krótkich odstępach czasu, i to z takiemi potęgami spor-

tu, jak Austrja i Węgry. Co do Czechosłowacji, byłem spokojny, że mecz ten uda się nam wygrać. Ale co będzie z tamtymi?

Trzeba się było więc znów wziąć do pracy. To też każdego ranka pasażerowie spotykali mnie na najwyższym pokładzie, jak ćwiczyłem gimnastykę, a w południe, kiedy wszyscy schodzili na obiad, trenowałem zawsze w biegach.

Dzień cały upływał nam przeważnie na kawałach, które poprostu masowo urządzali jedni drugim, oraz na różnych grach morskich. Najpopularniejszemi był bilard, na którym nie toczą się bile, ale posuwa się krążki, oraz gra w obwarzanek. Gra ta polega na tem, że niewielkie koła sznurkowe z niewielkiej odległości trzeba zarzucać na stojący na pokładzie kołek. „Mistrzostwo Atlantyku" w tej grze zdobył pewnie dr. Papêe. Pozatem graliśmy w pokera i brydża.

W ten sposób upływał nam dzień za dniem. Coś czwartego dnia naszej podróży przyszła nadzwyczaj ostra fala, pozostałość wielkiego cyklonu, który przed nami ruszył do Europy. Wściekły byłem na nią, jak na nikogo nigdy w życiu. Nic nie było widać, woda była prawie spokojna, na powierzchni żadnych fal, żadnych białych grzyw, a tymczasem statek zakreślał wprost nieprawdopodobne koziołki. Raz przeważał w tę stronę, to znowu w przeciwną, ażeby innym razem uderzać fale płaską rufą. Nic też dziwnego, że wielu pasażerów nie opuszczało tualety.

Na szczęście drużyna nasza wyszła z tej opresji po bohatersku. Heljasz, jako najwrażliwszy na wszelkiego rodzaju „bujania", zastosował, jak mawiał, zupełnie pewny środek: zapuścił brodę. Siedlecki bawił panie i też twierdził, że mu to pomagało. Tak każdy starał się jak mógł, aby zapomnieć o niewdzięcznej fali.

Po kilku dniach przekonałem się, że kabina radjotelegraficzna nietylko służyła do odbierania depesz. Z niej bowiem wychodziły przeważnie wszystkie ka-

wały, których w czasie podróży było multum. Tak więc, jako jednego z pierwszych, urządzono Klumberga. Pod pozorem choroby wydostano od siostry z ambulansu czekoladę, przeznaczoną do wiadomego celu, kiedy już zebrano dostateczną ilość, wystarczającą conajmniej na trzech pacjentów, przed kolacją poczęstowano nią Klumberga. Ten przyjął ją z uśmiechem, a że mu smakowała, świadczy najlepiej fakt, że przez pół godziny męczył wszystkich, żądając jeszcze. Co się później działo, trudno jest opisać. Dość tylko, jeśli dodam, że następnego dnia rano Klumberg wyglądał tak, jakby przynajmniej spadł z wagi o 5 kilo.

Przygoda też spotkała i przemiłego red. Erdmana, który z nami odbywał podróż na Olimpjadę. Było to w dniu, w którym mijaliśmy okręt polski Polonję. Wszyscy jeszcze spali. Naraz rozległy się gwałtowne ryki syren. Nie upłynęło kilka minut i na pokładzie zjawia się red. Erdman, z pasem ratunkowym, założonym przepisowo, na bosaka i z kocem w ręku. Jakież było jego zdziwienie, kiedy wpadł na pokład, a tu wszędzie spokój, żadnego tłoku, ani paniki. Zorjentował się, że padł ofiarą pomyłki, chował pas ratunkowy ile mógł za siebie, ale śmiechu było coniemiara. Następnego dnia przy śniadaniu urządziliśmy mu owację, a kpt. Knoetgen nawet złożył mu powinszowanie jako „najczujniejszemu" pasażerowi. I przydomek ten zachował się aż do końca podróży.

Posłuchajmy zresztą co pisze sam red. Erdman o tym incydencie.

„Rumieniłem się, ale zniosłem i djabli mnie wzięli dopiero grubo później — za trzy dni.

Jest zwyczaj, że przed ukończeniem podróży kapitan okrętu wydaje przyjęcie pożegnalne dla pasażerów. Na takim „kapitańskim" wieczorze obowiązuje gala, dinner składa się z 6 dań i mięsiwo obficie podlewa się winem.

Nasi wioślarze przygotowali tymczasem miłą nie-

spodziankę. Po przemówieniach, Skolimowski wręczył kpt. Knoetgenowi i pierwszemu oficerowi, por. Prokulskiemu, karykatury własnej roboty — delegacja wioślarzy pomaszerowała potem w moją stronę.

— Pewnie dla mnie karykaturę — przeleciało mi przez głowę.

Wyróżnienie było innego rodzaju. Przy chóralnym śmiechu zawieszono mi na piersi korkowy medal z emblematami linji „Gdynia — Ameryka" i napisem „Dyplomowanemu ratownikowi"...

Ledwo ochłonąłem po tej konfuzji steward dźwiga specjalny tort kremowy w formie pasa ratunkowego. Dla mnie od kapitana okrętu.

Cały statek miał tego dnia pierwszorzędną zabawę. Tylko bohater przygody był smutny i gryzł w kącie paznokcie.

Odwdzięczyłem się w sposób szlachetny. Pokryjomu uciekłem z jadalni i nastawiłem w kabinie radjoodbiornik na Warszwę. W przerwie muzyki z „Adrji" ogłoszono komunikat sportowy polskiego radja.

Z niecierpliwością wyłapywałem wiadomości. Kolarze w Rzymie... Skład reprezentacji bokserskiej na Italję... Mistrzostwa tenisowe Polski... (zdumieni byliśmy sensacją, jaką otrzymaliśmy w depeszach, że Hebda zwyciężył niepokonanego Tłoczyńskiego — przyp. aut.). Komitet olimpijski szykuje wspaniałe przyjęcie dla ekspedycji... Wyniki finałów wioślarskich w Belgradzie...".

Ale wróćmy do tematu, t. j. do opisu naszej podróży. Czas szybko leciał, potrafiliśmy bowiem zawsze znaleźć sobie zajęcia, które nas interesowały. Jeśli chodzi o mnie, to między gimnastyką i treningiem wieczorami tańczyłem do upadłego, w czem, ku memu zmartwieniu, zaczął sekundować mi Heljasz i Siedlecki.

W ten sposób minął nam czas aż do Kopenhagi. Tutaj, wskutek braku prowiantu, zatrzymaliśmy się na kilka godzin.

Kierownictwo „Pułaskiego" nie było przygotowane na tak wielką ilość pasażerów, jaka zgłosiła się w drodze powrotnej i gdyby nie Kopenhaga... groziłaby nam poprostu śmierć głodowa. Czterogodzinny postój w tym porcie przyjęliśmy z radością. Z Klumbergiem wybraliśmy się na miasto, a przedewszystkiem na miejski stadjon, na którym przed rokem startowałem. Z jakąż radością i ulgą wstąpiłem na bieżnię stadjonu w pantoflach treningowych. Kilkudniowy brak racjonalnego treningu dał mi się mocno we znaki. To też pomny wiadomości, że niedługo przyjdzie mi się zmierzyć z Czechami, Węgrami i Austrjakami z przyjemnością zacząłem trenować. Klumberg również nie tracił czasu i zapamiętale trenował w ulubionych swoich rzutach: kuli i oszczepie.

Po odbyciu racjonalnego treningu, który, nawiasem mówiąc, świetnie mi zrobił, Klumberg wymasował mnie i wróciliśmy na statek. Obawy nasze co do spóźnienia się, okazały się zupełnie płonne. Jak zwykle, tak i teraz okazało się, że wielu jeszcze zostało maruderów, a przedewszystkiem wioślarzy, na których czekaliśmy dobre pół godziny. Wreszcie podnosimy kotwicę do ostatniego naszego etapu Kopenhaga — Gdynia.

Na pokładzie niezwykły ruch. Wszyscy dzielą się ostatniemi wiadomościami, jakich zasięgnęliśmy na lądzie, przedewszystkiem z ostatnich wydarzeń sportowych w kraju. A więc ze zdumieniem dowiaduję się szczegółów, że Hebda pokonał Tłoczyńskiego, że Warszawa z niecierpliwością oczekuje naszego przyjazdu i t. d. i t. d.

Ostatni kilkunastogodzinny etap przebyliśmy przy pięknej pogodzie i tak spokojnem morzu, że wyglądało ono jak jedna wielka tafla lustrzana. Miłą niespodziankę sprawił mi por. Mieszkowski. W chwili, kiedy mijała nas „Polonja", otrzymałem od niego depeszę z gratulacjami.

Powoli zniecierpliwienie zaczęło udzielać się wszystkim. Szczególniej drużyna nasza nie mogła doczekać się

Gdyni. Już o piątej rano byliśmy wszyscy na nogach. Po krótkiem śniadaniu wylegliśmy na pokład, wypatrując w dali Gdyni. Tymczasem jednak nic jeszcze nie było widać. Mimo wczesnej pory, słońce zaczęło już dopiekać swemi promieniami, a wokoło nas bezkres wód i ani jednej chmurki na horyzoncie.

Rozdział XI.

Pierwszym zwiastunem tego, że wjechaliśmy na polskie wody, był okręt wojenny „Wicher", który wypłynął na nasze spotkanie. Za chwilę przybył również holownik, który wprowadzić nas miał do portu. Na holowniku przybyli urzędnicy celni, którzy weszli na pokład „Pułaskiego", aby ułatwić pasażerom przeprowadzenie wszelkich formalności celnych i paszportowych. Od nich też otrzymałem depeszę od kpt. Fedorowicza, zarządcy Łazienek Królewskich: — „W imieniu własnem i całego Zarządu Łazienek Królewskich, witam zwycięzcę na ziemi ojczystej". — Po przeczytaniu jej ogarnęło mnie tak wielkie wzruszenie, że rozpłakałem się jak dziecko. Chciałem jak najprędzej znaleść się sam, zdaleka od wszystkich, bo może wtedy mógłbym zapanować nad swemi nerwami. Wstyd mi się nawet zrobiło, kiedy zauważono mój stan i kiedy przyszła nawet do mnie p. Muszałówna, która zaczęła mnie uspakajać. Nie wiem sam, skąd mi się to wszystko wzięło. Czy widok ziemi ojczystej, czy zbyt wielki nawał wrażeń, czy wreszcie radość, że nareszcie wszystko się już kończy, złożyły się na to moje niemal dziecinne wzruszenie? W każdym razie zapanować nad sobą nie mogłem. O tak, było to daleko silniejsze ode mnie.

Aby nie robić z siebie przedstawienia, skryłem się do kabiny radjotelegraficznej i tam przesiedziałem przez cały czas naszego holowania i wpłynięcia do portu. Wyszedłem stamtąd dopiero wtedy, kiedy przybiliśmy już do brzegu i tłum ludzi oczekujący na molo gromkiemi okrzykami wzywał mnie, abym pokazał się na pokładzie.

Kiedy wyszedłem na pokład, orkiestra w porcie grała „Jeszcze Polska nie zginęła". Tłumy ludzi, stojące w milczeniu z kwiatami w rękach, sprawiały niezwykle imponujące wrażenie. My również znieruchomieliśmy, choć chciało się niemal skakać z pokładu na ląd. Nigdy nie zapomnę tego widoku, kiedy wreszcie spuszczono pomost, po którym zaczęliśmy schodzić na molo. Koledzy moi rzucali się w objęcia swoich najbliższych, aby długo, długo ściskać się i całować. Jakkolwiek w pierwszej chwili przykro mi się nawet zrobiło, że nikt mnie nie witał, to jednak później dziękowałem Bogu, że się tak stało. Z pewnością powtórzyłaby się i to w kilkustopniowej potędze scena, jaką przeżywałem przed pół godziną na okręcie.

Z Warszawy przybyli specjalnie na powitanie nasze przedstawiciele władz sportowych, szereg osobistości i dziennikarze. Poza tem znaleźli się na molo przedstawiciele Gdyni, portu i miejscowych stowarzyszeń. Witali nas rzeczywiście serdecznie. Widać było, że ci wszyscy, którzy przybyli tu, dumni są z nas i szczęśliwi, tak zresztą jak i my, że wyjazd nasz nie poszedł na marne.

Ja jednak wtedy myślałem zupełnie o czem innem. Nie chciałem z nikim mówić, ani nikomu się zwierzać. To też, gdy drużyna cała w szyku czwórkowym eskortowana przez orkiestry, oddziały marynarzy i t. p. oraz tłumy ludzi udała się na dworzec, na śniadanie, ja, tak jak stałem, uciekłem w pole za miasto, jak najdalej, ażeby zmęczeniem i wysiłkiem fizycznym opanować swoje nerwy. I przyznać muszę, że mi to pomogło. Po godzinie wróciłem na dworzec cały zlany potem, zmęczony. Widok rozbawionych kolegów i roześmianych twarzy, nie wiem dlaczego, denerwował mnie. To też nie udzielając się nikomu, w chwilę potem skryłem się w wagonie w pociągu, którym mieliśmy za godzinę odjechać do Warszawy.

Niedługo potem zaczęli się schodzić koledzy oraz znajomi dziennikarze, którzy razem z nami powracali

do Warszawy. Jeszcze wzruszające sceny pożegnania, ostatnie rozmowy i przy dźwiękach orkiestry pociąg wolniutko rusza ze stacji. Blisko 12-godzinna podróż była jednem pasmem dowodów sympatji i niemal żywiołowych manifestacyj, jakie nam okazywały tłumy, zebrane na każdej stacji. Coś tak wspaniałego widziałem po raz pierwszy w życiu, i przyznam się szczerze, że nie warci byliśmy, żeby widokiem naszym tak się entuzjazmowano i żeby tak nam dziękowano, jak to miało miejsce na wszystkich stacjach.

Pierwsza stacja — Gdańsk. Serce każdego Polaka musiało zabić radośnie na widok tłumów ludzi, oczekujących na peronie. Entuzjastyczne okrzyki — i za chwilę znaleźliśmy się w objęciach naszych gdańskich rodaków. Niemcy nie śmieli podejść blisko nas, z oddali tylko patrzyli na tę wzruszającą scenę. Tu też spotkała mnie miła niespodzianka, bowiem Akademicki Związek Sportowy w Gdańsku obdarzył mnie godnością honorowego członka.

Każda następna stacja przynosiła nam coraz to inną niespodziankę. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczaliśmy, że po powrocie doznamy takiego iście królewskiego przyjęcia. Wszędzie tłumy rozentuzjazmowanej publiczności, wszystkie stacje przybrane kwiatami i zielenią, wszędzie roześmiane twarze. Nawet na małych stacyjkach, na których nasz pociąg się nie zatrzymywał, oczekiwały przejazdu naszego grupy ludzi i okrzykami witały olimpijczyków.

Było to wszystko miłe i piękne, ale wyznać muszę — niemniej męczące. Doszło do tego, że poprostu ze drżeniem przyjmowałem każde zatrzymanie się pociągu. Gdy tylko pociąg stanął, wagon, w którym jechaliśmy, w jednej chwili zostawał szturmem zdobyty, a my, niesieni na barkach entuzjastów, dostawaliśmy się w mgnieniu oka do specjalnie przygotowanych salonów, albo też obnoszono nas na rękach, jak coś nadzwyczajnego po całym peronie.

Niewątpliwie największą przyjemność sprawił mi Toruń, gdzie po uroczystych powitaniach i przemowach podeszło do mnie dwoje 5-letnich dzieci, ubranych w krakowskie kostjumy, zadeklamowało wierszyk, który napewno będę pamiętał do późnej starości.

Drogi panie Kusociński!
Toruń cię z radością wita,
bo dziś sławą trwą rozbrzmiewa
wzdłuż i wszerz Rzeczpospolita.

O zwycięstwie olimpijskiem
twojem mówi też świat cały.
Żyj lat setkę i zwyciężaj
dla Ojczyzny naszej chwały.

I tak stacja za stacją zbliżały nas do upragnionego celu. Dojeżdżając do Łowicza, byliśmy tak przemęczeni, jak nigdy bodaj w życiu. Jednem się tylko pocieszałem i to mnie napawało dumą, że wśród witających nas tłumów przeważała młodzież, a przedewszystkiem młodzież szkolna, że na jej twarzy malowało się szczęście. Dumny byłem dlatego, że uwierzyłem, iż choćby w skromnym stopniu przyczyniłem się do propagandy sportu, tej tak ważnej dziś dziedziny w ogólnem wychowaniu młodego pokolenia!

W Łowiczu nie miałem już siły wyjść z wagonu. Tutaj oczekiwała na mnie delegacja klubu w osobach pp. Jaszczołta i Łabentowicza. Uścisnęliśmy się i ucałowali serdecznie.

Bliskość Warszawy poprawiła nam humory i kazała zapomnieć o zmęczeniu. Kiedyśmy przejeżdżali przez Ożarów, wyrzuciłem z okna wagonu małą chorągiewkę, na której wypisałem pozdrowienia dla rodziców i adres. (Dowiedziałem się nazajutrz, że już w 10 minut potem chorągiewka znalazła się w domu rodzicielskim).

Wreszcie dojeżdżaliśmy do Warszawy. Z jakąż prawdziwą prrzyjemnością wpatrywałem się w zarysy domów i wież kościelnych, których nie widziałem od blisko trzech miesięcy! Jeszcze chwila i stanęliśmy na

dworcu. Na peronie tłum ludzi. Pierwszym znajomym, którego zauważyłem, był dobry mój przyjaciel, kolarz p. Kędzia. Później, już nie pamiętam dokładnie, co się stało. Porwany na ręce przybyłych, nie wiedziałem, czy wogóle żyję. W pewnej chwili, w ogólnem zamieszaniu, rozgwarze i ścisku, dowiedziałem się, że na dworcu znajduje się moja kochana matka, która przyjechała z Ożarowa. Przy pomocy znajomych, którzy ułatwili mi drogę, za chwilę znalazłem się u jej boku, całując ze łzami w oczach jej ręce.

Entuzjazm tłumów na peronie doszedł do kulminacyjnego punktu i gdyby nie interwencja licznych funkcjonarjuszów policji, napewno skończyłoby się jakim wypadkiem. Ubawiłem się setnie, kiedy w pewnej chwili jeden z komisarzy policji podszedł do nas i zaprowadził nas poprostu do komisarjatu. Tu mieliśmy przeczekać pierwszą burzę entuzjazmu.

Tymczasem przed dworcem działy się trudne do opisania rzeczy. Podwójne kordony policji i harcerzy, z trudem tylko opierały się napływowi tłumów. Ruch kołowy i pieszy został całkowicie wstrzymany. Kiedy olimpijczycy znaleźli się przed dworcem, zerwała się szalona burza braw i okrzyków i gdy wsiedli do autokarów, które na nas czekały, stało się to, co można było przewidzieć: kordony policji nie wytrzymały i wielotysięczne tłumy zalały cały plac przeddworcowy. Sądząc, że się już mniej więcej uspokoiło, z trudem zacząłem przeciskać się przed dworzec, ażeby dostać się do autokaru.

„Warszawianka" stawiła się niemal w komplecie. Poczciwe chłopaki „wysadzili się" nawet na samochód. Sokoli przyszli również tłumnie powitać Weissównę, przywodząc z sobą wspaniały powóz, zaprzężony w białe, jak śnieg, konie.

Upłynęło wiele czasu, zanim znalazłem się w autokarze wśród całej drużyny. Przy dźwiękach syren samochodowych i spontanicznych okrzyków, krok za krokiem ruszyliśmy z przed dworca, aby przez Marszał-



Rewanż Iso Holli w Warszawie za porażkę w Los Angeles zakończył się dla mnie dwoma nowemi zwycięstwami.

kowską, Królewską, Krakowskie i Nowy Świat dotrzeć po przeszło pół godzinie do lokalu Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego. Patrząc na ulice, przepełnione ludźmi, zdawało mi się, że cała Warszawa wylegla, aby nas powitać.

Niezwykłą przyjemność sprawił mi widok moich przyjaciół, Ejsmonta i Michalczyka, którzy ulokowali się... na latarni, ażeby lepiej widzieć cały pochód.

Przed gmachem W. T. W. znów trudności z wejściem do lokalu. Tłumy ludzi nie chciały odstąpić od drzwi i kto tylko wysiadał z autokaru, dostawał się w ich obroty. Zdawało się, że nie dojdę żywy na górę. Wreszcie dopiero na górze można było pomyśleć przynajmniej o jakim takim odpoczynku. Trwało to jednak zaledwie krótką chwilę. Zaraz zaczęli się schodzić starzy znajomi, liczni sportowcy, którzy oczywiście zasypywali nas wprost gradem pytań o nasze wrażenia.

Gościnni gospodarze podejmowali nas lampką wina, odbyły się oczywiście przemówienia i każdy z nas wypowiedział parę słów do specjalnie zainstalowanego w sali mikrofonu. Zdawało się, że wspólna fotografja, jaka się za chwilę odbyła, położy kres naszym cierpieniom. Ale gdzie tam! Zaczęły się znów zpowrotem gawędy i dyskusje; to też doczekawszy się pierwszej okazji, wymknąłem się cichaczem na ulicę. Dochodziła północ. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że przecież właściwie nic dzisiaj jeszcze nie jadłem. Byłem głodny, jak wilk.

Rozdział XII.

Po kolacji w jakimś barze, pojechałem do domu, do Łazienek. Na wstępie spotykam kpt. Fedorowicza i p. Mazurkiewicza, którzy mnie niezwykle serdecznie przywitali. Zdumiony byłem wprost i miłe zaskoczony że okazali mi tyle serca. Kiedy znalazłem się przed domkiem,

w którym mieszkam, poprostu oniemiałem: cały przybrany zielenią i kwiatami, a nad wejściem olbrzymi napis z kwiecia: „WITAMY“ — wyglądał poprostu jak pałac.

Dziękowałem im, jak mogłem i... jak najprędzej spać! Zdawało mi się, kiedy już leżałem w łóżku, że natychmiast zasnę snem kamiennym i spać będę przynajmniej 24 godziny. Ale gdzie tam! Nadmiar wzruszeń i wrażeń nie pozwalał mi zasnąć. To też wstałem powtórnie, rozpakowałem się i zabrałem do czytania gazet. Przebijający przez okna świt zastał mnie jeszcze czytającego.

Obudziłem się zaraz po siódmej rano. Po normalnej gimnastyce i śniadaniu wybrałem się na trening. Powoli zacząłem przychodzić do siebie. Po południu odwiedził mnie p. dr. Laskownicki w towarzystwie dwuch panów z Kuźni Młodych, prosząc o wywiad. Z przykrością odmówiłem. Nie czułem się jeszcze na siłach do udzielania wywiadów. Wdzięczny jestem p. dr. Laskownickiemu, że zrozumiał mnie i nie nalegał.

Następnego dnia z kpt. Fedorowiczem wybraliśmy się na Zamek, gdzie w kancelarji cywilnej zameldowałem swój przyjazd. Tutaj też podziękowałem dyr. Hełczyńskiemu za opiekę, jaką nade mną roztoczyła kancelarja cywilna. Następnie złożyłem cały szereg wizyt.

Na trzeci dzień po przyjeździe odbył się bankiet na cześć drużyny olimpijskiej, wydany przez Związek Związków. Na nim też dostąpiłem wysokiego zaszczytu. W części oficjalnej p. min. Zawadzki udekorował mnie złotym Krzyżem Zasługi, którym raczył mnie obdarzyć p. Prezydent Rzeczypospolitej za mój wynik olimpijski.

Cała drużyna olimpijska otrzymała pamiątkowe plakiety. W miłym nastroju bankiet przeciągnął się do późnej nocy.

W sobotę, na zaproszenie dyrekcji teatru „Morskiego Oka“, spędziliśmy wieczór w teatrze, a po spektaklu, korzystając z grzeczności mjr. Lewina, pojechałem jego samochodem do Ożarowa. Następnego dnia, słuchając

radja, dowiedziałem się o bohaterskiej śmierci por. Żwirki i inż. Wigury. Wiadomość ta wstrząsnęła mnie do głębi.

Sądziłem, że po przyjeździe będę mógł jakiś czas odpocząć. Tymczasem jednak stało się inaczej. Za kilka dni miały się odbyć zawody lekkoatletyczne z udziałem fińskiego zawodnika Pilpoli, z którym miałem startować na 3 klm. Po nich zaś P. Z. L. A. jak już pisałem, chciał „podbić" Europę w ciągu tygodnia wyznaczając trzy mecze lekkoatletyczne z Czechami, Austrją i Węgrami.

Tymczasem organizatorów spotkał zawód. Pilpolę wskutek nieformalności paszportowych zatrzymano na granicy tak, że do Warszawy przyjechał... po zawodach.

Biegałem z kilku zawodnikami warszawskimi, którzy otrzymali ode mnie 200 metrów wyrównania, jeden tylko Kuźmicki chciał biegać ze mną od startu do mety. Niestety jednak wytrzymał tylko trzy okrążenia, po których zszedł wyczerpany z bieżni. Wyrównanie nie pomogło nikomu. Po pięciu kołach, doganiam wszystkich i bez najmniejszego wysiłku, bieg kończę jako pierwszy w stosunkowo niezłym czasie 8:40,8.

Licznie zebrana publiczność, której Pilpola sprawił mimowoli zawód, gorąco oklaskiwała moje zwycięstwo. Ja jednak byłem z biegu niezadowolony i jeżeli tylko startowałem wogóle, to dlatego, że prosiła mnie o to usilnie „Warszawianka".

Zaraz po biegu spotkałem przedstawicieli P.Z.L.A., których prosiłem, abym w Wiedniu zamiast 3 klm, mógł biegać na dwie mile angielskie, gdyż jakkolwiek nie miałem specjalnego zamiaru atakować rekordu na tym dystansie, to jednak wynik 8:40,8, który teraz uzyskałem, dawał mi rękojmię, że znajduję się nie w gorszej formie, jak przed olimpjadą.

Następnego dnia dowiedziałem się o tem, że w trzech meczach, które nas teraz czekają, startować mam w następujących konkurencjach: w Pradze na 1500 mtr. i 5 klm. Na takie ułożenie programu nie mogłem i nie

chciałem się zgodzić. To też wybrałem się do inż. Znajdowskiego, prezesa P.Z.L.A., któremu przedstawiłem całą sprawę. Inż. Znajdowski w zupełności podzielił moje zdanie i w trzy dni potem otrzymałem oficjalne pismo od Związku, donoszące mi, iż w tych trzech meczach wyznaczony jestem tylko na jeden dystans w każdym.

Dzień wyjazdu zbliżał się; to też rozpocząłem dość ostro trenować. Niestety jednak nie mogłem tego dokonać w spokoju. Przed wyjazdem wytworzyła się doprawdy jakaś dziwna atmosfera. Kogokolwiek spotkałem, jakby na komendę, nalegał na mnie, że powinienem startować i na 1500 mtr. Szczególniej uwziął się na mnie (inaczej tego doprawdy nazwać nie można) jeden ze sprawozdawców sportowych, p. Rothert, który stale i wciąż poruszał ze mną powyższy temat. Któregoś dnia nawet tak mi powiedział, kiedy ja kategorycznie zastrzegłem się, że nie chcę o tem wogóle mówić: — Zobaczy pan, panie Januszu, że mimo wszystko będzie pan startował. Już my się o to postaramy.

Trzeba więc przyznać, że zamiast spokoju, który tak przecież potrzebny jest zawodnikowi przed poważniejszym startem, denerwowałem się coraz bardziej i w takim też nastroju wyjeżdżałem wraz z całą drużyną z Warszawy. Usadowiwszy się w pociągu, zacząłem przeglądać gazety i w nich poprostu uderzył mnie ogłoszony wywiad kpt. Misińskiego, który dowodził, że dlatego nie zdobyliśmy puharu w Antwerpji, ponieważ ja atakując rekord światowy na 3 klm. nie wziąłem udziału w drugim biegu. To już mnie dobiło do reszty. W pierwszej chwili chciałem na najbliższej stacji wysiąść i wrócić do Warszawy. Poprostu nie wiedziałem co mam sądzić o całej tej sprawie. Zły też i zdenerwowany do najwyższego stopnia, wysiadałem na dworcu w Pradze czeskiej.

Po serdecznych przyjęciach na dworcu, razem z p. Rothertem poszedłem piechotą do hotelu Beranek, gdy inni pojechali tam samochodami. I tu znów powtórzyła

się ta sama historja. P. Rothert wynajdywał całe kolubryny powodów, dla których powinienem startować na 1500 metrów i 5 kilometrów. Gdyby wiedział, jaką mi szaloną przykrość robi swojemi namowami, napewnoby wtedy zmienił temat rozmowy. Ale nie. Widać było, że robi mu to przyjemność, kiedy ze mną o tem rozmawia.

Tak więc dla mnie trzy mecze, które mieliśmy obecnie rozegrać, rozpoczęły się bardzo nieszczęśliwie. Zły byłem na siebie i na wszystkich, boć przecie nikt tak nie chciał naszego zwycięstwa, jak ja. Mecze z Czechosłowacją mają już za sobą swoją tradycję. Jak już opisywałem, w r. 1931-ym po pięcioletnich bojach zdobyliśmy definitywnie na własność piękną nagrodę, ufundowaną przez min. Zaleskiego. Nic dziwnego, że w roku bieżącym za wszelką cenę chodziło P. Z. L. A. o to, aby wygrać ten mecz i zdobyć po raz pierwszy nagrodę im. min. Benesza, o którą mieliśmy obecnie walczyć.

Rozdział XIII.

Zainteresowanie zawodami ogromne. Olbrzymi stadjon reprezentacyjny nie zdołał pomieścić tłumów, które chciały naocznie przekonać się, kto zdobędzie prymat w lekkiej atletyce słowiańszczyzny.

Pierwszy dzień zawodów rozpoczyna się naszym sukcesem, który jednak gasi Douda, fenomenalny miotacz czeski, ustanawiając nowy rekord światowy w rzucie kulą (16 mtr. 20 cm.). Heljasz zajął drugie miejsce z wynikiem niespełna 16 mtr.

Bieg na 5.000 mtr. wygrywam od Hartlika, Kościaka i Ledra w słabym czasie 15:12, ze względu na niezwykle ciężką bieżnię (deszcze, które dały się we znaki w Pradze w ciągu ostatnich dni, tak rozmoczyły bieżnię, że słoneczny dzień, jaki był, nie zdołał jej osuszyć).

Następne konkurencje przynoszą dalsze zwycięstwa Polakom, ale niestety nasza „pięta Achillesowa", t. j. sztafeta, zawodzi zupełnie, tak że po pierwszym dniu zamiast jako zwycięzcy, schodzimy z boiska pokonani.

Zainteresowanie publiczności drugim dniem zawodów jeszcze bardziej się wzmogło. Publiczność przeżywała dramatyczne chwile, gdyż szale zwycięstwa ważyły się przez cały czas zawodów i różnica w punktacji wynosiła najczęściej zaledwie ułamek punktu.

Dla mnie ten dzień był jednym z najnieszczęśliwszych w mem życiu. Już od samego rana kpt. Misiński i p. Rothert zaczęli namawiać mnie, ażebym koniecznie startował na 1500 metrów. Kategorycznie sprzeciwiłem się i oświadczyłem, że nie będę startował, dla powodów, które już im wcześniej wyłuszczyłem.

Po zwycięstwie Kuźmickiego na 1500 metrów i rewanżu Heljasza w dysku, obejmujemy prowadzenie, którego już do końca meczu nie oddajemy. Po zwycięstwie Schneidera w skoku o tyczce, losy spotkania były przesądzone na naszą korzyść. To też ostatecznie wygrywamy mecz w stosunku 76 i 1/3 na 75 i 2/3 punktów, zdobywając po raz pierwszy puhar min. Benesza.

Po meczu złożyłem wizytę w tutejszym konsulacie polskim i trzeba się było wybierać do wyjazdu do Wiednia na mecz z Austrją.

Kiedy przyjechaliśmy do Wiednia, wpadł mi numer „Przeglądu Sportowego", który w niesłychany i niepraktykowany sposób atakował mnie za to, że nie startowałem na 1500 metrów w Pradze. Pozostawiając chwilowo całą sprawę tych ataków, które następnie powtórzyły się i w innych pismach, na uboczu, zajmę się naszą wysoką przegraną w Wiedniu i w Budapeszcie.

Przyjechaliśmy do Wiednia z dużemi stratami, bowiem Turczyk przeforsował sobie rękę, Nowak nadwerężył nogę, a Kuźmicki wybitnie spadł z formy po ostatnim biegu na 1500 mtr. Na dobitkę nieszczęścia, Biniakowski zwichnął palec i niewiadomo było, czy będzie mógł wogóle startować. Tak więc do walki z silną dru-

żyną austrjacką wystąpiliśmy w najgorszych, jakie tylko mogą być warunkach, zwłaszcza, że wyprawa do Pragi kosztowała nas wiele wysiłków i nerwów.

Austrjacy natomiast ustalili najlepszy swój skład, który znajdował się w nieoczekiwanie dobrej formie. Wyniki osiągnięte przez nich były w wielu wypadkach lepsze od rekordu Austrji, a nierzadko życiowemi rekordami zawodników austrjackich.

Już pierwsze konkurencje przynoszą nam same klęski. Wprawdzie Pławczyk, zwyciężając w skoku wzwyż przynosi nam na chwilę prowadzenie, które jednak w następnej konkurencji przechodzi z powrotem do Austrji.

Zwycięstwo Heljasza poprawia sytuację, ale, niestety, brak Nowaka znów przechyla szanse zwycięstwa na stronę Austrjaków. Pozostają jeszcze dwie konkurencje: sztafeta szwedzka i bieg na trzy klm. Sztafetę oczywiście przegrywamy, pomimo, że uzyskujemy w niej rekord polski. Pozostaje zatem bieg na 3 klm., jeśli Hartlik zajmie drugie miejsce, to w meczu wyjdziemy na remis.

W czasie tego biegu chciałem zaatakować rekord światowy na dwie mile angielskie, należący do Nurmiego 8:50,6. Niestety jednak ostatnie przejścia i niezbyt dobra bieżnia nie pozwoliły mi dopiąć celu. Po kilku okrążeniach widząc, że rekordu nie pobiję, zwalniam tempo, kończąc bieg w czasie 9:20,2, a więc w gorszym czasie, niż rekord światowy, mimo to jednak zdobywam dla drużyn naszych pierwsze miejsce. Hartlik zawiódł, przyszedł dopiero czwarty, jakkolwiek w czasie swojego rekordu życiowego. Tak więc punktacja ostateczna brzmi: 62:58. Mecz więc przegrywamy.

Mecz nasz z Węgrami przynosi nam klęskę. Przegrywamy wysoko cyfrowo 50:32. Na podkreślenie zasługuje przedewszystkiem Biniakowski, który stał się niewątpliwie bohaterem zawodów. Startuje na 400 mtr. w bardzo silnej konkurencji ze strony Węgier, miał on

BIBLJOTEKA UNIW. JAGIELL. STUDIUM WYCHOWANIA FIZ. U.J.

złamany palec u nogi. Mimo to zajmuje zaszczytne drugie miejsce.

W biegu na 5.000 mtr., startując razem z Hartlikiem, zajmujemy pierwsze i trzecie miejsce, mimo to jednak sytuacji nie da się uratować. Z pośród trzynastu rozegranych konkurencyj odnieśliśmy zwycięstwo tylko w trzech. Z pewnością wynik byłby dla nas lepszy, gdyby nie kontuzja Nowaka i Biniakowskiego. Oczywiście poprzednie dwa mecze również poważnie odbiły się na formie drużyny polskiej.

Rozdział XIV.

Podczas, kiedyśmy rozgrywali mecze z Austrją i Węgrami, w Warszawie rozpętała się prawdziwa burza na temat mojej odmowy startowania w biegu na 1500 mtr. w Pradze. „Przegląd Sportowy", „Kurjer Czerwony", „Express Poranny" i „Dobry Wieczór" zgodnym chórem potępiały moje stanowisko, odsądzając mnie, jak to się mówi, od czci i wiary. Tembardziej ataki te były przykre dla mnie, ponieważ ta sama prasa niedawno wychwalała mnie i witała tak entuzjastycznie. Przedewszystkiem muszę stwierdzić, że w atakach tych opierano się na argumentach bardzo powierzchownych, nie starając się zupełnie zbadać istotnych przyczyn mej odmowy. Od czasu powrotu z Ameryki, jestem zupełnie wyczerpany nerwowo i proszę mi wierzyć, iż tylko dla dobra barw polskich, zgodziłem się wziąć wogóle udział w tych trzech meczach. Inaczej dawno już wypoczywałbym w domu. Zgodziłem się jednak biegać tylko na długich dystansach, ponieważ walka na nich nie wymaga takiego napięcia nerwowego jak na dystansach średnich. Jak już poprzednio zaznaczyłem, P. Z. L. A. jeszcze w Warszawie przed wyjazdem na moją wyraźną prośbę zwolnił mnie z biegania na 1500 mtr.

— Mój Boże! — dlaczego to nie można wyczytać, co się dzieje w sercu innych? Kiedy kończyłem bieg na

5.000 mtr. w Pradze, wszystkim się zdawało, że skończyłem go lekko, bez wysiłku. Tymczasem nie wszyscy wiedzą, że właśnie w biegu tym po 3 klm. przeszedłem takie załamanie psychiczne, że tylko całą siłą woli wstrzymałem się od zejścia z bieżni. I to pomimo, że znajdowałem się w nadzwyczaj korzystnej sytuacji, bo daleko przed innymi i mogłem być już wtedy pewny zwycięstwa.

Coby było na 1500 mtr. sam nie wiem. Wiem jedno tylko, że startowałbym z zawodnikami zdecydowanie gorszymi ode mnie. To prawda. Ale, którzy walczyliby ze mną do ostatnich sił, przynajmniej do ostatnich 200 metrów. Coby się stało, gdyby owo załamanie psychiczne przyszło w chwili, wymagającej właśnie największego nakładu sił. Na 5 klm. mogłem jeszcze w tym krytycznym momencie stoczyć walkę z sobą. Na stoczenie walki i z sobą i z przeciwnikami sił jednak napewno nie starczyłoby mi. A gdybym się załamał i wycofał z biegu, napewno zarzuconoby mi wtedy, iż wycofałem się naumyślnie, iż nie chciałem biegać tego dystansu. Wolałem więc nie startować, do czego byłem upoważniony specjalnie przez Związek. Moja przeszłość sportowa, choćby trójmecz bałtycki w Rydze, gdzie ukończyłem bieg 10-kilometrowy z zerwaną nogą i przez rok cały musiałem się potem leczyć, poręcza chyba za to, że w normalnych warunkach nigdybym się od startu nie uchylił.

Przytoczę tu jeszcze wypadek z przed miesiąca, gdy kpt. Orliński wycofał się w Lionie z chellenge'u również z powodu przemęczenia psychicznego i przecież nikt go za to nie potępił.

P. Rothert w jednem z tych pism napisał, że przecież w miejsce treningu, który odbyłem po meczu, mogłem był biec na 1500 mtr. Nie wiem, jak jest z innymi zawodnikami. Dla mnie trening nigdy nie jest zmęczeniem, a start nawet z najsłabszymi przeciwnikami wnosi już element walki i zdenerwowanie. W Gdyni pierwsze kroki na lądzie nie gdzieindziej, a właśnie skierowałem

w pole, gdzie trenowałem. I to było dla mnie najlepszem odprężeniem nerwowem po wzruszającem powitaniu i trudach podróży okrętem. Takiem samem odprężeniem był ów trening w Pradze.

Zarzucają mi również, że siedziałem spokojnie na trybunach, kiedy szala zwycięstwa przechylała się na stronę Czechosłowacji. Ale p. Rothert nie wie, że przecież właśnie wtedy przeżywałem podwójną tragedję. Wiedziałem najlepiej, jak bliscy jesteśmy przegranej i jakie gromy spadną na mnie, gdy puhar min. Benesza zostanie w Pradze. Przeczuwałem ten odruch jeszcze przed wyjazdem, gdy spotkawszy p. Rotherta, na jego gorące perswazje odpowiedziałem kategorycznie, że wykluczoną jest możność startowania z mej strony na 1500 metrów. Jak bardzo chcę odpocząć, dowodzi najlepiej fakt, że na wszystkie propozycje startu, które otrzymałem z Paryża, Sztokholmu i Medjolanu, odmówiłem bez chwili wahania, mimo, że wyjazdy te były bardzo ponętne.

Uważam się więc za usprawiedliwionego i nie wątpię, że prawdziwi sportowcy zrozumieli moje stanowisko, zważywszy stan mego psychicznego przemęczenia. Tak, tak, nie jestem w danej chwili tym Kusocińskim, co bił rekord w Antwerpji albo wygrywał Olimpjadę. Potrzebuję przedewszystkiem spokoju i odpoczynku.

Spodziewałem się więc, że na szczęście większość nie podzieli zdania tych panów dla których wyniesienie pod niebiosa czy zbryzganie błotem, to wszystko jedno. Spodziewam się, że większość nie będzie mnie piętnować, a okaże się wyrozumiałą dla mnie.

Że jednak opinja publiczna nie była jednomyślna co do mego zachowania się w Pradze wystarczy, jeśli zaznaczę, że cały szereg dzienników zupełnie inaczej przedstawił całą tę sprawę, a nawet znalazły się takie, które uważały, iż postąpiłem wtedy dobrze.

Oto co pisały „Nowiny Codzienne" w dniu 27-go września: „Kusocińskiemu, za jego stanowisko w Pradze, należy się jak najwyższe uznanie. Pokazał, że jest

człowiekiem, który nie traci głowy, który nawet w atmosferze zdenerwowania pamięta o rzeczach najważniejszych, pamięta, że nie wolno mu się awanturować, że spoczywa na nim odpowiedzialność za sprawę. Cóż więc, powtarzamy, ma znaczyć ta namiętna kampanja, prowadzona na całym froncie przez owe dzienniki? Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Kusociński oddał swój pamiętnik nam, a nie owemu koncernowi, że w Pradze postąpił tak, jak powinien był postąpić, to wymierzona przeciwko niemu akcja wzbudzi tylko politowanie".

Niemniejszą satysfakcję sprawiło mi wiele listów, które nadeszły do redakcji „Nowin Codziennych" od całego szeregu osób, nawet znanych sportowców, które potępiały stanowisko owego koncernu. Szczególnie ogromną przyjemnoć sprawił mi list od pp. Stanisława Zelenta i Mieczysława Miączyńskiego, którzy w imieniu grona dyplomantów politechniki warszawskiej kategorycznie protestowali przeciwko kampanji, prowadzonej przez „Przegląd Sportowy" et consortes.

Dzisiaj po wielu miesiącach przykro mi jest nawet, że poruszam w pamiętnikach swoich wogóle ten nieprzyjemny wypadek. Przyznam się, że wolałbym o nim ani nie myśleć, ani tembardziej pisać. Poruszam go w pamiętnikach tylko dlatego, ażeby nie być posądzonym o to, że poczuwam się do winy. Stanowisko ogółu sportowców w Polsce, oraz w znacznej części prasy sportowej i codziennej, które potępiły kampanję przeciwko mnie, jest dla mnie największą satysfakcją. Podkreślić muszę jeszcze i ten fakt, że naogół cała prasa zagraniczna, a szczególnie fińska, która szeroko komentowała te napaści, stanęła również po mojej stronie. Między in. prasa fińska przypomniała analogiczny wypadek, jaki miał miejsce swojego czasu z Nurmim, zaznaczając, że wtedy zarówno Związek fiński, jak i cała poważna prasa sportowa Finlandji aprobowała stanowisko Nurmiego.

Po przyjeździe do Warszawy, sądziłem, że nareszcie

będę mógł odpocząć, i że ostatniemi trzema startami zakończę swój sezon lekkoatletyczny w tym roku. Tymczasem jednak Iso Hollo, mój największy rywal na Olimpjadzie, wyraził chęć rewanżu za swą porażkę w Los Angeles i zgodził się nawet w najbliższym czasie przyjechać do Warszawy. Korzystając z tego klub „Warszawianka" w porozumieniu z „W. O. Z. L. A." urządził wielkie zawody lekkoatletyczne, na których zmierzyć się mieliśmy z Iso Hollą o palmę pierwszeństwa. Zawody te miała uświetnić swoją obecnością Walasiewiczówna, która po dalszych sukcesach w Ameryce przybyła właśnie na stałe do Warszawy.

Projektowane były nasze dwa starty: na dwie mile angielskie oraz na 5 albo na 10 klm. Dowiedziawszy się o tem, oczywiście nie mogłem myśleć o odpoczynku. Nie wiedząc dobrze w jakiej formie znajduje się obecnie Iso Hollo, czekałem z niecierpliwością na wyniki meczu Francja — Finlandja, który za kilka dni miał się odbyć i na którym m. in. startował Iso Hollo. Mimo przemęczenia, i fizycznego i psychicznego, rozpocząłem pilnie trenować. Wreszcie nadeszły depesze o wynikach paryskich. W biegu na 5.000 metrów, który właściwie był pojedynkiem między Lehtinenem a Iso Hollo, zwyciężył ten pierwszy w czasie 14:42,6, cztery metry przed Iso Hollo. Ponieważ w czasie biegu padał ulewny deszcz i bieżnia poprostu nie nadawała się do użytku, czas ten należało uważać za bardzo dobry. Tak więc Iso Hollo musiał znajdować się w doskonałej formie i, przyznaję się szczerze, że zacząłem poważnie obawiać się o siebie w nadchodzących zawodach.

Że tak było istotnie, najlepiej świadczy samo oświadczenie Iso Holli, który przybył w kilka dni potem do Warszawy.

— Obecnie czuję się doskonale — odpowiedział Iso Hollo przedstawicielom prasy, którzy spotykali go na dworcu. — Znajduję się w wyjątkowo dobrej formie. Kto wie, czy nie w lepszej niż w czasie Olimpjady. Zresztą najlepszym dowodem są czasy, jakie uzyskałem

kilka dni temu na meczu Francja — Finlandja w Paryżu. Nigdy nie spodziewałem się, że podczas tak fatalnej pogody i ulewnego deszczu będę się mógł na nie zdobyć.

Na dalsze pytania co do ewentualnych wyników w zapowiedzianych biegach ze mną Iso Hollo takie snuł horoskopy.

— Co do dwóch mil angielskich, które mam biegać w sobotę, to sądzę ,iż powinienem osiągnąć czas 9 min. 7 lub 10 sekund. Jednakże, zdaje się, że Kusociński bieg wygra. To nie jest mój dystans. Uważam go za zbyt krótki. Mojemi są: 5 klm., 10, a przedewszystkiem 7 mil. Co do następnego naszego biegu, to przypuszczam, że „pobiję" „Kusego", zresztą uważam to za swoją największą ambicję zrewanżować się mu za odniesioną na Olimpjadzie porażkę.

Nic dziwnego, kiedy dowiedziałem się o tych oświadczeniach Iso Holli, mina mi jeszcze bardziej zrzedła. Jak wiadomo, czułem się przemęczony, a treningi, które zresztą pilnie forsowałem, nie dawały mi zadowolenia.

Z biciem serca przyjeżdżam na zawody. Oczywiście zainteresowanie niemi przeszło najśmielsze oczekiwania. Cała sportowa Warszawa znalazła się na stadjonie „Legji", by oglądać najszybszą kobietę świata, Walasiewiczównę, i nasz pojedynek.

Po kilku konkurencjach przychodzi czas na mnie. Pierwszy na bieżnię wbiega Iso Hollo, powitany przez orkiestrę fińskim hymnem narodowym. a przez publiczność długo niemilknącemi oklaskami. Za chwilę i ja wybiegam. Orkiestra gra mazurka Dąbrowskiego, znów powtarzają się brawa i okrzyki.

Jak wiadomo, początkowo miałem zamiar, nawet pomimo swej nienadzwyczajnej formy, atakować rekord Nurmiego na tym dystansie. Teraz jednak obejrzawszy dobrze bieżnię, która jest miękka, przemoczona rannym deszczem i która nie nadaje się absolutnie do atakowania rekordu, postanawiam zmienić taktykę i biegu nie rozgrywać na tempo, tylko na wynik.

Strzał startera odbija się wprost ogłuszającem echem o grobową ciszę na trybunach. Ruszamy. Z punktu obejmuję prowadzenie w dość szybkiem tempie. Iso Hollo, oczywiście, jak cień biegnie za mną. Pierwsze okrążenie mijam w 55 sekund. A więc tempo jest, jak na tak kiepską bieżnię, dość duże. W tej samej kolejności mijam i drugie okrążenie, ale w czasie już cokolwiek gorszym, bo w 66 sek. W trzeciem okrążeniu również nie zmieniamy kolejności. W czwartem, ponieważ zwolniłem trochę, Iso Hollo wysuwa się na czoło i nawet stara się oderwać ode mnie. Oczywiście, nie pozwalam mu na to i niemal w jednej chwili wyrównywam kilkumetrową różnicę. Mało tego, aby pokazać Finowi, że takiemi zrywami ze mną sobie nie poradzi, obejmuję zpowrotem prowadzenie.

Po piątem okrążeniu, w którem stale jestem pierwszy, przyśpieszam trochę i prowadząc w dalszym ciągu, rozpoczynamy decydujące koło. Iso Hollo stara się za wszelką cenę uzyskać prowadzenie, ja jednak nie pozwalam mu na to, zwiększam tempo i na przeciwległej prostej rozpoczynam finisz, powoli odsuwając się od Fina. Instynktownie czuję za sobą rozpaczliwe wysiłki Iso Holli, który przyjmuje walkę i stara się na wirażu dojść do mnie. Nic z tego jednak; wyjątkowo dobrze biorę wiraż i na prostą wychodzę z różnicą kilku metrów. Rozpaczliwe wysiłki Iso Holli już na nic się nie zdały. Dopingowany nieopisaną wprost wrzawą trybun, kończę bieg, mając za sobą o 8 mtr. w tyle Iso Hollę.

Następnego dnia odbyć się miał nasz drugi bieg na dystansie 5 klm. Jednak fatalna pogoda — padający deszcz od rana, uniemożliwił odbycie się zawodów. Biegaliśmy dopiero we wtorek. Wobec oświadczenia Iso Holli, że w biegu tym będzie wszelkiemi siłami starać się mnie zwyciężyć, oraz wobec tego, że dystans ten jest dla niego jednym z najodpowiedniejszych, zainteresowanie zawodami przeszło najśmielsze oczekiwanie. Tłumy ludzi nie mogły pomieścić się na ogromnym stadjonie „Legji". Tym razem pogoda dopisała, jakkol-

wiek było bardzo chłodno, a bieżnia po ostatnich deszczach rozmiękła.

Przez pierwsze trzy okrążenia prowadzę w dość dużem tempie. Po trzeciem Iso Hollo mija mnie, aby dalsze dwa okrążenia poprowadzić. Staram się zbadać, jaką też przyjął taktykę Iso Hollo. To też, gdy w piątem okrążeniu zrobił kilka zrywów i nawet zaczął oddalać się ode mnie, widziałem, że Fin chce wygrać na tempo, poprostu chce mnie zmęczyć i nie dopuścić do walki na finiszu. Zrywy Iso Holli wytrzymuję dość łatwo.

Walka o prowadzenie toczyła się prawie przez cały czas biegu. Iso Hollo kilkanaście razy podrywał się, sądząc, że zrywami swemi zdoła mnie wyprowadzić z równowagi. Niestety, nie udaje mu się. Tak więc bieg, ,który miał być rozegrany na tempo, i wygrany tempem przez Iso Hollę, sprowadził się do rozegrania na finiszu.

Przyznaję, że ten sposób rozgrywania biegu jest bodaj najbardziej emocjonujący dla widzów. To też nic dziwnego, że każde moje objęcie prowadzenia, trybuny przyjmują huraganem oklasków, aby gdy je stracę, zamilknąć w ciszy niepokoju o mnie.

W ten sposób rozpoczyna się ostatnie okrążenie, przyczem Iso Hollo ciągle jest naprzedzie. Tempo jest nadzwyczaj szybkie i zdawać się może, że nie zdołam już przypuścić ataku decydującego. Mija tak 100 metrów, później 200, wreszcie zostaje 150 mtr. do taśmy. wpadamy na wiraż. Staram się minąć Fina, jednak ten wytrzymuje mój atak i nie pozwala się minąć, wpadając na prostą wciąż jako pierwszy. Tutaj postanawiam jeszcze raz zaatkować Fina. Zrywam się wśród huraganu braw, mijam go zdecydowanie na 30 metrów przed taśmą. Wprawdzie Fin wytrzymuje ten atak, ale, niestety, nie ma już ani siły, ani czasu, aby go sparować. Wygrywam o dwa metry, w czasie nowego rekordu Polski 14:41,8. Czas ostatniego okrążenia wyniósł 63 sekundy.

Z wyniku tego nie byłem zbyt zadowolony. Zdawało mi się, że zrobię lepszy czas i zejdziemy poniżej 14 min. 40 sek.

Tego samego dnia Iso Hollo złożył mi wizytę, gratulując i winszując zwycięstwa. Z całą lojalnością i szczerością oświadczył, iż uznaje moją wyższość nad sobą.

W ten sposób zakończyłem swój sezon lekkoatletyczny w roku 1932 i na tem chcę zakończyć swoje pamiętniki. Do ogólnego bilansu swoich wyników dorzucę jeszcze jeden. Oto w tabeli najlepszych biegaczy europejskich nazwisko moje zanotowane zostało w czterech konkurencjach, a mianowicie w biegach na 10.000 mtr. i 3.000 mtr. — na pierwszem miejscu, na 5.000 mtr. — na czwartem za Lehtinenem, Iso Hollo i Virtanenem, oraz na 1500 mtr. — na trzeciem za Beccalim i Cornesem.

Po krótkim odpoczynku, obecnie w dalszym ciągu trenuję, chcąc otrzymać jak najlepszą zaprawę zimową, bowiem jeżeli mi tylko na to warunki pozwolą, w sezonie 1933 pragnę popracować nad poprawieniem rekordu polskiego na dystansie 5 klm., t. j. zrównaniem go do klasy światowej. Pozatem, jak Bóg da. Trudno jest dziś przewidzieć i stawiać horoskopy na przyszłość.

Kończąc swój pamiętnik, jeszcze raz chcę podziękować wszystkim tym, którzy otaczali mnie swoją opieką i ofiarowali mi niejednokrotnie swą pomoc, jednocześnie przepraszając Czytelników za zbyt długie może zajęcie ich swoją skromną osobą.

KONIEC

Tkon. prawd
Kirzegaard i Pascal
Porównać Hume i Kotbe
Hume jako prb. idealist.
Spinoza i Hobbes etyka
Umowa społeczna
Russeau
Egzystencjalizm
Klasyczne kon. pr.
Neopozyt. - kierunki
Schopenhauer jako pesymista
Nola
marksizm a

AKADEMIA WYCHOWANIA FIZYCZNEGO · KRAKÓW · BIBLIOTEKA GŁÓWNA

A
919

Biblioteka Gł. AWF w Krakowie

1800068097